
Katarzyna
Bonda
POLSKIE
MORDERCZYNIE
Co wyróżnia je spośród innych kobiet?
Skąd wzięła się ich agresja?

Przybądźcie, o wy duchy, karmiciele
Zabójczych myśli, z płci mej mię wyzujcie
I napełnijcie mię od stóp do głowy
Nieubłaganym okrucieństwem! Zgęśćcie
Krew w moich żyłach: zatamujcie wszelki
W mym łonie przystęp wyrzutom sumienia,
By żaden poszept natury nie zdołał
Wielkiego mego przedsięwzięcia zachwiać
Ni stanąć w poprzek między mną a skutkiem!

Makbet, William Szekspir

To jest Ptakon. […] Ojciec ptaków, czyli ich kokon, w którym pomieszkuje tysiąc trzysta piskląt wronich, siedemset czternaście gawronich i milion kawczych! […] W dniu sądnym Ptakon rozpęknie się, a one rozfruną się we cztery strony świata, na północ i południe […] na wschód i zachód, do wszystkich krajów poszybują wydziobać grzesznikom oczy!

Ptakon, Witold Horwath

Wszystkie informacje zawarte w książce są prawdziwe.

Kobiety biorące udział w projekcie dobrowolnie i nieodpłatnie zgodziły się na ujawnienie swoich wizerunków.

Niektóre personalia bohaterek, ofiar oraz osób trzecich zostały zmienione ze względu na dobro i spokój rodziny, dzieci, świadków w procesach.

Od autorki

Pomysł napisania tej książki zrodził się kilka lat temu. Pracowałam wtedy jako sprawozdawca sądowy w jednym z ogólnopolskich dzienników. Przed warszawskim sądem toczyło się właśnie kilka procesów kobiet oskarżonych o zabójstwo. Sprawy były na tyle głośne, że codziennie ukazywały się relacje z rozpraw, media publikowały wizerunki oskarżonych, a po zapadnięciu kilku wyroków skazujących sąd wyraził zgodę na ujawnienie ich nazwisk - miało to być dodatkową karą za uczynione zło. Morderczynie były sławne. Ich zdjęcia i nazwiska ukazywały się obok informacji o życiu gwiazd filmowych.

Patrzyłam na te kobiety zasiadające na ławach oskarżonych, słuchałam ich wyjaśnień, zeznań świadków, rozmawiałam z rodzinami ich ofiar i nie mogłam znaleźć odpowiedzi na pytanie: jak to możliwe, że te kobiety uczestniczyły w tak brutalnych zbrodniach, same zabiły albo wszystko ze szczegółami zaplanowały, a morderstwa wykonywały rękami mężczyzn.

Jakie są? Dlaczego? Co wyróżnia je spośród innych kobiet? Skąd wzięła się ich agresja?

Media wykreowały ich wizerunek - złych, zdegenerowanych, pozbawionych ludzkich uczuć, bezlitosnych bestii w ludzkiej, często pięknej, skórze. Sądziłam wówczas, że między nimi a resztą kobiet jest wielka bariera.

Wiosną 2006 roku pojechałam na pierwszą rozmowę do grudziądzkiego więzienia, żeby sprawdzić, czy pomysł napisania o zabójczyniach ma jakiś sens. Pierwszą moją rozmówczynią była Monika Szymańska[1], którą przecież dobrze znałam. Znałam ją przede wszystkim z sali sądowej, kiedy to w białej bluzce siedziała na ławie oskarżonych, ale także z nagłówków gazet, z radia i telewizji. Wiedziałam o niej niemal wszystko, bo dziennikarze nie pozostawili w jej życiu ani jednej nieodkrytej tajemnicy. Wiedziałam, że pochodzi z patologicznej rodziny, wcześnie została matką, piła, kradła, oszukiwała i bywała agresywna.

Wiedziałam, że jest niezwykle inteligentna i sąd uznał ją za mózg bandy. Znałam ją z tej złej strony i przyznaję, bałam się tego spotkania.

Nie tego, że się na mnie rzuci, jak zasugerowała jedna z moich znajomych, kiedy dowiedziała się, że będąc w ciąży, jadę do zakładu karnego. Ale tego, że nie znajdę w niej refleksji po zbrodni, wyroku i kilku już latach spędzonych w więzieniu. Bałam się, że nie odpowie na nurtujące mnie pytania, bo nie przebiję się przez jej skorupę, a sławna zabójczyni nie będzie chciała się otworzyć, bo potraktuje mnie jak wroga - przedstawiciela mediów, które ją napiętnowały.

Kiedy Monika przyszła do sali, w której miał się odbyć wywiad, nie poznałam jej.

Była uśmiechnięta, schludnie ubrana, a nawet wzbudzająca sympatię. W niczym nie przypominała tej wulgarnej „dresiary", jaką pamiętam ze zdjęć zrobionych w momencie zatrzymania po zabójstwie Tomka. Zaczęłyśmy rozmawiać. I stało się coś, czego zupełnie się nie spodziewałam. Byłam przygotowana na trudności, na walkę psychiczną. Tymczasem Monika kompletnie mnie rozbroiła. O sobie i swoim życiu opowiadała szczerze i otwarcie.

Byłam wstrząśnięta - poznałam nie zabójczynię a kobietę. Charyzmatyczną, inteligentną, z poczuciem humoru. W ciągu tych kilku godzin Monika opowiedziała mi zaledwie

kawałek swojej historii. I choć prawie udało jej się mnie uwieść, nie zapomniałam, za co została skazana i z kim naprawdę mam do czynienia. Wychodząc z więzienia, wiedziałam, że napisanie tej książki ma sens.

Zaczęłam rozmowy z dyrektorami zakładów karnych dla kobiet. Gdyby nie ich dobra wola, pomoc i zaangażowanie, ta książka nigdy by nie powstała. Zależało mi bowiem nie tylko na tym, by morderczynie zgodziły się udzielić wywiadu, ale żeby się otworzyły, a także wzięły udział w sesjach zdjęciowych. Kolejne bohaterki pojawiały się stopniowo - było to żmudne poszukiwanie i przekonywanie ich do udziału w projekcie. W czasie tych przeszło dwóch lat pracy nad książką z Moniką Szymańską, tak jak z każdą z tych kobiet, spotykałam się jeszcze wielokrotnie. Wszystkie wywiady wymagały oficjalnej zgody władz więziennych.

Zbrodnia podzieliła życie każdej z nich na dwie części. I tak też staram się je pokazać.

Nie chcę ich usprawiedliwiać, wybielać, udowadniać, że nie ma w nich zła. Postanowiłam dać prawo wypowiedzi każdej z nich. Wiele z tych kobiet po raz pierwszy udzieliło wywiadu, którego odmawiały dziennikarzom przez długi czas. Mówiły o różnych aspektach życia: miłości, macierzyństwie, pieniądzach, marzeniach, śmierci… Ich zbrodnie zaś poznajemy z rozdziałów, które powstały na podstawie akt sądowych - przeczytałam je wszystkie osobiście i starałam się opisać rzetelnie i bez emocji.

Ta książka powstała, by pokazać, że nic nie jest czarno-białe, że w każdym z nas jest agresja, a bariera pomiędzy nami a bohaterkami tej książki, jest płynna. Powtórzę za Philipem Zimbardo[2]: ludzie są mozaiką dobra i zła, a zło najczęściej czynią zwyczajni ludzie.

Sto czterdzieści osiem to artykuł kodeksu karnego, z którego wszystkie bohaterki zostały skazane na kary więzienia za dokonanie zbrodni. Jest on jedynym elementem łączącym je ze sobą. Poza tym ich historie są różne, tak niezwykle różne jak one same.

Pochodzą z różnych domów, zabiły z różnych powodów, mają różne osobowości i wygląd zewnętrzny, są w różnym wieku. Większość z nich odważyła się ujawnić swój wizerunek i personalia. Możecie więc posłuchać ich opowieści i spojrzeć im w oczy.

Katarzyna Bonda

***

[1] Skazana na dożywotnie więzienie za zabójstwo warszawskiego maturzysty Tomka Jaworskiego. Rozdział: „Macierzyństwo”.

[2] Philip G. Zimbardo - psycholog amerykański, od 1968 roku profesor Uniwersytetu Stanforda. Znany z przeprowadzenia eksperymentu więziennego, w którym grupa studentów deklarujących się jako pacyfiści została przebadana pod kątem zdrowia psychicznego.

Losowo zostali podzieleni na „więźniów” i „strażników”. Badani znajdowali się pod stałą obserwacją. Do obowiązków strażników należało odprowadzanie więźniów na posiłki, pilnowanie porządku itd. Już po trzech dniach strażnicy zaczęli przejawiać zachowania agresywne, przekraczając przyznane im kompetencje. Więźniowie stawiali opór. Strażnicy wprowadzali kary za niesubordynację. Odmawiali im możliwości zaspokajania podstawowych potrzeb - higieny, posiłków; trzymali w ciemności, często też wymierzali kary fizyczne. W krytycznym momencie eksperyment został przerwany ze względu na zagrożenie zdrowia i życia uczestników.

IMPRESJE

Natalia

Tatuś

Jestem do niego podobna, jakby ktoś skórę zdjął. Dopiero teraz to widzę. Mam jego oczy, grube, falujące blond włosy, ten sam wyraz twarzy. I tak samo jak on jestem piekielnie uparta. Zresztą on wie to najlepiej - jestem jego żeńską wersją.

Od mamy wzięłam za to głupią łatwowierność. Naiwnie i na siłę szukam w ludziach zalet, nawet jeśli tam ich nie ma. Nie dociera do mnie, że to kolor czarny; mówię, że niebieski. Bo ten niebieski chcę widzieć. Tę cechę mam po mamie i za to dostaję od życia po tyłku.

Jak byłam mała, tata był moim Zeusem, mistrzem ceremonii, wszystko wiedzącym.

Wierzyłam, że jestem oczkiem w głowie tatusia, bo tak twierdziła mama. Mówił do mnie Talkuś, Niusia, jak do psa, ale słodko. Kochałam go obłędnie, bezwarunkowo. Gdy wychodził do pracy, wkładałam jego kapcie, chociaż się w nich przewracałam. Uczył mnie jeździć na rowerku. Wtedy po raz pierwszy mnie oszukał - mówił, że mnie trzyma, a tak naprawdę jeździłam bez jego pomocy. Było ciemno, deszczowo, upadłam. Ale był obok, byłam bezpieczna. To on zawsze wołał mnie i siostrę na kolację. Natalka, Emilka, do domu. Na dobranockę idziesz? Pamiętam to jak dziś. I jeszcze się guzdrałam, ale szłam, wiedziałam, że na nas czeka, martwi się.

Zawsze, nawet jak potem zaczęłam uciekać, próbował mnie za wszelką cenę zatrzymać w domu. Na swój sposób przekonywał mnie, żebym została. Zaczęłam go nienawidzić.

Miałam jedenaście lat, kiedy zaczął mieć te swoje napady agresji. Powód był nieważny: nie mógł znaleźć okularów, nie pisał długopis. Wpadał we wściekłość i niszczył wszystko na swojej drodze - czy to był człowiek, mebel, czy sprzęty, którymi można rzucić, wyrwać ze ściany. Był wtedy przerażający. Bił mnie, mamę, moje trzy siostry - Basię, Emilkę i Sylwię, nawet psa. Kilka razy omal nie zabił mamy. Raz ganiał ją z nożem po mieszkaniu, innym razem chciał ją wypchnąć z balkonu. Basia stanęła wtedy w jej obronie i też dostała.

Kiedyś szłam do łazienki, mama leżała na podłodze, a on ją dusił. Nic nie zrobiłam, stałam i patrzyłam. Nie pił, nigdy nie widziałam go pijanego. Alkohol nie był mu potrzebny, żeby wpaść w szał.

Najbliżsi sąsiedzi wiedzieli, co się dzieje. Trudno nie wiedzieć, jak taki hałas w całej klatce. A wszystko było słychać, mieszkaliśmy na parterze. Nie wiem dlaczego, ale z dzieciństwa takich sytuacji nie pamiętam w ogóle. Może nie miałam wtedy świadomości?

Tylko same dobre rzeczy na jego temat pamiętam. I serdeczność.

Dostałam kuratora. Miałam niecałe czternaście lat, jak zaczęłam uciekać z domu.

Przedtem tylko wagarowałam. Uciekałam ze szkoły do parku, czasem z kolegami, czasem sama. Za pierwszym razem pojechałam do mamy siostry. Zdziwiła się. Zapytała, co się dzieje. Kiedy jej powiedziałam, nie chciała uwierzyć. Mama na ciebie krzyknęła i dostałaś wpierd…! Normalne. Odstawiła mnie do domu.

Potem moja najstarsza siostra Basia wyszła za mąż. Wyprowadziła się z domu, uciekałam więc do niej. Rano szłam tam, potem włóczyłam się po mieście, po południu znów do niej wracałam, na noc. Nie pytała o nic. Doskonale wiedziała, co się dzieje. Sama

się go bała. Początkowo znikałam tylko na kilka dni, potem przez całe tygodnie byłam na gigancie.

Czasem nawet ze trzy miesiące jeździłam stopem po Polsce. Do Opola do mojej chrzestnej, do Gdańska nad morze, do Warszawy na dworzec. Czasem zatrzymywały się osobówki, a czasem TIR-y. Wsiadałam, byle jechać. Raz jeden kierowca poczęstował mnie czekoladą, a potem zaproponował, żebym się z nim przespała. Powiedziałam, że jestem w ciąży.

Zatrzymał się na stacji i mnie wysadził. Innym razem za kolano mnie któryś złapał. Brama zamknięta. Facet nic nie powiedział. Wysiadłam i złapałam następnego.

Mama jest chora na schizofrenię, częściej była na oddziale nerwicowym niż w domu.

Starałam się wracać, jak ona będzie, bo wiedziałam, co mnie czeka: długie, męczące, wielogodzinne rozmowy. Krzyki, groźby, bicie. Miał pretensje, że wciąż uciekam. Pytał: Dlaczego? Po co? Jak miałam mu wyjaśnić? Sam nie rozumiał? Zawsze był temat zastępczy.

A to o chłopaka, z którym byłam. A to o szkołę, papierosy, alkohol… Nie miałam nic na swoją obronę. Zawsze w końcu mama ratowała mi tyłek i prosiła, żeby mnie puścił.

Czasem zamykałam się w łazience i nie wychodziłam, dopóki się nie uspokoił.

Krzyczeliśmy na siebie przez drzwi. Raz nie wytrzymałam i przygadałam mu, że chyba już zapomniał, jak ostatnio mamę z nożem gonił. Zerwał się, chciał drzwi wybić. Nigdy jednak nie odważyłam się powiedzieć mu prosto w twarz: To przez ciebie! Po jakimś czasie rodzice przyzwyczaili się do moich gigantów. Wiedzieli, że wcześniej czy później wrócę, a mimo to cały czas mnie szukali.

Kiedyś na szkolnej dyskotece powiedziałam kuratorce, co tak naprawdę dzieje się w moim domu. Dlaczego uciekam. Zaproponowała trzy wyjścia: dom dziecka, pogotowie opiekuńcze, rodzina zastępcza. Wywołała we mnie strach. Nie wiedziałam, co się z czym je.

Potem pomyślałam, że to tylko tymczasowo… Więc poznałam się z Pogotowiem Opiekuńczym i Domem Dziecka w Piotrkowie Trybunalskim. I było lepiej. Po trzech miesiącach w Pogotowiu sąd pozwolił mi wrócić do domu. Dwa dni było dobrze. Na Wielkanoc sama zgłosiłam się do Pogotowia. Moja kuratorka wystąpiła o to, żeby mnie przyjęli. Mama i tata odwiedzili mnie tam trzy razy. Zachowywali się, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Wzorowa mamusia, kochający tatuś… Jakbym to ja była ta zła. Wszyscy tak pewnie myśleli.

Potem moja siostra Sylwia wzięła mnie do siebie, jako do rodziny zastępczej. Byłam u niej rok, ale tatuś wywalczył mnie przez Sąd Okręgowy. Cały czas o mnie walczył, uparcie przez pół roku. Tak cię kocham - mówił.

To, że mnie kocha, to wiem. Ja kochałam go i jednocześnie nienawidziłam. Bardzo szybko te dwa uczucia nierozerwalnie się ze sobą splotły. I są już we mnie na stałe. Był czas, kiedy był moim Zeusem, włączałam telewizor i całowałam ekran, na którym on był. Potem wmawiał mi, że mama mnie nie kocha. Coś we mnie pękło. Będę tańczyć na twoim grobie - myślałam.

Był czas, kiedy w ogóle się do siebie nie odzywaliśmy, po prostu przechodziłam obok niego, jakby go nie było, jakby nie istniał. Czasami mówiłam do niego bezosobowo albo na pan. Raz przyszedł złożyć mi życzenia z okazji urodzin, to ja do niego: Niech pan wyjdzie!

Innym razem miałam nieżyt żołądka. Omal nie umarłam. Podłączyli mnie do kroplówki,

jedna zleciała, po czterech godzinach podłączyli następną. Było już pod wieczór, powiedzieli, że będę miała prawdopodobnie jeszcze ze dwie. A ja już lepiej się czułam i nie chciałam tam leżeć. Pragnęłam wyjść ze szpitala, więc ją sobie odłączyłam. Po prostu wyjęłam. Ale nie było nigdzie zatyczki do wenflonu. Idę więc do dyżurki, krew mi kapie.

Mama była wtedy w tym szpitalu, na innym piętrze, naszpikowali ją psychotropami na uspokojenie. Powiedzieli jej, że chciałam wyjść. Nie wiem, kiedy się przy mnie znalazła, chwyciła mnie za włosy, rzuciła o podłogę. Wezwano moją kuratorkę i ojca. Wtedy też powiedziałam mu: Nie chcę z panem rozmawiać.

Po mojej sprawie nasza rodzina musiała się wynieść do tak zwanego getta. Tam, gdzie mieszkaliśmy, były wyzwiska, oskarżenia, agresja. Mama ledwie to wytrzymywała.

Zaproponowano, żeby ta patologia przeniosła się tam, gdzie jej miejsce. I rodzice przeprowadzili się. Wte dy tatuś się zmienił. O sto osiemdziesiąt stopni. Był tyranem, a stał się… aniołem. Zaczął się zachowywać jak ktoś zupełnie mi obcy, na przykład zajął się dziećmi ulicy. Zauważył, że dzieci pod blokiem bawią się butelkami, ćpają, klną. Postanowił, że zrobi im plac zabaw. Znalazł sponsorów, ludzi, którzy z dobrego serca mu pomogli. Potem w suszarni i pralni, które i tak były nieużywane, wygospodarował miejsce i zrobił klub dla dzieci. Nazwali go „Pod lasem". Mogą tam grać w ping-ponga, jest internet, zajęcia plastyczne. Zobaczyłam to wszystko w telewizji.

Na „żywo" zobaczyłam go dopiero po dwóch latach siedzenia. Wcześniej nie chciałam go znać. Mama też mnie nie odwiedzała, ale pisała. Nie miała pieniędzy, żeby przyjechać. Tak naprawdę, gdy tata nie odzywał się, cierpiałam. Kiedyś na Walentynki mama przysłała mi kartkę, na dole podpisał się tata. To było coś, nawet jeśli to mama skłoniła go do tego. Jak przyjechał, zobaczyłam jego metamorfozę. Jest teraz kompletnie siwy, spokojny i… po prostu inny.

Jest między nami lepiej, mamy kontakt lepszy niż kumple. Ja zrozumiałam jego, on mnie. Ustaliliśmy, że on akceptuje mnie taką, jaka jestem, i nie przekonuje mnie, że nie mam racji. Bo ja wiem, że on mnie nie przekona. Do dziś chowam do niego straszny żal w sercu, ale już go nie nienawidzę. Kocham go, jestem mu wdzięczna za to, czego mnie nauczył.

Moja psychika jest mocna, nie popadam w depresję, zawsze staram się widzieć, że szklanka jest do połowy pełna, nie pusta. Wyniosłam tę lekcję. Ale można mnie zranić, pewnie. Boli mnie najbardziej zdrada psychiczna. Jak byłam na śledczaku w Łodzi, to płakałam po nocach, ale tak, żeby nikt nie widział. Jestem mała, delikatna z wyglądu, kochana. Każdemu podaję łapkę. Myśleli, że jestem takim dzieciątkiem, ciotą. Ale ja jestem twarda; jak ktoś był wobec mnie chamski, to ja też. Jak ktoś mnie atakuje, to nie pozwolę, żeby mi wszedł na głowę. Pamiętałam jeszcze z czasów awantur z ojcem, że nie warto się przejmować, lepiej być obojętnym, wszystko wtedy mniej boli. Teraz go lepiej rozumiem, choć wciąż nie umiem wyjaśnić tych jego napadów agresji. Nie wiem, jak mógł zrobić coś tak fajnego dla obcych dzieciaków, a nam urządzał takie piekło w domu. Nie rozumiem tego.

Myślę, że nie jest taki zły, tylko źle się do tego ojcostwa zabrał.

Natalia Krupa (ur. 18.01.1986)
ofiara: sąsiad
motyw: rabunkowy

narzędzie zbrodni: strzykawka ze środkiem usypiającym, nóż

przyznanie się do winy: tak

wyrok: 15 lat (dopiero po 10 latach może się ubiegać o przedterminowe zwolnienie warunkowe)

koniec kary: 7.04.2019

Trzydziestopięcioletni Jacek S. mieszkał samotnie w pabianickim bloku. W tym samym budynku, piętro wyżej, mieszkał dwudziestoletni Artur G. U Artura pomieszkiwała szesnastoletnia Natalia, która kilka miesięcy wcześniej uciekła z domu. Sąsiedzi byli w bardzo dobrej komitywie; często razem pili. Młodzi nie mieli pieniędzy, więc chętnie zapraszali sąsiada z góry, który stawiał im wódkę. Jackowi S. zaś imponowało, że spotyka się z młodzieżą, a zwłaszcza nastoletnimi dziewczętami, które odwiedzały Artura i Natalię.

Powstało stałe grono znajomych. Najczęściej przychodziła Ewelina O., Justyna O., Artur O. i Jarosław B.

Któregoś dnia Jacek S. pochwalił się znajomym, że sprzedał nieruchomość wartą ogromne pieniądze i chwilowo jest „bogaty”. Wzbudził tym wyznaniem niekłamaną zazdrość wśród młodzieży, która pochodziła z rozbitych, a nawet patologicznych rodzin, gdzie brakowało na podstawowe potrzeby. Jacek S. nigdy nie mówił, ile odziedziczył, ani gdzie trzyma gotówkę. Młodym jednak wydawało się, że są to ogromne pieniądze - zawsze stawiał alkohol, obserwowali, jak w jego domu kolejno pojawiały się nowe sprzęty RTV i AGD.

Chwalił się, że jeszcze zostawił sobie parę ładnych tysięcy „na czarną godzinę”. To pobudziło wyobraźnię młodych. Podczas licznych zakrapianych przyjęć rozprawiali, co zrobiliby z taką gotówką.

Kiedy 25 maja 2002 roku Jacek zaprosił całe towarzystwo do siebie, po raz kolejny rozmowa zeszła na temat pieniędzy. Wtedy też jedna z dziewcząt poprosiła podpitego już Jacka, by dał potrzymać „taką kasę”. Podpuszczony Jacek przyniósł gotówkę. Następnego dnia Natalia wpadła na pomysł, by go okraść. Zwierzyła się Ewelinie i razem zaplanowały napad. Przekonały chłopaków - Jarosława B. i Artura G. Nie może się nie udać. Przez kolejne dwa dni wszyscy udawali, że nic się nie zmieniło. Odwiedzali gospodarza, namawiali, by stawiał im wódkę, zapraszali go do siebie. Natalia - jak do tej pory - prała mu, sprzątała, gotowała obiady. Trzeciego dnia Jacek wpadł do mieszkania Artura G. z sąsiedzką wizytą.

Oczywiście przyniósł flaszkę wódki. Kiedy ją wypili, wyjął 20 złotych i kazał kupić kolejną, po czym wrócił do siebie. Wieczorem Natalia przygotowała miksturę z wody i tabletek usypiających. Napełniła nimi strzykawki. Spytała Artura G., który nóż może zabrać. Podał jej ten z drewnianym trzonkiem. Schowała do torebki strzykawki, lateksowe rękawiczki i nóż.

Tak uzbrojona poszła do sąsiada w towarzystwie Eweliny. Włączyły muzykę, udając, że organizują imprezę z tańcami i alkoholem. Zaczęły go uwodzić. Ewelina podobała mu się jednak bardziej niż Natalia. To ją dotykał, gładził po plecach. Kiedy rozochocony próbował ją pocałować, Ewelina uderzyła go w twarz, po czym pobiegła do kuchni w poszukiwaniu noża.

W tym czasie Natalia z całej siły wbiła mężczyźnie strzykawkę z usypiającą miksturą w

udo.

Wróciła Ewelina. Noża nie znalazła, ale wzięła pierwszą z brzegu rzecz, która wydawała jej się skuteczna - patelnię. Z całej siły uderzyła S. w tył głowy i zawołała swojego chłopaka Jarosława B. Czekając na niego, Natalia i Ewelina trzymały Jacka S. za ręce, żeby się nie wyrwał. Jarek przyszedł i zaczął zadawać ciosy nożem. Uderzał w klatkę piersiową, brzuch, szyję, w końcu poderżnął Jackowi S. gardło. W tym czasie dziewczyny przeszukiwały mieszkanie. Natalia znalazła pięć tysięcy złotych. Pokazała pieniądze i wszyscy wyszli.

Mieszkanie zamknęli na klucz.

Następnego dnia po zabójstwie, około godziny osiemnastej, była żona Jacka S. przyszła do niego, żeby spytać, czy jego córka może wyjechać do Niemiec. Ciało Jacka leżało na wersalce, nakryte kocem. Całe w zakrzepłej krwi. Kiedy przyjechała policja, okazało się, że sąsiedzi niczego nie słyszeli ani nie widzieli.

Stefan Wróblewski, biegły medycyny sądowej, który wykonywał sekcję zwłok, stwierdził, że śmierć nastąpiła gwałtownie, bowiem większość zadanych ran była śmiertelna.

Po zadaniu ciosu w klatkę piersiową zabójca nie wyjął noża, tylko dopchnął go, co spowodowało charakterystyczne nacięcia w kształcie litery V. Ciosy zadano ze znaczną siłą, bo oprócz śmiertelnej rany doszło także nacięcie prawego żebra. Biegły stwierdził także, że ciosy zadano nożem z drewnianą rękojeścią i ostrym zakończeniem. Oprócz ran śmiertelnych (klatka piersiowa, poderżnięte gardło) na ciele ofiary było także sześć nacięć powierzchniowych na szyi, które jednak same w sobie nie były śmiertelne, mogły jedynie przyspieszyć zgon. Jacek S. zmarł po kilku, najpóźniej kilkunastu minutach. W momencie zabójstwa miał 1,8 promila alkoholu we krwi - znajdował się w fazie euforycznej upojenia alkoholowego.

Na miejscu zdarzenia zabezpieczono mnóstwo śladów biologicznych: odciski palców, włosy, niedopałki papierosów, z których można wyodrębnić DNA. W mieszkaniu Artura G. natomiast znaleziono legitymację szkolną Eweliny O. Policjanci wiedzieli, kogo szukają.

Znalezienie sprawców było tylko kwestią czasu, bo zaraz po zabójstwie „dzieciaki" zniknęły.

Po dokonaniu zabójstwa młodzi wsiedli do taksówki i pojechali do Łodzi, na teren dworca Łódź Kaliska. Torbę z nożem, strzykawkami i zakrwawionymi koszulkami wyrzucili w pobliżu betonowej konstrukcji na peronie. Tam też podzielili się pieniędzmi. Następnego dnia, 28 maja 2002, około piątej nad ranem wsiedli do pociągu jadącego do Warszawy. Kilka dni jeździli taksówkami pomiędzy Warszawą a Łodzią. Pili, hulali, robili zakupy, bawili się.

Natalia za swoją „działkę" kupiła: beżową torebkę ze skaju, telefon komórkowy marki Siemens z ładowarką, pierścionek, okulary przeciwsłoneczne, kolorowy sweter w paski, maszynkę do golenia Gilette, żel do golenia Satin Care, czerwony biustonosz i biały komplet bielizny.

Pierwszego czerwca wrócili do Łodzi, a potem do Pabianic. Tego samego dnia około godziny dziesiątej rano na komendę policji zgłosił się Artur G. Został natychmiast zatrzymany i przesłuchany. Potem policja kolejno aresztowała Artura O. (ujawnił miejsce ukrycia zakrwawionych koszulek i noża), Jarosława B. i Ewelinę O. Natalię ujęto na

samym końcu, policja zatrzymała ją na Śląsku, gdzie ukrywała się u swojej starszej siostry, której nie powiedziała, co zrobiła. Nawet podczas aresztowania wypierała się wszystkiego, choć jej odciski palców i ślady DNA zabezpieczono na nożu, strzykawkach i rękawiczkach.

Po aresztowaniu nastolatkowie pomawiali jeden drugiego. Ewelina twierdziła, że to miał być jedynie napad rabunkowy. To Natalia wszystko zaplanowała, ja miałam wstrzyknąć drugą strzykawkę. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego z własnej woli uderzyła patelnią w głowę ofiarę, aż go zamroczyło. Natalia mi kazała. Twierdziła, że Natalia to wyjątkowo perfidna intrygantka. Namawiała ją na przykład na seks z Jackiem S. - za co miała zarobić dwadzieścia złotych. Gdyby dowiedział się o tym jej chłopak Jarosław, miała powiedzieć, że S. zgwałcił Ewelinę.

Poszliśmy do S., żeby go zabić - zeznał Jarosław B. Potwierdził, że to Natalia wszystko obmyśliła i zorganizowała. To ona napełniła strzykawki środkiem usypiającym, a kiedy zorientowała się, że na efekt uśpienia środkiem ze strzykawki trzeba będzie zbyt długo czekać, podała mu nóż. Aby go przekonać do udziału w zbrodni, mówiła, że S. chciał zgwałcić Ewelinę. Zabiję skurwysyna! - miał powiedzieć B. i zgodził się na napad. Potem, kiedy Ewelina zawołała go z góry, był przekonany, że sytuacja się powtarza i jego dziewczyna woła o pomoc.

Natalia, licząc na złagodzenie kary, złożyła wyczerpujące wyjaśnienia. Nie przyznała się do zabójstwa, za to pomawiała wszystkich wspólników. Ja po prostu byłam przy tym zdarzeniu. To nie było zaplanowane przeze mnie. Kiedy zadawano jej niewygodne pytania, zasłaniała się niepamięcią. Nie pamiętam, jak do tego doszło, wiem, że była rozmowa w mieszkaniu Ryszarda G. (ojciec Artura). Planowaliśmy na początku, żeby tylko okraść S., który dobierał się do Eweliny. Twierdziła, że to nie ona wbiła strzykawkę w udo Jacka, tylko Ewelina. Kiedy ujawniono, że na lateksowych rękawiczkach, które znaleziono w koszu na śmieci na dworcu Łódź Kaliska, zabezpieczono jej DNA, natychmiast zmieniła zeznania. U

G. mieszkałam prawie rok, z przerwami. S. był znacznie od nas starszy, nie pamiętam, jak go poznałam, ale utrzymywaliśmy kontakty koleżeńskie. Zapraszał nas do siebie, biesiadowaliśmy. On miał padaczkę i ja mu pomagałam w ramach pomocy sąsiedzkiej.

Prałam mu, prasowałam… Byliśmy w dobrych kontaktach. Ja go nie chciałam zabić. Tylko wbiłam mu igłę w nogę. W tej strzykawce miał być środek usypiający, ale nie wiem dokładnie, co to było i kto go wykonał.

Artur G, chłopak Natalii, u którego przez ostatni rok pomieszkiwała, nie przyznał się do udziału w zabójstwie. Wiedziałem, co planują, ale nie brałem w tym udziału. Na dowód swojej niewinności dodał, że dostał jedynie trzysta złotych (z pięciu tysięcy do podziału).

Sąd uznał za winnych zbrodni Natalię Krupę, Ewelinę O.i Jarosława B. Skazał ich na piętnaście lat więzienia (obie dziewczyny w momencie popełnienia zbrodni były nieletnie).

Natalii i Ewelinie przyznał prawo do zwolnienia warunkowego po dziesięciu, a Jarosławowi B. dopiero po dwunastu latach. Wyrok uprawomocnił się 7 kwietnia 2004 roku.

Natalię sąd uznał za pomysłodawczynię i mózg bandy. To ona przed wejściem do mieszkania S. zapobiegliwie wzięła rękawiczki, strzykawki i nóż. To ona podała Jarosławowi B. narzędzie zbrodni i wreszcie to ona trzymała i dzieliła zrabowaną gotówkę (Ewelinie dała dwa tysiące, a jej chłopakowi tysiąc) oraz pozbywała się dowodów, które

mogły posłużyć do ich zidentyfikowania.

Gryps przejęty przez służbę więzienną w styczniu 2003 roku. Wykaligrafowane litery, infantylne pismo. Papier w niebieską kratkę. Poprawiany kilkakrotnie nagłówek „witajcie" i podpis „siostra i szwagierka Natalia".

Codziennie gdy kładę się spać całuję na dobranoc dziewczynki. Bardzo za wami tęsknię i żałuję, że wtedy nie powiedziałam prawdy. Nie pisałam tak długo, bo nie miałam znaczków. Ciężko jest w więzieniu, ciągle czegoś brakuje. Zbiera się kiepy na spacerniku, by później zrobić sobie jakiegoś skręta. Chleba, cherbaty, nawet papieru toaletowego brakuje.

Jest naprawdę okropnie. Piszę rodzicom, że jest naprawdę w pożądku ale to nie prawda. Nie chcę ich denerwować. Tutaj nawet jak komuś zabraknie, mydła, pasty do zębów czy szamponu trzeba coś dać w zamian. Nic nie ma za friko (kilka razy pomalowane pisakiem).

Widziałam zdjęcia z oględzin i mam teraz koszmary. Boże, jak ja chcę do domu!

Teraz wiem, że źle, źle, źle… dużo wam sprawiałam kłopotów i całym moim zachowaniem i tym G., przepraszam. Przekażcie rodzicom, żeby nic nie mówili ani w sądzie ani w prokuraturze o nielegalnych kontaktach bo dostanę dodatkowo trzy lata. Niech nic nie mówią o telefonach i listach na których nie ma pieczątki OCENZUROWANO. Bardzo (bardzo) was kocham.

Ósmego stycznia 2003 roku Sąd Okręgowy w Łodzi zwraca się do dyrektora zakładu karnego, w którym przebywa aresztowana, by zainteresował się nielegalnymi kontaktami.

Natalia kilkakrotnie prosiła o zamianę aresztu tymczasowego na dozór policyjny.

Twierdziła, że chce ukończyć gimnazjum. Przecież Konstytucja gwarantuje prawo do edukacji każdemu obywatelowi! Bardzo mi zależy na zdobyciu jakiegoś zawodu, a pobyt w więzieniu ogranicza moje możliwości. Przez 24 godziny znajduję się w celi zamkniętej i coraz bardziej popadam w depresję, z każdym dniem czuję, jak zaczyna mi brakować powietrza. W dniu popełnienia przestępstwa miałam ukończone szesnaście lat i mogłabym na rozprawy dojeżdżać ze schroniska dla nieletnich. Jest to dla mnie bardzo ważne, gdyż sama atmosfera tutaj jest przygnębiająca.

Za każdym razem sąd odrzucał jej prośbę jako bezzasadną.

Przez kilka pierwszych miesięcy pobytu w areszcie rodzice Natalii nie kontaktowali się z nią. Z jej wyjaśnień wynikało, że ich relacje nie były i nie są najlepsze - napisał w opinii dyrektor łódzkiego ZK. Sama Natalia przyznała, że od trzynastego roku życia ojciec regularnie ją bił. To dlatego uciekała z domu. Ja wpadłam w złe towarzystwo, bo tatuś się nad nami znęcał. Mamusia złożyła zawiadomienie w prokuraturze, ale potem wycofała. Trafiłam do pogotowia opiekuńczego w związku z ucieczkami z domu.

W kwietniu 2003 Natalia symulowała chorobę psychiczną. Wtedy jeden jedyny raz odwiedziła ją matka. Córka przyznała się jej do myśli samobójczych, o czym matka natychmiast powiadomiła sąd. Natalia jeszcze trzykrotnie była konsultowana przez specjalistów.

Nie dopatrzono się jednak choroby psychicznej, choć jej sprawność intelektualną biegła psycholog Maria Chańko określiła na poziomie upośledzenia umysłowego. Ale upośledzona nie jest, podkreśliła biegła. Z jednej strony poddała się badaniom, a z drugiej nie wykazywała zbytniego zainteresowania i zaangażowania. Łatwo rezygnowała z zadań, które wydawały się jej trudne lub nudziły ją. Podobnie jak nie uczyła się, nie chodziła do

szkoły, bo to nudziło ją.

Natalia nie ma także żadnych poważnych zaburzeń osobowości[1]. Łatwo ulega wpływom, które preferuje, bo są zgodne z jej stylem postępowania (np. subkultury). Nie poddaje się natomiast wpływom, kiedy zachodzi potrzeba poświęcenia się, zaangażowania - najlepszym tego przykładem są rygory szkolne. Rodzice stosowali wobec niej kary cielesne, liczyli, że dzięki temu córka zacznie się uczyć, ale Natalia reagowała na nie ucieczką. Od trzynastego roku życia była wciąż „na gigancie”.

Biegły psychiatra Janusz Biela określił, że jest to typowa osobowość dysocjalna[2]; zna obowiązujące normy społeczne, ale ich nie uznaje i nie stosuje we własnym życiu. Jej związki emocjonalne są jedynie powierzchowne. W jej życiu dominuje lekkomyślność, pochopność, brak sprecyzowanych planów życiowych, brak refleksji. Hołduje zasadzie „życia z dnia na dzień”. Natalia nie ma poczucia winy w związku z popełnionym przestępstwem. To był pijak - miała wypowiedzieć się na temat ofiary. Zdaniem biegłego brak poczucia winy wynika z niewykształcenia u niej uczuciowości wyższej.

W czasie pobytu w Zakładzie Karnym w Grudziądzu Natalii udało się skończyć pierwszą klasę gimnazjum z wynikiem „bardzo dobrym”.

Jedenastego czerwca 2006 roku po raz kolejny Natalia zwróciła się do ministra Zbigniewa Ziobro z wnioskiem o ułaskawienie.

Miałam szesnaście lat a teraz zostałam częściowo zresocjalizowana. Brałam udział w przedstawieniu „Hamlet”, organizuję konkursy dla oddziału, spotkania z psychologiem, konkursy plastyczne. Chciałabym pracować społecznie, ale przeszkadza mi w tym szkoła, której nie chcę zaniedbywać. Mamusia choruje na schizofrenię paranoidalną, wieńcową chorobę serca, tarczycę. Tatuś ma nadciśnienie, choruje także na serce oraz na uszy - nie znam nazw tych chorób. Chcę się uczyć, podwyższać stopień swego wykształcenia, a tutaj mogę się jedynie ograniczyć do szkoły gastronomicznej lub krawieckiej.

Dwudziestego siódmego czerwca 2006 roku nadeszła odpowiedź - sąd okręgowy w Łodzi zaopiniował jej wniosek negatywnie.

Miesiąc później tę samą prośbę Natalia przesłała do prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Również spotkała się z odmową.

Teraz Natalia zamierza pisać odwołanie do Strasburga. Nie traci nadziei.

EPILOG 2012

Natalia Krupa skończyła w zakładzie szkołę zawodową z wynikiem bardzo dobrym.

Zmieniła wygląd - zapuściła włosy, inaczej się ubiera. Chciałaby się dalej uczyć. Została przeniesiona do więzienia w Łodzi, które znajduje się bliżej jej miejsca zamieszkania, dzięki czemu rodzina może ją odwiedzać. Natalia zaczęła rozmawiać z ojcem.

***

[1] Osobowość to wewnętrzny system regulacji pozwalający na adaptację i wewnętrzną integrację myśli, uczuć i zachowania w określonym środowisku w wymiarze czasowym (poczucie stabilizacji).

[2] Zaburzenia dysocjacyjne, dysocjacja (łac. dissociatio, rozdzielenie), zaburzenia konwersyjne, konwersja (łac. conversio, odwrócenie) to jeden z ostrzejszych mechanizmów obronnych, znany w psychologii. Pojęcie dotyczy zaburzeń określanych niegdyś jako histeryczne. Jest to generowanie przez nieświadomość rozmaitych (pozornych

lub rzeczywistych) dolegliwości fizycznych w celu uzasadnienia niepodejmowania działań przez jednostkę lub odwrócenia jej uwagi od niechcianych myśli i uczuć. Polega na pojawieniu się objawów uszkodzenia fizycznego lub utraty kontroli, czasowej drastycznej modyfikacji cech osobowości albo poczucia tożsamości, w celu uniknięcia przykrych uczuć i myśli.

Janina

Manowce

Nie mam zadatków na płatnego mordercę, muchy skrzywdzić nie potrafię. Zawsze się wstydziłam, byłam nieśmiała. Wielkie kokardy mi mama zawiązywała. Ale lubiłam wbijać gwoździe na placu[1]. I w pewnym momencie życia tak się zapętliłam, że ciężko było się wyplątać. Gdybym miała dziecko, to by mnie tutaj nie było. Nie zadałabym się z Robertem.

Jak tylko słyszę to imię, awersję mam.

Nigdy wódki pić nie umiałam. Jeden kieliszek na dwa razy mi starczał, w ustach długo mieszałam, a i tak ledwie dałam radę przełknąć. Pierwszy alkohol, jaki spróbowałam, to było piwo, potem jeszcze wino piłam. Nie byłam uzależniona, nie miałam problemu alkoholowego, na AA chodziłam raczej z doskoku. Teraz to mnie tylko filmy w telewizji interesują - o kobietach, które nadużywały. Był taki, co mnie bardzo wzruszył: ona była alkoholiczką, miała trójkę dzieci, poszła się leczyć, mąż od niej odszedł. Kiedy mężczyzna kocha kobietę się nazywał. Skończyło się happy endem.

U mnie w życiu nigdy nic nie kończyło się szczęśliwie. Ojciec - nie chcę mieć z nim kontaktu.

Ojczym - gdybym mogła, to bym go zabiła. Ale wtedy przyjdę na dłuższe posiedzenie, to może nie warto. Miałam piętnaście lat. Mama poszła do szpitala rodzić Zbyszka, mojego brata, a ojczym mnie zgwałcił. Chciał sprawdzić, czy jestem dziewicą. Dziewica, naprawdę, cieszył się. Potem jeszcze kilka razy sprawdzał. Poszłam do matki. Starałam się mówić spokojnie, żeby nie pomyślała, że ja tego chciałam, że mu pomagałam. Była zdziwiona, nie uwierzyła mi. Wiem, że jesteś mu przeciwna, ale mogłaś coś innego wymyślić -

odpowiedziała. Poszłam więc do babci Władzi - byłam jej ukochaną wnuczką, od małego, taką przylepą, co z kolan nie schodzi, i do niej się przytuliłam. Ale już nic nie powiedziałam.

Starałam się o tym nie myśleć. Bałam się, że mama pójdzie w odstawkę, a ja będę jego niewolnicą. Bałam się, że tak będzie. Wiedziałam, że na mamę nie mogę liczyć. On ją utrzymywał, bez niego by sobie nie poradziła. To jest alkoholik. Pijany zawsze ją bił, mnie jeszcze ciągał za włosy i przystawiał nóż do gardła. Bałam się, że będzie jeszcze gorzej.

Przestałam chodzić do szkoły. Dołączyłam do towarzystwa kufelkowo-wywrotowego z osiedla i postanowiłam, że będę się zadawać tylko z kryminalistami. Wtedy ojczym mnie nie uderzy, nie dotknie, bo bać się będzie.

Marek mówił do mnie Żan, Żanet, tak z francuska. Byłam dla niego gówniarą, szesnaście lat nieskończone, on był piętnaście lat starszy. Śmiał się, że prokurator jeszcze łapę na mnie trzyma. Ale nie traktował mnie jak szczeniaka, ale jak prawdziwą kobietę. Chciał mi zapewnić wszystko, nawet wódki nie dawał pić. Dom mu prowadziłam. Był pierwszym facetem, z którym dobrowolnie współżyłam. Wcześniej wstręt odczuwałam, płakałam, brzydziłam się i nie mogłam.

Był złodziejem, recydywistą - z początku to mi imponowało. Matka zła była, bała się, że w kryminale skończę. Ale on mnie chronił. Jak dowiedział się, co ojczym mi zrobił, wlał mu. Miał za sobą piętnaście lat kryminału, to chciał go też zgwałcić. Wiedziałam, że ojczym boi się Marka jak ognia. Był po podstawówce, z recydywą na karku, ale przy nim

czułam się bezpiecznie. Dopiero potem zaczęłam odczuwać strach, że on do domu nie wróci, że go zamkną.

Nigdy mnie na numery nie brał. Nigdy na robocie nie byłam. Nie znałam miejsca, godziny, nie wiedziałam, na co jechali. Żan, dziś w nocy jadę - mówił tylko. - Na skok, na willę - dodawał czasem, ale też nie zawsze. To było wszystko. Czasem raz na dwa tygodnie wychodził, a czasem i z pół roku nie było skoku. Jak wracał, to nigdy nie było, żebym czegoś nie dostała. Po dwóch dniach znajomości przyniósł mi pierścionek złoty, a potem bluzkę ładną. On sobie byle czym rąk nie paprał, tak planował, żeby na dłużej starczało.

Posprzedawało się rzeczy z poprzedniej kradzieży czy włamania i żyliśmy. Przez jakiś czas uchodziło mu to na sucho.

Były czasy, że mieliśmy w opór pieniędzy. Do Wrocławia mnie zabierał, w hotelu „Grand" mieszkaliśmy, na wprost dworca. W Łańcucie też. Ja siedziałam w hotelu, a on chatę jedną rąbał. Oni rąbali na górze, a na dole właściciel telewizję oglądał. Potem mi opowiadali.

Mnie to imponowało. Nie muszę siedzieć w Będzinie, jeżdżę sobie, żyję, myślałam.

Ale cenę płaciłam. Każde pukanie do drzwi sąsiadów, każdy krzyk w oknie, każdy podejrzany człowiek. A może to policja jego szuka? Przez noc, jak go nie było, dwie paczki wypalałam.

Już na początku powiedział mi, że jest nosicielem. Powiedział i zapytał się, czy chcę z nim dalej być. Myślę, że w ten sposób udowodnił, że mnie kocha. Gotów był się mnie wyrzec, żeby mnie ochronić. Powiedziałam mu, że jak kocham go zdrowego, to czemu chorego mam przestać… Potem zrobiłam sobie test na nosicielstwo, wyszło negatywnie.

Pomyślałam, a może on wcale nie jest chory, tylko tak mówi?

Kiedyś na AIDS wypuszczali z kryminału. Ale ten przepis sprzątnęli w przerwie jego kary. Przez pierwsze dziewięć miesięcy dzień w dzień u niego byłam. Mój Marek siedział, to ja tam chodziłam, żeby blisko być. Jak pierwszy raz zobaczyłam zakład karny od środka, to się popłakałam: Prawdziwy Alcatraz! Wtedy nawet nie przypuszczałam, że sama tu kiedyś trafię.

Myślałam, że przeczekam te trzy i pół roku, ale on już wiedział, że nie będę czekała.

Byłam u niego na lipach[2] tylko. Chciałam znów poszaleć, pożyć. I zdradziłam go. Żeby tylko z jednym. Żeby się mnie spytać - dlaczego powaliłam się z frajerstwem - chciał wyjść na samouszkodzenie. Ślinę sobie wstrzyknął do żyły, na pomoc było za późno. W całym Będzinie było o tym głośno. O jego śmierci, i o tym, że tak mnie kochał.

Mieszkałam wtedy u ciotki. Stara kamienica w Będzinie, ulica Siedlecka, parter.

Blisko był dworzec autobusów czerwonych, pociąg jeździł niedaleko. Ja nic nie robiłam. Dni monotonne, żyło się z dnia na dzień. Co będzie, to będzie. Wtedy poznałam Roberta, dwudziestoletniego alkoholika. On jeździł do ciotki, która go wychowywała, po jedzenie -ziemniaki, ryby mrożone. Tak co drugi dzień, czasem rzadziej, bo tylko jak był trzeźwy. Jak był pijany, to nic nie dawała i krzyczała, że pijak.

Matka truła mi za uszami, że to nie jest chłopak dla mnie, a ja świata poza nim nie widziałam. Byłam spragniona miłości. Nie był może jakoś bardzo przystojny, ale męski, silny, dzielny - kiedyś był strażakiem w ochotniczej straży pożarnej. Ale to ja mu częściej tyłek broniłam niż on mnie.

Piliśmy razem, w pewnym sensie. On miał bardzo słabą głowę. Wstawaliśmy różnie, bo jak on się wieczorem położył pijany, to budził się o drugiej po południu dnia

następnego.

Czasem, jak było parę groszy, to szedł po coś na kaca. Ja brałam ziemniaki i gotowałam, choć w sumie nie potrafię, nie miałam gdzie i jak się tego nauczyć.

Przed świętami Wielkanocy w 1994 roku mama powiedziała, że jeśli nie przyjdę do domu, to się ode mnie odwróci. Nigdy go nie zaakceptowała. A ja samego Roberta w święta zostawić nie chciałam. Nie poszłam do domu. Pewnie gdybym poszła, nic by się nie stało.

Wszystko inaczej by się potoczyło.

Zostałam z Robertem i jego ciotką. Nagle ciotka powiedziała, że ja ukradłam pieniądze jej facetowi. Chciałam to sprostować, ale facet uderzył ciotkę, a ja stanęłam w jej obronie. I była betonówa, kawałek płyty chodnikowej, nóż, butelka potrzaskana. Makabra.

Ten facet naprawdę miał sporo obrażeń. Jak potem zobaczyłam to na zdjęciach, nie mogłam uwierzyć, że to zrobiłam. Ojciec bił mamę, a ja tego nie lu bię, nie akceptuję. Nie przypuszczałam, że jestem do tego zdolna, taka mała, chuda. Ja po prostu dostałam wariata, że on ją uderzył. Dziś zrobiłabym to samo. Nie uciekłam, nie ukrywałam się, czekałam, aż policja przyjedzie.

Już ponad jedenaście lat siedzę. Tu są wzloty i upadki. Jako małolata mogłam coś wskórać[3], to prowadziłam walki przeróżne - gad[4] dla mnie był gadem. Dostosowywałam się do grupy i były tatuaże, łykałam otwarte agrafki i herbatniczki: krzyżaki - dwa złączone gwoździe, które w żołądku się otwierają. Najpierw łyknęłam dwa krzyżaki, bo koleżanka spod celi miała połknięte, to też chciałam mieć. A potem jeszcze trzeciego. Gwoździe do krzyżaków z łóżka sprężynowego brałam, jakieś siedem centymetrów miały. W gazetę lub chleb je zawijałam do połknięcia, potem w brzuchu soki żołądkowe rozpuszczały ten chleb i krzyżak się otwierał. Duże były, dlatego żaden nie wyszedł sam. A agrafkę na nitce połknęłam, herbatą popiłam. Przebicie w jelitach zrobiła, to ból niesamowity. Poszłam na prześwietlenie, to jeszcze ją znaleźli. Jak mnie wzięli na dywanik do dyrektora, to powiedziałam, że krzyżaki się rozmnażają i ja nic nie wiem. Po miesiącu zabrali mnie do szpitala. Pyralginę mi dali i dwa razy kroili. Po co to robiłam? Chciałam z koleżanką w jednej celi siedzieć. To była taka wojna z klawiszami - początki mojego siedzenia. Ta długa perspektywa mnie przerażała.

Mam pięć tatuaży. Wszyscy mieli, też chciałam. Sznytów mam chyba z kilkadziesiąt.

Jak się na kogoś wkurzyłam - na oddziałowych, osadzonych, kogokolwiek - zaraz powstawał nowy. Jestem, myślę, tolerancyjna, ale jak ktoś przegina, to potrafię walnąć. Cztery razy już mi się zdarzyło, nawet wychowawca nie mógł mnie powstrzymać. I poszło. Ona mi wskoczyła na zryty beret[5] i do okna: Ludzie, ratunku!

Ręce się poluzowały[6], uderzyłam ją policzkiem o podłogę. Taka starsza kobita z nami siedziała, trzymała telewizor.

Byłam półtora roku temu na losówce, przerwie pięciodniowej. Przed wyjściem całą noc nie spałam z podniecenia. Myślałam tylko o tym, że opuszczę bramę. I cały ranek fajnie było. Wyszłam, to już południe jak drut. Zima, mróz. Mama przyjechała po mnie z odbiorem.

Pociągiem po mnie przyjechała. W domu był prezent, bluzka biała, wyjściowa, ze stójką i czarnymi wstawkami.

Nie interesowało mnie, jak ludzie zareagują, chciałam tylko pójść do domu. Babcia w drzwiach stała i płakała, bo babcia zawsze płacze. Wcisnęła mi do ręki jakieś pieniądze.

Ojczym też był. Przywitałam się z nim normalnie, żeby przykrości mamie nie sprawić. Jak jestem w domu, to muszę się do niego jakoś odnosić. On się niby cieszył, ale tak naprawdę nie był zachwycony. Boi się mnie i brata teraz, pokazał to. Chciał raz uderzyć mamę, ale wystarczyło, że spojrzałam i się zatrzymał. Czuje respekt, wie przecież, co zrobiłam.

Na klatce schodowej wszyscy odpowiadali mi na dzień dobry, nie było krzywych spojrzeń. Było dobrze.

Weszłam do mieszkania, siadłam na łóżku, oparłam głowę o stół i płakałam. Byłam tak spragniona ciepła, że te pięć dni praktycznie z domu nie wychodziłam, tylko na pasterkę.

Poczułam wtedy, co straciłam. Czułam żal i smutek, i wściekłość na siebie. To była głupota.

Całe tylko szczęście, że on był bez rodziny. Nie musiałam patrzeć w oczy jego synowi czy córce.

Potem jeszcze kilka razy wychodziłam na przepustkę. Nigdy nie wiedziałam na sto procent, czy wrócę, cały czas chciałam uciec. Za pierwszym razem było najtrudniej. Potem już myślałam: za dwa, trzy miesiące znowu wyjdę, nie warto.

Na przepustkach nie piłam, powstrzymałam się, choć miałam okazję. Spotkałam na przykład Edytę, moją znajomą, kiedyś szwendałyśmy się razem. Zapytała mnie, jak tutaj jest, jak się mam. Chodź i sama zobacz, jej powiedziałam. Pytała, czy gdzieś skoczymy razem.

Nigdy nie poszłam - ani z nią, ani z nikim innym. W więzieniu nauczyłam się mówić „nie".

Przedtem sądziłam, że ktoś się obrazi albo będzie na mnie zły.

Nie wiem, ile mi życia zostało - pół roku czy ze dwa lata. O tym, że jestem chora, dowiedziałam się dopiero w więzieniu, jak siedziałam do mojej sprawy. Podobno HIV nawet do pół roku może być w organizmie i się nie ujawnić. Początkowo nie było tak źle, tyle że łapałam wszystkie infekcje, grypy, zapalenia. Groźniejsze rzeczy pojawiły się po siedmiu latach. Mam bardzo niską odporność, już nawet objawy AIDS. Potrzebuję witamin, których tutaj nie ma. Nie mam szans na pracę, bo są osoby, które muszą pracować - mają dzieci, płacą alimenty, czynsz. Ile razy byłam w szpitalu, to już nie pamiętam. Dwa razy o mało nie umarłam, doszłam do trzydziestu dwóch kilogramów wagi. A teraz posypałam się całkiem.

Zdiagnozowali mi raka szyjki macicy, żółtaczkę, powinnam mieć operację krtani. Jak byłam w specjalistycznym ośrodku w Chorzowie, to powiedziała mi doktorka, że byłaby wskazana biopsja wątroby.

Rok przerwy miałam w odbywaniu kary. Żyłam wtedy z facetem. Nie wiem, czy go kochałam. On miał trzypokojowe mieszkanie, a ja chciałam mamie ulżyć. U nas na trzydziestu metrach sześć osób żyło: mama, ojczym, babcia, osiemnastoletni brat Zbyszek, młodszy siedmioletni Adaś, no i jeszcze ja na dokładkę.

On chyba wiedział, że jestem nosicielką. Czy on zachorował, to nie wiem, jeszcze mnie dodatkowo żółtaczką zaraził. Myślałam, że sobie z nim życie poukładam, ale znów mnie wezwali.

Tak tutaj siedzę i myślę, że to moje życie przypomina lawinę. Może na samym początku mogłam się ratować, może i była szansa, żeby pójść w innym kierunku, jakoś nie zboczyć na te manowce, ale czułam się taka bezradna i po prostu brnęłam w to.

Janina Jagiełło (ur. 7.05.1973)
ofiara: znajomy ciotki
motyw: zemsta
narzędzie zbrodni: butelka, nóż, kawałek płyty chodnikowej, obcas od szpilek
przyznanie się do winy: tak
wyrok: 13 lat (plus 3 lata dodatkowego wyroku za pobicie współosadzonej)
koniec kary: 19.05.2010

Janina urodziła się i mieszkała w Będzinie. Wychowywała ją matka z ojczymem. Nie miałam z nim dobrych stosunków.

Atmosferę w domu określa jako „raczej" normalną. Oboje jej rodzice żyją, ale Janina nie wie, w jakim są wieku. Ojciec nadużywał alkoholu, dlatego matka się z nim rozwiodła i ponownie wyszła za mąż. Kolejny mąż nie był lepszy - pił i bił je obie. Mimo to matka Janiny nie odeszła od niego, a urodziła mu jeszcze dwóch synów. Janina jest najstarsza z rodzeństwa.

Bracia mają osiemnaście i sześć lat.

Do szkoły poszła o czasie, ale nie lubiła się uczyć. Miała bardzo poważne kłopoty z nauką, kilka razy powtarzała klasy drugą i trzecią. Nie wie, ile lat wynosi jej opóźnienie w nauce. W każdym razie edukację zakończyła na szóstej klasie podstawówki. Potem uciekła z domu i więcej do szkoły nie wróciła. Wystarczy, że nauczyłam się czytać i pisać. Nie miałam czasu na naukę, bo wędrowałam po świecie. Notorycznie była na gigancie. Trafiła do pogotowia opiekuńczego, ale dwa razy uciekła. Skierowano ją do Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego[7] w Łodzi, jednak nawet stamtąd po czterech dniach uciekła. Nie odnaleziono jej przez dwa tygodnie i została skreślona z listy wychowanków. Jeździła z chłopakiem-złodziejem, starszym od niej o dwanaście lat, po różnych miastach Polski.

Mieszkałam w hotelach lepszej kategorii w Rzeszowie, Sopocie, Gdyni, Wrocławiu… Byli kochankami, zaraził ją wirusem HIV. Po dwóch latach jego zamknęli za kradzież, a ona wróciła do matki. Ale szybko się znów wyprowadziła - do nowego chłopaka, który ją utrzymywał.

Cztery lata przed zabójstwem została dotkliwie pobita w głowę, miała wstrząśnienie mózgu, potem na skutek wypadku samochodowego odniosła poważne obrażenia, między innymi głowy, ale też się nie leczyła.

Alkoholizowała się. Piła od szesnastego roku życia, czasem „na okrągło". Alkohol zwykle kupował aktualny chłopak, bo ona nie miała pieniędzy. Nigdy nie pracowała; zawsze była utrzymywana przez chłopaka, z którym była. Wybierała kandydatów ze środowiska przestępczego, imponowało jej, co robią; z bandziorami czułam się bezpieczna. Była agresywna, arogancka, nosiła ze sobą nóż. Nigdy nie wyszła za mąż, nie założyła rodziny, nie ma dzieci. Kiedy ją aresztowano, była dziewczyną Roberta M.

W kwietniu 1994 roku Janina mieszkała z Robertem M. u jego ciotki Danuty.

Drugiego kwietnia, przed południem (była Wielkanoc) poszli do piwiarni, gdzie zamówili po kilka piw, a potem do sklepu, gdzie kupili butelkę wódki i dwa wina i zaraz wypili. W tym czasie do ciotki przyszedł Ryszard K. i zaprosił ją do siebie na wino. Kiedy znaleźli się już w jego mieszkaniu, zmusił ją do perwersyjnego seksu. Kiedy Ryszard K. zasnął, ciotka wymknęła się z jego mieszkania i wróciła do siebie, gdzie zastała Roberta i

Janinę, którzy akurat poszukiwali czegoś do dopicia się, bo wypili wszystko, co mieli. Wtedy Danuta powiedziała im, że u K. jest niedopite wino. Postanowili, że wszyscy tam pójdą.

Po drodze Danuta powiedziała, że Ryszard K. oskarżył Janinę o kradzież kilkudziesięciu złotych. Janina wściekła się i oświadczyła, że go zabije za to kłamstwo. Potem Danuta dodała, że ten zbok zmusił ją właśnie do perwersyjnego seksu. To nastawiło agresywnie całą trójkę przeciwko Ryszardowi. Ustalili, że dadzą mu nauczkę. Bez problemu weszli do mieszkania - Danuta wychodząc, zostawiła drzwi otwarte. Ryszard nawet się nie poruszył, był pijany i spał, kołdrą miał nakrytą także głowę. Danuta ściągnęła kołdrę i z całej siły uderzyła go w twarz. Przeklinała go, chciała się kłócić. Kiedy nadal nie reagował, ściągnęli go na podłogę i zaczęli bić. Robert bił go po twarzy kawałkiem płyty chodnikowej, którą wziął ze sobą po drodze. Danuta kopała go po genitaliach, a potem wzięła nóż i chciała je odciąć. Janina najpierw uderzyła go w głowę butelką, potem kaleczyła go odłamkiem szkła, a następnie zadawała ciosy nożem na oślep - w klatkę piersiową, ręce, brzuch. Potem wszyscy zaczęli po nim skakać. Janina i Robert stawali na jego klatce piersiowej i krtani. Janina kopała go obcasami szpilek po twarzy i klatce piersiowej.

Ciało Ryszarda K. leżało dwa dni w mieszkaniu. Kiedy je odkryto, stwierdzono, że ofiara zmarła w wyniku brutalnego pobicia oraz ran kłutych.

Potem lekarze medycyny sądowej oświadczyli, że zabójcy spowodowali liczne rany tłuczone głowy, uszkodzenia skóry, ponacinali ciało nożem, złamali wszystkie żebra, a na koniec podcięli żyły u rąk. Obrażeń w okolicach głowy było tyle, że kości czaszki i twarzoczaszki zostały zbite na miazgę. Większość zadanych ciosów mogła spowodować zgon. Z badań wynikało także, że zaatakowany miał we krwi taką ilość alkoholu, że nie był w stanie podjąć żadnej obrony.

Janina początkowo nie przyznawała się do zbrodni. Powiedziała, że kiedy doszło do zabójstwa, była lekko wstawiona. Niezbyt dobrze pamięta, jak w ogóle to się stało. Zarzuty zna, ale raczej się do nich nie przyznaje. Sąd nazwie to potem agresją wynikającą z upilstwa alkoholowego.

Było sporo alkoholu. Przyszła ciotka, zrobiła awanturę, poszliśmy tam. I chłop nie żyje, zmarło mu się. To nie ja go zabiłam, przecież to niemożliwe, żeby ktoś zmarł od uderzenia butelką w głowę. Gdyby nie ciotka, nie byłoby tego.

Kiedy Janina, Robert i ciotka Danuta wyszli z mieszkania Ryszarda, natknęli się na sąsiadów. Zeznali oni potem, że widzieli krew na rękach całej trójki, Janina miała jeszcze w ręku zakrwawiony nóż. Śmieli się, wygłupiali, palili papierosy. Nie uciekali ani się nie ukrywali. Sąsiedzi byli przekonani, że po prostu pokłócili się między sobą i doszło do bójki, ale już się pogodzili i teraz śmieją się z nieporozumienia.

Podczas kolejnych przesłuchań ciotka Danuta i Robert obciążyli Janinę, że odgrywała w tej zbrodni rolę wiodącą. Pomawiali się nawzajem. Sąd uznał, że właściwie nie mieli żadnych powodów, by tak brutalnie zaatakować Ryszarda K., a mimo to wszyscy brali aktywny udział w zabójstwie. Jest to skutek opilstwa alkoholowego. Janina i Robert zostali skazani na trzynaście lat więzienia, ciotka Danuta na dziewięć. Zostali też pozbawieni praw publicznych na pięć lat.

Psychiatrzy stwierdzili Janiny nieprawidłową osobowość -

psychopatyczno-socjopatyczną. Nie ma poczucia winy ani odpowiedzialności. Nie

potrafi podać powodów swojego zachowania. Ma postawę roszczeniową. Niczym się nie interesuje, nie ma żadnych planów na przyszłość. Marzenia? Żeby wyjść i… posiedzieć na tyłku. W trakcie badania zachowywała się swobodnie, była wesoła. Niektóre momenty traktowała jak dobry żart, po czym pytała: I co wyszło? Jestem mądra czy głupia?

W trakcie odbywania kary Janina wielokrotnie dokonywała samouszkodzeń na znak protestu i pogardy wobec gadów - służby więziennej. Połykała różne przedmioty, próbowała się powiesić i otruć. W połowie odbywania kary omal nie zabiła współosadzonej. Jako powód podała: Wkurwiła mnie ta suka. Tak wyjaśniała, dlaczego rzuciła się na nią z klapkiem-drewniakiem i chciała jej roztrzaskać twarz. Za ten czyn dostała karę kolejnych trzech lat. Teraz, z powodu złego stanu zdrowia, stara się o przerwę w karze. Już jedną otrzymała, w tym czasie zamiast się leczyć, nawiązywała stosunki z różnymi mężczyznami i świadomie zarażała ich wirusem HIV.

EPILOG 2012

Janina Jagiełło w 2009 roku wyszła na wolność na przerwę w karze ze względu na zły stan zdrowia (AIDS). Krótko po opuszczeniu zakładu karnego zmarła w swoim rodzinnym domu.

***

[1] Biła się z dziećmi.

[2] Na niby.

[3] Dla nieletnich lub młodocianych przestępców są przewidziane niższe sankcje karne; sądy, policja administracja więzienia, wszelkie organy ścigania traktują ich łagodniej.

[4] Pracownik służby więziennej.

[5] Ambicję, honor.

[6] Chwyciła ją rękami, stała się agresywna.

[7] Potocznie określane mianem więzienia dla młodzieży.

Monika

Kocham

W uczuciach nie mogłabym się asekurować; wszystko albo nic. Dla mnie nie ma półśrodków i ciepłych uczuć, są tylko zimne i gorące. W każdym rodzaju zależności. Czy to jest miłość, przyjaźń czy koleżeństwo.

To my stwarzamy miłość. Ubieramy ją w tęczowe barwy, świat malujemy na różowo.

Patrzymy i mówimy: Boże, jaki zajebisty widok za oknem, a przecież on taki był również przed chwilą. Był taki wczoraj i tydzień temu też. Świeciło słońce, były liście lub nie było liści, generalnie nic się nie zmieniło - tylko nasz punkt widzenia się zmienił. Autosugestia, procesy w mózgu, burza hormonów. Bo tak naprawdę miłość jest prozaiczna, jak to drzewo po drugiej stronie ulicy. Ale ja też, głupia, jak jestem zakochana, to przepełnia mnie optymizm, nie ma rzeczy niemożliwych, a ta druga osoba jest najważniejsza i to jej interesy przedkładam nad zdrowie, nad swoje życie nawet. Z drugiej strony nikogo nie oceniam tak surowo jak kogoś, kogo kocham. Do każdego mogę podejść na luzie, ale od kogoś, kogo kocham, wymagam tyle samo, co od siebie, a nawet więcej. Może stąd wszystkie nieporozumienia i kłopoty w moich związkach. Co jeszcze? Jestem lojalna; nie zdradzam, nie oszukuję, nie kłamię, nie szukam okazji do skoku w bok. Jestem całkowicie oddana tej osobie. W każdym sensie, nie tylko fizycznym.

Zauroczenie

Byłam przekonana, że to jest ten jeden jedyny, wymarzony. To była taka bardzo pozytywna miłość, tak mnie nakręcała. Czekało się od telefonu do telefonu, od rozstania do jego przyjazdu. Pierwsze moje zakochanie to było takie szkolne love story, nie ma co opowiadać, czternaście lat miałam. Strasznie się wstydziłam, bo byłam w podstawówce, a on chciał ze mną chodzić. Pierwsze spojrzenia, pierwsze bicie serca, trzymanie się za ręce, spacery, uśmiechy. Nie jadłam, nie spałam, w ogóle nic nie mogłam robić, ani na niczym się skupić. Tylko wagary i law, law, law. To trwało rok. Przez ten czas byłam tak ostro zakochana, że rodzicie się ze mnie śmieli, bo patrzyłam w talerz z kanapkami i zamiast kanapek widziałam coś zupełnie innego, kogoś innego - Rafał miał na imię. Pilnował mnie z nauką, nosił mój plecak, to było fajne. Mama tłumaczyła, że to dopiero pierwsza miłość.

Masz iść do lekcji - mówiła - bo będą następne miłostki, dorośniesz, zmieni się twój punkt widzenia i oczekiwań wobec świata. Do mnie nic nie docierało. Byłam przekonana, że to jest ten jeden jedyny, wymarzony. Łajzy byliśmy straszne, strasznie dużo łaziliśmy razem. To była taka bardzo pozytywna miłość, tak mnie nakręcała. Jezu, czego on mi nie mówił! No, że mnie kocha bardzo mocno, to wiadomo. I że jestem najfajniejsza na świecie. A ja jemu też, to samo. Byłam tego pewna, mówiłam, tak jak czułam.

Do dziś nie powiem komuś, że go kocham, jak tego nie czuję. Nawet jak byłam w związku rok czy dwa lata, a tego nie czułam, to nie mówiłam. Nie pomaga ciśnienie, że ten ktoś chciałby to usłyszeć. Bo ja nie powiem, jeśli nie czuję. Z drugiej strony, jak kocham naprawdę, mogę to powtarzać cały czas. Myślę, że w związku nie powinno się powstrzymywać, bo potem może być za późno. Można się obudzić w wieku siedemdziesięciu lat i dopiero zrozumieć, że nie doszło się, dokąd chciało się dojść, nie osiągnęło tego, co chciało się osiągnąć. I że to było tylko lawirowanie, a nie stawanie twarzą w twarz z emocjami.

My z Rafałem byliśmy młodzi, nie braliśmy tego wszystkiego tak na poważnie, to było raczej bujanie w obłokach. Kiedy on skończył podstawówkę, ja zdałam do ósmej klasy, wakacje spędziliśmy oddzielnie i jakoś tak się samo rozpadło. On miał swoje towarzystwo, jakichś tam łebków w swoim wieku, z którymi urywał się ze szkoły, chodził na me cze. Ja akurat byłam nastawiona na skończenie ósmej klasy. W ogóle powstała między nami przepaść i rozeszły się nasze drogi.

Oficjalnie byłam grzeczną, ułożoną dziewczynką, oczko w głowie tatusia. Tyle że ja od dziesiątego roku życia umiem pokazywać na łapkach[1]. Takie miałam towarzystwo, kolegów. Te wszystkie ulice wokół mnie… wszyscy byli jakoś tak zdeprawowani. I tata te moje miłostki strasznie przeżywał. Nie bał się o mnie, choć nie mówię, żeby miał ze mną łacha[2]. Miał takie podejście do życia, jakie ja mam teraz; to, że siedzisz albo że masz takie inklinacje, nie oznacza, że jesteś dureń i gówno, i do gazu z tobą, bo to nie uwłacza człowieczeństwu jakoś tak bardzo. Ufał mi, ale kazał wracać o określonych porach. Ganiał mnie z jedzeniem, lekcje ze mną robił, zajęcia mi wymyślał. Nie miałam kar cielesnych, batów ani innych, tylko szlabany. Spóźniasz się, nie wracasz na czas - nie wychodzisz z domu. I jeszcze codziennie kazał mi pisać streszczenia z przeczytanej lektury. O Boże, jak ja tego nienawidziłam! Ale może dzięki temu coś mi tam w głowie zostawało. Tak, generalnie był fajny. Ale odetchnął z ulgą, że z Rafałem się rozeszło. Co z tego, jak ja zaraz zakochałam się w następnym i znów było to samo. To był kolega z osiedla, mieszkał parę ulic dalej.

Wtedy, jak ja miałam szesnaście, to była między nami bardzo duża różnica wieku, bo Mirek był starszy ode mnie dokładnie o sześć lat. Imponowało mi to - był dorosły. Ja sama nie mogłam się doczekać, kiedy skończę osiemnaście lat i nie będę musiała meldować tacie, gdzie byłam. Byliśmy razem ponad trzy lata, ale to był toksyczny związek. Może ja byłam jeszcze niedoj rzała emocjonalnie? Z tym że on, niby dojrzalszy, był strasznym ego istą i wcale nie był taki najfajniejszy na świecie, chociaż wmawiał mi, że jest. Potem, jak się rozstaliśmy, doszłam do wniosku, że pierwszy rok to było jeszcze okay, momentami nawet świetnie, w drugim jako tako, a w trzecim to już w ogóle byliśmy obok siebie. Ale pierwszy rok był fajny. Czekało się od telefonu do telefonu, od rozstania do jego przyjazdu. Były wspólne wyjazdy na koncerty - na Heya, Kasię Kowalską, jak była Inwazja Mocy, to jeździliśmy po Polsce. Wakacje wspólne, jakieś tam dwa tygodnie na Mazurach. Początki były fajne, a później przyszły realia życia: Ja jestem maczo, ty jesteś moja. Gówniaro, ja wiem lepiej. I tak dalej. Przywłaszczył mnie sobie.

Miłość i nienawiść

Pierwszy raz w życiu doświadczyłam takiej gamy uczuć. Ile rozstań, tyle powrotów.

Miłość pomieszana z nienawiścią. Wybuchowe charaktery - być może dlatego było silne przyciąganie, a jednocześnie walka. Nigdy tyle nie cierpiałam, a w tym związku bolało wiele razy. I ja wybaczałam. Jedno „kocham cię" likwidowało całą moją skorupę.

Ostatnio czytałam fajną książkę Paola Coehlo, Pielgrzym. Tam jest napisane, że… spośród wszystkich rzeczy, którymi człowiek może zadać cierpienie, miłość jest tą, którą wybiera sobie sam. Więc cierpimy, bo ktoś nas kocha albo ktoś nas nie kocha.

W moim życiu tak właśnie jest. Nie wiem, dlaczego wciąż się w takie związki pakuję.

Ale nie żałuję żadnego z byłych związków ani tego, że się z kimś kiedyś rozstałam, bo ja nigdy niczego nie żałuję.

Powiem teraz o moim ostatnim związku, bo to był związek strasznie toksyczny.

Bardzo silny, w którym obie strony cierpiały, a jednocześnie żadna nie potrafiła się wyzwolić.

Ile było rozstań, tyle powrotów. Miłość pomieszana z nienawiścią. Zaliczyłam kłótnie, bicie się, jatki. Było ostro. I nie za to, że jesteś taka czy owaka, tylko w złości nikt nie umiał powiedzieć dość i było nakręcanie się. Dwa ładunki, dwie elektryczne osoby, chodzące bomby emocjonalne, które oscylowały wokół siebie. I dopóki wszystko było idealnie - czysta harmonia, ale nie daj Boże coś się sypnęło w tym układzie, to natychmiast ta bomba wybuchała. A później było oczyszczenie atmosfery i znowu było fajnie. W tym ostatnim moim związku nie było granic. Emocje były tak płynne, że wszelkie granice się zacierały i już w momencie ich stawiania, stawały się nieaktualne. Wyglądało to tak: dwa tygodnie było fajnie, a po dwóch tygodniach dochodziło do spięcia, jakiejś wymiany poglądów i już wybuch wulkanu. Może to z powodu wybuchowych charakterów najpierw było tak silne przyciąganie, a jednocześnie walka. Jedno walczyło o swoją rację, a drugie nie popuściło. Dochodziło do tego, że zaraz następowało rzyganie tego, co było: „a ty zawsze…”, „a ty, pamiętasz…”. I była akcja. Potem jeden cichy dzień, a następnie straszne cierpienie, bo przecież nie sposób bez siebie żyć. Ale przełamać się, przeprosić? Nigdy!

Odkryłam prawdę obiektywną, która już wiele razy sprawdziła się w moim życiu: to, czego chcę, nie zawsze jest tym, czego potrzebuję. Ale to nie oznacza, że coś zmienię w swoim życiu.

Na przykład ten mój ostatni, najsilniejszy związek. To było coś, czego chciałam, aczkolwiek nie było to coś, czego potrzebowałam. I na dobre mi to nie wyszło. Ta osoba zrobiła mi tyle krzywdy jak nikt, a mimo to przy niej trwałam. Ten związek był toksyczny, prowadził donikąd, ale przyznaję, w jakiś sposób mnie rozwinął. Pierwszy raz w życiu doświadczyłam tak dużej gamy uczuć. Nigdy wcześniej tyle nie płakałam, nie cierpiałam, nikt nigdy w żadnym związku nie dotknął mnie do żywego tak mocno, że aż zabolało. A w tym związku bolało wiele razy. Jednego dnia przejechała po mnie tak totalnie, weszła mi na głowę, zdeptała, zmiażdżyła, upokorzyła, a następnego dnia przyszła, nasypała sobie na głowę popiołów śmiesznych i ja jej wybaczałam. Jedno kocham cię likwidowało całą moją skorupę.

To wybaczenie było dla mnie ważne. Bo jeżeli bym tego nie zrobiła, to myślałam, że jej będzie źle. I już nieważne, że to mnie będzie źle. Ja byłam dla siebie nieważna, chciałam tylko, żeby ona czuła się dobrze. To było bardzo dziwne, bo ja mam wokół siebie tyle blokad, fortyfikacji, że mur chiński to jest pikuś w porównaniu z tym, co ja sobie wybudowałam, żeby się chronić przed miłością. Natomiast ta osoba przedostała się przez to wszystko, albo ja ją wpuściłam, nie wiem. Po prostu tak się stało, że przedostała się do mnie i wpuściłam ją do serca, a to znaczy, że ta osoba była dla mnie ważniejsza niż ja sama. Z drugiej strony przerażało mnie to. I kiedy racjonalnie o tym myślałam, to przychodziło mi do głowy tylko jedno: pakować się i wiać. Ale nie miałam jak, nie miałam gdzie i poza tym, to nie było wszystko takie proste. I cała się w sobie buntowałam, żeby nie uciekać, tylko jednak zostać.

To, że tak mocno się zaangażowałam, było fajne i przede wszystkim dla mnie nowe. Podobno w każdym związku czegoś się uczymy i każdy człowiek coś nam daje, tylko nie zawsze potrafimy umiejętnie z tego skorzystać. Potrafię teraz płakać, tęsknić, odliczać minuty do spotkania. Wcześniej było tak lajtowo - randki, spotkania, wyjazdy to była po

prostu jedna z kilku opcji w harmonogramie dnia. Ale tamte związki nie dawały mi tyle satysfakcji, ile bym chciała, a ten był tak nieprzewidywalny, nieobliczalny, tak nieposkładany emocjonalnie… Raz było dobrze, a za chwileczkę wszystko mogło się zmienić i znów zamiast wielkiego uniesienia chciałam próbować wiać.

Któregoś dnia usłyszałam, że albo będziemy ze sobą, albo mnie zabije. Takie dwie możliwości. W tym związku miłość i nienawiść się mieszały, choć miłość była silniejsza. To, co złe między nami, niwelował czasem jeden uśmiech czy głupie przytulenie i ciche przepraszam. Było tak, jakby w ruch szła gumka myszka i wymazywała. Gdzieś tam to wszystko było zakodowane na twardym dysku, ale w tym momencie o tym nie pamiętałyśmy.

Jednego dnia było tragicznie i może nie chciałabym o tym gadać, bo byłam lekko zrezygnowana, a innego było fajnie. I tak w kółko, bo to są właśnie moje cykle miłosne. I to jest świetne, bo w związkach kręcą mnie takie ekstremalne emocje, popadanie ze skrajności w skrajność, huśtawka. Walczymy, kaleczymy się, ale jest też czas na regenerację.

Zazdrość

Zdrowa zazdrość jest nawet fajna, płynie prosto z serca, podsyca uczucie, buduje pozytywne emocje. Tylko gdzie jest granica między zdrową a chorą zazdrością? Myślę, że jeżeli robimy sceny z takiego powodu, że ktoś na ciebie patrzy albo że ty spojrzysz na kogoś, to jest chore. A zdrowa zazdrość: fajnie, że każdy patrzy na mojego faceta, ale on jest mój i ja mu ufam.

Nie wiem, dlaczego wszyscy moi partnerzy byli tacy zazdrośni. Nigdy nie chodziłam w minispódniczkach, zawsze ubierałam się raczej na sportowo. Może więc dlatego, że jestem komunikatywna, lubię porozmawiać i pobawić się. Wielu mężczyzn, wielu chłopaków, nieważne - złodziej czy prawnik - miało na mnie chrapkę. Bo jestem, jak to się generalnie określa - atrakcyjna. I ja to widziałam, że ktoś ma na mnie oko, ale nigdy nie dawałam nadziei, nie bawiłam się: może, może… a potem spadaj. Tylko wtedy pozwalałam na pogłębienie relacji, gdy ten ktoś wydawał się interesujący.

Nie narzekałam nigdy na brak powodzenia. Gdziekolwiek pójdę, zaraz jakoś tak się dzieje, że uwaga skupia się na mnie. Gdybym była przeciętną Zosią Kowalską z szarymi kosmykami włosów, to nikt nie zwracałby na mnie uwagi i ta druga osoba nie miałaby żadnych powodów do zazdrości. Siedziałabym w kącie i nikt by mnie nie dostrzegał, ale jest, jak jest. Oni może po prostu czuli to potencjalne zagrożenie, że mogę odejść. I to nawet nie chodzi o mnie - do mnie jako takiej zaufanie zawsze było, chodzi o innych ludzi. O świat, który mnie otacza, który mnie kusi, nęci… I to jest według mnie chore. Bo zdrowa zazdrość jest nawet fajna, płynie prosto z serca, podsyca uczucie. Tylko gdzie jest granica między zdrową a chorą zazdrością? Myślę, że jeżeli robimy sceny z takiego powodu, że ktoś na ciebie patrzy albo że ty spojrzysz na kogoś, to jest chore. Jeśli przychodzi ci do głowy: a może, a jednak, a sprawdzę - to też jest chore. A zdrowa zazdrość: fajnie, że każdy patrzy na moją laskę albo na mojego faceta, no fajnie, ale on jest mój i ja mu ufam.

Jeśli chodzi o tego mężczyznę, o moją sprawę. To też był toksyczny związek. On był zaborczy, chorobliwie, bo to już nie była zwykła zazdrość, przy nim Otello to zwykły lajciarz.

Dziś już wiem, że jeśli ktoś jest tak zaborczy, to ma kompleksy, niskie poczucie własnej

wartości i z tego powodu odczuwa lęk. Lęk przed porzuceniem, stratą, wreszcie upokorzeniem. Więc myśli: Będę ją kontrolował, to mi nie umknie, bo przewidzę każdy jej ruch. I on tak postępował.

Na początku to mnie kręciło. Jak się ma dziewiętnaście lat i wie, że ktoś stawia cię na ołtarzyku, wydaje się to fajne. On mi zapewniał wszystko, tylko chciał mnie zamknąć w złotej klatce. Nawet telefonu nie mogłam odbierać. W końcu zaczęło mnie to męczyć. Wychodziłam do sklepu, a on mnie kontrolował, śledził, wciąż podejrzewał. Zaczęło się już po trzech miesiącach znajomości. Wściekłam się. Krzyknęłam, żeby mnie nie prześladował, spakowałam swoje rzeczy i chciałam się wyprowadzić. Potrzebuję własnej przestrzeni. Cenię wolność. Bardzo dbam o swoją autonomię, dlatego na przykład w tym ostatnim związku kłóciłam się i prowadziłam jakieś takie wojny. Pewnie taka już umrę.

Rozstania

Cierpiałam potem strasznie, ale chyba właśnie na tym polega życie. Wiem już, że jeśli nie ma cierpienia, to nie jestem zaangażowana, czyli wtedy byłam zaangażowana do maksimum.

Jak w związku jest źle, to nie zbieram w sobie złości, nie czekam na bunt, tylko od razu wybucham. Chyba że, tak jak było w tym ostatnim, nie potrafiłam odejść. A może to przez to, że byłam tutaj i nie mogłam tak po prostu spakować się, wyjść. Mogłam tylko odizolować się na tyle, na ile to możliwe w więzieniu, ograniczyć kontakt do minimum, a wiadomo, co z oczu, to z serca - łatwiej zapomnieć. Zwykle jednak moja połówka wyczajała ten moment krytyczny i dbała, by to nie był koniec. I tak było, że jak wszystko wisiało na takim włosie cieniutkim, to w ostatniej chwili udawało się to uratować. Wiele razy tak było.

Aż któregoś dnia ten włosek się urwał. Może świadomie go urwałam? Cierpiałam potem strasznie, ale chyba właśnie na tym polega moje życie. Jeśli nie ma cierpienia, to nie jestem zaangażowana, a więc wtedy byłam zaangażowana do maksimum. Chociaż tak rzetelnie będę mogła to ocenić dopiero pod koniec życia, kiedy wszystkie emocje już wyparują.

Staram się od czasu do czasu taki łańcuszek sentymentów zrobić. Tego kochałam bardziej, innego mniej… Wierzę w indiańską legendę, że ludzie, którzy się kochają, to połówki jednej duszy. Mam nadzieję spotkać swoją drugą połówkę.

Seks

Nie mógł istnieć bez miłości. Nie jestem w stanie odbyć stosunku tak bez emocji […].

To jest zbyt intymne, by móc się dzielić z każdym. Oczywiście to nie oznacza, że za każdym razem, jak szłam z kimś do łóżka, to była wielka miłość. Może być tylko zauroczenie albo zakochanie. Ale musi być to „coś” […] a nie, że idziemy po imprezie pokotłować się. Ale w związku emocje na wysokich obrotach są dla mnie nawet ważniejsze niż seks.

Seks nie jest potrzebny, by kochać. Istnieje przecież miłość platoniczna. Jeżeli jednak ludzie już są ze sobą, to seks jest nieodłączny. Swój pierwszy raz przeżyłam z tym toksycznym, z którym byłam najdłużej. Kochałam go. Nie jestem w stanie odbyć stosunku tak bez emocji, to nie jest jakiś sport, który można uprawiać wyczynowo. Dla mnie to jest zbliżenie, które albo coś rodzi, albo dopiero zapowiada, co zdarzy się między ludźmi. W

seksie nie chemia jest najważniejsza, ale bliskość, czułość, ciepło. To jest zbyt intymne, by móc się dzielić z każdym. Oczywiście to nie oznacza, że za każdym razem, jak szłam z kimś do łóżka, to była wielka miłość. Mogło być tylko zauroczenie albo zakochanie. Ale musiało być to „coś”, co ewentualnie poprowadziło do głębszego uczucia, a nie, że idziemy po imprezie pokotłować się. Uczucie oceniam nie po sile, ale po czasie trwania. Nie miałam wielu partnerów, nie zdążyłam ich mieć, bo nie kręci mnie zaliczanie. Nie miałam związków bardziej seksualnych czy bardziej mentalnych, w moich związkach liczyły się przede wszystkim emocje na wysokich obrotach. One były nawet ważniejsze niż seks.

Jeśli chodzi o życie seksualne tutaj, to nie mam nierozładowanego napięcia seksualnego, ponieważ skupiam się na emocjach, a nie na seksie. Nie myślę w ogóle o tym.

Jak kładę się do łóżka, to nic mi się tam nie wyświetla… Moja druga połówka w więzieniu to był chodzący wulkan, rzeczywiście. Bo ogólnie w więzieniu taki problem istnieje, większość problemów z niego wynika. I czasem dochodzi do rozładowań. Przez jakiś czas na przykład byłyśmy w jednej celi, wtedy mogłyśmy spać razem. No, oficjalnie to wiadomo, że nie wolno, ale nieoficjalnie każdy przymykał na to oko. To było normą, że akurat my jesteśmy razem. W celi każdy miał swoje sprawy, nikt się nami nie interesował, olewka totalna. Znaczy, nie robiłyśmy nic ostentacyjnie. Nie tak, żeby wszyscy widzieli i słyszeli, natomiast nie było takiej opcji, że nie możemy. Akurat trafiłyśmy na takie osoby, co to tolerowały. Gdyby ktoś chciał nam zaszkodzić, natychmiast by się tak stało i zostałybyśmy rozdzielone. Ale trafiłyśmy na ludzi elastycznych, nie żadnych homofobów. Niestety, emocje innych ludzi też składały się na nasz związek i stwierdzono, że jesteśmy tak nieprzewidywalne, że stwarzamy zbyt duże niebezpieczeństwo po prostu. Rozdzielili nas. Potem miałyśmy możliwość bycia blisko tylko przez godzinę spaceru. To leżałyśmy na ławce, ona opierała się o mnie, jakieś tam drobne buziaki, nic więcej. Może dlatego z czasem stało się to tak bardzo na on-offie[3].

Monogamia

Jak jestem z kimś, to nie zdradzam. Jestem wierna psychicznie i fizycznie. Bo ja muszę być szczęśliwa i spełniona, a wtedy nie kręcę z kimś innym. Ale życie jest kompletnie zaskakujące. Może ten inny zakręci mnie bardziej.

Jestem stuprocentowo monogamiczna i jak jestem z kimś, to nie zdradzam. Jestem wierna psychicznie i fizycznie. No, były takie sytuacje, że żyliśmy obok siebie, wtedy każdy miał na boku kogoś innego. Ale wiedzieliśmy o tym. Bo ja muszę być szczęśliwa i spełniona, a wtedy nie kręcę z kimś innym. Tylko raz byłam zdradzona. Przez Mirka, tego, z którym byłam trzy lata. Tłumaczył potem: Ciebie kocham, a to tak wyszło. Dowiedziałam się przez koleżankę. Bolało, bo to boli, wiadomo. Zdrady nigdy nie bierzesz pod uwagę.

Dziś jestem dojrzalsza i biorę taką poprawkę, że któregoś dnia obudzę się z myślą, że ktoś zupełnie inny zakręci mnie bardziej. I mam taką świadomość w głowie, że to nie będzie tragedia… Oczywiście mam nadzieję, że będziemy się kochali do końca świata, ale zdrady nie mogę wykluczyć. Nie wiemy, co nas czeka, życie jest kompletnie zaskakujące. Zwłaszcza teraz nie robię sobie planów, to idiotyczne. Mogę stąd wyjść i może mnie trzasnąć autobus. A jeżeli ta miłość, ta osoba, jest wpisana w mój los, to pewnie tak będzie.

Za najważniejszych życiowych partnerów uznaję trzech. Pierwszy to Mirek, ten toksyczny.

Później byłam dwa i pół roku z facetem, który siedział. To polegało jedynie na spotkaniach, nie było żadnego seksu, takie bardziej połączenie duchowe i emocjonalne.

Skończyłam z tym, bo stwierdziłam, że to jednak nie jest ten Ktoś. I ten ostatni związek -

chyba jedyny, który tak naprawdę mnie czegoś nauczył.

Ten od noża to był Roman. Nie biorę go w ogóle pod uwagę. Wyszło, jak wyszło, na pewno nie żałuję. Natomiast, gdybym mogła cofnąć czas, to wtedy po prostu bym trzasnęła drzwiami i wyszła. Na pewno nie była to miłość mojego życia ani ktoś, z kim można budować jakikolwiek układ partnerski. Przeszkadzała mi jego zaborczość, brak autonomii, brak możliwości wewnętrznego rozwoju, realizacji własnych planów. Wszystko.

Życie bez miłości

Długi czas tak żyłam. To rodzaj uśpienia emocjonalnego. Nie widzę świata w różowych barwach, tylko widzę… realnie. Czasem to mi nawet pasuje, że jestem sama.

Potrafiłabym żyć bez miłości, przez długi czas tak żyłam. To można porównać do pewnego rodzaju uśpienia emocjonalnego, jednak to nie zgorzknienie czy smutek. Po prostu nie koncentruję się wtedy na tej jednej osobie i nie widzę świata w różowych barwach, tylko widzę… realnie. Natomiast daję siebie innym ludziom, jestem trochę takim altruistą - każdy przychodzi do mnie po jakąś radę, taka dobra ciocia… Nie wiem dokładnie, jak długo byłam w życiu sama, nie liczyłam dni, miesięcy. Może nawet przez kilka lat potrafię sobie radzić sama. Nie jest to dla mnie problem. Czasem to mi nawet pasuje. Uwielbiam przebywać na własnym terytorium, wiedzieć, jakie są granice. Mieć z kimś kontakt, ale na takiej płaszczyźnie, na jakiej ja chcę. Na moich zasadach. Natomiast kiedy jestem zakochana, to cały świat jest nieważny. Może te wzorce mam z domu.

Związek rodziców

Był oparty na bardzo dużym zaufaniu, bo z biegiem lat ich miłość przerodziła się w przyjaźń. To chyba najwyższa forma miłości. Uzupełniali się jak tryby maszyny.

Moi rodzice bardzo się szanowali. Akceptowali własne wady, okazywali sobie szacunek przez drobne gesty; jakieś kwiatki bez okazji, nowa koszula tak po prostu. Kłócili się bardzo rzadko. Ich związek był oparty na bardzo dużym zaufaniu, bo z biegiem lat ta miłość przerodziła się w przyjaźń. To chyba najwyższa forma miłości. Przyzwyczajenie, przywiązanie, dzieci. Nie było erotyzmu, ja tego nie pamiętam, ale uzupełniali się jak tryby maszyny. To było fajne - układ partnerski. Nie wiem, czy to była sielanka, ale myślę, że to był związek normalny. Czułam się w każdym razie bezpiecznie. Dopiero kiedy tata umarł, wszystko się zmieniło, a ja musiałam nagle dorosnąć. Miałam wtedy niecałe piętnaście lat.

Został zamordowany w Niemczech, dla mamy to było straszne. Podłamała się psychicznie, była w dole, brała leki, a ja musiałam zajmować się wtedy swoim dwuletnim bratem.

Na podobieństwo ojca

Za każdym razem, gdy się z kimś wiązałam, wiedziałam, że nie będzie drugiego takiego jak mój ojciec. Nikt mu nie dorówna. Nigdy, w żadnym związku, nie czułam się otoczona takim kokonem bezpieczeństwa. Ale nie potrzebuję pomocy innych - mój problem jest tylko mój i nie chcę się nim dzielić, a zwłaszcza obarczać bliskiej osoby. Tak mam od dziecka.

Podobno kobiety wybierają sobie na partnerów mężczyzn podobnych do ojca i tu jest wiele pułapek. Ale myślę, że nie, ja nie wybierałam takich. Za każdym razem, gdy się z kimś wiązałam, wiedziałam, że nie będzie drugiego takiego jak mój ojciec. Nikt mu nie dorówna.

Przy nikim już nigdy nie czułam się tak bezpieczna jak przy nim. On był kierowcą, wciąż mnie zabierał do siebie do auta i jeździł ze mną. Całą Polskę tak zjeździłam. Niczego się nie bałam - czułam się otoczona jakby kokonem bezpieczeństwa. Już nigdy, w żadnym związku, nie czułam tego na sto procent. Może nie pozwalałam sobie nigdy na te sto procent, nie wiem… Zresztą często słyszałam, że jestem za bardzo samowystarczalna, za samodzielna i tak dalej. A ja tak mam od dziecka - mój problem jest tylko mój i nie chcę się nim z nikim dzielić, a zwłaszcza obarczać bliskiej osoby. To się jakoś tak we mnie utrwaliło. O ile ja mogę pomóc, to pomagam, choćby całemu światu, ale kiedy sama mam problem, nie potrzebuję pomocy innych.

Faceci tego nie rozumieli. Facet to takie nieskomplikowane stworzenie, które albo cechuje jakaś taka nadmierna wrażliwość, albo jej kompletny brak. To zależy w sumie, jak był wychowywany. Jeden jest rodzinny; robi po to, żeby zapracować na kobietę i utrzymać dom. Drugi jest partnerem - ty pracujesz, ja pracuję, razem się jakoś rozwijamy. Trzeci to jakiś taki ciapek - najchętniej poszedłby na bezrobocie i nic nie robił, tylko leżał. Jego dziewczyna wciąż coś robi, a on tylko: Oj, kochanie moje, jesteś najwspanialsza na świecie, ale sam nic nie robi, czasem tylko wynosi śmieci.

To samo z kobietami. Jedna pójdzie, gdzie jest fajny stan konta, druga weźmie namiot i będzie z kimś, bo go po prostu kocha. Znam ludzi, którzy żeby ukryć pustkę wewnątrz, muszą albo coś kupić, albo zabłysnąć. Tylko po to, żeby na chwilę zaistnieć. To jest przykre.

Ja dobieram partnerów nie wedle zamożności czy pozycji społecznej, tylko tego, co czuję i jakie ten człowiek ma wnętrze.

Nigdy nie zdarzyło mi się być z kimś, kto miał bajońskie sumy, ale na biedaków też nie trafiałam. Nigdy nie byłam od nikogo uzależniona finansowo, choć mogłam. Jestem atrakcyjna, nie byłoby z tym problemu. Jednak nigdy sobie na to nie pozwolę, bo nie toleruję tego typu układów. Mam tu koleżanki, które na wolności miały sponsorów, na komórki się z nimi umawiały. To jest straszne, że przez te kilka lat mojej izolacji tak szybko zmieniła się kultura w naszym kraju. Kiedy miałam szesnaście lat, nie do pomyślenia było, żeby ktoś adorował tak młodą dziewczynę, a co dopiero uprawiał z nią seks. To był wtedy pedofil, a teraz, to norma. Dla mnie nie liczą się wartości materialne. Najważniejsze jest, jak w Małym Księciu, patrzenie sercem. Pewne rzeczy są bezcenne i nieważne, ile masz, liczy się tylko kim jesteś, co dajesz z siebie.

Uwodzenie

Myślałam, że ludzie dzielą się na manipulowanych i manipulujących. Chciałam być w tej drugiej kategorii. Ale już nie robię ballad ludziom. Kiedy jakaś babka tutaj się we mnie zakochała, a ja załóżmy nie byłam zainteresowana, to powiedziałam po prostu: sorry, ale ciśnij.

Jeżeli prowadzę flirt, robię to świadomie. Ale już nie robię ballad ludziom, że na przykład prowadzę jakąś bajerę, dla żartu albo zabawy. Kobieta może strasznie zmanipulować mężczyznę. Ja też, wstyd się przyznać, potrafię to robić i, niestety, robiłam

wielokrotnie. Nie wiem dlaczego, bawiło mnie to. Tak można po nitce, po nitce, aż do sprucia całej sukienki, fajnie się bawić. Dużo razy to zrobiłam, może dlatego że byłam młoda, głupia. Samo mi wychodziło, nie musiałam się starać. Wtedy myślałam, że ludzie dzielą się na manipulowanych i manipulujących. Chciałam być w tej drugiej kategorii, wiadomo.

Dam przykład, totalna manipulacja. Facet żonaty, dwóch synów. Najpierw go w sobie rozkochałam, a potem odseparowałam, bo przestał mnie interesować. On wziął dla mnie rozwód, on wtedy wszystko by dla mnie zrobił, ze wszystkiego zrezygnował: z kasy, z domu, z samochodu. Po prostu ze mną chciał być. I rzeczywiście był ze mną chwilę, kochał mnie.

Tyle, że ja już wtedy byłam znudzona i wkrótce powiedziałam mu, że to może nieładnie wygląda, może nieelegancko, ale ja już nie czuję tego samego, więc nie będziemy się chyba męczyć. Wcześniej miałam z nim wspólne plany. To miało być na poważnie, naprawdę. Ale to było dawno temu. Miał być ślub tutaj. Zgoda pani dyrektor była, przedstawienie dla wszystkich i w ogóle całe przedstawienie. Cały czas się nim bawiłam, ale na koniec zagrałam szczerze. Tak uważałam.

Zdarzyło się potem jeszcze wiele razy, że jakaś babka tutaj się we mnie zakochała, a ja załóżmy nie byłam zainteresowana, to powiedziałam po prostu: sorry, ale ciśnij. Myślę, że to normalne. Tak, jak na wolności interesowali się mną faceci, tak tutaj babki, bo po prostu nie ma nikogo innego. Nawet teraz mam dwie takie osoby; są we mnie zakochane, wypatrują mnie, jak na wolności. Ale ja nie zwracam uwagi, nie rozmawiam, kontakt mam z nimi zerowy.

Składam się cała z emocji, kiedy czuję, to żyję. Przeżywać, doświadczać. Ale oceniam wszystko na chłodno i zawsze wolę się miło rozczarować, niż zawieść. Co tu gadać, staram się łapać każdą chwilę. Nieważne, czy ktoś chce cię przeczołgać psychicznie, czy ma łacha.

Tutaj nie ufam nikomu, u mnie jest jedna zasada: albo ktoś jest ze mną, albo przeciwko mnie.

Zawsze się jakaś kurwa znajdzie, co zechce cię sprzedać. To nie Hollywood.

Monika Stańczak[4], ps. Kilera
(ur. 22.11.1979)
ofiara: zazdrosny kochanek
motyw: zazdrość
narzędzie zbrodni: dwa noże
przyznanie się do winy: tak
wyrok: 8 lat
koniec kary: 16.03.2010

Monika przyszła na świat w Warszawie, na kozetce karetki wiozącej jej matkę do szpitala. Ma brata młodszego o dwanaście lat. Mieszkała z rodzicami. Ojciec zmarł, gdy miała szesnaście lat. Został zamordowany w RFN, gdzie pracował na budowie; jest o tym przekonana, choć niemiecka policja wyraźnie stwierdziła, że popełnił samobójstwo. Pytana, w jaki sposób zginął, odpowiada: Miał zadane ciosy w brzuch.

Kiedy ojciec żył, też go praktycznie nie było. Siedział w Niemczech, pracował. Kiedy

był w domu, miał ciągi alkoholowe - pił przez miesiąc, a potem przez kilka miesięcy był abstynentem. Raz truł się relanium, innym razem wypił płyn „Borygo". Córka zapewnia jednak, że w domu nie był agresywny.

Był za to wielokrotnie karany - w sumie w więzieniach spędził siedem lat, jako nastolatek bywał w ośrodkach wychowawczych albo poprawczych. Babcia ze strony ojca leczyła się psychiatrycznie, zmarła w wieku czterdziestu pięciu lat. Jeden z wujków Moniki popełnił samobójstwo.

Matka Moniki nie pije, ale jest lekomanką. Wprawdzie nie dokonuje prób samobójczych, ale wciąż grozi, że to zrobi. Pracowała jako sprzątaczka, potem przeszła na rentę. Ma cukrzycę i gruźlicę płuc. Była karana, odsiedziała w więzieniu trzy lata, ale córka nie wie za co. Nigdy nie pytałam, a ona sama nie mówiła.

W początkowych klasach szkoły podstawowej Monika uczyła się bardzo dobrze.

Bardzo szybko jednak zaczęła sprawiać trudności wychowawcze. Związała się z tzw.

marginesem społecznym - tam czuła się akceptowana. Piła alkohol, dokonywała drobnych kradzieży. Rodzice - na zmianę za kratkami, pijani, awanturujący się - nie dawali jej dobrych wzorców i praktycznie się nią nie interesowali. Wychowywała ją ulica i koledzy. To sprzyjało degradacji jej charakteru i tworzeniu się wzorców antyspołecznych, wchodzeniu w konflikty z prawem i agresji w stosunku do otoczenia.

Wspomina, że kiedy miała jedenaście lat, matka upiła ją spirytusem i wódką, żeby nie chodziła pić gdzieś poza domem. Od trzynastego roku życia dość dużo piła, słynęła z mocnej głowy.

W dwunastym roku życia w wypadku samochodowym doznała bardzo poważnego urazu głowy. Od tej pory uczyła się coraz gorzej. Klas jednak nie musiała powtarzać, nie chodziła też na wagary. Po szkole podstawowej zdawała do liceum. Dostałam czwórkę z egzaminu i musiałam pójść do zawodówki o kierunku handlowym. Po dwóch miesiącach zrezygnowała - miała konflikty z koleżankami.

Swój pierwszy raz przeżyła w wieku szesnastu lat. Zdecydowała się na seks pod presją chłopaka, z którym chodziła. Kochałam go, nie chciałam, żeby odszedł. Był starszy od niej o sześć lat, zginął w wypadku samochodowym. Żaden z kolejnych partnerów nie bił jej, ani nie dręczył psychicznie. Wszystkie związki zawierała z własnej inicjatywy, tak samo jak zwykle pierwsza chciała rozstania. W każdym przypadku szybko przestawała interesować się partnerem. Tracili w moich oczach. Jeden raz była w ciąży, trzy lata przed sprawą o usiłowanie zabójstwa Romana J.[5] Chciała urodzić dziecko, ale poroniła.

W poprawczaku[6] stwarzała problemy, była konfliktowa. Mimo tego, gdy dowiedziała się o śmierci ojca, otrzymała przepustkę. Piła przez dwa miesiące non stop.

Matka obwiniała mnie za śmierć ojca. Przez nią dwa czy trzy razy się trułam. Miałam czternaście może szesnaście lat. Zawsze na mnie wyładowywała swoją złość, ciągle miała do mnie pretensje. Jest pedantką i nie pasuje jej nawet, jak postawię szklankę na stole. Potem mnie zawsze przeprasza, mówi, że żałuje, że kocha mnie.

Po trzech latach pobytu w poprawczaku Monika została zwolniona warunkowo. Matka z bratem wyprowadzili się do jakiegoś mężczyzny i ja zostałam sama. Było fajnie.

Organizowałam imprezy, mogłam wracać do domu, kiedy chciałam. W tym czasie często się alkoholizowała, przyjmowała też amfetaminę - miała zlecony odwyk. Ale nie zgłaszała się po pomoc. Sama przestałam brać.

Kilka miesięcy później postanowiłam się wyprowadzić do kolegi. To wtedy

zamieszkała u Romana J. Na początku było fajnie, potem coraz gorzej, a na koniec całkiem źle.

On codziennie pił. Kazał jej opiekować się matką i sprzątać cały dom. Nie widziałam z nim przyszłości. Chciałam odejść, ale szantażował mnie. Groził, że się otruje, powiesi, jak tylko go zostawię. Jeden raz nawet wieszał się na balkonie. Sama go odcięłam. Innym razem truł się tabletkami, które popił alkoholem. W sumie nie obchodziło mnie to. Nie wiem, czy go kochałam, raczej nie. Po prostu było mi go szkoda.

Czwarty grudnia 1998 roku.

Godzina dziewiętnasta trzydzieści pięć. Dyspozytorka Anna Michalewska odbiera telefon. Pogotowie ratunkowe, słucham. - Chrząknięcie, po czym odzywa się niski, męski głos. - Moje nazwisko Kowalski. - Znów chrząknięcie. - Podaję adres: Sympatyczna trzydzieści dwa[7]. Przed chwilą miało tu miejsce pchnięcie nożem. Sympatyczna trzydzieści dwa - powtarza. Potem słychać tylko trzask odkładanej słuchawki i kilka krótkich sygnałów.

Dyspozytorka wysyła ekipę ratunkową pod wskazany adres oraz zawiadamia policję.

Godzina dziewiętnasta pięćdziesiąt pięć. Starszy sierżant Cezary Gutowski jedzie na miejsce zdarzenia. Zatrzymuje radiowóz przed piętrowym domkiem z ogródkiem. Na miejscu jest już ósmy zespół Pogotowia Ratunkowego z gminy Warszawa Ursus. Policjant idzie na pierwsze piętro. Już na schodach słyszy płacz i zawodzenie. Na górze zastaje kobietę około sześćdziesięcioletnią opartą o ścianę pokoju; jest rozdygotana, zapłakana, trzęsą jej się ręce.

Obok stoi mężczyzna. Jest spokojny, lekko się zatacza.

Sanitariusze wynoszą trzydziestotrzyletniego Romana J. Kraciasty koc, w który mężczyzna jest zawinięty, jest cały umazany brunatnoczarną mazią[8]. Jego twarz i ręce też są we krwi. Za nimi idzie mężczyzna w białym kitlu. Zabieramy go - mówi lekarz. -

Kilkakrotne pchnięcie nożem w brzuch, stan jest bardzo ciężki.

Pokój wygląda jak krwawa jatka, zwłaszcza kanapa i podłoga. Mówił coś? - pyta starszy sierżant Gutowski. - Lekarz kręci głową. - Podeślemy kogoś, żeby był blisko, jakby coś powiedział. - Policjant zapisuje w notesie dane lekarza. - Może poda imię, nazwisko nożownika, jakiś szczegół.

Lekarz chwyta teczkę i kieruje się do karetki. - Nie wygląda to najlepiej. Kiedy przyjechaliśmy, już tracił przytomność. Może nie przeżyć.

Godzina dwudziesta trzydzieści. Starszy sierżant Marcin Madej czeka przed salą operacyjną szpitala przy ul. Barskiej w Warszawie. Lekarze walczą o życie Romana J.

Dzwoni komórka policjanta. Odzyskał przytomność, podobno powiedział, że chce iść do łazienki. Nic nie mówił na temat obrażeń - składa raport Madej. - Czekam, aż się obudzi. W tym czasie Cezary Gutowski rozmawia z matką ofiary, Wandą J. Ja zajmuję pomieszczenia na parterze, synowie mieszkają na piętrze, zeznaje matka poszkodowanego. Tego wieczoru do syna przyszło troje znajomych. Zawsze zamykam swoje pokoje na dwa zamki: od strony korytarza i klatki schodowej. Drzwi do siebie zamykam od wewnątrz. W chwili, gdy ci mężczyźni wchodzili do Romana, byłam w łóżku. Nie widziałam ich. Roman schodził do mnie dwa razy, żeby sprawdzić, jak się czuję. Pytałam, czy poradzi sobie ze znajomymi i poprosiłam, żeby zachowywali się cicho, bo bolała mnie głowa. Oglądałam telewizję, ale słyszałam głośne śmiechy i rozmowy. Słyszałam też, że ktoś wchodzi i

wychodzi. Około osiemnastej trzydzieści wrócił z pracy Zbigniew[9]. Zjadł obiad, rozmawialiśmy o pogodzie.

Potem poszedł do siebie.

Matka zaprzecza, jakoby Zbigniew wchodził do Romana i jego towarzystwa.

Słyszałabym to, zapewnia. Zbigniew po powrocie z pracy był trzeźwy. Zawsze dopiero jak wraca, to spożywa alkohol w swoim pokoju. Potem sam wynosi butelki.

Około dziewiętnastej matka usłyszała jakieś ruchy w pokoju Romana. Tak jakby upadł. Słyszała również skrzypnięcie drzwi od łazienki na piętrze. Zaniepokoiłam się.

Poszłam na górę.

Roman leżał na kanapie i trzymał się za brzuch. Dwaj mężczyźni zbiegali właśnie po schodach, trzeci siedział przy telefonie i prosił o przyjazd karetki. Spytałam, co się stało; syn był podrapany, miał skaleczenie na brzuchu, jęczał i nic nie mówił. Ten przy telefonie powiedział, że Roman skaleczył się szkłem. Zajęłam się synem, wtedy i tamten wyszedł. Nie pamiętam twarzy tych mężczyzn, mieli ciemne kurtki. Jeden był wyższy, drugi niższy.

Trzeciego bym rozpoznała.

Policja przesłuchuje Zbigniewa J. Jak wszedłem do pokoju Romana, to on już leżał rozebrany do slipek i miał rany na brzuchu. Zostaje zatrzymany pod zarzutem zabójstwa brata.

Podczas przenoszenia poszkodowanego na salę operacyjną, jeden z sanitariuszy, w kocu, którym był owinięty mężczyzna, znajduje nóż. Duży, kuchenny do siekania warzyw, z czarnym plastikowym trzonkiem. Cały pokryty zaschniętą krwią. Przekazuje go pielęgniarce, która wkłada nóż do plastikowego worka, a następnie oddaje policji. Funkcjonariusze zdejmują z niego odciski palców sprawcy.

Technicy zabezpieczają miejsce zbrodni, zbierają ślady, fotografują. Na wieszaku przy wejściu do mieszkania państwa J. wisi biała kurtka z czarnymi wstawkami, która nie należy do nikogo z domowników. Policjanci wzywają psa tropiącego. Ten jednak doprowadza policjantów jedynie na sąsiednie podwórko i w okolicach parkanu gubi ślad zapachowy.

W koszu na brudną bieliznę znajdują drugi nóż, mniejszy, z drewnianą rączką, również ze śladami krwi. Wygląda, jakby ktoś próbował zetrzeć swoje odciski palców.

Przekazują go do ekspertyzy.

Podczas gdy policjanci zabezpieczają miejsce zbrodni, dzwoni telefon. Wanda J. chce podnieść słuchawkę, ale prowadzący śledztwo wyręcza ją. Odzywa się kobieta. Tu Julita, zastałam Romka albo Zbyszka? - W tle słychać grające radio i płacz dziecka. - Słucham? -

pyta funkcjonariusz. Nieznajoma odkłada słuchawkę. Trzy minuty później dzwoni ponownie.

Tym razem pyta o Alberta. Już nie słychać żadnych odgłosów. Znów się rozłącza.

Pierwszy podejrzany, trzydziestodziewięcioletni Zbigniew J., jest przeciwieństwem brata; samotnik, nie ma dziewczyny, nie utrzymuje z nikim kontaktów towarzyskich. Razem z Romanem (młodszym o sześć lat) pracuje w zakładzie kowalskim w Raszynie. Bracia nie mają wspólnych znajomych. Zbigniew nigdy nie uczestniczy w przyjęciach u Romana. Jest nałogowym alkoholikiem, zwykle pije sam, we własnym pokoju. Według zeznań matki - po alkoholu nie bywa agresywny. W momencie zatrzymania ma we krwi 2,56 promila alkoholu.

Nie przyznaje się do zabójstwa brata. To pomyłka. Jak wszedłem do pokoju, Roman leżał już rozebrany do slipek i miał rany na brzuchu - powtarza. - W domu nie było nikogo.

Gdy go zobaczyłem, miał zamknięte oczy. Potem przyjechał lekarz, kazał mi znaleźć informację o jego grupie krwi. On nie miał wrogów. Był po rozwodzie z żoną, miał córkę, chyba utrzymywał z nią kontakt. Miał też dziewczynę, chyba Edytę, mieszkała we Włochach.

Ostatnio nie widziałem go z żadną inną dziewczyną. Nie wiem, kto chciał go zabić.

Podczas kolejnych przesłuchań Zbigniew nie zmienia zeznań.

Policja przesłuchuje okolicznych mieszkańców. Ich zeznania nie posuwają śledztwa naprzód. Nic nie widzieli, niczego nie słyszeli. Ludzie zaczynają konfabulować. Pojawia się plotka, że Romana załatwili Ukraińcy albo ruska mafia; jeden z sąsiadów mówi, że kilka dni wcześniej Roman przychodził do niego po pożyczkę. Potrzebował na haracz. Chciał cztery tysiące złotych. Nie pożyczyłem mu tylko dlatego, że nie mam ani grosza oszczędności - zeznaje jeden z sąsiadów, który z Romanem chodził do podstawówki.

Mijają cztery dni. Zbigniew J. nadal przebywa w areszcie. Jego brat wciąż nie odzyskuje przytomności. Policjanci w dalszym ciągu dokonują rutynowych przesłuchań sąsiadów. Trzy przecznice od domu J. mieszka młoda kobieta z dzieckiem, która zeznaje, że w dniu tragedii przyszła do niej dziewczyna Romana - Monika Stańczak. Była zdenerwowana, dzwoniła kilka razy do kogoś, ale nie wiem do kogo i pod jaki numer. Została na noc, bo nie miała gdzie spać. Nie mam pojęcia, gdzie mieszka i gdzie może być teraz.

Piętnasty grudnia 1998 roku. Roman odzyskuje przytomność. Mówi, że nie zna i nie pamięta twarzy sprawcy. Tego dnia dość sporo wypiłem z kolegami. Wyszedłem na ulicę i ktoś mnie napadł. To chyba było niedaleko mojego domu, bo dopiero gdy dotarłem na górę, zrobiło mi się słabo.

Roman twierdzi, że tego dnia w mieszkaniu była jego matka, brat, dziewiętnastoletnia Monika, jego dziewczyna, oraz koledzy. W czasie składania zeznań nie jest zainteresowany sprawą. Stwierdza, że źle się czuje i chce po prostu wyzdrowieć. Nie wiem, kto mnie pchnął nożem, ani pogryzł w ucho - ucina przesłuchanie. Policja nie naciska, pacjent jest na lekach i czeka go kolejna operacja.

Miejsce zamieszkania Moniki vel Edyty ustalają dopiero trzydziestego grudnia, dwadzieścia sześć dni po zdarzeniu. Dziewczyna zostaje wezwana na przesłuchanie.

Twierdzi, że opuściła dom J. o siedemnastej i nie wie, co się dalej działo. Podaje nazwiska mężczyzn, którzy tego dnia pili wódkę z J. Dwaj z nich to koledzy Romana z aresztu śledczego.

Kiedy w okolicy rozeszła się wieść o tajemniczym nożowniku, który zaatakował Romana J., na komisariat policji zgłasza się Andrzej W., jeden z sąsiadów. Mówi, że tamtego dnia spotkał na ulicy Monikę. Była roztrzęsiona. Spytałem co się stało. Sprzedałam Romanowi osiem kos, powiedziała.

Dwa dni później policja przesłuchała Dariusza Ch., mężczyznę, który wezwał pogotowie i de facto uratował Romanowi życie.

Wiosną ubiegłego roku do Romana wprowadziła się Monika. Romek traktował ten związek bardzo poważnie, chciał sobie z nią życie układać. Różnie między nimi bywało, ale ja nie wnikałem. To była ich sprawa. Czwartego grudnia odwiedziłem go, żeby pogadać o pewnej robocie. Przyniosłem wódkę, kurczaka z rożna, trochę papierosów. Było nawet więcej osób, ale około siedemnastej wszyscy wyszli.

Zostałem tylko ja, Roman i Monika. W pewnym momencie oni zaczęli się kłócić.

Monika okładała go pięściami, on krzyczał. Patrzyłem na to z pewnej odległości. Siedziałem na wersalce. Roman stał przy futrynie drzwi, patrzyłem na niego, aż w pewnym momencie osunął się na podłogę i usiadł. Wtedy podszedłem do nich bliżej. Co się stało? - spytałem Romka - ale on nic nie mówił. Wtedy zobaczyłem, że Monika trzyma w ręku nóż. Była pijana.

Co ty zrobiłaś, krzyknąłem. Wtedy zadzwonił dzwonek. To szedł Grzegorz M.[10], kolega, na którego czekaliśmy. Monika wyszła, żeby mu otworzyć furtkę.

W tym czasie Dariusz Ch. próbował udzielić J. pierwszej pomocy. To wtedy zadzwonił na pogotowie ratunkowe. Kiedy odkładał słuchawkę, weszła Monika.

Co robisz? - spytała.

Dzwonię na pogotowie - odpowiedział Ch.

Chwyciła drugi nóż i zaczęła na oślep dźgać nim Romka w brzuch. Wyrwałem jej nóż z reki i odrzuciłem na bok, jak najdalej. Nie wiem gdzie upadł. Wszedł Grzesiek i razem zbiegliśmy na dół. Bałem się, że będzie na mnie. Mam zawiasy[11]. Dwa dni później zadzwoniła Monika i powiedziała, że jeśli Roman odzyska przytomność, ona się przyzna. Ale jak nie, masz milczeć, rozkazała. Powiedziałem, że ją wydam, wystraszyła się i odłożyła słuchawkę. Nie potrafiła mi powiedzieć, dlaczego to zrobiła. Prosiła, żeby zwalić winę na „Burego"[12].

Grzegorz M. potwierdził, że furtkę otworzyła mu Monika. Nie znał jej, ale zauważył, że ręce i rękawy bluzy ma ubrudzone krwią. Kiedy spytał, co się stało, odpowiedziała ze śmiechem: Sprzedałam Romanowi kilka kos. Kiedy weszliśmy na górę, jeszcze raz zaatakowała J. nożem. Pewnie by go załatwiła, gdyby Darek nie wyrwał jej noża z ręki.

Szesnastego marca Monika zostaje zatrzymana. Wysoka, szczupła dziewiętnastolatka.

Długie, czarne, kręcone włosy. Ostre rysy twarzy, oczy koloru szarego - stalowego. Na lewej łopatce tatuaż przedstawiający skorpiona. Potwierdza, że była kochanką Romana i od wiosny mieszkała u niego. Zrzuca winę na kolegów.

Zeznała, że Roman był o nią bardzo zazdrosny. Często na tym tle wybuchały między nimi awantury. Tego dnia wypiłam sporo, ale byłam spokojna. Dopiero kiedy chciałam wyjść do łazienki, Roman nagle wystartował do mnie z nożem.

Twierdzi, że złapała go za rękę i zaczęli się szarpać. Potem urwał jej się film. Nie wie, skąd wzięła nóż, nie pamięta, jak go uderzała. Kiedy odzyskała świadomość, Roman leżał na łóżku i krwawił.

To ja kazałam Darkowi wezwać pogotowie. Ale on nie zadzwonił, tylko przyłożył mu nóż do gardła. Chyba chciał mu poderżnąć gardło, na szczęście wyrwałam mu nóż z ręki.

Kiedy weszła matka Romana, nie mogłam z nią rozmawiać, nawet spojrzeć jej w oczy nie mogłam. Więcej nic nie pamiętam. Byłam w szoku. Nie pamięta, że wpuszczała kogoś do domu, że włóczyła się po ulicach, że rozmawiała z napotkanymi przypadkowo ludźmi.

Twierdzi, że nie pamięta nawet anonimowych telefonów, w których przedstawiała się jako Julita.

Podczas kolejnych przesłuchań mięknie, w końcu przyznaje się do winy.

To był normalny, powszedni dzień, już czwarty miesiąc mieszkałam u Romana.

Odwiedziło nas parę osób, w tym kolega z więzienia Romana. Każdy przyniósł wódkę, w sumie było ze cztery czy pięć flaszek. Piłam równo z nimi, bo tego dnia miałam ochotę na alkohol. Po jakimś czasie odpuściłam kilka kolejek, bo czułam się pijana - było mi niedobrze, zataczałam się, byłam śpiąca. Kiedy koledzy Romana poszli, też chciałam iść.

Ale on chwycił mnie, w ręku miał nóż, krzyczał na mnie. Nie pamiętam, co było dalej. Żałuję, że piłam wtedy z nimi, zamiast pójść do chrześniaka, o co prosiła mnie ciotka. Boję się, że dostanę dwanaście lat. Nie poszłam na policję, bo się bałam. Schowałam nóż do kosza na bieliznę, ale nie wytarłam odcisków palców. To nie było zaplanowane działanie, z premedytacją. Nie wiem, jak mogło do tego dojść. Czuję się winna.

Następnego dnia prokurator stawia jej zarzut usiłowania zabójstwa. Monika trafia do aresztu śledczego, a potem na obserwację sądowo - psychiatryczną. Biegli nie stwierdzają u niej niedorozwoju umysłowego ani choroby psychicznej, tylko że jest nieufna, podejrzliwa.

Wyniki jej badań, według Skali Inteligencji Wechslera dla Dorosłych, świadczą o ponadprzeciętnym ilorazie inteligencji. Jednak poziom intelektualny uległ u niej wtórnemu obniżeniu. Ma wprawdzie bogaty zasób słów, wysoki poziom myślenia abstrakcyjnego i werbalnego, ale mały zakres wiadomości ogólnych. Zna i rozumie obowiązujące normy społeczne. Bardzo skutecznie planuje i przewiduje skutki swoich działań. Lubi jednak ukazywać siebie jako osobę zaburzoną znacznie bardziej, niż jest to w rzeczywistości.

Do akt dołączono notatkę psychiatry z poprawczaka w Zawierciu, gdzie przebywała Monika. Była wtedy badana z powodu wzmożonej pobudliwości nerwowej, drażliwości i wybuchowości oraz z trudem hamowanej agresji. Lekarz nie stwierdził u niej psychozy ani żadnych zaburzeń chorobowych, a jedynie osobowość rozchwianą emocjonalnie[13], dodatkowo z elementami dysocjacyjnymi. Mimo leczenia farmakologicznego nie uzyskano poprawy.

Oprócz współudziału w zabójstwie, za co znalazła się w poprawczaku, Monika była też karana za oszustwa i wyłudzenia. Cztery miesiące przed zamachem na życie swojego chłopaka wystawiła do wynajęcia mieszkanie swojej matki (do czego nie miała prawa i o czym matka nie wiedziała), na poczet czynszu za ponad pół roku zainkasowała cztery tysiące złotych. Kobieta zgłosiła sprawę na policję, Monika została uznana winną i skazana, ale poszkodowana nigdy nie odzyskała gotówki.

Kurator sądowy stwierdził, że przed aresztowaniem Monika miała bardzo negatywną opinię w miejscu zamieszkania.

Pierwszego marca 1999 roku Roman przeszedł kolejną, trzecią operację. Jego stan uznano za stabilny. Został wypisany do domu. Podczas przesłuchania nadal twierdził, że nie wie, kto zaatakował go nożem. Na jednym z noży ekspertyza wykazuje ślady linii papilarnych Moniki. Biegły sądowy potwierdza, że rany głębokości ok. 17 cm mogły być zadane znalezionymi narzędziami.

Monika, tymczasowo aresztowana, przebywała na oddziale obserwacji sądowo -

psychiatrycznej i stwarzała tam same problemy. Nie przestrzegała regulaminu, nie spełniała poleceń personelu, była wulgarna i agresywna wobec innych pacjentek, zarówno słownie, jak i czynnie. Szukała okazji do ucieczki. Pocięła się na przedramieniu. Nie potrafiła podać przyczyny swojego postępowania. Taki pomysł przyszedł mi do głowy. Samouszkodzeń dokonywała już wcześniej - w sumie siedemdziesiąt osiem razy - ze zdenerwowania albo ze smutku. Na prawym przedramieniu ma liczne blizny. Następnego dnia płakała i żałowała: Miałam same czarne myśli dotyczące sprawy sądowej.

Wypowiadała się logicznie, składnie. Pytana o sprawę, odpowiadała wymijająco. Nie mogła spać, więc lekarze podali jej leki, ale nie skutkowały. Od dzieciństwa cierpiałam na lęki nocne.

Biegli stwierdzili, że Monika ma zaburzenia w uczuciowości wyższej - nie potrafi nawiązywać głębokich więzi emocjonalnych. Nie zna empatii, nie umie wczuć się w problemy i odczucia innych osób. Traktuje otoczenie instrumentalnie. Napięcia i rozdrażnienie wyładowuje agresją w stosunku do innych oraz wobec siebie.

Tak rozwiązuje wszystkie problemy: zadawaniem bólu, czynieniem krzywdy innym albo sobie. Większość działań podejmuje pod wpływem chwili, kierując się doraźnymi motywami. Żąda, by jej potrzeby zaspokajano natychmiast, nie potrafi czekać. Niczego nie planuje, nie wysnuwa wniosków, lecz za niepowodzenia wini wszystkich, nie siebie.

Twierdzi, że to otoczenie ją krzywdzi i nie pozwala jej się rozwijać.

Choć pod względem intelektualnym stoi powyżej normy, niczym się nie interesuje, wystarcza jej funkcjonowanie poniżej swoich możliwości.

Roman J. w ciągu kilku miesięcy odzyskał zdrowie. Przed wydaniem wyroku oświadczył, że kocha Monikę i już jej wybaczył. Nie pisał do niej do więzienia, nie odwiedził w areszcie śledczym. I dobrze, nie miałabym odwagi spojrzeć mu w oczy - mówi Monika.

Sąd skazał Monikę na osiem lat więzienia. Ten najniższy wymiar kary został orzeczony ze względu na pozytywny finał tragedii: to, że ofiara przeżyła, oraz ze względu na przyznanie się Moniki do winy, wycofanie poprzednich pomówień i wyrażenie skruchy.

EPILOG 2012

Monika Stańczak odbyła swój wyrok i wyszła na wolność. Jej szaleńcza miłość do współosadzonej okazała się krótkotrwała. Po opuszczeniu murów więzienia Monika nigdy nie odwiedziła kochanki, nie napisała do niej nawet krótkiego listu. W momencie oddawania niniejszego epilogu do druku nie figuruje w kartotekach policyjnych jako sprawczyni kolejnego przestępstwa, nie została też skazana.

***

[1] Posługiwać się więziennym językiem.

[2] Zabawę.

[3] Miłość-nienawiść.

[4] Imię prawdziwe, nazwisko zmienione.

[5] Imię prawdziwe, nazwisko zmienione.

[6] Trafiła tam po tym, jak w sierpniu 1995 roku została oskarżona o współudział w zabójstwie z użyciem noża. Od tamtej pory nosi ksywkę „Kilera”. Na urodzinach u koleżanki ktoś pchnął nożem kolegę. To nie ja, ale wzięłam to na siebie, bo byłam nieletnia i dano mi mniejszą karę. Byłam tylko kozłem ofiarnym. Chodziło o to, żeby ktoś pełnoletni nie szedł do więzienia - przekonuje. Sąd dla nieletnich skazał ją na pięć lat pobytu w zakładzie poprawczym.

[7] Adres zmieniony.

[8] Krew.

[9] Brat Romana.

[10] Tajemniczy mężczyzna numer 2.

[11] Wyrok w zawieszeniu.

[12] Pseudonim brata Romana J.

[13] Rozchwianie emocjonalne - szybkie gwałtowne zmiany osobowości.

Katarzyna

Pieniądze

Ja po prostu mam w życiu fart. Nawet tutaj, jestem lubiana. Może dlatego, że szybko się dostosowuję. Myślałam, że w więzieniu kopią, biją, dręczą. A to nie tak. Apele kojarzą mi się z porannym wstawaniem w internacie. Jedzenie jak na koloniach, a nie tylko czarny chleb, czarna kawa jak w piosence. Jedynie hałaśliwe klapy mnie denerwują. Nauczyłam się tu żyć i jestem szczęśliwa. Wiadomo, to nie to samo co na wolności. Kiedyś, jak były pieniądze, do Rzymu po prezenty samolotem latałam. Kochałam luksus. Teraz cieszę się każdą przeżytą chwilą.

Nazwisko mam po drugim mężu, Portugalczyku. Wszyscy mnie pytają, czy to hrabiowskie, czy może szlacheckie. A to przecież zwykłe. Tylko w Portugalii, i po matce, i po ojcu dziedziczy się nazwiska, taka tradycja. Poznałam go we Włoszech. Pojechałam na saksy, bo nie chciałam biedy klepać. Kolega mnie zarekomendował. Przysłał kartkę, nie zastanawiałam się długo. Jarka, syna z pierwszego małżeństwa, zostawiłam z rodzicami i pojechałam w świat. Myślałam, że życie sobie odmienię. Byłam młoda, zaledwie po dwudziestce, szybko nauczyłam się języka. Chodziłam na kurs przy polskim kościele, po roku już biegle mówiłam. Mam zdolności. Zresztą włoski jest łatwy, ładnie brzmią przekleństwa.

Mieszkałam w Anzio, mieście portowym, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Rzymu.

Opiekowałam się starszymi osobami.

Na początek szczęśliwym trafem skierowano mnie do opieki nad Natalizią. Miała ponad osiemdziesiąt lat, ale była sprawna i kontaktowa. Nie trzeba było jej myć, przewijać, karmić. Wszystko przy sobie sama robiła. Bardzo się polubiłyśmy. Miała do mnie cierpliwość, bo ja wtedy jeszcze mało rozumiałam. Dużo ze mną rozmawiała. Opowiedziałam jej o pierwszym nieudanym małżeństwie, o tym, że Jarka, mojego synka, w Polsce zostawiłam i że jego ojciec się nim nie interesuje. Obiecała, że pomoże mi wyrobić odpowiednie dokumenty i ściągniemy go do Włoch. Dziecko musi być z matką, powtarzała.

Była ciepła, słodka, bardzo dyskretna. Miała dwanaścioro dzieci, już dorosłych. Bardzo o nią dbały. Jak organizowała obiad czy kolację, stawiała się cała dwunastka. Poznałam ich wtedy: sami synowie i jedna, jedyna córka - Marija. Może dlatego Natalizia mnie traktowała tak ciepło, jak przyszywaną córkę. Zabytki mi pokazywała, kościoły, porty. Opowiadała o swoim życiu i dzieciach. Choć była już w latach, wciąż przywiązywała wagę do tego, żeby dobrze wyglądać. Prawdziwa elegantka z niej była. Zawsze nosiła koronkowe rękawiczki, nawet w największy upał. Oczywiście dopasowane kolorystycznie do torebki i butów. Zresztą na punkcie butów miała kompletnego bzika. Miała ich ze sto par, jeśli nie więcej. Jej garderoba to był praktycznie cały jeden pokój. Wszędzie palta, spodnie, bluzki, garsonki i mnóstwo dodatków. Patrzyłam na to i nie mogłam wyjść z podziwu.

Mnie wtedy pociągały pieniądze. Chciałam dużo zarabiać, jak najszybciej coś odłożyć i bogata wrócić do Polski. Tęskniłam za domem, za synem, za rodzicami. Jeździłam do polskiego kościoła, bo tam byli rodacy. Rozmawialiśmy, gdzie dobrze się zarabia, gdzie gorzej.

Po roku odeszłam od Natalizii, wyjechałam do Ostii. Zostałam kelnerką w ośrodku

wczasowym prowadzonym przez prawdziwą parę książęcą. Zapomniałam, jak się nazywali.

Przyjeżdżała tam elita: aktorzy, piosenkarze, książęta, VIP-y. A na tyłach, z dochodów tego ośrodka finansowali schronisko dla uchodźców. Pomagali Rosjanom i mieszkańcom krajów arabskich. Całym rodzinom załatwiali azyle w Stanach, Australii i Niemczech. Ja obsługiwałam polskich pielgrzymów. Mieszkałam w domkach - bungalowach. Zarobki były o wiele lepsze niż u Natalizii.

Na barmana od razu zwróciłam uwagę. Przystojny, śniady, męski, jak kochanek z brazylijskiej telenoweli. Umówiliśmy się raz, drugi. Myślałam, że Pana Boga za nogi chwyciłam, tak był we mnie zakochany. Zasypywał mnie prezentami. Masę rzeczy od niego dostałam, wszystko ze szczerego złota. A to pierścionek, a to breloczek do samochodu czy złoty długopis. Jak w Polsce o tym opowiadałam, to nie wierzyli. Musiałam pokazywać. Dla wszystkich było niewiarygodne, że ja tam tak żyję. Że tak mi się powodzi! Jarkowi przysyłałam pięćdziesięciokilogramowe paczki ze słodyczami, odzieżą, proszkami do prania, mydełkami pachnącymi. Całą rodzinę wspomagałam. Człowiek zarabiał, to wysyłał, dlaczego nie.

Z Luisem też nam się dobrze układało. Bardzo o mnie zabiegał; do restauracji chodziliśmy, do znajomych - kiedy oczywiście oboje mieliśmy wolne. Czułam, że to jest szczęście. Los się do mnie uśmiechnął, myślałam. W niecały rok później ściągnęłam do Włoch syna. Akurat do zerówki szedł. Chciałam, żeby był ze mną, nauczył się włoskiego, poznał mojego narzeczonego, chciałam sobie z nim przecież życie układać. Wtedy sprawiał, że czułam skrzydła. Boże, jak ja się cieszyłam, jak bardzo! Że Jarek jest ze mną, że Luigi[1] akceptuje Jarka, że jest dobrze. Zapraszał nas na lody, na kolacje, wypady nad morze robiliśmy. Myślałam, że to istny cud boski, bo przecież nie tak łatwo znaleźć idealnego mężczyznę, który zaakceptuje i pokocha cudze dziecko. A on był jak książę z bajki. Czuły, troskliwy, opiekuńczy. Starał się o moje względy. Któregoś dnia się oświadczył. Pękałam z dumy, promieniałam ze szczęścia, ale nie okazałam tego; może za jakiś czas, odpowiedziałam. Nie chciałam, żebyśmy podejmowali pochopnie tak ważną decyzję. Zresztą tak bardzo mi na tym ślubie nie zależało. Już raz byłam mężatką, skończyło się rozwodem.

Pierwszy mąż chodził na boki… Najpierw spróbujmy tak bez zobowiązań, zaproponowałam.

Postanowiliśmy zamieszkać razem. Kochaliśmy się, a poza tym taniej wychodziło.

Jarek zamieszkał z nami, Luis zgodził się na to bez oporów.

Pracowałam jako kelnerka, a Luis jako barman. Potem imał się różnych prac: remontowych, przeprowadzki, czasem był bez pracy i tylko ja zarabiałam. Różnie. Były dni, że nie było nam lekko, ale byliśmy razem. Było fajnie. Do Polski jeździliśmy na wakacje.

Kiedy odwiedzałam rodzinę, znajomych, to opowiadałam, jak tam jest: że w supermarketach jest tyle towaru, że nie da się tego wszystkiego nawet dokładnie obejrzeć, że ludzie mają po pięć samochodów. Nie mogli uwierzyć, nie rozumieli, po co ja chcę wracać. Tutaj w Polsce szaro, buro, a tam kolorowo, wszystkiego w bród. Do czego chcesz wrócić? - pytali. - Tam masz wszystko. To raj. I taka była prawda.

Dopiero kiedy rodzice przyjechali mnie odwiedzić, zmienili zdanie. Zobaczyli w końcu, jak ciężko na ten raj muszę pracować. Ale ja byłam szczęśliwa, przecież mama z

tatą przyjechali, poznali Luisa, polubili go. Nasz papież w polskim kościele wręczył Jarkowi pamiątkę komunii świętej.

Załatwiałam pracę każdemu znajomemu, który chciał zarobić. Przyjechali: brat, siostra, szwagier, koleżanki ze szkoły. Niektórzy popracowali i wracali. A kto nie bał się harówy, zostawał. Później wracał z pełnym portfelem. Szanowali mnie. Wiedzieli, że radzę sobie w życiu. Miałam satysfakcję.

Kiedy Luigi zrezygnował z pracy barmana, stwierdziłam, że bardzo dużo czasu tracę na dojazd. Wtedy ktoś mi powiedział, że najbardziej opłaca się sprzątać domy. Robiłam więc „na domkach". Luigi myślał o stworzeniu ekipy remontowo-budowalnej. Zatrudnił ludzi, dochody nam się powiększyły. Niczego nam nie brakowało. Byliśmy prawie rodziną, tylko bez ślubu. Wtedy zaszłam w ciążę.

Urodziła się Julia. Pomyślałam, że warto założyć jakieś prywatne przedszkole. We Włoszech dzieci nie chodzą z kluczem, kiedy rodzice są w pracy. Dziecko jest pod opieką i słono się za to płaci. Zatrudniłam nauczycielkę i pielęgniarkę. Wynajęłam apartament i tam zorganizowałam taką ekskluzywną ochronkę.

Postanowiliśmy się pobrać - jest dziecko, musi być małżeństwo. To znów jemu bardziej zależało. Ja nie chciałam. Język znałam, miałam dobrą pracę, byłam niezależna. Nie potrzebowałam męża. Rodzice podpowiadali mi nawet, żeby nie brać ślubu. Po nieudanym związku jakoś inaczej na te sprawy patrzyli. Z tym pierwszym to też była wielka miłość.

Tańczyliśmy razem w szkolnym zespole, znali się nasi rodzice, a my chodziliśmy ze sobą ponad pięć lat. Ale po ślubie brakowało mu spotkań towarzyskich, wypadów za miasto. Nie dorósł do posiadania dziecka i tworzenia rodziny. Rozwiedliśmy się, bardzo to wszystko przeżyłam. Po co ci to drugi raz? - przestrzegała mnie mama. Wierzyłam, że teraz będzie już inaczej: Luis naciskał. On miał obywatelstwo włoskie. Po ślubie z nim mogłabym już pracować legalnie, nie jak dotąd na czarno, każdego dnia bojąc się deportacji. Przemyślałam sprawę raz jeszcze i w końcu powiedziałam „tak".

Los jednak płatał nam figle. Widać we Włoszech nie mogliśmy się pobrać. Zanim jego dokumenty z Portugalii przyszły, moje już traciły ważność. Ostatecznie pobraliśmy się w Polsce, w Lubawie, a w mojej rodzinnej wsi Rogatka[2] odbyło się przyjęcie weselne. To nie była duża uroczystość - obiad weselny w restauracji, trochę tańców, tylko moja rodzina i znajomi. Z jego rodziny nikt nie dojechał, było im za daleko i za drogo.

Po ślubie wróciliśmy do Włoch. Trzeba było dalej prowadzić interesy. Byliśmy już dość zamożni, więc zaczęliśmy myśleć o tym, żeby pieniądze dobrze zainwestować. W Ostii kupiliśmy mieszkanie z widokiem na morze, jakieś sto trzydzieści metrów - trzy sypialnie, salon, kuchnia. Potem każdemu po samochodzie - przecież musieliśmy jeździć do pracy, to nie był żaden luksus. Napływały następne pieniądze, które chciałam zainwestować. Piękny czas to był, sielanka.

Kupiliśmy w Polsce kamienicę w Lubawie, wciąż jednak nie mogliśmy się zdecydować na przeprowadzkę. Żal mi było mojego przedszkola, było jak kura znosząca złote jaja. Znalazłam sponsorów, dostawaliśmy za darmo mleko dla dzieci, zabawki, prasę. I tylko ze względu na Jarka podjęłam decyzję o powrocie do kraju, a potem przekonałam do niej męża. Chciałam, żeby syn nie zapomniał ojczystego języka. Wróciliśmy do domu.

Miałam spory kapitał. Zaczęliśmy remont kamienicy. Otworzyłam w niej knajpę, a obok sklep spożywczo-przemysłowy. Wiadomo było, że wobec takich inwestycji muszę zostać w Polsce. Mąż na razie kursował pomiędzy Italią a Polską.

Myślałam, że dobrze się dogadują - Luis z Jarkiem. Wspólne wypady do knajp, nad morze, a to Grecja, a to Portugalia, Włochy. I nagle - nawet nie wiem kiedy - zaczęło się między nimi psuć. Kłócili się.

Kiedy ja pracowałam, Jarek opiekował się Julią. Był kochanym bratem - opiekuńczym i odpowiedzialnym. Zostawiałam im obojgu jedzenie, pisałam na karteczkach, co gdzie jest, a Jarek sobie radził. Nigdy nic złego się nie stało. Mogłam mu ufać.

Luis za to się zmienił. Raz był, raz go nie było. A jak był, to miał pretensje do Jarka, że nie siedzi z nim przed telewizorem, tylko idzie do kolegów. Jarek był już wtedy w zawodówce. Kilka razy doskakiwał do męża i oberwał od niego.

Potem, jak mąż na stałe przyjechał do Polski, zaczął ostro popijać. Może i przez tę knajpę, co ją razem otworzyliśmy. Żądał, żebym mu pieniądze oddawała, a ja nie chciałam.

Wtedy Jarek stawał w mojej obronie i kilka razy się pobili.

Różnie bywało między nami - raz na wozie, raz pod wozem, jak to w małżeństwie.

Ale ogólnie było dobrze. Byłam zadowolona, wszystko szło, jak należy. Syn zrobił prawo jazdy, kupiliśmy nowiutkie auto. Mąż się zdenerwował, że tyle pieniędzy wydałam, żeby synalkowi zabawkę kupić. Pijany był. Wtedy miałam już dość knajpy i sprzedałam lokal.

Pieniądze trzymaliśmy na naszym wspólnym koncie, wszystko było wspólne, jeszcze z czasów, kiedy byliśmy we Włoszech.

Mąż wyjechał z Polski, żeby dorobić na dokończenie remontu kamienicy. Przez jakiś czas nie mogłam się do niego dodzwonić ani w żaden sposób go złapać. W końcu przysłał mi list, żeby mu dać sto tysięcy złotych, bo komuś jest winien. A ja ze sprzedaży lokalu miałam wszystkiego zaledwie sześćdziesiąt tysięcy. Zrozumiałam, że nie będzie żadnego remontu, nie będzie interesu, nic nie będzie. Nie rozumiałam tylko, skąd takie zadłużenie.

Wkrótce dowiedziałam się. Wdał się w lewe interesy i zamknął firmę. Pojechałam do Włoch, zamknęłam moje przedszkole i dałam mu wszystkie posiadane wtedy pieniądze.

Pomyślałam, że jeszcze w Polsce została kamienica - powoli będziemy ją remontować i wynajmować, a w jednej części zamieszkamy. I tak krok po kroku wyjdziemy na swoje, żeby tylko ten dług męża spłacić…

Wróciłam pełna optymizmu. Ale nie minęło dwa czy trzy tygodnie, jak on znów zadzwonił i oświadczył, że trzeba kamienicę sprzedać, bo jeszcze odsetki… Wtedy zrozumiałam, że nawet, gdybym mu oddała wszystko, co miałam, nie wystarczyłoby na spłatę tego długu. To jest właśnie ten wierzyciel, o którym nie mógł mówić: mafia. Z czego będziemy żyć? Gdzie mieszkać? - zapytałam. Usłyszałam, że wrócimy do Włoch, będziemy znów pracować, od nowa zarobimy i zaczniemy jeszcze raz.

Powiedziałam o wszystkim synowi. Powiedziałam, że musimy wszystko sprzedać.

Inaczej zabiją Luisa, mnie, ciebie i wszystkich. Całą naszą rodzinę wykończą. Płakać i śmiać mi się chciało z rozpaczy. Wpadłam w histerię. Mąż naciskał, groził. Za wszelką cenę chciał wymusić na mnie sprzedaż wszystkiego. Żebym tylko wyciągnęła go z tarapatów. Nie powiedział nigdy tak naprawdę, o co chodziło. O jaką mafię, o jaki gang. Zaczęłam podejrzewać, że to sobie wymyślił. Zwierzyłam się Jarkowi. Wściekł się. Ani jednego centa nie zapłacimy. I dadzą nam spokój.

Miał do mnie pretensje, że dałam się tak omotać, że uwierzyłam we wszystko, co mówi mąż. Dłużej już tego nie wytrzymam. Kilka dni później uderzył go kilka razy kijem od baseballa. Mąż zginął na miejscu. Nigdy się nie dowiedziałam w końcu, czy mąż miał ten

dług naprawdę, czy nie.

Wszyscy byli w szoku, bo na pozór sprawialiśmy wrażenie przykładnego małżeństwa.

Dbałam zawsze o dzieci, o wygląd, o opinię. Zresztą byliśmy znani w mieście, zamożni, wiadomo. To był szok dla ludzi. A ja bałam się już tylko, żeby Jarek nie dostał dużej kary.

Chciałam za niego odsiedzieć, żeby tylko jak najszybciej wyszedł na wolność, ale nie udało się, też go zatrzymali. Oboje musieliśmy przeżyć proces. Jarek dostał mniejszy wyrok, wyjdzie pierwszy, całe szczęście. Skończył liceum w więzieniu, Julia jest u moich rodziców.

W dalszym ciągu mamy bardzo dobry kontakt.

Staram się, żeby mi wystarczyło tego, co w paczce dostanę. Bo perfumy mogę tutaj mieć, takie jak na wolności, oryginalne, ale tylko raz do roku. Siostra Dorota wie, co lubię, i przysyła mi, jak może. Zawsze proszę o Chanel 5 albo Masumi. Wolę jedną droższą rzecz, a nie stos badziewia. Balsam do ciała tylko Nivea Body, wtedy czuję, że pachnę. Niektórzy się dziwią: Siedzi w kryminale, a prosi o perfumy. I to nie o „Być może". A ja przecież nadal jestem kobietą! Czuję się szczęśliwa, że mogę je mieć. Przecież zawsze miałam. Kocham dobre zapachy, uważam, że dodają uroku kobiecie. Jak je mam na sobie, czuję się fantastycznie. Pewniej, lepiej. Idę wtedy gdziekolwiek: na spotkanie z oddziałowym, po wypiskę, do kościoła. Niektóre nawyki zostają z wolności, chociaż niewiele tutaj można, a tyle by się chciało.

Umiem docenić, co jest dobre, bo więcej się nie zdarzy. Czasami jeden maleńki gest dodaje mi skrzydeł. To, że idzie grupa chłopaków na obiad i któryś mnie zauważy, pomacha mi - już jestem szczęśliwa. Często tak jest, że jak idzie grupa małolatów, machają do mnie jak do matki. Też staram się być miła. Cieszę się małymi rzeczami, choćby tym, że deszcz nie pada. Jestem z natury optymistką. Ciągle chodzę uśmiechnięta. Choć wiem już, że nigdy nie będę miała tego, co miałam. To przeszłość. Ale przecież nie mam czym się martwić. Jestem zdrowa, mam fajny dzień, może przyjdzie list po południu. Lubię pomagać innym, chętnie to robię. Jak na przykład paczka przyjdzie i mam jakieś podwójne rze czy, to rozdaję. Po co mam wyrzucić, jak mogę dać dziewczynom, które nie mają nikogo.

Tutaj do pełni szczęścia brakuje mi tylko bliskości drugiej osoby. Choć tyle się zdarzyło i tyle przeżyłam, wciąż pragnę kochać i być kochaną. Chciałabym poczuć, że mnie ktoś tuli i ściska. Tego nie da się pożyczyć ani kupić. A jak przyjeżdża córeczka! Jakie to szczęście, móc posadzić swoje dziecko na kolanach! Cieszę się tym, bo to tak rzadkie. Ci, którzy są na wolności, nie doceniają takich sytuacji, mają je na co dzień.

Oczywiście są i gorsze momenty. Jak pomyślę o tym, że nie przepytam córki z lekcji, nie porozmawiam z nią o pierwszej miesiączce, nie sprawdzę zeszytów, od razu ryczeć mi się chce. Kiedy wyjdę, ona będzie już dorosłą kobietą.

Ale zaraz się cieszę. Jest dobrze, byle na zamek[3] nie wjechać, bo wtedy tylko spacer i wypis do wychowawcy[4] będzie. Czekam, żeby na półotwarty[5] oddział trafić - więcej widzeń, spotkania z wychowawcą, praca będzie… Byle wytrwać do połowy kary. Potem już widzenia bezdozorowe, wokanda[6] i tylko krok do wolności.

Nie rozczulam się nad tym, co było. Przecież ja żyję, mój syn niedługo wyjdzie, moja córeczka jest bezpieczna. Nigdy nie będę już miała tego, co miałam.

Katarzyna Puerto Rodrigez[7]

(ur. 05.06.1961)
ofiara: mąż
motyw: zemsta
narzędzie zbrodni: obuch siekiery, poduszka, przewód elektryczny
przyznanie się do winy: tak
wyrok: 15 lat
koniec kary: 30.04.2018

Teść ofiary:

- Moim zdaniem albo uciekł do Portugalii, albo ktoś go zabił i zakopał w lesie. On miał wielu wrogów.

Policjant:

- A dlaczego świadek tak sądzi? - Bo w lesie są liście i zwłoki łatwo ukryć.

Czwartego marca 2002 roku Jan Rozentalski, pracownik Nadleśnictwa Lidzbark, wykonywał prace na terenie leśnictwa Kostkowo, w pobliżu Łężyna. Usuwałem suche gałęzie i chore drzewa po zimie, kiedy zauważyłem w pobliżu rozkopane miejsce. Zajrzałem do środka. Jakby kości ukryte płytko pod ziemią, w rozgrzebanym przez zwierzęta dole.

Początkowo sądził, że to szczątki zwierzęce, dopiero gdy podszedł bliżej, zauważył kość udową i resztę ciała. Wokół szyi denata ktoś zacisnął pętlę z przewodu elektrycznego.

Rozentalski natychmiast powiadomił komisariat policji w Lubawie. Oględziny wykazały, że są to zwłoki mężczyzny, który poniósł śmierć na skutek obrażeń czaszkowo-mózgowych.

Zidentyfikowano denata. Luis Philippe Puerto Rodrigez, obywatel Portugalii, od pół roku figurował na liście osób zaginionych. Ostatnio mieszkał w Lubawie z żoną Katarzyną, córką Julią i pasierbem Jarkiem. We wrześniu 2001 roku Katarzyna zgłosiła zaginięcie męża.

Wyszedł po zakupy i nie wrócił, jakby zapadł się pod ziemię.

Stanisław W. (brat Katarzyny) rozpoznał Luisa po jednym z jego charakterystycznych tatuaży. To mój szwagier. Leń, bandzior i tym podobne. Znałem go dziesięć lat, pracowałem z nim we Włoszech, mieszkałem w jednym pokoju. Brał się do każdej roboty, ale pracował najwyżej pół godziny, bo albo bolała go głowa, albo inna część ciała… Zawsze znalazł jakąś wymówkę. […] Potem potrzebował już skrzynki piwa, żeby się wyleczyć. To był człowiek na którego wystarczyło krzywo spojrzeć, a już dostawało się w głowę butelką. We Włoszech był w więzieniu, a w Lubawie też się w coś wplątał, bo wiem, że siedział, tylko go wypuścili.

Siostra wiedziała wcześniej, jaki on był, bo już we Włoszech bił ludzi i dokonywał rozbojów.

Nigdy się nie skarżyła.

Stefan W., drugi szwagier Luisa: Poznałem go we Włoszech. Nie spodobał mi się. Na pewno nie był człowiekiem do zakładania rodziny. Tylko brał zaliczki, których nie oddawał.

Nigdy niczego się nie dorobił.

Luis był drugim mężem Katarzyny. Wcześniej - w 1984 roku - wyszła za mąż za Waldemara K. i zamieszkała w Olsztynie. Kilka miesięcy później na świat przyszedł jej

pierwszy syn - Jarek. Życie nam się nie układało, więc się rozwiedliśmy. Ojciec Jarka założył nową rodzinę, nie utrzymywał z synem kontaktów. Początkowo mieszkałam z dzieckiem sama, potem wyjechałam do Włoch, do pracy.

We Włoszech pracowała jako sprzątaczka. Syna zostawiła u rodziców. Odwiedzała go kilka razy w roku, z okazji większych świąt: Bożego Narodzenia lub Wielkanocy. W 1992 roku poznała Luisa, Portugalczyka, który był kelnerem w jednej z restauracji, a potem wykonywał prace budowlane. We Włoszech mieszkał dwa lata, miał nawet obywatelstwo włoskie. Krępy mężczyzna, o ciemnej karnacji, falowanych czarnych włosach. Na klatce piersiowej, przedramionach i plecach miał liczne tatuaże. W lewym uchu nosił kolczyk z białym kamieniem. Ubierał się w dresy, najchętniej w kremowym kolorze, i w sportowe bluzy. W Portugalii zostawił żonę i dziecko. Nie interesował się ich losem i nie wysyłał im pieniędzy.

Katarzyna zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, bardzo szybko zamieszkali razem w Torvaiang na osiedlu „Nowa Floryda”. Kiedy była w ciąży, poznała rodziców Luisa, potem nie utrzymywała z nimi kontaktów. Pisała do rodziny, że w końcu ułoży sobie życie i że jest szczęśliwa. Rok później urodziła córeczkę Julię i postanowiła ściągnąć do Włoch starszego syna. Jarek zaczął uczyć się języka, kilka lat chodził do włoskiej szkoły. Mieszkał z matką, jej przyjacielem oraz przyrodnią siostrą w jednym pomieszczeniu.

Kiedy tylko we Włoszech pojawił się Jarek, związek Katarzyny i Luisa zaczął się rozpadać. Luis zaczął pić, wszczynał awantury, robił aferę z niczego, wyzywał mnie od kurew. Sądziłam, że w Polsce, w domu, będzie nam lżej, lepiej. Mieliśmy odłożone pieniądze.

Jak na polskie warunki mieliśmy dużo pieniędzy. Wróciliśmy.

W 1995 roku przyjechali do Rogatki[8], skąd pochodzi Katarzyna i gdzie do dziś mieszkają jej rodzice. Rodzice sprzedali trochę ziemi i podzielili pieniądze między czwórkę dzieci. Na spółkę z bratem Katarzyna kupiła kamienicę w Lubawie. Z mężem, synem i córeczką zamieszkali na poddaszu, resztę lokali wydzierżawili, a na dole otworzyli bar „Lubawianka”. Katarzyna zajmowała się sprzedażą, a Luis dowozem towaru. Sukcesywnie remontował też kamienicę - potrafił wykonywać prace budowlane i elektryczne. Państwo Puerto Rodrigez zamierzali sprzedawać mieszkania w kamienicy, odzyskać zainwestowany kapitał i dużo na tym zarobić. Postanowili się pobrać, uroczystość była skromna, odbyła się w lubawskim urzędzie stanu cywilnego.

Przez niedługi czas pomiędzy Katarzyną a Luisem panowały dość dobre stosunki.

Wtedy jeszcze działalność baru przynosiła spore dochody. Kiedy jednak pojawiły się kłopoty finansowe, w ich małżeństwie zaczęło się psuć. Aż w końcu doszło do kompletnego rozpadu związku. Luis przesiadywał w barze i pił ze wszystkimi, a dokładniej stawiał wszystkim.

Zdarzało się, że przepijał cały utarg.

Dodatkowo był zazdrosny o żonę, w domu zaczęło dochodzić do rękoczynów. Kiedy go zastępowałam, miał pretensje, że się uśmiecham do klientów. Katarzyna próbowała ratować ich małżeństwo, chciała wysłać męża na terapię. Nie zgodził się. Twierdził, że nie jest uzależniony, bo przecież nie musi pić, tylko tak lubi.

Stanisław W.: Największym wrogiem Luisa był alkohol. Kiedy był trzeźwy, to nawet dało się z nim porozmawiać, ale jak wypił, to dostawał szału i nie daj Boże, żeby mu się wtedy narazić. Raz w barze rozbił mi butelkę na głowie, do dzisiaj mam bliznę.

Zdarzało się, że Luis niszczył sprzęty w domu, rzucał nimi w żonę i pasierba.

Nie pokazywałam nikomu zniszczonych przedmiotów, ale ludzie dziwili się, że po raz trzeci w miesiącu zmieniamy aparat telefoniczny. A to Luis je rozbijał, kiedy chciałam zadzwonić po policję. Raz rzucił w nas grzejnikiem, ledwie zdążyłam odskoczyć. Jak go zabrali na izbę wytrzeźwień, sama musiałam za nią zapłacić, innym razem na komisariacie ręką rozbił szybę, koszty też ja pokryłam.

Okazało się, że założony przez Katarzynę bar nie przynosi spodziewanych zysków.

Zaczęli mieć kłopoty finansowe. Kobieta sprzedała kamienicę w Lubawie, wynajęła mieszkanie i zajęła się prowadzeniem sklepu. Postanowiła też zamknąć bar, bo sądziła, że to praca za barem „rozpiła" jej męża i gdy tylko zajmie się czymś innym, sytuacja się poprawi.

Stało się odwrotnie. Luis widząc, że zamiast zysków są same straty, był coraz bardziej agresywny. Wieczory spędzał na piwie w klubie bilardowym, a po powrocie wszczynał awantury.

W końcu Katarzyna namówiła go, żeby pojechał do Włoch dorobić. Sama zapłaciła za jego bilet autokarowy. Pisał do mamy listy, ale nie przysyłał pieniędzy, więc domyślałem się, że nie pracuje i nie zarabia - zeznał potem Jarek.

Katarzyna w tym czasie kupiła część kamienicy w Olsztynie i urządziła sklep. Jarek kończył szkołę zawodową, Julia chodziła do podstawówki. Katarzyna kilka razy w tygodniu jeździła autobusem do Olsztyna doglądać sklepu. Chciała się tam przeprowadzić.

Zainwestowała nawet w towar i zatrudniła sprzedawczynię. Jednak po czterech miesiącach, zanim zdążyła zorganizować przeprowadzkę, ktoś włamał się do sklepu i zrabował wszystko, co dało się wynieść. Katarzyna straciła prawie cały majątek.

Po trzech latach nieobecności Luis wrócił z Włoch. Okazało się, że nie pracował, ponieważ siedział w więzieniu - odwieszono mu dawny wyrok za rozbój. Był bez grosza, ale nawet nie rozejrzał się za pracą. Katarzyna też była bezrobotna. Żyli z oszczędności, które bardzo szybko topniały.

Krótko potem Luis wszczął awanturę w klubie bilardowym „Marinero" w Lubawie.

Był tam wtedy jego pasierb. Obaj stanęli przed sądem za pobicie - Jarek dostał wyrok w zawieszeniu, Luisowi groziło wieloletnie więzienie. Katarzyna poręczyła za męża, więc zamieniono mu areszt na dozór policyjny, Luis znów zamieszkał z rodziną. Chciał jednak jak najszybciej sprzedać wszystko i wyjechać z Polski. Naciskał na żonę, ale ona nie chciała się zgodzić. Zbyt wiele mogłam stracić, więc kilka razy dziennie się kłóciliśmy. Luis groził, że wyjedzie sam i zabierze wszystkie pieniądze. Byłam pewna, że może to zrobić - zeznawała potem Katarzyna. Raz w tygodniu państwo Puerto Rodrigez jeździli w odwiedziny do Rogatki, do rodziców Katarzyny. Jarek: Luis zgrywał wtedy aniołka. Czasem - po alkoholu - mu się nie udawało i kłócił się przy stole z mamą. Krzyczał na nią po włosku, więc dziadkowie nic nie rozumieli. Mimo iż Luis mieszkał w Polsce siedem lat, nigdy nie nauczył się mówić po polsku. Potrafił powiedzieć kilka prostych zwrotów i siarczyście przekląć. Ze wszystkimi porozumiewał się na migi (poza włoskim i ojczystym - portugalskim, żadnego innego języka nie znał).

Rodzice Katarzyny podejrzewali, że ten związek nie był udany. Bali się, że kolejne małżeństwo córki się rozpadnie. Nie wtrącali się jednak, ob serwowali wszystko z daleka.

Córka była skryta, a my nie znaliśmy włoskiego. Nie mogliśmy nic zrobić. Jednak czasami tak krzyczał, że nawet ja się go bałam - zeznała w trakcie procesu matka kobiety.

W przeciwieństwie do męża, nie znosiła zięcia. Uważała, że jest zbyt hałaśliwy i nieobliczalny.

Kłótnie szły o pieniądze. Luigi winił Kasię, że interesy idą źle i mają coraz mniej pieniędzy, na które tak ciężko pracowali. W końcu sprzedali sklep, bar i kupili nowiutkiego renaulta clio.

Luigi namawiał córkę, żeby przerobić auto na gaz, bo będzie taniej. Luis naciskał, żeby kupili samochód, bo chciał nim uciec do Włoch. Katarzyna zarejestrowała więc auto na siebie, a jako głównego użytkownika ustanowiła Jarka. W ten sposób zabezpieczała się przed tym, żeby mąż nie zabrał samochodu.

Rodzicom nie mówiła, jaki koszmar rozgrywa się za drzwiami ich domu, nie skarżyła się też rodzeństwu. Nawet jej bracia, którzy znali Luisa i wiedzieli, że jest porywczy i dręczy ją psychicznie, nie podejrzewali, że może ją bić. Przed sąsiadami udawała szczęśliwą małżonkę. Opowiadała, jaki jest szarmancki, dowcipny, wymyślała niestworzone historie o tym, jakie prezenty przywozi jej z zagranicy.

Jedyną osobą, z którą o tym rozmawiała i której się zwierzała, był jej szesnastoletni syn - Jarek. Chłopak podczas awantur często stawał w obronie matki. Luis był niski - zaledwie 160 cm wzrostu, krępy, miał brzuch. Syn Katarzyny był od niego szczuplejszy, ale wyższy (miał ponad 170 cm wzrostu) i bardziej zwinny. W obecności Jarka matka czuła się bezpieczniej, dlatego często prosiła go, by był wieczorami w domu. Jarek nigdy nie miał kłopotów z nauką, nie wagarował. Raczej nie piłem alkoholu, od czasu do czasu zapalałem sobie trawkę. Kłopotów wychowawczych ze mną nie było. Był mocno związany z matką, pomagał jej we wszystkim. Jego biologiczny ojciec nie utrzymywał z nim kontaktów. Ojczym także nie interesował się ani nim samym, ani jego przyszłością. Traktował go jak intruza w domu. Zarzucał mu, że za dużo je. Żądał, żeby więcej pracował i pomagał w barze, choć chłopak jeszcze chodził do szkoły. Uważał, że wszystkie kłopoty z żoną są związane z obecnością jej syna z pierwszego małżeństwa. W towarzystwie i w obecności rodziny krzyczał do Jarka, żeby mówił po włosku, bo nic nie rozumie. Oskarżał Jarka i Katarzynę, że spiskują przeciwko niemu. Zawsze znalazł powód, by się z nim posprzeczać.

Podczas jednej z awantur Luis przyłożył żonie nóż do gardła i zagroził, że zarżnie ją i dzieci. Jeszcze tego samego wieczoru Katarzyna powiedziała synowi, że dłużej już tego nie zniesie. Nie mogę tak żyć. Myślę tylko o tym, żeby go zabić. Czy ty mógłbyś to zrobić? Bo ja nie mogę…

Syn zgodził się natychmiast. Postanowili zabić Luisa w czasie snu.

Katarzyna wybrała dogodny termin (początek września 2002), kiedy córka Julia miała wyjechać na wycieczkę szkolną. Ustaliła to z synem, żeby mógł się przygotować. Kilka dni później wręczyła mu trzydzieści złotych. Jarek kupił za nie siekierę w jednym z lubawskich sklepów z narzędziami. Przyniósł ją do domu pod kurtką i schował pod swoim biurkiem.

Około dwudziestej drugiej rodzina położyła się spać. Wszyscy zajmowali jedno duże pomieszczenie - na jednym szerszym łóżku spała Katarzyna z Luisem (on od brzegu), a Jarek i Julia na dwóch oddzielnych, pojedynczych łóżkach. W nocy, około trzeciej nad ranem, Katarzyna zbudziła Jarka. Oczami dała mu znak, że już czas. Sama usiadła na łóżku, w którym spała córka, i otuliła ją kołdrą. Jarek poszedł po siekierę. Podszedł do ojczyma i dwukrotnie uderzył go obuchem w czoło, żeby go ogłuszyć. Potem zakrył mu twarz poduszką. Trzymał tak długo, aż ten się udusił. Zabójstwo odbyło się praktycznie w ciszy.

Następnego dnia rano Katarzyna odprowadziła Julię do autobusu, którym córka miała

wyjechać na wycieczkę. Dziewczynka niczego nie podejrzewała. Wychodząc, była przekonana, że ojciec jeszcze śpi. Martwy Luis wciąż leżał w łóżku, faktycznie jakby spał.

Po powrocie do domu Katarzyna z synem sprzątnęli mieszkanie. Zwłoki Portugalczyka ściągnęli na podłogę. Na głowę założyli mu plastikowy worek i obwiązali go kablem elektrycznym, który pozostał po montażu telefonu. Katarzyna we wszystkim pomagała synowi. Kawałkami tego samego kabla związali martwemu Luisowi nogi i ręce, po czym zawinęli zwłoki w dywan, okręcili sznurkami i schowali pod łóżko. Poczekali do wieczora i pod osłoną nocy wynieśli je do auta, z którego Jarek wyjął wcześniej siedzenia.

Nad ranem pojechali w kierunku Prątnicy, żeby pozbyć się ciała. Zabrali ze sobą siekierę i szpadel. Miejsce wybrali już wcześniej - Jarek wykopał tam dół o głębokości sześćdziesięciu centymetrów, do którego wrzucił dywan ze zwłokami Luisa.

Po powrocie Katarzyna spaliła w piecu zakrwawione poduszki, koc, na którym wieźli zwłoki, oraz trzonek od siekiery. Ostrze zawinęła w reklamówkę i wyrzuciła po drodze z okna samochodu, kiedy kilka dni później jechała w odwiedziny do rodziców. Następnego dnia zgłosiła zaginięcie Luisa.

Minął miesiąc. Policja wciąż poszukiwała Portugalczyka. Katarzyna i Jarek poczuli się bezpieczniej. Byli przekonani, że nikt nigdy nie znajdzie ciała ich prześladowcy.

Po zabójstwie męża Katarzyna ledwie wiązała koniec z końcem, tonęła w długach.

Luis miał protezę ręki - efekt brawurowej jazdy na motocyklu i wypadku, jeszcze w Portugalii. A w nodze zamiast kości piszczelowej miał wstawioną blachę. Przed śmiercią wielokrotnie chwalił się, że jest wykonana z platyny. Któregoś wieczoru zaproponowała synowi, żeby wrócić na miejsce zakopania zwłok, wyjąć z nogi Luisa platynową blachę i śruby, a potem to sprzedać. Miała nadzieję, że w ten sposób uda im się pozbyć dłużników.

Początkowo wszystko przebiegało zgodnie z planem. Katarzyna i Jarek pojechali na miejsce pochówku Luisa, wykopali ciało i odrąbali nogę, w której miały być platynowe blachy. Ponownie zakopali zwłoki, a nogę zapakowali w worek po ziemniakach. Potem pojechali w ustronne miejsce w okolice miejscowości Losy za Lubawą i odkręcili protezę od kości. Pozostałą część nogi - kość z nadgniłym ciałem - zapakowali do tego samego worka, obciążyli kamieniami i wrzucili do jeziora. Rok później nurkowie odnaleźli ją i był to jeden z dowodów w sprawie.

Kilka dni później pojechali do Warszawy, żeby spieniężyć protezę. Nie udało im się jednak znaleźć nabywcy blach i śrub protezy. Ruszyli więc do Gdańska, do zakładu pobierczego. Na miejscu okazało się, że proteza była wykonana z bezwartościowego metalu.

Postanowili jak najszybciej pozbyć się protezy i wyrzucili ją przy drodze. Jarek zostawił w kieszeni jeden wkręt, umył go z krwi i nosił ze sobą. Nigdy nie wyjaśnił, po co i dlaczego nie wyrzucił go jak resztę dowodów.

Pod koniec grudnia Katarzyna postanowiła wyjechać do Włoch, żeby zarobić jakieś pieniądze. Rodzinie powiedziała, że jedzie szukać Luisa, popytać o niego znajomych. Tydzień później zadzwoniła i powiedziała Jarkowi, że nikt nie szuka Luisa, ani nie podejrzewa, że stało się coś złego. Wobec tego postanowili, że Katarzyna zostanie do lutego i zarobi trochę pieniędzy. Wieść o tym, że Katarzyna szuka męża, dotarła do matki Luisa. Zadzwoniła z Portugalii - odebrał Jarek. Powiedziałem jej, że pewnie nielegalnie przekroczył granicę[9] i dlatego nie daje znaku życia. W każdym razie my nie wiemy, gdzie może być.

Minęła jesień, zima. Nadeszła wiosna. Przez cały ten czas Luis figurował na liście zaginionych. Nikt z rodziny nie interesował się jego losem. Stefan M. szwagier: Prawdę mówiąc nie interesowało mnie to. Nie podejrzewałem, że stało mu się coś złego. Ktoś taki jak on poradzi sobie zawsze. Myślałem: za granicę nie mógł wyjechać, bo miał dozór i został zatrzymany jego paszport. Jedyne co, to mógł opuścić Polskę nielegalnie.

Katarzyna zdążyła dwa razy wyjechać do Włoch do pracy i wrócić. Dopiero wiosną, gdy stopniał śnieg i rozmarzła ziemia, a zwierzęta rozgrzebały dół w poszukiwaniu pokarmu - odkryto zwłoki i sprawa zabójstwa wyszła na jaw.

Po ujawnieniu zwłok i zbadaniu ich w prosektorium szpitala powiatowego, Katarzyna była oczywiście pierwszą podejrzaną w sprawie. Natychmiast przeszukano auto, w którym technicy znaleźli ręcznik i narzutę ze śladami krwi Luisa. Brunatne ślady były także na podłodze auta, tapicerce, szafkach. Znaleziono też śrubę z protezy ojczyma, którą Jarek przez cały ten czas nosił w kieszeni kurtki. Pobrano fragmenty tkanek z nogi Luisa i porównano je z substancjami zabezpieczonymi podczas oględzin mieszkania Katarzyny, po czym stwierdzono, że pochodzą od jednej osoby. Matka i syn zostali zatrzymani pod zarzutem zabójstwa Luisa Puerto Rodrigeza.

Katarzyna przyznała się już podczas pierwszego przesłuchania. Twierdziła, że Luis znęcał się nad nią psychicznie. Powiedziała, że planując zabójstwo, nie zastanawiała się, co będzie z synem. To moja wina. Jako dorosła osoba i matka wykorzystałam niewinne dziecko jako narzędzie zbrodni. Syn jest niewinny, to ja go do tego pchnęłam. Wiem, że on mnie kocha i jest w stanie zrobić dla mnie wszystko. Dopiero teraz mam świadomość, że zmarnowałam życie sobie i dzieciom - oświadczyła. - Gdybym mogła to wszystko odwrócić, wyjechałabym z dziećmi w jednych majtkach. Jarek dowiedział się, że matka przyznała się do winy, i zrobił to samo. Wyjaśniał, że ojczym znęcał się nad nimi, był agresywny, nieobliczalny, terroryzował rodzinę. Nie mogłem na to patrzeć.

We wstępnej fazie śledztwa całą winę wziął na siebie. O zabiciu ojczyma zdecydowałem ja i to ja zrealizowałem ten plan. Podczas procesu jednak przyznał, że we wszystkim pomogła mu matka.

On rzucał się na mamę z nożem. Jak stanąłem w jej obronie, złapał mnie i przyłożył mi nóż do gardła. Potem uderzył mnie, aż upadłem, i kopał mnie. Krzyczał po włosku, że jak będę się wpierdalał, to mnie zabije. Julia krzyczała ze strachu, ani słowa nie rozumiała po włosku. Kiedy stamtąd wyjeżdżaliśmy, była maleńką dziewczynką. Innym razem obroniłem mamę, bo on chciał ją udusić. Rzuciłem się na niego, a mama uciekła. Żałuję tego, bo nigdy nie daruję sobie, że przez niego zmarnowałem sobie życie. Sobie, mamie i siostrze. Ale wtedy nie widziałem innego wyjścia z sytuacji. Wszystko to razem narastało, aż pękło. Oboje zostali poddani obserwacji psychiatrycznej. Stwierdzono, że mieli w pełni zachowaną zdolność rozpoznania zarzucanych im czynów. Nigdy nie byli karani sądownie, mieli pozytywne opinie w miejscu zamieszkania. To nie było działanie pod wpływem emocji - Katarzyna wszystko zaplanowała, a Jarek wykonał. Oboje ponoszą winę za tę zbrodnię. Dwudziestego dziewiątego listopada 2002 roku do sądu w Elblągu trafił akt oskarżenia przeciwko obojgu.

Kiedy rozpoczął się ich proces, w styczniu 2003 roku, Katarzyna złożyła wniosek o wyłączenie jawności rozprawy. Chcę wyjawić intymne szczegóły naszego pożycia małżeńskiego - tłumaczyła. Sąd przychylił się do jej prośby. Uznał, że rozprawy będą się odbywały za zamkniętymi drzwiami, gdyż jawna rozprawa może wywołać poczucie wstydu

i zakłopotania Katarzyny podczas szczegółowych wyjaśnień.

Mój mąż był brutalny przed i w trakcie stosunków płciowych. Na przykład bił mnie w trakcie po twarzy albo związywał mi ręce. Chciał się kochać np. od tyłu, a ja nie miałam na to ochoty, bo to było bolesne i krępujące. Lubił, kiedy odczuwałam ból i zwykł to robić na siłę.

Kiedy nie chciałam się zgodzić, wyzywał mnie, używając wulgarnych wyrażeń w języku włoskim. Czasami wystarczyło jedno słowo albo spojrzenie i awantura była gotowa. W końcu i tak zawsze wymuszał na mnie te rzeczy. Zwykle był wtedy pijany. Spokój w domu był tylko wtedy, kiedy wyjeżdżał za granicę, ja przez lata starałam się zrobić wszystko, byle nie dopuścić do takich sytuacji. Kiedy był pijany, zwykle i tak właził do łóżka. Gwałcił mnie, bo nie chciałam się z nim kochać, a ja nie mogłam się przemóc - zapach alkoholu mnie odstręczał. Czasem jednak godziłam się na wszystko, żeby dzieci nie musiały słuchać jego krzyków. Nie mówiłam tego podczas pierwszych wyjaśnień, bo się wstydziłam. Jego brutalność przejawiała się nawet samym tylko spojrzeniem. Kiedy coś mu nie wyszło albo coś było nie tak, patrzył na mnie w sposób, który wskazywał, że gotów jest mnie udusić. W czasie awantur podbiegał do mnie i zamachiwał się. Jak Julia była mała, starałam się nią zasłaniać, ale potem i to nie pomagało. Rzucał się i na małą. Jeśli nie było jej w pobliżu, bez ogródek rzucał się na mnie, dusił albo bił po całym ciele. Katarzyna płakała, składając te zeznania. Na pytanie sądu, dlaczego w śledztwie nie mówiła o tym, że była dręczona, odpowiedziała, że pierwszy raz w życiu rozmawiała z prokuratorem. Te awantury były normą. Czasem wybuchały dwa, trzy razy dziennie, a czasem tygodniami był spokój. Sąsiedzi wiedzieli o wszystkim, słyszeli co dzieje się u nas, pewnie nie chcieli się wtrącać. Zresztą, jak Luis krzyczał po włosku, ludzie nie rozumieli, co on wykrzykuje. Tylko raz podczas takiej awantury uciekłam do sąsiadów. Rodzinie też nic nie mówiłam, ale mogli się czegoś domyślać, bo był porywczy na co dzień.

Katarzyna dodała, że nie mogła od niego odejść, bo Luis zagroził, że prędzej zabije ją i dzieci, niż da jej rozwód. Z pierwszym mężem bez problemu się rozstałam, bo on miał inne podejście.

Prokurator żądał dla Katarzyny dwudziestu pięciu lat więzienia, a dla jej syna Jarka - piętnastu. Ich obrońca prosił o złagodzenie kary ze względu na to, że Portugalczyk znęcał się przez wiele lat nad rodziną. Katarzyna w ostatnim słowie przed wydaniem wyroku: Wiem, że zrobiłam źle i muszę ponieść karę, ale proszę o łagodniejszą karę, bo chciałabym jeszcze pożyć z moimi dziećmi.

Jarek: Bardzo żałuję tego, co się stało, ale najbardziej cierpię z tego powodu, że mama też jest w więzieniu. Proszę wziąć pod uwagę, że mam jeszcze młodszą siostrę. Chciałbym zobaczyć ją, jak rośnie.

Julia uchodziła za jedną ze zdolniejszych uczennic w szkole. Nie miała kłopotów z nauką, była chwalona. Nauczyciele nigdy nie zauważyli na jej ciele siniaków. Nigdy nie skarżyła się, nie docierały do nas żadne sygnały - zeznała jej nauczycielka. Tak naprawdę panicznie bała się ojca, choć pozornie nie żałował jej niczego. Kupował jej zabawki, ale nie okazywał miłości - stwierdził podczas procesu Jarek.

Po aresztowaniu matki i brata Julią zaopiekowała się siostra Katarzyny, Dorota M.[10]

Za ojcem nie tęskniła, ani o niego nie pytała. Bała się go - zeznawała. - Mówiła mi, że tata dużo i często pił. Czasami wracała ze szkoły i zastawała mamę płaczącą na schodach, bo tata był w mieszkaniu i nie wpuszczał jej do środka. Podobno groził, że ich wszystkich

pozabija, a zacznie od Julii. Dlatego dziecko ma w sobie lęk.

Dziewczynka dopiero po kilku miesiącach terapii u psychologa i pedagoga zaczęła rozmawiać z ciocią o tym, co tak naprawdę działo się w ich domu.

Ojciec bił ją pasem - zeznała babcia, Maria W. - Julia opowiadała mi, że wcześniej ten pas moczył w wodzie, żeby z tyłka leciała krew. Innym razem przy stole tak uderzył mamę, że łeb spadł jej do talerza. Zdarzało się, że moja córka nocowała na schodach i dopiero jak Luis zasnął, Julia po kryjomu wpuszczała ją do środka. Takich rzeczy dziecko nie mogło wymyśleć. Dopiero teraz, po kilku latach Julia otwiera się, różne rzeczy jej się przypominają.

Babcia stwierdziła, że to były zięć sprowokował Katarzynę i Jarka do zabójstwa. Oni byli pod jego pręgierzem przez lata!

Kiedy zaczął się proces Katarzyny, Julia była pod opieką psychologa. Sytuacja w domu spowodowała poważne zaburzenie jej poczucia bezpieczeństwa. Z jednej strony agresja ojca, z drugiej bierność matki, która nie potrafiła przeciwstawić się mężowi, a potem wyjechała na kilka miesięcy za granicę. Mimo tego stanu psychicznego Julia musiała złożyć zeznania przed sądem, ponieważ miała być kluczowym świadkiem w sprawie. Chodziła wtedy do trzeciej klasy szkoły podstawowej.

Mieszkam teraz z ciocią. Wcześniej mieszkałam z Jarkiem i mamą. Z nami mieszkał też tata, ale krótko, bo wyjechał do Włoch. Wtedy było dobrze. Było źle, jak on z nami był, bo pił piwo z butelki i krzyczał. Nie wiem co, bo to było po włosku. On krzyczał do nas, jak pił, moim zdaniem bez powodu. Nieraz dużo tego piwa pił. Tata bił Jarka, mnie i mamę. Nie wiem dlaczego, taty za to nikt nie bił. Ja nikomu nie mówiłam, jak jest w domu. Tata mi zabronił mówić. […] Raz przyłożył Jarkowi nóż do gardła. To był duży nóż, do krojenia mięsa. Taki duży (pokazuje). Płakałam, bo kocham Jarka i nie chciałam, żeby tata zrobił mu krzywdę. Wtedy go puścił. Bardzo się wtedy bałam. Mama nieraz mówiła, że on krzyczy, że nas pozabija. Ja mówiłam do niego po polsku, a on rozumiał. Jak on mówił do mnie po włosku, to mama mi tłumaczyła. Mama nie rozmawiała ze mną, co się stało z tatą.

Psycholog stwierdził, że dziewczynka nie ma skłonności do konfabulacji, ale dąży do zablokowania wszystkich nieprzyjemnych wspomnień z dzieciństwa. Dlatego podaje jedynie ogólny zarys nieprzyjemnego zdarzenia, pomijając szczegóły i relacje przyczynowo skutkowe. Dopiero teraz powoli wraca do równowagi psychicznej. Mieszka z ciocią i babcią - jest obdarzana miłością i opieką. Kiedy nie opowiada o sprawie, jest pogodna, uśmiechnięta.

Z radości nawet zaczyna tańczyć. W szkole ma średnią ocen pięć.

Za ojcem nie tęskni, choć wie, że nie żyje. Jest związana z matką i ukochanym bratem Jarkiem, który się nią opiekował. Jedyne jej wspomnienie związane z ojcem to gry telewizyjne, których dziś nie znosi.

Trzydziestego kwietnia 2003 roku Sąd Okręgowy w Elblągu wydał wyrok skazujący w sprawie o zabójstwo Luisa Puerto Rodrigeza. Katarzyna dostała piętnaście lat więzienia, Jarosław - osiem. Żadne z nich nie składało apelacji.

Oboje mają bardzo dobrą opinię w zakładach karnych. Jarek jest zatrudniony w więziennej kuchni - wydaje posiłki. Pracuje nieodpłatnie. Jest postrzegany jako osoba życzliwa, odpowiedzialna, nie sprawia żadnych kłopotów. Katarzyna zwracała się do Prezydenta RP o ułaskawienie syna, jednak dostała odpowiedź odmowną.

Piątego marca 2007 roku Jarek nabył prawo do przedterminowego zwolnienia

warunkowego. Katarzyna ma do odsiadki jeszcze dziesięć lat.

Sąsiad 1: To była dobra, porządna rodzina. Ten pan był głośny, wiadomo, jak to Włoch. Poza tym uczynny, miły, pomagał na przykład wnosić wózek na górę.

Sąsiadka: Nigdy nie widziałam go pod wpływem alkoholu. Pani Katarzyny także.

Sąsiad 2: Oni byli normalni - i ona, i on. Nie widziałem, żeby nie wpuszczał jej do mieszkania.

Ojciec Katarzyny po zaginięciu zięcia: Luigi to był dobry chłop. Przywoził dużo prezentów, czasem, jak się pytał, o czym rozmawiamy, ona się niecierpliwiła i krzyczała na niego. A dlaczego, to nie wiem. Nie widziałem siniaków, nie mówiła, że chce się rozwodzić.

Luigi miał poczucie humoru - mówił, że jak umrze, to Katarzyna ma wyjąć z jego nogi platynę i sprzedać. Bo szkoda, żeby się w ziemi marnowała.

EPILOG 2012

Katarzyna Puerto Rodrigez nadal przebywa w grudziądzkim więzieniu. Stara się o zwolnienie warunkowe. Ma bardzo dobry kontakt z synem. Młodszą córką zajmuje się babcia.

Odwiedzają Katarzynę w więzieniu.

***

[1] Luigi to oficjalna forma pieszczotliwego zdrobnienia Luis.

[2] Nazwa miejscowości zmieniona.

[3] Oddział zamknięty dla niebezpiecznych więźniów, osadzone cały dzień muszą przebywać w swoich celach, mają jedynie godzinę spaceru dziennie.

[4] Aby spotkać się z wychowawcą, psychologiem, otrzymać paczkę, osadzone muszą składać odpowiednie wnioski do administracji więzienia.

[5] Oddział w którym osadzone mają więcej przywilejów, np. mogą dowolnie wychodzić z celi, odwiedzać się, rozmawiać z osadzonymi w innych celach bez konieczności pytania o zgodę funkcjonariuszy, którzy ich pilnują. Mają prawo do większej ilości widzeń i inne przywileje.

[6] Rozprawa przed sądem penitencjarnym o przedterminowe zwolnienie warunkowe po odbyciu ponad połowy zasądzonej kary.

[7] Nazwisko zmienione ze względu na dobro dzieci.

[8] Nazwa zmieniona.

[9] Nie mógł przekroczyć legalnie, ponieważ miał wyrok, ale dzięki poręczeniu żony zamiast pójść do więzienia, miał dozór policyjny - musiał się co tydzień zgłaszać na komisariat policji, która też zatrzymała w depozycie jego paszport.

[10] Imię zmienione.

Mirosława

Wstyd

To nie jest tak, że po dokonaniu zbrodni można nadal funkcjonować jak poprzednio.

Poczucie winy jest tak silne, że nie można spać, jeść, zwłaszcza gdy zostaje się samemu.

Najgorzej jest w nocy. Ludzie po procesie mnie potępiali: jak ona mogła przez te jedenaście miesięcy normalnie mieszkać i żyć w tym domu. A nikt nie wiedział, jakie tortury przeżywałam. Do dziś miewam sny, w których on do mnie przychodzi. Nawet po śmierci nie daje mi spokoju. To, że go zabiłam, niczego nie zmieniło. Wciąż się go boję. Już go zabijałam kilkanaście razy; już do niego strzelałam w nocy z pistoletu, już go dusiłam gołymi rękami, kiedy się do mnie dobierał, i krzyczałam: Piorunie, przecież nie żyjesz, czego chcesz ode mnie!

Mój mąż był zupełnym przeciwieństwem mojego taty. Takim jego negatywem. Tatuś był domatorem, dbał o rodzinę, mamę szanował i kochał. Rodzice mówili do siebie po imieniu; Irena, Lucek, czasami pieszczotliwie. Nigdy nie słyszałam, żeby się kłócili, o rękoczynach i alkoholu w ogóle mowy nie było. Tata był dowcipny, miał niesamowite poczucie humoru, każdy problem rozwiązywał na wesoło. Grał na akordeonie i perkusji, kiedyś miał nawet swój pięcioosobowy zespół - widziałam zdjęcia z jego młodości, z chłopakami z kapeli. W podstawowej szkole obsługiwali choinki noworoczne, a w sezonie - wesela. Bardziej go kochałam niż mamę.

Podobno, jak mamusia była w ciąży, tatuś nazywał mnie Piotruś, Tomek, różnie, ale nie imieniem dziewczynki. I tak, kiedy się urodziłam, zostałam Mirkiem. Wszyscy w domu tak do mnie mówili. Kiedy skończyłam osiemnaście lat i trzeba było sobie zrobić dowód osobisty, to miałam kłopoty, bo tatuś nigdy się nie pochwalił, że w jego dowodzie zapisana byłam jako syn - Mirosław Nowak (moje nazwisko panieńskie). Pewnie urzędnik, który mnie rejestrował, był pijany i „a" nie dopisał. A może nie zmieściło mu się w rubryce? W każdym razie tatuś nigdy tego nie sprostował. Chciał mieć syna.

W dzieciństwie z dziewczynkami mało się bawiłam. Bardziej z bratem i sama. Taka Zosia-Samosia. Z kolegami brata i z tatusiem wszędzie. Interesowały mnie męskie sprawy i męska praca. Zawsze miałam zwierzaki, samochody, kolejki. Wolałam marynarzy i wojsko od laleczek. Potem moje zabawki rodzice oddali synowi sąsiadów, to chyba świadczy samo za siebie. Całe życie pracowałam jak mężczyzna, w męskim zawodzie. Chociaż najpierw poszłam do takiej szkoły, jaką tatuś sobie wymarzył, czyli do medyka[1]. Miałam być pielęgniarką.

Miałam piętnaście lat, kiedy nagle zmarł. Zawsze był szczupły i chorowity, zwłaszcza żołądek miał delikatny. Wielu rzeczy nie mógł jeść, ale mamusia specjalnie dla niego gotowała i było dobrze. Aż tu nagle atak serca. Pojechałam do szkoły w niedzielę, do internatu w Brodnicy, a w poniedziałek bratowa do mnie przyjechała. Jedziemy do domu - powiedziała i za nic nie chciała zdradzić, co się stało. Prosiłam ją, błagałam. W końcu zażądałam jak mężczyzna: Mów, o co chodzi! I mi powiedziała. W pierwszej chwili zareagowałam spokojnie: Nie żyje, trudno. Po co my tu stoimy i gadamy. Idziemy do domu.

Chyba po prostu nie chciałam w to wierzyć. Dopiero po kilku dniach do mnie dotarło.

Tatuś zmarł trzynastego kwietnia, już dwudziestego zaczęłam chorować. Wtedy zaczęły

się te moje straszne bóle głowy. To zresztą trwa do dziś. Na stres reaguję potwornym bólem, graniczącym z migreną.

Potem w związkach szukałam wiernej kopii taty. Chciałam, by mój mąż był domatorem, szanował mnie i dzieci. I kiedy wychodziłam za mąż, myślałam, że to jest dokładnie taki ktoś. To nie było małżeństwo z miłości. Tylko z rozsądku. Myślałam, że znalazłam człowieka, a nie potwora.

Kochałam wcześniej innego, ale nie mogłam z nim być, bo nie chciałam opuścić rodzinnego domu. A Andrzej właśnie zaczynał studia w Wyższej Szkole Chorążych Pożarnictwa w Poznaniu. Chciał, żebyśmy razem wyjechali, żebym z nim zamieszkała i tam dokończyła naukę. A ja uparłam się, że nie chcę mamusi samej zostawić. Jak się oświadczył, to powiedziałam, że owszem, wyjdę za niego, ale dopiero jak skończę szkołę. Załamał się.

Pokłóciliśmy się na amen.

Dwa tygodnie później dowiedziałam się, że on nie żyje. Zabił się, znaczy zginął w wypadku. Może ze dwa tygodnie wcześniej kupił sobie superszybki motocykl i jechał do pracy. Wjechał prosto pod wóz strażacki, ten sam, którym w pracy jeździł. Zginął na miejscu.

To był dla mnie kolejny straszny cios. Od śmierci taty minęło wtedy trzy lata, dopiero jako tako się poskładałam. Jak Andrzej zginął, całkowicie pusta się poczułam.

W głębi duszy zaczęłam obwiniać mamę. Że przez nią tutaj zostałam. A przecież to nie była jej wina, tylko mój błąd. Dlaczego nie porozmawiałam z rodzeństwem, nie powiedziałam: Zajmijcie się mamą, ja wyjdę za mąż, wyjadę stąd? Dlaczego czułam się w obowiązku zostać i opiekować się nią? Wtedy wydawało mi się to konieczne. Bo ona musi mieć kogoś.

Kiedy zginął Andrzej, wtedy ktoś bardzo mi bliski, zaczęła we mnie rosnąć złość na cały świat. Znów odszedł ktoś, kogo kochałam. Jeszcze jedna porażka, osobista. Nikomu nic nie mówiłam, dusiłam to w sobie i cierpiałam. Wtedy po raz pierwszy zaczęłam stosować strategię wycofywania - wmawiałam sobie, że nikogo nie obchodzą moje problemy, że nikt mnie nie słucha, i zaczęłam wszystko trzymać w sobie. Jeśli potem, w przyszłym życiu, rozmawiałam z kimkolwiek, na przykład z mężem, i dostrzegałam, że on się nie skupia, natychmiast przestawałam mówić. Zamykałam się w sobie, gnębiłam się w środku i nie mówiłam, bo wydawało mi się to bez sensu.

W końcu o swoim życiu z nikim nie rozmawiałam. Wstydziłam się.

Dwa lata po śmierci Andrzeja poznałam Staszka. Pochodził z pobliskiej wioski, tylko większej troszeczkę, to była już gmina. Zaczęłam pracować w skupie trzody chlewnej, a wtedy rok 80. się zbliżał, ciężkie czasy. Ograniczenia z paszą, opałem - wszystko było reglamentowane. Staszek przyjeżdżał po to wszystko. Rolnik, wiadomo, potrzebował.

Wszystkie koleżanki się w nim podkochiwały. Każdy go znał, bo miał pieniądze, był dobrą partią w okolicy. Ja też znałam jego rodziców. Jeszcze w szkole podstawowej o nich słyszałam, bo to była znana rodzina. Bardzo dobrze im się powodziło, byli jednymi z najbogatszych gospodarzy we wsi. Jego ojciec miał gospodarkę i prowadził sklep wielobranżowy. Tylko Staszka nie znałam.

Zaczął do mnie smalić cholewy. Zapraszał mnie na obiady, popisywał się, że ma pieniądze. Proponował tańce i przyjęcia przy wódce. Muszę przyznać, że był bardzo szarmancki. Kobiety, które ze mną pracowały, a wcześniej dawały się zapraszać na wódkę

i bawiły się z nim, potwornie mi zazdrościły, że Staszek akurat mnie sobie upatrzył. On myślał, że ja jestem taka rozrywkowa jak jego dotychczasowe znajome, które często miały nawet mężów i dzieci. Ale ja byłam inna. I w końcu to właśnie mu się spodobało. To, że jestem porządna, grzeczna, elegancka. Szanuję siebie i swoją reputację.

Ale ja miałam wtedy dwadzieścia lat i byłam głupia. On też był inny. Miał jeszcze przebłyski, że mógłby żyć bez wódki, bez ohydnego towarzystwa, gdzie jest wulgaryzm, przypadkowy seks i to wszystko. Łudziłam się, że można z niego zrobić kulturalnego człowieka. Wydawał się czasem taki zagubiony i wyznaczyłam sobie misję, że go nawrócę na dobrą drogę. Chciałam mu pomóc, żeby nie sięgał po kieliszek i wierzyłam, że mi się uda.

Dobrze się z nim czułam. Nie to, że pan Romanowski, mój mąż, to już głowa do góry, tylko normalnie. Dobrze razem wyglądaliśmy. On blondyn, ja czarna. Mówili, że ładna z nas para. Ale mnie to nie obchodziło. Myślałam, że zrobię z niego człowieka. I to będzie „ten człowiek" tylko dla mnie.

W sumie nie był nawet przystojny. Miał trzy razy złamany nos, blizny na żuchwie, bo był zawadiaką i ktoś mu kiedyś kaskiem przywalił. Potem przybyło mu tych blizn na twarzy, bo jak wracał pijany, to gdzie się przewrócił, tam leżał.

Były chwile, kiedy za niego się wstydziłam. On wyśmiewał się z ludzkich wad; z ludzkiej mowy, z ludzkiej postawy, z ludzkiego ubioru. Swoich wad nie widział. Uważał się za najlepszego pod słońcem, a innych wciąż krytykował. Powinien tak powiedzieć, tak zrobić… Tylko mnie nie krytykował, bo nie miał podstaw. Ja po prostu wiedziałam, jak chcę, żeby moje życie wyglądało, i realizowałam to.

I myślę sobie czasem, że może za dużo od życia chciałam, bo mój mąż był człowiekiem ukształtowanym, którego zmienić było nie sposób. Był starszy ode mnie o osiem lat, w wieku mojego starszego brata. I powinien postępować jak dorosły mężczyzna. To ja, jako młodsza, powinnam była od niego czerpać, tyle że było całkowicie odwrotnie.

W Wielki Post jego rodzice przyszli do mnie i do mamy. Dostałam duży pierścionek, oni omówili wszystko, a mnie było obojętne - czułam, że powinnam już wyjść za mąż. Moja matka z teściową chwaliły mnie: Mirka jest zdolna, Mirka jest silna, on Mirki posłucha i się wyleczy… Bo prawdopodobnie, co ja powiedziałam, to on robił. Niby miałam na niego dobry wpływ. Może to był bardziej układ matek niż nasza miłość. Przynajmniej z mojej strony. To było na tej zasadzie, że ja dam radę, a on się na pewno zmieni.

Z początku bałam się, że wezmę ślub, mąż się mną znudzi i zaraz sobie weźmie inną kobietę. Miałam przecież przykład jego ojca, historie powtarzane przez teściową. Nie chciałam naśladować jej losu. A jednak nie, tak się nie stało. Choć bałam się zdrady, nigdy mnie nie zdradził, a jeśli tak, to ja nigdy o tym nie usłyszałam. Nie byłam o niego zazdrosna, za to on o mnie strasznie. Nie mogłam z nikim porozmawiać. Bo jeśli ktoś się do mnie uśmiechnął, ja do niego, to już był moim kochankiem. Mąż mógł rozmawiać do woli, ja nie.

Początkowo mieszkaliśmy u teściów, bardzo długo, nawet narodziny drugiej córki były u teściów. Do nas należała góra: duży pokój, kuchnia, łazienka, korytarz.

To był zimny dom. Teść, choć lubił wypić, to nie mogę na niego złego słowa powiedzieć. Dla mnie był kochany, dobry, jak ojciec. Bardzo mi pomógł, zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Chciałam mu się odwdzięczyć; sprzedawałam w jego sklepie,

sprzątałam. Za to teściowa mnie nie cierpiała. Wciąż tylko użalała się nad sobą i chciała, żeby ktoś użalał się nad nią, a przede wszystkim wysłuchiwał jej wersji wydarzeń. Wciąż rozprawiała tylko o tym, że teść pije, ma kochanki, jest dla niej niedobry, wszystkie pieniądze marnotrawi na kobiety i wódkę. I jeśli ktoś jej przytakiwał, był oczkiem w głowie, jeśli nie chciał słuchać i nie użalał się nad nią - było bardzo źle. Ja słuchałam jej wyżaleń jeden, drugi raz, ale za trzecim powiedziałam dosyć! Wtedy się zaczęło. Byłam ta zła, a Stasiu, mój mąż, dobry. Idź, zobacz jak on robi, zrób za niego, bo on nie umie, idź, sprawdź, gdzie on poszedł, pewnie pije, i tak dalej.

Teść widział, że Staszek jest syneczkiem mamusi i chciał, by się ustatkował. Bo pieniędzy miał w bród, ale nie znał swoich granic. To może i dobre jest dla dziecka, dla młodego człowieka, który chce się wyszaleć, ale nie dla dorosłego chłopa, który zakłada rodzinę. Każdy, kto chciał wypić, wiedział, że on ma i że z nim zawsze można. Do stawiania innym był skory, uchodził za taką dobrą duszę. Bardzo chciał się wyrwać z domu, spod klosza nadopiekuńczej matki, ale jak się wyrwał, to nie umiał się zachować. Do upadłego wypić, bawić się, szaleć - to lubił. A ja takich nie lubiłam.

Gdy zaczęła się budowa, to ja zajmowałam się robotnikami. Musiałam ich pilnować, karmić, sprawdzać, czy sprawy budowy idą jak należy. Oprócz tego pilnowałam gospodarstwa, a to już była poważniejsza sprawa - hodowla trzody chlewnej i byków.

Nie mogłam się doczekać chwili, kiedy przeprowadzimy się do naszego własnego domu.

Teściowa cały czas wtrącała się w nasze sprawy. Doszło w końcu do tego, że zamykałam drzwi na klucz, żeby on się nie denerwował, widząc swoją matkę. Oni się kłócili między sobą, ale kiedy ona wychodziła, to mnie się obrywało.

Budowaliśmy się na skraju wsi, więc cieszyłam się, bo z dala od towarzystwa, spokój, cisza… Będzie miał za daleko, żeby kogoś po drodze spotkać, więc nie będzie okazji do wypitki. Stało się odwrotnie - pił więcej, a w dodatku po pijanemu jeździł autem. Nie mogłam na to wszystko nic poradzić.

Poniżał mnie. Alkohol podobno sprawia, że mężczyzna staje się impotentem. U męża było odwrotnie, po wódce miał natychmiast ochotę na seks. Nie wiem, czy gdyby spotkał na swojej drodze kurę, też by z nią tego nie zrobił.

Ja w każdym momencie musiałam z nim współżyć. Nieważne, czy tego chciałam, czy nie. Potem to już wiadomo, że nie chciałam. Nie w takich okolicznościach. Więc mnie gwałcił, codziennie byłam gwałcona. Ciągnął mnie do piwnicy i tam zaspokajał swoją chorą potrzebę. Zaczęło się, jak mieszkaliśmy u teściów. Wtedy piwnica była jedynym miejscem, gdzie można było to zrobić najbezpieczniej. Wszędzie indziej teściowa nasłuchiwała i podglądała. Potem weszło mu to w nawyk i nawet jak mieliśmy swój dom, byłam ciągana po piwnicach. Żeby nie było słychać, ani widać. Przychodził pijany i dotąd na mnie krzyczał, aż zeszłam z nim na dół. Godziłam się, żeby dzieci miały spokój. Nie mogłam być kłótliwa, bo on był wtedy podwójnie agresywny. Skutkowała jedynie ucieczka i sprytne uniki. Musiałam nieraz palce przygryźć i znosiłam to. Rozbierał mnie, obmacywał, ściskał, a ja leżałam spokojnie pod nim. Płakałam, ale nie przestawał. Dawało mu satysfakcję, że ma nade mną taką władzę. Potem nie liczył już, że będę odwzajemniała jego zachowania. W dziesięć minut robił swoje, zapinał spodnie i było po wszystkim. Albo szedł spać, albo dalej pić - w zależności od sił i nastroju. Mnie zostawiał na dole, już nie byłam mu potrzebna, zaspokoił się. Za każdym razem wydawało mi się, że to trwa pół dnia.

Po tych dziesięciu minutach koszmaru obciągałam spódnicę i leciałam do łazienki. Myłam się z godzinę, żeby ten brud zmyć, zmienić ubrania, bo mi śmierdziały, wypłakać się i iść do dzieci. I normalnie żyć, udawać, ze nic się nie stało.

Wstydziłam się komukolwiek o tym mówić, a jeszcze prosić o pomoc? Dopiero podczas procesu na obserwacji psychiatrycznej pani psycholog to ze mnie wyciągnęła. Jemu nie przeszkadzało nawet to, że jestem w ciąży. Co to dla niego ciąża. On nie widział żadnych przeciwwskazań. Dlatego druga córcia przedwcześnie się urodziła. To był siódmy miesiąc, niecały nawet, dwóch tygodni brakowało i wtedy urodziłam. Prawdopodobnie pięć dni chodziłam z rozpoczętym porodem i nie wiedziałam, co się dzieje, aż w końcu trafiłam do lekarza. Nie myślałam, nawet nie dopuszczałam do siebie myśli, żeby odejść. Liczyłam, że może jednak przestanie pić i wszystko będzie w porządku. Zresztą mąż dla wszystkich był dobry, a jak tylko przekraczał próg domu, stawał się innym człowiekiem. Diabeł! Wyzwiska, poniżanie, bicie, gwałty, to cały mój mąż. A jak gdzieś wychodziliśmy, to musiałam być uśmiechnięta i zadowolona, żeby ludzie widzieli i myśleli, że jesteśmy przykładnym małżeństwem i udaną rodziną. Żeby nikt nic nie podejrzewał. Musiałam grać tę komedię, bo już dwójka dzieci była. Musiałam, dla dzieci. Po to, żeby dzieci miały ojca. Czułam się w obowiązku być z tym człowiekiem. W końcu byłam jego żoną (braliśmy ślub w kościele w Rypinie), przyrzekałam przed ołtarzem i ta obietnica była dla mnie święta. Nie wahałam się przed składaniem takiej obietnicy, bo wierzyłam, że jeszcze wszystko się zmieni. Jak nie dziś, to jutro. Jak nie jutro, to za miesiąc, za rok. Któregoś dnia. Ale jeśli się zmieniało, to w odwrotną stronę, na gorsze.

Nie zwierzałam się nikomu. Ani mamie, ani siostrze; po prostu się wstydziłam, że mam takie, a nie inne życie. Tylko sama siebie zadręczałam, na zewnątrz zachowywałam spokój. Za każdym razem, jak mąż się upił, nie mogłam sobie z tym poradzić: dlaczego on tak postępuje? Mój ojciec nigdy by tego nie zrobił. We mnie buzował wulkan, który powstrzymywałam przed wybuchem przez lata… Może dlatego wciąż przytrafiała mi się jakaś choroba. Najbardziej dotkliwe migreny, które odchodziły same, jak ręką odjął, kiedy w małżeństwie była chwila spokoju. I które wracały ze zdwojoną siłą, jak on zaczynał pić.

Miałam mieć nawet operację głowy, ale okazało się, że wyniki są jednak dobre. Przez wszystkie lata małżeństwa te bóle falami pojawiały się i znikały, a potem, po rozwodzie, aż do 2002 roku (do tragedii) głowa bolała mnie na okrągło. Ten stres chyba gromadziłam w sobie.

Bo jak tu wytrzymać? Przychodził wieczorem, pijany, i znów piwnica…

Wytrzymywałam to jakoś, czekałam, aż zaśnie, i następnego dnia udawałam, że nic się nie stało. Wieczorem on znów wracał i znów do mnie. Tak w kółko, dzień po dniu. To był standard. Potem zaczęłam uciekać i chować się przed nim, żeby mnie nie dopadł. Obrywało mi się więc za to, że go odtrącam. Ale czasem się udawało, czasem nie musiałam tego robić.

Czułam, że odzyskuję choć odrobinę swojej godności. Co z tego. Następnego dnia znów mnie gwałcił. On cały czas, do końca, starał się do mnie zbliżyć. Przez prawie dwadzieścia dwa lata to znosiłam. Jest to w tej chwili niewytłumaczalne dla mnie samej. Ale były córki!

Nie wiem tylko, jak to się stało, że miałam tylko dwójkę dzieci. Za każdym razem bałam się, że znów jestem w ciąży. I jak miesiączka spóźniała się kilka dni, byłam przerażona i szłam do lekarza. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym znów była w ciąży.

Myślałam - ja chcę się odciąć, a tutaj nowe życie, kolejne dziecko, kolejny dylemat, czy odbierać dziecku ojca.

Kolejna osoba, nie licząc mnie, będzie cierpieć. Nie wiem, jak mi się to udawało, bo nie stosowałam żadnych środków antykoncepcyjnych. Nie mogłam, zażywałam sporo tabletek na moją głowę, po których mogłam wpaść w anemię. Tak zresztą często było. Nerwy, stres, niejedzenie i tabletki prowadziły mnie zawsze do anemii. Sprawdzałam więc dni płodne za pomocą naturalnych metod i na szczęście więcej dzieci już nie było.

Pieniądze mieliśmy, choć on do pracy się nie garnął. To ja wzięłam się do roboty.

Potrzeby męża rosły, a nie mogłam jechać na kredytach bankowych, ani brać ciągle od matki. Nie mogłam pozwolić, żeby ona sobie od ust odejmowała i mi dawała, a mąż weźmie i przepije. Pewne było tylko to, że na niego nie mogłam liczyć.

Początkowo jedyne, co przynosiło dochody, to gospodarstwo - hodowla trzody chlewnej. Później pomyślałam, żeby zacząć coś swojego. Z początku wynajęłam jedną oborę zakładom mięsnym, ale i tak musiałam wszystkiego pilnować, więc po kilku miesiącach wzięłam kredyt i po roku byłam już szefem w swojej firmie. Założyłam skup i sprzedaż zwierząt rzeźnych. Wtedy ciężko było rolnikom wyhodować cokolwiek, a jak się udało, jeszcze ciężej było to sprzedać. Bo rolnik do tej pory sprzedawał tylko do GS - ów, a jak zaczęła się prywatyzacja, to już nie wiedział, dokąd pójść. Dzięki moim znajomościom i przychylnym ludziom weszłam na ten rynek. Sama to wymyśliłam. Byłam takim, jak to się dzisiaj mówi, pośrednikiem. Rolnik hodował trzodę, czyli świniaki, do dziewięćdziesięciu kilogramów i ja je kupowałam. Tego samego dnia musiałam wiedzieć, gdzie i do których zakładów szybko sprzedać, żeby gotówkę za tego świniaka wziąć. Z różnymi zakładami mięsnymi miałam umowy, oni mi wyznaczali określoną ilość, partię trzody albo bydła, czasem sto pięćdziesiąt sztuk, a czasem i trzysta im dostarczałam. To było bardzo dużo.

Pilnowałam więc wszystkiego, pracowałam, zarabiałam. Pieniądze z tego były poważne. W milionach się to liczyło, sto kilkadziesiąt złotych na nowe. Parę lat pracowałam w ten sposób.

To była męska robota. Pomiędzy krowami i świniami się chodziło. Nieraz to przejechałam się na świniaku, z gówienkiem na kołnierzyku chodziłam, było ciężko. Na początku nic nie wiedziałam, ale musiałam się znać, to się nauczyłam. Kilka skupów obsłużyłam i już wiedziałam wszystko. Byłam pojętnym uczniem. Jako pielęgniarka się nie sprawdziłam, ale w takim męskim zawodzie, owszem. Nawet nie dokończyłam tej pielęgniarskiej szkoły, bo to był taki moment w życiu, że na każdej ścianie ojca widziałam. I pani pedagog doradziła, by mama zapisała mnie do szkoły ekonomicznej. Przydało się to potem w mojej firmie. Handlowałam świniami, krowami, cielakami. Nieraz byłam w rzeźni.

Nie byłam przygotowana na to, żeby obserwować śmierć, ale taka była kolej rzeczy. To tylko zwierzęta. Nie są zabijane po to, żeby na to patrzeć, ale ich mięso jest nam potrzebne do życia. Jak byłam mała, przyzwyczajano mnie, że trzeba świniaczka uchować, żeby potem go zabić, a następnie zjeść. Patrzeć na to jednak nie mogłam. Pamiętam, rodzicie mieli taką fajną świnkę, która miała małe. Miała kilkanaście lat, przyzwyczailiśmy się do niej, bo do zwierzaka domowego też można się przyzwyczaić. I jak przyszedł rzeźnik, żeby ją zabić, my z siostrą uciekłyśmy. Płakałyśmy, bo ta świnka jak na złość nie chciała zdechnąć i darła się wniebogłosy.

Potem, w pracy, nie mogłam patrzeć, jak prądem zabijają krowy. Żal mi ich było.

Świniakom przystawiają urządzenie do kręgosłupa, to jest chwila moment i świniak nie żyje.

Nie żebym dla przyjemności obserwowała śmierć żywego stworzenia, tylko to był mój zawód. Nieraz rolnicy specjalnie dla mnie, na moje zamówienie, wyhodowali te świniaczki, więc ja miałam obowiązek ułatwić im ich sprzedaż. I musiałam pilnować, żeby nikt mnie nie oszukał: na klasie mięsa, na kilogramach półtuszy. Na przykład żywa świnia ważyła dziewięćdziesiąt kilogramów, a dwie półtusze, już bez flaczków, po trzydzieści kilogramów.

Jak mnie oszukali, to ja traciłam pieniądze, a rolnik zaufanie do mnie, nie do pracowników tej rzeźni. Dlatego, jak zdążyłam, to byłam przy każdym uboju. Patrzyłam, jak zabijają każdą sztukę.

Praca była dla mnie odskocznią, wybawieniem. Nie musiałam zastanawiać się nad swoim życiem, nie miałam czasu na myślenie. Wcześniej też zajmowałam się wieloma rzeczami jednocześnie. Budowa domu, duże gospodarstwo. Zasiew buraka cukrowego na dwóch hektarach ziemi, a jeszcze kukurydza, dziewięć krów dojnych i mleko odwożone do mleczarni, do tego skup. Musiałam zwołać ludzi, żeby opielili, potem zebrać innych do pracy, zawrzeć umowę z cukrownią. Wynajmowałam chlewnię dla skupu, gdzie ludzie przywozili zwierzęta rzeźne, a z drugiej strony chlewni miałam swoje gospodarstwo. Musiałam do tego jeszcze pilnować podatków - rozliczenia miesięczne, roczne. Wszystko robiłam sama, nawet księgowość. Byłam taką bizneswoman, można dziś powiedzieć.

Tylko, że oficjalnie, dla ludzi, jeden wykonawca był tego wszystkiego… Bo na papierach firma była na męża, ja od dwudziestego roku życia byłam na rencie. W szpitalu jak byłam z tymi bólami głowy, lekarka powiedziała, żebym się zgłosiła na komisję, bo mam takie papiery, że od ręki dostanę i łatwiej będzie mi się leczyć. Posłuchałam jej. A potem, kiedy zakładałam firmę, zapisałam ją na męża, żeby nie płacić składek ZUS. I tak formalnie mąż był właścicielem, a ja pełnomocnikiem. Mogłam wszystko i wszystko sama organizowałam. On pomagał godzinę dziennie. To była jedynie symulacja pracy. Uwielbiał wydawać polecenia; przyszedł, porządził sobie i szedł z kolegami na piwo „po robocie".

Jakbym tego nie pilnowała, firma by nie działała. Ale ja sobie świetnie radziłam.

Pieniędzy nam nie brakowało. Mieliśmy kilka samochodów: żuka do transportu, dwa dostawcze i dwupiętrowego stara z przyczepą. Nie było źle, naprawdę. Wykończyliśmy dom, dość spory, aż za duży, bo dwupoziomowy, z podwyższonymi piwnicami. Niektórzy mówili, że byliśmy zamożni, choć ja uważam, że to były normalne warunki do życia. Byliśmy ludźmi postępowymi po prostu.

Bardzo dużo osób nam zazdrościło, nikt nie podejrzewał, że to nie jest sielanka.

Pytali mnie potem, jak sobie z tym wszystkim dawałam radę. A ja mam w sobie ogromną siłę, choć nie wyglądam. Zawsze miałam filigranową sylwetkę, ważyłam nie więcej niż czterdzieści pięć kilogramów, a bywało nawet, że i trzydzieści osiem. Mam sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ale pod każdym względem byłam „życiowa". U mnie musiał być i dowcip, i uśmiech, nawet jeśli byłam zmęczona. Miałam motywację - dzieci!

Córeczki miały własny pokój, mieszkały razem - biały parkiet, boazeria, kasetony.

Wszystko miały porobione tak, jak chciały. Uczyły się wspaniale. Nigdy nie musiałam na nie krzyczeć, zaganiać do nauki, pilnować. Po prostu rozmawiałam z nimi, tłumaczyłam.

Nigdy nie miałam w związku z nimi nieprzyjemności. One wiedziały, że mają się uczyć, ich jedynym obowiązkiem była nauka. Mają do tego prawo, żeby wychodzić do koleżanek, ale najpierw jest nauka, potem odpoczynek, obiad i dopiero potem zabawa. Wtedy w ten rytm weszły i tak jest do dziś. Ojciec nigdy nie był na wywiadówce, nie potrafił nawet powiedzieć, w której klasie są córki. One kochały ojca, ale jednocześnie się go bały. Nie zrobił im nigdy krzywdy, nie zdążył, bo zawsze stawałam pomiędzy mężem a nimi. Chciałam je chronić, żeby jak najmniej zła widziały we własnym ojcu. Udawało mi się, nie wiem jakim cudem.

Uważałam za swój obowiązek chronić je przed agresją.

Jak ja manewrowałam, że one nie były w stanie zobaczyć ojca w takiej groźnej akcji?

Starałam się je od niego izolować. Szłam na przykład do ich pokoju i rozmawiałam na jakiś konkretny temat. Udawałam wesołą, choć przed chwilą był strach. Jak słyszałam że mąż idzie, zagadywałam je, zajmowałam, żeby go nie widziały, żeby on ich nie widział. Albo sama je wyganiałam do ich pokoju. Nie wiem, jak mi się to udawało. Może to był instynkt samozachowawczy, bo jakoś przewidywałam niebezpieczeństwo z pięciominutowym wyprzedzeniem.

Jak go tylko widziałam, to ogarniały mnie tylko strach i obrzydzenie. Nienawiść, ale nie do tego stopnia, żeby zabić. Po prostu, żeby nie patrzeć na niego.

Ten strach przed nim wpędzał mnie w pewien rytm pracy i być może dzięki temu byłam tak skuteczna i tak funkcjonowałam. Inaczej nie potrafiłam.

Miałam motywację, żeby uciekać przed nim, więc uciekałam w pracę. A jak nie miałam pracy, to wychodziłam z domu, aby tylko go nie spotkać. Żeby nie myśleć o tym, co on mi robi i co mi może zrobić, miałam ustalony jutrzejszy dzień już dzisiaj. Trzymałam się twardo tej zasady. A to, że musiałam zejść z nim do tej piwnicy, to musiałam.

Czułam się, jakby był przyspawany do mnie, nie przynitowany, a przyspawany, na stałe. Żyłam jego życiem, byłam tak omotana przez niego, że to było dla mnie jak powietrze.

Córkom nigdy nie mówiłam, że tata jest potworem, bestią. Nigdy. To jest wasz ojciec - źle postępuje, ale musicie go kochać i koniec. Nie chciałam ich zniechęcać do mężczyzn w ogóle. Mają przecież prawo do dobrego życia. Zresztą, one same wyciągały wnioski. Na przykład jedna z córek wybrała męża prawie abstynenta. Wypije jedną lampkę szampana za dużo i trafia do szpitala, w okresie letnim jedno czy dwa piwa, to wszystko. Przestrzegałam je jedynie, by uważały, z kim się zadają, i sama starałam się być dla nich dobrym przykładem.

Jeśli miały takiego ojca, to żeby przynajmniej ich matce nikt niczego nie mógł zarzucić.

Mieszkaliśmy z mężem oddzielnie. Każde z nas miało własny pokój, sprzęt telewizyjny, własną kanapę i własną szafę. Niestety, musiałam go odizolować, bo jak był pijany, to nie potrafił dojść do łazienki o swoich siłach i sikał, gdzie stał, jak leżał też sikał.

Czasem robił to nieświadomie, a czasem na złość. Jak najmłodsza córka miała siedem lat, zobaczyła, jak tata sika na boazerię. Może mu się pomyliło, chociaż nie sądzę. Myślę, że robił mi na złość. Mężowi się chyba od tej wódki trochę pokręciło w głowie. Podobno od dzieciństwa miał lekkie upośledzenie, bo byk rogiem go w głowę ugodził. Nie było tego widać, a ja nie miałam czasu zastanawiać się nad tym, czy on jest upośledzony, czy nie. Bo ja już się go brzydziłam. Wtedy mu powiedziałam, że ja mieszkam tu, a ty tu. We własnym domu w jednym pokoju żyliśmy razem może ze trzy lata, potem było do widzenia, bo ja nie nadążałam łóżek zmieniać. Ani się kąpać, bo byłam notorycznie obsikana. Przez dorosłą

osobę. Przez własnego męża. Dziecko mnie nigdy nie obsikało, a mąż ciągle. Jak spojrzałam na siebie w lustrze, to mi się na wymioty zbierało.

Jeśli mąż chciał obejrzeć coś w telewizji na większym ekranie, to pozwalałam mu wejść do siebie, ale od razu mówiłam: Żebyś mi tu nie nasikał. Dziewczyny w szkole nic nie mówiły koleżankom. Mąż im zakazał, jak jeszcze były w szkole podstawowej. Macie nic nie wynosić z domu, to tajemnica. I dziewczynki wiedziały, że to wstydliwe. Nie mówiły nic cioci, koleżankom, babci ani drugiej babci. Tylko teściowie wiedzieli, do czego syn jest zdolny. Teść mi współczuł, teściowa chyba raczej nie. Ty sobie nie radzisz - mówiła. Radziła mi na przykład, żebym go przywiązała do kaloryfera. Kajdanki kup, ale ja tego nie zrobiłam.

Mąż potrafił teściową uderzyć, raz przy mnie skopał ją jak zwierzę. Teściowa jeszcze się tym chwaliła. Stasiu przez okno szafę wyrzucił, Stasiu uderzył tego, Stasiu mnie w d… kopnął, ze schodów spadłam. Uszom czasem nie wierzyłam, jak ona może przyznawać się do tego, że tak syna wychowała!

Dopiero po dwudziestu latach małżeństwa zażądałam rozwodu. Chciałam poczuć się wolna, dla mojej psychiki, dla mnie samej. To ja naciskałam, choć w mojej rodzinie nigdy nie było rozwodów. Ja byłam pierwsza. Nie wiem, dlaczego dopiero po tylu latach się na to zdecydowałam. Może wcześniej liczyłam, że ktoś domyśli się, co przeżywam, zrozumie i mi pomoże. Ale tylko córki mnie zrozumiały, i to dopiero, jak dorosły. To one mnie namówiły.

Całe życie myślałam, że one chcą, żebym była z ojcem, a było odwrotnie.

Pierwszy raz złożyłam pozew o rozwód bez jego wiedzy. Jak otrzymał wezwanie na rozprawę, to zrobił nam trzem takie piekło, że na kilka dni uciekłyśmy z domu do jego siostry. Cieszyłyśmy się, że żyjemy. Dopiero wtedy jego siostra przejrzała na oczy i uświadomiła sobie, jakie ja mam z nim życie. Dla wszystkich to był szok, bo przez to, że ja się tak wstydziłam i kryłam go, zatajałam prawdę przed wszystkimi, to nikt nie wiedział, że jest aż tak źle. Ale wycofałam sprawę, zgodziłam się, że jeszcze wszystko przemyślę. Pił przez tydzień z tej okazji. Pochwalił się całej rodzinie, że się pogodziliśmy i że udało mu się storpedować mój pomysł. Za drugim razem wzięłam adwokata. Doradził mi, żebym wcześniej wszystko ustaliła z mężem, bo tak będzie łatwiej przeprowadzić sprawę. A on nie chciał się zgodzić. Chociaż już od dawna mieszkaliśmy osobno i nic nas nie łączyło. Wściekł się, to uderzało w jego męską dumę. Różnymi sposobami starałam się go namówić. Nawet córki próbowały. Nie było spokojnej rozmowy, tylko kłótnie, awantury, podniesione głosy.

Ten rozwód wywalczyłam sobie, w ciągu roku - tylko roku, a może aż roku. W końcu jakoś się zgodził. Umówiliśmy się, że na razie będziemy mieszkać razem, dopiero na starość bylibyśmy oddzielnie, jak córki skończą studia. Tłumaczyłam, że tak będzie lepiej dla dziewczynek, po prostu pod włos go wzięłam. Rozwód był cichy, nawet jego siostra, która pracowała w urzędzie gminy, dowiedziała się dopiero po fakcie.

Po rozwodzie córki chciały, żebyśmy się natychmiast wyprowadziły. Chciały być ze mną, ojca się wstydziły. Firmę siedem lat wcześniej sprzedałam, nie miałam żadnych zobowiązań. Opracowałam plan, że by potajemnie wyjechać z dziewczynkami. Znalazłam w ogłoszeniu domek na Śląsku, tani, miły, daleko od męża. Pomyślałam, że starczy nam pieniążków.

Mąż sprzedał gospodarstwo. Dużo pieniędzy za to wziął. Ja powiedziałam, że nic z

tego nie chcę. Daj dzieciom. To było po 800 milionów dla każdej, na dzisiejsze pieniądze po 80 tysięcy złotych. I dziewczynki postanowiły, że te pieniądze wydadzą na domek, z dala od ojca. Ja nie miałam nic, tylko swoją rentę, ale to by mi wystarczyło w zupełności.

Zamierzałam go zostawić w tym naszym domu. Nic oprócz kilku sprzętów od niego nie chciałam, tylko spokoju. Znalazłam samochody do przewiezienia nas, zamówiłam je na konkretny termin. Była środa, za tydzień miałyśmy się przeprowadzić. Zaczniemy od nowa, myślałam. Ale nie udało się. Mąż się dowiedział. Okazało się, że jeden z kierowców znał kogoś, kto znał męża i on za moimi plecami odwołał przeprowadzkę. Musiałam zadzwonić do tego starszego małżeństwa ze Śląska i powiedzieć, że rezygnuję. Straciłam zaliczkę.

Zostałyśmy. Przez kilka dni była ogromna awantura, że chciałam go zostawić.

Dla mnie barierą życiową był wstyd. Ja się na przykład wstydzę, że tu jestem. Bo sumienie a wstyd to są dwie różne rzeczy. Sumienie to jest moja sprawa. A wstyd sprawiał, że ja podejmowałam złe decyzje. To taka moja wewnętrzna blokada, którą sama sobie zakładam, nawet jeśli to działało przeciwko mnie.

Całe życie starałam się postępować zgodnie z sumieniem, ale wiele razy nie zrobiłam tego, co powinnam, ze wstydu właśnie.

Tak jak wtedy, kiedy nie pozwoliłam go zabierać na izbę wytrzeźwień. Raz wezwałam policję, bo tak był agresywny, że ledwie zdążyłam dolecieć do aparatu. Zwykle się to nie udawało, bo wyrywał telefon albo zabierał aparat i chował. I wtedy policja chciała go zabrać na izbę wytrzeźwień, ale ja mówię do nich, żeby go nie zabierali. Nie pozwoliłam, bo się wstydziłam. Gdyby go zabrali, wszyscy dowiedzieliby się, że on pije, że mam pijaka w domu.

On sam uważał, że ma zaszczyt, że pije. Ja upiłam się w życiu tylko jeden raz, podczas jakiejś uroczystości. Ale nie upiłam się do nieprzytomności, ani nie zasnęłam. Wróciłam do domu, zdjęłam kolczyki, odłożyłam na miejsce, ale następnego dnia niewiele pamiętałam.

Stwierdziłam wtedy, że jeśli robię coś, czego następnego dnia nie pamiętam, to już więcej nie wezmę alkoholu do ust. Tak więc nie mogłam zrozumieć jego zachowania. Wstydziłam się, że ludzie pomyślą, że ja z nim piję! Byłam szanowana, podziwiana nawet, za swoją zaradność, przedsiębiorczość. Bałam się, że stracę w oczach ludzi, że będą o mnie mówili żona pijaka. Nie chciałam tego, chciałam utrzymać swoją pozycję.

Wtedy też postanowiłam, że nikt nigdy nie może się o tym dowiedzieć. Wstyd mi było. Wstydziłam się tego, co zrobiłam. Wiedziałam, że to grzech. Musiałabym przyznać się do wszystkiego, do tego, że byłam ofiarą, że on mnie gwałcił w piwnicy i na koniec, że go zabiłam. A zresztą, kto by mi uwierzył? Zapaliłam papierosa i postanowiłam go pochować w garażu. Pamiętam, że miałam nieludzką siłę. Pani widzi jakie ze mnie chucherko, ale przeciągnęłam go na kocu, tym jego kraciastym z wersalki. Najpierw na parter. Doczekałam nocy, a potem do garażu. Ten garaż był daleko, kilkadziesiąt metrów, a była zima, śnieg. Na szczęście nikt tego nie widział.

Nie pamiętam, o której on już nie żył, ale myślę, że zaniosłam go o szesnastej piętnaście. Szaro już było. Znalazłam kanał, który od dawna nie był używany, i tam go wrzuciłam. Tam mu zrobiłam grób. Zamurowałam go i zamknęłam budynek. Nikomu nie pozwalałam wchodzić.

Przez parę miesięcy prawie nie wychodziłam z domu. Nawet w święta. Przez długi czas nikt o tym nie wiedział. Córce, Monice, powiedziałam dopiero na Wielkanoc. Druga córka nie wiedziała do końca, do dnia wykrycia zwłok. Nie wiem naprawdę, jak to się

stało, że oni go znaleźli. Adwokat mówi, że być może ja tam za często chodziłam. Bo ja codziennie o szesnastej piętnaście modliłam się za niego w tym garażu. Na Wszystkich Świętych świeczki tam paliłam i odprawiłam małe nabożeństwo w jego intencji.

Potem zaczęłam wariować. Widziałam go nad jeziorem, jakby żywego. Słyszałam jego głos. Czułam, że on żyje i wie, co mu chciałam zrobić. Dostałam obsesji, że on wyszedł i nie ma go w grobie.

Rodzina go szukała, a ja razem z nimi. Musiałam być wiarygodna, więc przejmowałam się tym wszystkim. Nawet były takie sytuacje, że chciałam go znaleźć. Ludzie pisali, że go widzieli. Jasnowidz z Człuchowa mówił, że gdzieś jest żywy. Zaczynałam wierzyć, że on naprawdę chodzi, tylko zniknął. Widziałam jego cień, byłam przekonana, że żyje i kpi sobie ze mnie. Widziałam go żywego i martwego, widziałam go z ranami, jakie mu zadałam. Fikcja mieszała mi się z rzeczywistością. Byłam tak wyczerpana psychicznie, tak mi się wszystko w głowie mieszało, że gdyby to trwało dłużej, pewnie bym trafiła do ośrodka dla obłąkanych.

Zawsze śni mi się żywy. Cały czas jest młody, taki jakiego go poznałam, jaki był po ślubie. Taki jak wtedy, gdy mieliśmy małe dziecko, jak jeszcze nie było tak źle. Nawet siwizny nie ma. On się przymila, stara się mnie udobruchać, miły jest i mówi do mnie pieszczotliwie. Mówi, że chce się do mnie przytulić, że mnie kocha, a ja nie mogę tego znieść. Mam ochotę zwymiotować, uciekam, boję się, bo wiem, co będzie: piwnica. Dla mnie jest to okrutne i odpychające. I za każdym razem, we śnie, on zmusza mnie, żebyśmy zeszli do tej piwnicy. Znów mnie gwałci; po raz setny, tysięczny. Krzyczy przekleństwa do ucha.

Słyszę wyraźnie jego głos, czuję jego dotyk, czuję zapach jego ciała i oddechu zaprawionego wódką. Siebie nigdy nie widzę, tylko jego twarz i jego dłonie na moim ciele czuję. Na tym polega tragizm, że to wszystko jest tak, jak naprawdę było. Wstaję cała mokra, zdenerwowana, zmęczona. Dzień przed moim wyrokiem byłam duszona. Dziewczyny mnie obudziły, inaczej chyba własnym językiem bym się udławiła. Czułam wyraźnie, jak gardło się zaciska, nie mogłam oddychać. Po prostu chciał mnie udusić.

Do dziś modlę się za niego. Proszę, żeby dał mi spokój, choć na parę miesięcy. Bo mnie wykończy psychicznie. Ale on nie chce. Widać mi nie wybaczył. Zawsze tylko rozmawia ze mną - nie jak duch, ale jak żywy człowiek. Jest jak czarny anioł w moich snach.

Wciąż z nim walczę. Zawsze bronię przed nim jakieś dziecko. To jest mój wnuczek albo jakieś nieznajome, anonimowe dziecko. Po prostu staję w jego obronie.

Był taki sen. Moja duża obora, pełno siana z łąki, on był z wnusią (a przecież nigdy jej nie widział, nie dożył nawet ciąży córki). On z towarzystwem pijany. I są dzieci, jakby moje, jeszcze małe. Ja idę i strzelam do niego z pistoletu. Boję się, że zrobi krzywdę temu dziecku, tego się boję. A kiedy to robię, mam poczucie, że je uratowałam przed nim. Potem jeszcze wystrzelałam całe to towarzystwo. Obcych i nieobcych. Przez kilka miesięcy nie przychodził.

Miałam spokój, pół roku może. Ale wiem, że nie odszedł na zawsze. Nawet po śmierci ze mną jest. Mówił, że mnie nigdy nie opuści i słowa dotrzymuje.

Wczoraj mi się śnił. Mówię do niego: Słuchaj, idioto, ja przez ciebie wokandy[2] nie dostanę. To są przecież cyrki. (Śmiech).

Mirosława Romanowska
(ur. 29.04.1957)
ofiara: były mąż
motyw: poczucie krzywdy i urazy
narzędzie zbrodni: metalowa rurka (klucz nasadowy do ciągnika)
przyznanie się do winy: tak
wyrok: 12 lat
koniec kary: 30.03.2016

Mirosława Romanowska urodziła się w rodzinie chłopskiej. Była najmłodsza z rodzeństwa, ma siostrę i brata. Nie ma przodków, którzy cierpieliby na choroby psychiczne ani uzależnienie od alkoholu. Do szkoły podstawowej poszła o czasie, uczyła się bardzo dobrze. Zachowanie - wzorowe. Potem rozpoczęła naukę w liceum medycznym, ale przerwała ją po pierwszym semestrze, bo zmarł jej ojciec. Po jego śmierci nie radziła sobie psychicznie; była z nim bardzo mocno związana. Przez rok była leczona z powodu depresji.

Potem zdała egzaminy i przeniosła się do liceum ekonomicznego, które ukończyła. W zawodzie pracowała krótko. Wcześnie przeszła na rentę.

Jest chora na epilepsję. Leżała na oddziale neurologii i neurochirurgii, przyjmowała i przyjmuje relanium, amizepan, luminal, witaminę B6 i leki przeciwbólowe, gdyż od dzieciństwa cierpi na intensywne bóle głowy. Miała wrzody żołądka, depresję, zachwiania równowagi, jednak nigdy się nie leczyła. Nie miałam na to czasu, zawsze radziłam sobie sama. Mimo niezdolności do pracy pracowała fizycznie w gospodarstwie. Dom, w którym mieszkała: zadbany budynek, murowany, ze strychem i garażem oraz kurnikiem. Zdaniem sąsiadów jego wyposażenie było dość zasobne.

Za mąż wyszła w wieku dwudziestu dwóch lat. Ma dwie córki - w momencie aresztowania dwudziesto - i dwudziestodwuletnią, uczą się i mieszkają w Bydgoszczy.

Mirosława: W domu od początku był koszmar - bicie i poniżanie. Mąż, dla obcych spokojny, w domu się znęcał.

Młodsza córka Monika: Odkąd pamiętam były awantury - ojciec bił mamę i nas. On zajmował swój pokój, mama swój, a ja z siostrą miałyśmy swój. Każdy miał klucz i zamykał własne drzwi od środka. Oprócz tego każda z nas miała przy łóżku jakiś przedmiot do obrony, w razie gdyby nas zaatakował. Ja miałam drewnianą pałkę od taboretu. Jak było bardzo źle, uciekałyśmy spać do mamy.

Starsza córka Karolina: Obserwowałam mamę. Było z nią coraz gorzej. Ona przechodziła coraz większe piekło.

W 1996 roku Mirosława złożyła do prokuratury w Rypinie wniosek o poddanie męża leczeniu odwykowemu. Sprawę załatwiono odmownie. W 1998 roku zgłosiła się do szpitala z rozbitą głową. Powiedziała, że pobił ją mąż. Dochodzenie nie zostało wszczęte, bo Mirosława nie złożyła doniesienia[3]. Nie było sensu. Wcześniej składała je trzynaście razy.

Mirosława: Składałam sprawy w prokuraturze, a potem wycofywałam, bo myślałam, że coś się zmieni. W końcu ich już nawet nie chcieli przyjmować.

W 1998 roku Mirosława złożyła wniosek o rozwiązanie małżeństwa, rok później państwo Romanowscy otrzymali rozwód bez orzekania o winie. Nadal jednak mieszkali w

jednym domu. Stanisław nie chciał się wyprowadzić, a jego ataki na córki i byłą żonę jeszcze się nasiliły. Były sytuacje, że uderzał w zamknięte drzwi i groził, że je pozabija. Nigdy nie przestał pić.

Mirosława: Wzięłam rozwód tylko po to, żeby córkom zostawić pieniądze, bo sprzedałby już wszystko, czego się dorobiliśmy. Potem - jak byliśmy po rozwodzie - nie odeszłam, bo mąż był niezaradny. Bardzo się o niego martwiłam. Zresztą, gdzie ja bym poszła, na bruk?

W wyniku bankructwa zakładów mięsnych, do których Romanowscy dostarczali półtusze wieprzowe, stracili ponad dziewięćdziesiąt dwa tysiące złotych. Ich sytuacja bardzo się pogorszyła, popadli w długi. Mirosława miała sześćset siedemdziesiąt sześć, a Stanisław czterysta sześćdziesiąt złotych renty. Zaczęli kolejno wyprzedawać majątek. Zaczęło się od chlewni, samochodów, ziemi ojca. Z tego wszystkiego uratowałam około szesnaście tysięcy i po kryjomu wpłaciłam na książeczkę córek, bo wszystko by przepił. To były dwadzieścia dwa lata katorgi, ja to wszystko wytrzymywałam dla dzieci…

Monika: Mamę bił bardzo często, codziennie, kilka razy w tygodniu. Mnie kilka razy, gdy stanęłam w jej obronie.

Czternastego listopada 2002 roku na Komendę Powiatową w Rypinie zgłosił się brat Stanisława z żoną. Twierdzili, że poszukiwany od jedenastu miesięcy Stanisław Romanowski nie zabrał ze sobą dokumentów ani odzieży. Nie jest też pobierana jego renta. Dziwny wydaje im się fakt, że do tej pory tak zżyty z rodziną, nagle zniknął bez śladu i nawet nie zadzwonił.

Bratowa Iwona: Ta sprawa śmierdzi na odległość. Zwykle jak Stanisław upił się i nie wrócił na noc, to Mirka szukała go po rodzinie i znajomych już następnego dnia, a nie tak jak teraz - po tygodniu. Teraz nikomu nic nie mówiła. To nie jest normalne.

W tej sprawie było już prowadzone dochodzenie, lecz zostało umorzone. Była żona zaginionego - Mirosława (ostatnia widziała go żywego) - twierdziła, że 20 grudnia 2001 roku po męża przyjechał jakiś samochód, on do niego wsiadł i odjechał. Od tamtej pory go nie zobaczyła. Rodzina Stanisława przepytała niemal wszystkich mieszkańców wsi Skrwilno, gdzie mieszkali Romanowscy. Okazało się, że od dziesiątego grudnia słuch o Stanisławie zaginął.

Tu zbyt wiele rzeczy się nie zgadza - zeznał jego brat Zdzisław. - On nigdy nawet nie wspominał, że chce odejść z domu. Poza tym… Mirka kupowała dwa czy trzy razy cement w Rypinie. Dużo cementu. A po zaginięciu Stanisława wyremontowała pokój, w którym on mieszkał, i zapraszała tam gości! Byłem tam i widziałem; wyrzuciła starą wersalkę Stanisława. Mówiła, że była przegnita i śmierdziała. Jej wykrętne i kłamliwe wyjaśnienia świadczą, że nie mówi ona prawdy i może mieć związek z jego zaginięciem.

Rodzina Stanisława dodała, że dziesięć lat temu zajmował się on skupowaniem świń i sprzedawaniem ich do zakładów mięsnych w Mławie. Kiedy te zbankrutowały, Stanisław poniósł znaczne straty, bo pieniędzy zainwestowanych w żywiec nie odzyskał. Piątego grudnia 2001 roku przyszło do niego pismo, że otrzyma czterdzieści procent zaległości.

Gdyby wiedział, że może odzyskać te pieniądze, nigdy by nie zniknął. Mirosława nie była upoważniona do odbioru tych pieniędzy.

Sierżant sztabowy Bożena Kamińska sporządziła wtedy notatkę służbową. Napisała w niej, że państwo R. proszą o dokonanie przeszukania pomieszczeń oraz obejścia posesji, w której mieszkał zaginiony brat Stanisław. Podejrzewają, że nie żyje. Jako powód podają, że

nie zgadza się data zaginięcia z datą zeznań jego byłej żony, a także inne jej zachowania; między innymi remont pokoju, który zajmował brat, i zakup dużej ilości cementu tuż po jego zaginięciu.

Osiemnastego listopada 2002 roku wydano nakaz przeszukania posesji przy ul.

Rypińskiej 39 w Skrwilnie. Wśród wykonanych czynności między innymi: - wypompowano wodę ze studni, - opróżniono zbiornik szamba znajdujący się z boku domu, - przeszukano garaż, - przeszukano pomieszczenie kurnika.

W posadzce w garażu na powierzchni 1,2 × 0,7 metra ujawniono beton o ciemniejszym zabarwieniu, przysypany cienką warstwą wapna. Kiedy policjanci uderzali w tę część posadzki metalowym prętem, wyraźnie różnił się odgłos. Miejsce to, dom oraz inne budynki znajdujące się na terenie posesji poddano szczegółowym oględzinom. W garażu znaleziono czerwonego fiata 126p i części do wielu innych samochodów oraz drugiego „malucha" koloru szarego. Policjanci zaczęli wypytywać o samochody i części do aut, Mirosława zdenerwowała się i nie chciała udzielić odpowiedzi. Stwierdziła jedynie, że czerwony maluch należy do jej córki, a siwy do jej zięcia. Funkcjonariusze rozpoczęli procedurę sprawdzania, czy auta nie pochodzą z kradzieży (potem okaże się, że jeden jest kradziony). Wtedy Mirosława - chcąc odwrócić ich uwagę - oświadczyła, że w kotłowni znajduje się ukryta metalowa rurka, którą uderzyła męża w głowę. Samo mi się powie działo.

Z nerwów. Już nie mogłam znieść poczucia winy, dręczących mnie wyrzutów sumienia - powie potem biegłym psychiatrom. Jeszcze tego samego dnia wykopano spod posadzki zwłoki Stanisława. Stwierdzono liczne obrażenia głowy, szyi oraz ręki.

Mirosława została aresztowana pod zarzutem zabójstwa. Nie chciała korzystać z żadnego z przysługujących jej praw. Nie żądała adwokata, nie chciała składać zażaleń.

Poprosiła jedynie, by zawiadomiono córki. Tej samej nocy przyznała się do zabójstwa Stanisława i złożyła wyczerpujące wyjaśnienia.

Od dłuższego czasu stosunki z mężem nie układały się. Źle było w małżeństwie już półtora, a może i dwa lata od jego zawarcia. Mąż nadużywał alkoholu, leczył się psychiatrycznie w Lipinie. Cztery razy był hospitalizowany, ale po wyjściu znów sprawa wracała do normy - nie brał leków i pił. Nigdy nie trafił na odwyk. Rozwiedliśmy się, dopiero jak córki dorosły - 30 listopada 1999 (dwa lata przed jego śmiercią). Początkowo zależało mi na rozwodzie z jego winy, ale uprosił mnie. W początkowej fazie małżeństwa bił mnie i moją matkę - dlatego wyprowadziła się z domu, choć miała zapisane, że może w nim zostać dożywotnio. Jak pił, to wyprzedawał wszystko, co mieliśmy, namawiał mnie, żeby sprzedać dom i podzielić się pieniędzmi. Na pół, każdy poszedłby w swoją stronę. A ja nie chciałam, żeby on przepił to, co należy do córek.

W czwartek 13 grudnia tylko my byliśmy w domu. Starsza córka, Karolina, wyprowadziła się trzy lata temu, młodsza, Monika, pojechała na zjazd - studiuje w Bydgoszczy.

Tego dnia już nie mogłam wytrzymać. Wróciłam od chorej matki, a on powiedział, że chce sprzedać dom i podzielić majątek. Musiałam temu zapobiec. Nie miałam wcale planu, żeby go zabić.

Weszłam do jego pokoju, chciałam go odwieść od sprzedaży domu. To była jedyna rzecz, jaka nam została. „Stasiu, obudź się, chcę porozmawiać", potrząsnęłam nim. On leżał na wersalce, ja stałam. Jak go obudziłam, to zaczął się na mnie rzucać. On był pijany,

jak zwykle, ja chciałam porozmawiać, a z pijanym to się nie da. Nic do niego nie docierało.

Powiedziałam, że nie sprzeda tego domu. Po moim trupie! I po prostu nie wytrzymałam.

Z tą rurką już wcześniej sypiałam, bo groził, że nas pozabija. Jak do niego poszłam, to ją miałam w ręku, na wszelki wypadek. Zaczęłam walić go tą rurką. W szyję uderzyłam chyba, gdzieś z boku w głowę, no, nie wiem gdzie. Uderzałam, gdzie popadnie, gdzie sięgnęłam, bardziej w jego lewą stronę, bo się prawą ręką zasłaniał. Musiało być tych ciosów sporo, bo ja jestem chucherko, a on był dużym mężczyzną i po tych ciosach przestał się ruszać. Po prostu już tak u mnie nerwy działały, jakbym się chciała na martwym przedmiocie wyżyć, a później… nie wiedziałam co ze sobą zrobić.

[…] Nie widziałam żadnej krwi, bo w pokoju było ciemno, a po wszystkim wybiegłam, weszłam do swojego pokoju, zamknęłam się na klucz, oparłam o ścianę i tak przesiedziałam do rana. Nie wiedziałam, czy on żyje, czy nie. Bałam się tam zaglądać.

Rano poszłam do niego. Leżał tak, jak go zostawiłam, złapałam go za rękę i stwierdziłam, że jest zimny. Leżał na kanapie. Cała była w zaschniętej krwi, krew była też na podłodze i na ścianie.

Początkowo nie wiedziałam co zrobić z ciałem. Potem postanowiłam go pochować.

Obeszłam całą posesję w poszukiwaniu dobrego miejsca. I znalazłam je. Był to dół w garażu obok domu, dawny kanał do remontu samochodów. Najpierw pogłębiłam ten dół, a potem przeciągnęłam ciało na kocu, bo bałam się go dotykać. Pamiętam, że ciągnęłam go po śniegu - było jeszcze widno, choć już po południu. Rozebrałam go z koca i wrzuciłam do grobu.

Wcześniej założyłam na jego głowę torbę foliową, żeby nie patrzeć na jego twarz, bo wydawało mi się, że na mnie patrzy. Potem go zakopałam, a grób wylałam betonem. Policji powiedziałam, że zaginął.

Trzy godziny po zabójstwie do domu wróciła młodsza córka, Monika. To ona pomogła matce w uprzątnięciu miejsca zbrodni i ukryciu zwłok. Podczas pierwszych przesłuchań Mirosława za wszelką cenę chciała ją chronić i do końca utrzymywała, że żadna z córek o niczym nie wiedziała. Monika nawet przyznała się do pomocy w usunięciu zwłok ojca, w trakcie procesu zmieniła jednak zeznania. Przy wydawaniu wyroku sąd wziął pod uwagę jej pierwsze wyjaśnienia: Wtedy prawie cały czas byłam w domu. Tego dnia wstałam rano, ojciec jechał gdzieś rowerem. To był ostatni raz, kiedy widziałam go żywego. Spytał mnie, czy mam papierosy. Powiedziałam, że nie mam. Odburknął coś i wyszedł z domu. Do czternastej napaliłam w piecu, ugotowałam obiad, uczyłam się. Potem pojechałam do kolegi albo do kościoła, nie pamiętam już dokładnie. Wróciłam około osiemnastej. Najpierw poszłam do kuchni, bo tam paliło się światło. Mama stała przy oknie. Była w strasznym stanie; rozczochrana, zapłakana, trzęsła się. Nie widziałam śladów krwi, ale gdy do niej podeszłam, odniosłam wrażenie, że jest nieobecna. Chciałam dać jej luminal, ale tak szczękała zębami, że było to niemożliwe. Pytałam, co się stało, ale tak bełkotała, że nie mogłam nawiązać z nią kontaktu. Nie mogłam z niej wydobyć, co się stało. W końcu podprowadziła mnie pod drzwi do pokoju ojca. Były zamknięte. Domyśliłam się, że coś z ojcem.

Monika zajrzała do pokoju ojca. Leżał na kanapie, był cały we krwi. Krew była na ścianie, kanapie, podłodze, wszędzie. Podeszła do niego i stwierdziła, że nie żyje. Wtedy wzięłam poduszkę i przykryłam mu twarz. Szybko wyprowadziła z pomieszczenia matkę,

która w dalszym ciągu była na granicy utraty przytomności. Dopiero dwie godziny później doszła do siebie i zaczęła opowiadać. Powiedziała, że chwycił ją za włosy i ciągnął ją do swojego pokoju. Miał tam siekierę, groził, że ją zabije i wtedy broniła się, uderzyła go czymś metalowym w głowę.

Ciało ojca leżało w pokoju całą noc. Rano obie poszły do babci Ireny (matki Stanisława) i udawały, że nic się nie stało. Po powrocie któraś z nas wpadła na pomysł, żeby je ukryć. Planowałyśmy pochować go w kanale. Pamiętam, że potem jeszcze raz weszłam do pokoju ojca, żeby stwierdzić, że to nie jest zły sen, a rzeczywistość.

Mirosława z córką zawinęły Stanisława w koc i przetaszczyły go na podłogę. Koc należał do ojca, sam go sobie kupił - duży wełniany, szary w kratę. Kobiety przeciągnęły zwłoki z pokoju na korytarz, potem z korytarza po dwóch kondygnacjach schodów do piwnicy. Kiedy zapadł zmierzch, przeciągnęły je z piwnicy do jednego z garaży, położonego bardziej w głębi posesji. Nawet we dwie nie dałyśmy rady go podnieść, mogłyśmy go tylko ciągnąć. Pogłębiły dół w garażu, który służył wcześniej jako kanał do remontu auta, i tam umieściły ciało. Zasypały dół, przykryły jeszcze tapicerką z samochodu i wróciły do domu.

Monika znalazła zakrwawioną siekierę oraz metalową rurkę, którą matka uderzała ojca, dokładnie zmyła z nich krew pod kranem. W piecu centralnego ogrzewania spaliła koc, w który był zawinięty ojciec, jego kołdrę, poduszkę, a także rzeczy, które obie miały na sobie.

Też byłyśmy we krwi.

Następnego dnia Monika pojechała na zajęcia, wcześniej odtransportowała Mirosławę do babci (matki Mirosławy). Po powrocie ze szkoły we dwie rozebrały i porąbały na kawałki kanapę ojca, po czym spaliły ją w piecu. Do ognia trafiły także zasłony i firany oraz dywan.

Ponieważ w pokoju Stanisława zawsze były dwie kanapy, przeniosły jedną niemal identyczną wersalkę z pokoju Moniki i ustawiły w miejscu porąbanej. Zawiesiły nowe zasłony i firany, zlikwidowały wszystkie dostrzeżone ślady krwi na meblach i sprzętach w pokoju. Zeskrobały krew ze ściany nad wersalką (potem Mirosława powie, że mąż tak zniszczył ścianę). Zauważy to sąsiadka i zezna potem przed prokuratorem, że widziała brunatne smugi i jakby zadrapania.

Jakby ktoś darł śrubokrętem. Kiedy zapyta o te plamy Mirosławę, ta stwierdzi, że mąż był brudasem i są to plamy od kawy i herbaty, a ponieważ wstydzi się jego niechlujstwa, zdrapała to osobiście.

Czyszczenie pokoju trwało tydzień, etapami. Mirosława cały czas była na lekach uspokajających, każdego dnia zwiększała dawkę. W końcu oprócz zadrapań na ścianie nie było już żadnych śladów tragedii. Zresztą nikomu, kto potem odwiedzał ten dom, przez jedenaście miesięcy nigdy nie przyszło do głowy, co się tutaj zdarzyło.

Mirosława prawie nie wchodziła do pokoju byłego męża. Zamykała go na klucz i nie pozwalała tam wchodzić. Po tym ohydnym zdarzeniu ja wciąż czułam tam fetor. Początkowo tylko czyściłam i wietrzyłam to miejsce. Potem już nie mogłam znieść smrodu i postanowiłam zrobić gruntowny remont.

Poprosiła o pomoc zięcia. Zagipsował ściany, pomalował podłogi i odnowił sufit.

Zadrapania na ścianie nie były naturalne - jakby ktoś na siłę darł ścianę śrubokrętem - zeznał potem.

Kiedy po zabójstwie postanowiła zamurować posadzkę w garażu, stwierdziła, że

cement, który miała, skamieniał. Poprosiła córkę, by zawiozła ją do hurtowni przy trasie szybkiego ruchu pomiędzy Mławą a Żurominem (myślała, że tam nikt nie zwróci na nią uwagi), gdzie wspólnie kupowały duże ilości cementu.

- Córka się nie dziwiła? - pytali policjanci podczas pierwszego przesłuchania.

- Nie, dlaczego? - odpowiadała Mirosława. - Zresztą powiedziałem jej, że w piwnicy „wychodzi woda” i muszę zalać posadzkę.

Mirosława poinformowała rodzinę męża lakonicznie: Stasiu odszedł. Nie wiem dokąd, ani z kim. Sąsiadom się nie tłumaczyła. Po prostu go nie było, nikt się za bardzo nie pytał.

Starsza córka, Karolina, niezbyt się przejęła nagłym zniknięciem ojca. Może to i lepiej, żeby w ogóle nie wracał - oznajmiła mężowi. Była wtedy w ciąży i bardziej przejmowała się swoim stanem i nauką niż zaginionym ojcem. Karolina zresztą nigdy nie rozmawiała z siostrą o ojcu, chociaż były bardzo zżyte. Jakby nie istniał - zauważył jej mąż. Po kilku tygodniach nawet u teściowej w domu mówiło się o nim coraz mniej.

Mirosława pomyślała o wszystkim: zawiadomiła policję, uczestniczyła w przeszukaniu pobliskiego jeziora i lasu, jeździła z jego rodziną do jasnowidza w Bydgoszczy.

Udawałam, że nie wiem, co mogło się z nim stać. Jedna z córek przekazała informację do „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie”.

Wtedy pojawiły się anonimy, że ktoś go widział, że mąż pojawiał się w różnych miejscach. Podejrzewano, że to Mirosława je pisała. Z całą pewnością nie. Za bardzo to przeżywałam. Myślałam, że zwariuję, zaczynałam mieć halucynacje. Bałam się, że on wyszedł z grobu i mnie szuka.

Podczas każdego przesłuchania powtarzała, że bardzo żałuje tego, co się stało, i chciałaby, aby czas się cofnął. Dręczyło ją poczucie winy.

W końcu do pisania anonimów przyznała się młodsza córka Mirosławy - Monika, która pomagała usunąć zwłoki ojca. Pierwszy anonim napisałam sama. O tym, że ktoś widział ojca żywego i zdrowego. Podrzuciłam ten list ciotce Krystynie. Wiem, że to, co się stało, było złe, ale musiałam chronić mamę. Ona przeszła zbyt wiele i na to nie zasłużyła.

W pomieszczeniu, gdzie Mirosława ukryła zwłoki byłego męża, urządziła kurnik -

przydomową hodowlę brojlerów. Wyłożyła posadzkę słomą, a w miejscu pochówku ustawiła blaszany pojemnik na parę. By nikt po mężu nie chodził. Przez jedenaście miesięcy od zbrodni do dnia aresztowania kilka razy w tygodniu chodziła tam modlić się i paliła świece.

Któregoś razu do tego pomieszczenia wszedł Paweł S., zięć Mirosławy. Poczuł dziwny zapach i zapytał, co tak śmierdzi. To od kur - miała mu odpowiedzieć.

Po odkryciu zwłok Mirosławę aresztowano pod zarzutem zabójstwa, a Monikę pod zarzutem współudziału w zbrodni i niepowiadomienia organów ścigania. Starsza córka dowiedziała się o wszystkim, gdy wydobyto z garażu zwłoki ojca.

Z nielegalnego listu Moniki do siostry Karoliny:

Kochany Robaczku!

Wiem, że ci ciężko z tym wszystkim, ale bądź silna. Ratuj mamę wszelkimi sposobami. Pomóż jej, bo ja nie wiem, czy tu wytrzymam. Nie wiem, jak tu żyć, ale robię to dla mamy, bo by się kompletnie załamała. Każdy dzień to paranoja, zaczynam tracić nadzieję, że kiedykolwiek wyjdę. Z mamą nie mam kontaktu, tylko czasem widzę ją przez wizjer. Stara się trzymać, ale wiem, że jest jej ciężko. Jeśli wyjdę stąd 20 lutego, to miałabym szansę

jeszcze zdać egzaminy, ale pewnie przedłużą mi areszt. Chyba się załamię. Całe moje życie legło w gruzach i to akurat wtedy, kiedy już zaczynało się układać. Jak tylko możecie, to weźcie trochę pieniędzy i wyprowadźcie się do Gdańska czy gdziekolwiek. Nikt nie będzie się wtrącał, łatwiej wam będzie to przeżyć. Wiem, że to dla ciebie szok, przepraszam za wszystko. Ratuj mamę, bo ona tego nie przeżyje. Widzenia z nami nie dostaniesz, kontaktuj się przez Wiśniewskiego[4]. Pobierz pieniądze z książeczki, masz moje prawo jazdy, a wiesz jak bardzo jesteś do mnie podobna. Nie wpłacaj mi pieniędzy, tylko błagam cię o rzeczy[5].

Przewieźcie sobie lodówkę, pralkę, telewizor i inne rzeczy. Niech Justyna przeprowadzi się do mojego pokoju, a moje rzeczy złóżcie w jednym miejscu. […] Wybacz nam za to, co cię spotkało. Sprzedaj rzeczy mamy, złoto, ale dbaj, żeby miała trochę pieniędzy. Ja wytrzymam, nie muszę nawet palić.

Sąd Okręgowy we Włocławku 30 marca 2004 roku skazał Mirosławę na piętnaście lat więzienia za zabójstwo męża, a jej córkę Monikę na półtora roku więzienia - ponieważ o zbrodni wiedziała, ale nie powiadomiła organów ścigania. Dwudziestego pierwszego października 2004 roku Sąd Apelacyjny w Gdańsku obniżył Mirosławie karę z piętnastu na dwanaście lat, a jej córce zawiesił karę warunkowo. Po wyjściu z aresztu młoda kobieta wróciła na studia, skończyła je, w tej chwili jest już magistrem. Mieszka w Bydgoszczy.

Regularnie odwiedza matkę w zakładzie karnym.

Biegli psychiatrzy stwierdzili u Mirosławy znaczny chłód uczuciowy. Intelekt określili na zgodny z wykształceniem. Osobowość Mirosławy cechuje tendencja do ukrywania i zalegania napięć oraz konfliktów intrapsychicznych[6]. Sąd wziął to pod uwagę przy wydawaniu wyroku i uznał, że wpływa to na umniejszenie winy oskarżonej. Działanie Mirosławy w tym dniu było wynikiem rozchwiania emocjonalnego oraz odreagowania negatywnych uczuć i przeżyć związanych z osobą byłego męża.

EPILOG 2012

Mirosława Romanowska odbyła całą karę i opuściła zakład karny. Wreszcie mąż przestał nawiedzać ją w snach. Zamieszkała w małym mieszkaniu, w innym regionie Polski.

Stara się zachować anonimowość, by w nowym miejscu nikt nie skojarzył jej ze sprawą karną. Jej córki skończyły studia, pozakładały rodziny. Nigdy nie miały konfliktów z prawem.

Mirka ma z nimi bardzo dobry kontakt, pomaga w opiece nad wnukami. Zamierza resztę życia przeżyć samotnie, nie planuje związywać się z żadnym mężczyzną. Dzięki tej książce rodzina zrozumiała, jaki koszmar kobieta przeżywała za zamkniętymi drzwiami.

***

[1] Liceum medyczne.

[2] Rozprawa przed sądem penitencjarnym o przedterminowe zwolnienie warunkowe.

Pierwsza wyznaczana jest po odbyciu połowy kary. Potem każdego roku osadzona ma prawo stanąć przed sądem, który może zdecydować o ewentualnym zwolnieniu warunkowo z odbywania kary.

[3] Przestępstwo jest ścigane na wniosek poszkodowanej.

[4] Adwokat.

[5] Paczka do zakładu karnego.
[6] Niezadowolenie z samego siebie.

Monika

Macierzyństwo

Marta po porodzie była najpiękniejszym dzieckiem, jakie w życiu widziałam. Nie to, żeby pozostałe były brzydkie, ale ona była wyjątkowa. Urodziła się z długimi ciemnymi włosami - po tatusiu - i wcale nie zapuchnięta, jak to noworodki. Śliczna i uśmiechnięta. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Wpatrywałam się w nią jak w obrazek, nie wierzyłam, że jest moja. Dopiero po kilku chwilach zobaczyłam ten włos. Odcinał się wyraźnie od reszty, tuż koło buzi go miała. Jeden srebrny włos. Potem położne mówiły, że na szczęście. Że jak dziecko rzadko się w czepku rodzi, tak z siwym włosem jeszcze rzadziej. Niby szczęściara będzie. Moja mama się śmiała: Dzieciak posiwiał w brzuchu ze strachu, że ją mamusia wyskrobie.

Mamo, jak tam u ciebie? Pogoda u mnie pod zdechłym psem.[1]

W ciążę zaszłam wcześnie - jak matka i babka. Piętnaście lat miałam. Sama byłam jeszcze dzieckiem. Do pierwszej klasy chemika w Piastowie chodziłam. Życie sobie złamałaś - zrzędziła mama. A ja chciałam tego dziecka. Pamiętam dokładnie, bo kilka razy mnie pytała, czy chcę urodzić. Kiwałam głową na „tak". Chciałam, bo wtedy głupio kombinowałam, że dzięki ciąży jak najszybciej za mąż wyjdę. I wtedy już na pewno z domu się wyniosę. Nie mogłam znieść tych awantur ojczyma. Leon pił, skakał z łapami na matkę i na mnie.

Chciałam wyjść z tego domu, a ciąża to było jedyne wyjście. Tak wtedy myślałam, idiotka.

Więc w ogóle się nie przejmowałam, że zajdę. Ryzyk-fizyk. Co ma być, to będzie.

Jeszcze się śmiałam. Jak były pierwsze mdłości, to już wiedziałam, że się udało. A potem u lekarza tylko się utwierdziłam. Ojcem był Grzesiek z Bródna. Imponował mi; starszy, obrotny, oszustwa w Warszawie robił. Zresztą wszystkie dzieci mam z Grześkiem, choć ślubu nigdy nie wzięliśmy. Bo ja ślub kościelny to uważam za związanie się już na zawsze. Na wszystko. A jeszcze się taki nie urodził, żeby mnie zaprowadził do ołtarza. Przed urzędnikiem to co innego, można się pobierać, ile dusza zapragnie. Wtedy to może nawet i chciałam tego ślubu w kościele, ale co z tego, jak go zamknęli. Dokładnie za co, już nie pamiętam, za jakieś włamanie może, czy coś. Bo on oszust był i złodziej. No i jest. Teraz też na Białołęce się wczasuje.

Całe lato przesiedziałam nad wodą z brzuchem i byłam spokojna. Ciążę znosiłam dobrze, nie miałam nawet żadnych większych zachcianek. Myślałam pozytywnie, bo ja ogólnie radosna jestem, nie lubię się przejmować. I wtedy też mi nie przeszkadzało, że z nikim nie jestem - w gruncie rzeczy zawsze sama byłam. Ale tak z boku patrząc, sytuacja była taka sobie. Wszystko, co zaplanowałam, w łeb wzięło i zamiast sobie polepszyć, to sobie pogorszyłam. Z domu nie odeszłam, męża nie miałam, a do szkoły - jak się okazało - już nie wróciłam. Za to Leon furii dostał. Obrywałyśmy więcej i częściej. Ale jak siedziałam nad tą rzeczką, to byłam taka szczęśliwa, jak nigdy. Myślałam, że się ułoży, że wszystko dobrze będzie. I patrzyłam na wodę jak w szklaną kulę, bo chyba myślałam, że tam przyszłość zobaczę. Nie wiem już. Dawno to było. W każdym razie wszystko wydawało mi się różowe i nawet ten ojczym, jak darł się, to kompletnie do mnie nie docierało. Tylko potem, jak wracałam do domu, to życie z Leonem było nie do

wytrzymania. Muszę się ratować, myślałam. Nie mogę tak czekać na gwiazdkę z nieba, tylko czas coś zrobić. No i matka naciskała, żeby dziecko miało ojca.

Żyj mamusiu moja miła sto lat albo dłużej! Bądź szczęśliwa i wesoła, zdrowie niech ci służy.

To zawarłam układ z takim Jarkiem. Poznaliśmy się w jednostce wojskowej, czasem tam do niego jeździłam. Miał dwadzieścia cztery lata, ja piętnaście. Zawarliśmy układ.

Zresztą on twierdził, że się we mnie zakochał. Myślałam, że będzie odpowiedzialny. Jarek chciał wyjść z woja, a jedyny skuteczny sposób to było „na żywiciela", więc pobraliśmy się.

On zapisał, że dzieciak jest jego. Znaczy Marta, bo już dwa miesiące miała. Poszliśmy do urzędu, ja miałam na sobie taką fioletową błyszczącą spódnicę za kolanko. Okropna była, ale wtedy ostatni krzyk mody, typowe lata osiemdziesiąte, odblaskowa, z poliestru. Przyjęcie było w domu, skromne, bez ceregieli. Grzesiek wciąż siedział. Oczywiście obraził się na mnie za ten ślub, ale potem, jak wyszedł, to wybaczył.

Tylko że w sumie to więcej kłopotów sobie tym układem zrobiłam niż pożytku.

Miałam wyjść z domu, uwolnić się od ojczyma i żyć pod skrzydłami męża, ale u Jarka była jeszcze gorsza sytuacja rodzinna, więc zamiast ja do niego, on wprowadził się do mnie.

Ojczym się awanturował, kłótnie były jeszcze gorsze. I tak sobie żyliśmy, po staremu w sumie. A trzy miesiące po ślubie Jarek poszedł po mleko i nie wrócił. To znaczy wrócił, ale po dwóch tygodniach. Wściekłam się, trochę to było za dużo. Nie dość, że ojczym, to jeszcze mąż zaczął pić i apiać to samo. A ja z Martą przy piersi. Matka siedziała cicho, żeby ich obu nie drażnić, a ja naciskałam, żeby Jarek do pracy poszedł. W końcu układ z mojej strony zrealizowaliśmy: on wyszedł z wojska, mieszka u mnie - ale nie taka była chyba umowa!

Tylko że on się do pracy nie garnął. Nie dogadaliśmy się. Złożyłam papiery o rozwód. I dostałam go, ale po jedenastu latach, dopiero jak już siedziałam w kryminale, to już inna historia.

Paulinka też była niezaplanowana. Dziecko „na zgodę", bo z Grześkiem dość burzliwy związek mieliśmy. Zeszliśmy się w dziewięćdziesiątym, a trzy lata później już Paulinkę na Kondratowicza wychowywałam. Ale się cieszyłam, bo chciałam mieć drugie dziecko. Choć już nie było tak przyjemnie, prawie całą ciążę na podtrzymaniu byłam.

Sylwek urodził się rok później, w dziewięćdziesiątym czwartym. Z nim miałam najwięcej kłopotów, bo to było bardzo chorowite dziecko. Alergia, skaza białkowa. Pierwsze trzy miesiące spędził w szpitalu. Potem, jak wyszedł, było ciepło, jeździliśmy na działkę. A on wciąż chorował, nie wiadomo, co mu było. Ze zwykłego przeziębienia łapał zapalenie płuc. To był horror: szpital, szpital, szpital. Potem, jak tylko trzy latka skończył, wszystkie choroby też się skończyły, jak ręką odjął. Zdrowy był jak rydz.

Mamy fajnego pieska, lubi gryźć. Mamo, jak się czujesz, czy już po operacji? Kocham ciebie, mamo.

Grzesiek jest dobrym ojcem, bardzo dobrym. Pod warunkiem, że w ogóle jest, bo to typ człowieka, który żyje, jak żyje. Nie potrafi normalnie. I ciągnie się za nim przeszłość, na przykład teraz odwiesili mu dwa wyroki[2]. Wtedy też tak było - był z nami dwa lata, a potem na pół roku czy rok go zamykali. Zostawałam sama. Zresztą to i tak było mniej uciążliwe niż ciągłe awantury z Leonem. Wolałam to i radziłam sobie. Musiałam sobie

radzić. Życie mnie zmusiło, to się nauczyłam. Raz nawet poszłam do normalnej roboty, akwizycja. Głodowe stawki były, ale ubezpieczenie przynajmniej, myślałam. A potem okazało się: nie zapłacili za mnie zusu. Jak się dowiedziałam, to pomyślałam, że jak mam kręcić, to przynajmniej dla siebie, i rzuciłam to. Potem oszustwa robiłam: wyłudzanie kredytów, otwieranie lipnych kont.

Niezła byłam, bo nigdy mnie nie złapali, a raz do jednej sprawy trzech grafologów badało moje pismo i stwierdzili: to nie ty. A przecież wiem, że sama fałszowałam ten podpis. Jeszcze samochody sprowadzałam z Niemiec, spirytusem się handlowało, walutą i dokumentami „z łóżka” na Stadionie Dziesięciolecia. Dawałam radę żyć z tego i jeszcze jeździć z paczkami na widzenia do Grześka. On myślał, że ja, grzeczna żonka, w domu siedzę. Z błędu go nie chciałam wyprowadzać, bo i po co? Wolał taką wersję, to miał.

We mnie są dwie Moniki: jestem zła i dobra jednocześnie. Tyle że nie dla wszystkich po równo. Nie, nie jestem psychiczna, tylko mam taką skomplikowaną osobowość. Przede wszystkim uparta. Tak było na wolności, to dlaczego w więźniu miałoby się zmienić. Ta zła robiła przekręty, piła, biła się. Tak bywało, choć z tego okresu mało pamiętam, staram się wyrzucić go z pamięci, zmieniać się.

Bo przecież to wszystko dla dzieci robiłam, dla nich, żeby zarobić na chleb i na ładne sukienki dla dziewczynek. Jak lale były. Kiedy przeszukanie do sprawy robili, to na ciuszki w kupkach się natknęli. A to co? Do sprzedania? Fanty? - jeden spytał. To były rzeczy moich dzieci. Czyste, uprasowane, niektóre jeszcze z metkami ze sklepu. Nie miał sumienia nawet ruszyć, patrzył na mnie i nie wierzył, że ze mnie taki pedant. Bo ja sobie nie kupiłam, ale im zawsze. I co z tego? Podali do prasy, że dzieci głodne i brudne chodziły. Mam teraz etykietkę - morderczyni, mózg bandy, kurwa. A ja po prostu nigdy prosić nie umiałam.

Bardzo za tobą tęsknimy. Chcemy zobaczyć ciebie…

W sumie to do tych przekrętów życie mnie zmusiło. Może gdyby inaczej się los układał…

Bo ta druga Monika - matka Marty, Sylwka i Paulinki - jest dobra. Płacze, nie wstydzi się łez, martwi się, szaleje z bezsilności, gdy dzieciom dzieje się krzywda - jak to matka. Przy aresztowaniu to największy ból miałam, co z dziećmi będzie. Kto się nimi zajmie. To był żal przeplatany z bólem. I potem, podczas procesu, nie mogłam znieść, że coś, za co ja jestem sądzona, odbija się na nich. Dzieci są przecież niewinne, a cierpią za mnie. Strasznie dużo wtedy do nich pisałam, dzwoniłam, pocieszałam, uspokajałam.

Jak trafiły do domu dziecka - matka morderczyni, ojciec przestępca wielokrotnie karany - sąd uznał, że dla dzieci będzie lepiej w ośrodku; to była chyba najgorsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć. Wtedy ustaliliśmy, że Grzesiek weźmie ślub z taką jedną znajomą, zostaną rodziną zastępczą i wyciągną dzieciaki z bidula. I brał je na weekendy, żeby one wiedziały, że to tylko chwilowe, że tylko tak na razie. Zostały ponad rok, zanim moja matka została rodziną zastępczą. Ale i tak bardzo to przeżyły. Bałam się, że będą musiały tak zostać na długo.

Wolałam już, żeby Grzesiek sobie życie z tą kobietą ułożył - przecież ja nie wyjdę prędko - niż żeby dzieciaki w bidulu zostały. No i koleżanka, Kaśka, ta co niby figurantką miała być, została jego kochanką naprawdę. Tak już w życiu bywa, że czasem największy przyjaciel staje się wrogiem.

Grzesiek wszystko mi powiedział. On mi zawsze prawdę mówił, nawet jak ja nie chciałam słyszeć. Kiedyś bolało mnie to, złościło, wolałam, jak kręcił, żeby tylko było po

mojej myśli. Teraz chyba dojrzałam, bo prawdę cenię.

Teraz, jak ja tu w Grudziądzu, a Grzesiu jest na Białołęce, piszemy do siebie. Spytał się raz: A może pobierzemy się w końcu? Chyba najwyższy czas… Powiedziałam, że nie. Nie chcę żebyś miał na mnie papier. Jesteśmy przyjaciółmi i wiem, że będziemy razem już zawsze. Chodzi mi o psychiczne bycie - mimo Kasiek, po Kaśce i nawet jakby były inne Kaśki. Mamy dzieci, to nas najsilniej łączy. A ja? Jestem wyrozumiała.

Wiesz, w sobotę idziemy do kina na „Harrego Pottera i kamień filozoficzny", a w czwartek i piątek chodzę do klubiku i uczę się tam angielskiego i plastyki.

Z jednej strony myśl, że tam na zewnątrz ktoś jest, dodaje mi sił, a z drugiej jest mi ciężej, bo tęsknię. Pewnie, że chciałabym, żeby moje życie wypełniały sprawy dzieci, chciałabym je wychowywać, widzieć, jak dorastają, i być obok, kiedy po raz pierwszy się zakochują, a nie gnić tutaj, bez sensu.

Teraz dzieci są z moją mamą. Wiem, że krzywda się im nie stanie. Dzwonię do nich dwa razy w tygodniu, jestem na bieżąco, ale co mogę zrobić? Mówię, żeby się uczyły, proszę, żeby nie popełniały moich błędów. Jestem dobrym przykładem, jak nie należy żyć.

- Martuś - mówię. - Jedziesz na kolonie, nie zrób mnie babcią… Proszę ją, a ona się śmieje. Wierzę, że jest rozsądna, ale to w końcu jeszcze dziecko. Ja w jej wieku już z brzuchem siedziałam nad rzeką. Zresztą, czy ja mogę jej cokolwiek kazać? Przecież matka - zbrodniarka nie jest autorytetem godnym naśladowania. Ale nie zapomnę jak w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, dwa lata po sprawie, na dwudziestego szóstego maja Marta przysłała mi laurkę: Gdy masz matkę na świecie, czy bogatą, czy też biedną. To ją kochaj i pamiętaj, że masz matkę tylko jedną. Tak mi napisała…

Potem na widzeniu powiedziała: mamo, ja nie wierzę w to, co mówią. I wtedy pękłam, pierwszy raz się rozpłakałam. Już nie chciałam być twarda. I skończyłam mój bunt. Zrobiłam w kryminale szkołę zawodową. Krawiecką. Szyłam dzieciom ubrania i wysyłałam. Tyle tylko mogłam im podarować. Różne, co chciały: spódnice, spodnie, bluzy dresowe… Sylwek zażyczył sobie takie spodnie z krokiem do kolan.

Chodzimy do lasu na grzyby i jagody. Z dziadkiem jeździmy nad rzekę Bug na ryby.

Byliśmy na plaży, kąpałam się w rzece, złapałam 21 ryb.

Przyjeżdżają, nie odcięli się ode mnie. Szkoda, że mam tylko dwa kolana. Na widzeniach zawsze w końcu się popłaczemy. Rysunki mi przywożą. Nie mówią mi wszystkiego, ale trochę, zawsze. Wiem, że słyszą docinki, że im ciężko. Przecież one mieszkają tam, gdzie ja dorastałam, chodzą do tej samej szkoły co ja, ci sami nauczyciele ich uczą. Trudno uciec od tego. To się ciągnie. Marta już ma problemy z prawem. Jak usłyszała „matka taka, córka taka", to wyciągnęła łapy[3] do koleżanki. I nie dziwię się jej. Sylwek też jest niezły łobuziak. Pobił kogoś, musiał szkołę zmienić, tak mu dogryzano. Podczas każdej bójki było na niego, że jego wina. Bo ma taką matkę. Mówię mu: Prosiłam cię tyle razy, żebyś babci nie martwił. A on: Nie dam o tobie złego słowa powiedzieć. Paulinka jest zamknięta w sobie i nic nie powie. Ale wyładowuje się w sporcie. Ma talent, skubana. Jej miłość to pływanie, trenuje też kick boxing. Zdobywa nawet medale: srebrny w ubiegłym sezonie, teraz ostatnio brązowy. Na razie to ogólnoszkolne mistrzostwa.

A jakby na nią spojrzeć, to nikt by nie powiedział. Przecież to jest takie chuchro, tylko że szczupła i wysoka. Ale bochenek chleba na śniadanie i kolację wciąga. O nią się nie boję, z niej nikt nie będzie się natrząsał. Ja nie mam wpływu na ich życie, nie mogę im pomóc.

Muszę się cieszyć, że w ogóle chcą ze mną rozmawiać, że nie rzucają słuchawką, że chce im się tutaj do mnie jechać, dawać mi kasę. Na papierosy, kawę, karty do telefonu. Tak, to dzieci mnie utrzymują. I moja mama. Grzesiu, jak się nie wczasuje, też przyjeżdża. A na razie to dzieciaki kursują do mnie na Grudziądz i do Grzesia - na Białołękę. Mieszkają w połowie drogi. To dlatego tak mi ciężko. Własna matka kulą u nogi. Dodatkowo, jakby miały mało przeze mnie kłopotów. Bo ja wszystko zniosę, żeby tylko mi dzieci nie dręczyli, żeby nie było na nich nagonki… (płacze).

Tak bardzo chciałabym odsunąć od nich te wszystkie twarze sąsiadów, osobiście wyrzucić za drzwi dziennikarzy, którzy wciąż nachodzą moje dzieci i pytają o wyrodną matkę. Nie, nie mogę nawet o tym myśleć, niech oni wszyscy spierdalają od moich dzieci na odległość! Niech dadzą im spokojnie pożyć!

Zmieniły nazwisko i gówno to dało. Nic to nie dało. Chodzą do tej samej szkoły co ja, mieszkają w tym samym mieście. Kurator cały czas traktuje je jak dzieci morderczyni, w opiece mojej matce nie przysługuje nic na dzieci. To przecież dzieci morderczyni. Jak ojciec Tomka Jaworskiego powybijał okna w domu moich dzieci, jak ustawiał sąsiadów przeciwko, jak rozpalił pod drzwiami ognisko niczym stos dla czarownicy, to nikt nic nie zrobił. To osoba w depresji, ofiara, jemu wszystko wolno. A to? To są dzieci morderczyni, kogo one obchodzą… Nie da się wyjść z tego koszmaru. Jakieś fatum. Tego jednego nigdy sobie nie daruję: że one cierpią za mnie. I to piętno noszą za mnie. Jak ja mam spokojnie na to patrzeć?

Kiedyś nie mogłam z tego powodu spać. Czasem kurwica mnie bierze, mówię: To nie tak było, nie byłam mózgiem, jakim w ogóle mózgiem, ja myślałam, że oni przywiążą go do drzewa, a to różnica. Ale dziennikarze wiedzą lepiej, co ja myślę i… I tak napiszą swoje.

Nikogo nie obchodzi, jak wyglądało moje życie. Nikt nie spytał o to mnie, zamiast sąsiadów.

To potem czytam, że „ona była taka dziwna". „Dziwna" to o mnie. Jaka „dziwna"? Bo nie właziłam sąsiadkom w tyłek? Nie przesiadywałam na ławkach, żeby poplotkować? Niczego od nich nie chciałam, żadnej pomocy. Nie chciałam się korzyć. Bo ja nie pójdę, nie poproszę, nie potrafię wyciągać ręki. Wolałam przepał[4] zrobić, jakieś oszustwo bankowe, być niezależna. Taki już mam charakter.

Paulinka jest grzeczna a Sylwuś jest niegrzeczny, bo bije Paulinkę. Cały czas się biją i przezywają, zwalają na siebie. Mamusi życzę zdrowia, szczęścia i szybkiego powrotu do domu.

Gdy robiłam zawodówkę krawiecką, byłam najlepsza w szkole, średnia pięć i pół. Na pewno chciałabym zrobić maturę. Na sprawie mówili, że jestem wybitnie zdolna, spokojnie studia skończyłabym, a skąd oni niby wiedzą, jaki ja mam iloraz inteligencji, przecież nikt tego nie badał. Ale cóż, kłamstwo powtórzone trzy razy staje się prawdą.

Ostatnio zatrudnili mnie na porodówce, ale to była porażka. Bo ja się boję widoku krwi. Tak, nikt nie wierzył. Jaja sobie „Szymon" robisz? Żebym ja - ta Szymańska! - krwi się bała. Śmieszne, prawda? Ostatnio dwa porody miałam obsługiwać, jeden przez cesarskie cięcie, jeden normalny, naturalny właśnie. I o mało nie zemdlałam. Krzyczą te kobiety, krew jeszcze nie idzie, a ja już mam miękkie kolana. I właściwie powinnam być tam blisko, pomagać, trzymać, sprzątać krew, a nie umiem. Jak tylko się zaczyna, już mnie nie ma.

Zresztą, jak mi nawet krew pobierają, to od razu robię się zielona i raz zemdlałam

nawet.

Wolę już okna myć, kible szorować. Także długo w tej robocie pewnie się nie utrzymam. Ale jak się jest na P-1[5], wybrzydzać nie wolno.

Już dziewięć lat minęło, jak siedzę. Ani razu na przepustkę nie mogłam pójść do dzieci. Jestem na oddziale o zaostrzonym rygorze. Nie mogę dostać przepustki, nie mogę otworzyć celi, na widzenie zamiast trzech godzin miesięcznie mam dwie. Dla mnie to bez różnicy, czy jestem grzeczna, czy nie. I tak przez najbliższe piętnaście lat nic się nie zmieni.

A chciałabym spędzić z dziećmi chociaż jeden dzień.

Mam najbardziej wyrozumiałą matkę na świecie. Kiedy napsocę, potrafisz wybaczyć.

Kiedyś uważałam, że w celi trzeba być twardym. Zwłaszcza jak byłam na śledczaku, na Grochowie. Tam była agresja i nienormalne towarzyszki celi. A ja byłam normalna, w każdym razie mieściłam się w granicach normy. Bo sprawa była, jaka była. Bo na agresję odpowiadałam agresją, bo ktoś dostał i już się zrobiło, że Szymańska to bestia. A to przecież były dziesięcioosobowe cele, ktoś przyszedł za pietruszkę, a ktoś za głowę. Tyle że tam nie było wsparcia w nikim, tam nikt ze mną nie rozmawiał, a wszyscy mówili tylko: zabiłaś, zrobiłaś, jesteś winna! To jak miałam się bronić? Jak reagować? Chciałam sprostać wyobrażeniom, jakie mieli o mnie wszyscy do okoła.

Prokuratorzy, dziennikarze, policjanci. I jak ktoś od pietruszki mnie od „morderczyń" wyzywał, sam na siebie ściągał złe czyny. A ja potrafię przypierdolić, a jakże. Nic dziwnego, że przenosili mnie do Grudziądza z takim grubym plikiem wniosków o ukaranie. Ale nie byłam aż taka zła, jak pokazywali w telewizji. Gdyby mogli, to zrobiliby ze mnie jeszcze większego potwora - takie było zapotrzebowanie. Chcecie mnie taką, to macie! I klawisze się do tego przyczynili, i dziennikarze, za co ich nienawidzę. A tak naprawdę to chciałabym, żeby ten proces się powtórzył, żeby ktoś jeszcze raz na tę sprawę spojrzał - nie pod wpływem chwili, wrzawy w telewizji.

Dam przykład. Zrobili nam tak zwaną celę eksperymentalną. Gosia, Monika, ja i Iwona[6]. Same morderczynie. Same najgłośniejsze procesy. Chcieli, żebyśmy pokazały, jakie agresywne jesteśmy. Żebyśmy się na przykład pobiły. To by była draka i dziennikarzom byłoby co opowiadać. A my się polubiłyśmy, nie było między nami żadnej kłótni. Szybko się zorientowałam, że jesteśmy podsłuchiwane, bo żadna nie kapowała, a klawisze wiedzieli, o czym mówimy. W paczkach nam grzebali, naloty robili bez powodu i przetrząsali cały dobytek, niby w poszukiwaniu narkotyków. Gośce wyrwali wszystkie adresy z notesu, mi zabrali karty do tarota. Poza tym niczego nie znaleźli. To my zaczęłyśmy sobie jaja robić.

Pisałyśmy na rękach, żeby nikt nie słyszał. A na głos mówiłyśmy jakieś bzdury. Jak dostałam paczkę, to mówiłam: Dobrze, że w tych paluszkach była marycha, trochę się człowiek zrelaksuje… I na mur beton za pół godziny był nalot. Potem Gośka zasnęła, a któraś na cały głos: Już nie gadaj tyle z tym chłopem! I już był klawisz przy drzwiach. Początkowo to nas bawiło. Symulowałyśmy bijatyki i kłótnie, po czym natychmiast po wejściu klawiszy grzecznie leżałyśmy na swoich kojach. Zabierali na przykład szklanki i mówili, że to do badania. Próbowali wyłuskać wspólnych znajomych po numerach w notesach. Myśleli, że są jakieś nasze wspólne sprawy o zabójstwo, które razem zaplanowałyśmy. Palanty!

Dopiero Grudziądz mnie zmienił. Przyszłam, tu mnie potraktowali jak człowieka.

Byłam kolejną przyjmowaną. Kobieta za biurkiem zadawała standardowe pytania:

wiek, stan cywilny, przewidywany koniec kary… Wtedy podniosła głowę znad biurka, zaczerwieniła się i przeprosiła mnie. Och, nie zauważyłam, kiedy pani weszła… Nie mogłam uwierzyć, że po pierwsze zwróciła się do mnie per „pani”, poza tym przeprosiła mnie. I, przyznaję, najpierw pomyślałam, że to chyba chorzy ludzie, gdzie ja jestem, to może jakiś podstęp…

Wróciłam do siebie. Nie spodziewałam się większych rewelacji. Byłam za to gotowa na bójki, ubliżanie, wyzwiska. Zresztą wszyscy się bali mnie. Bo zanim przyszłam, poszła plotka, że ostro pajacuję, więc wszyscy srali ze strachu. I owszem, na początku też nie było różowo, zaczęłam ludziom notować w myślach punkty karne. A potem wezwał mnie inspektor i z progu zaczął: Pani Szymańska, słyszałem, że pani ma problemy. I dawaj mi nazwiskami wymieniać, kto mi naubliżał z okna. Proszę się nie przejmować, nie załatwiać tego na własną rękę, my już się tym zajmiemy. Nie będę ukrywała, że szczęka mi opadła. Ale honor mam. Odpowiedziałam, że własne problemy rozwiązuję sama. I nie potrzebuję pomocy.

Potem było coraz lepiej, nie od razu, ale powoli. Dziewczyny, które powychodziły, na przykład Jolka, no nieważne, jeszcze kilka innych. W każdym razie wiem, że są osoby, z którymi porozmawiam jeszcze. Mało jest takich osób, ale w więzieniu w ogóle jest coraz mniej normalności.

Teraz też jesteśmy z Moniką i Gośką na jednym oddziale, nadal mamy dobry kontakt.

Gośkę uczyłam przedwczoraj wyszywania krzyżykowego.

A ze mną w celi siedzą takie dwie. Jedna za cztery głowy - dostała dwanaście lat, druga też za głowę - tyle że zamiast 148 dostała 156[7] i wychodzi za trzy lata. Trzecia to samo, wychodzi za półtora roku. Spośród nich tylko ja jestem niewinna, a mam dożywocie.

Wiem, komu ten wyrok zawdzięczam. Pani prokurator - powiedziała, że mnie skaże za łeb, i skazała.

Lubię, kiedy się śmiejesz i jesteś ze mną.

Ja patrzę w lusterko i mówię sobie „dzień dobry”. Pan Bóg karze na bieżąco.

Więc to nie o mnie piszą w gazetach, przecież od ośmiu lat odmawiam wywiadów.

Kto tworzy te historie? Mam czarną listę dziennikarzy, dzięki którym jestem znana, bo to oni mnie stworzyli. Postać, której nie znam. Wstydzę się tej sławy, nie chcę być taką gwiazdą. Chyba nazwisko zmienię. Bo ja tak naprawdę nie lubię rzucać się w oczy, nie chcę, by mnie zauważano. Ale czy ktoś w to uwierzy?

Dzieci mi się udały. Miała być parka: córka i chłopak. I tak było. A nawet lepiej. Dwie córki i chłopak. Dzieci to jedyne, co mi w życiu wyszło.

Monika Szymańska
(ur. 5.10.1973)
ofiara: przypadkowo napotkany w Lasku Bielańskim maturzysta
motyw: usunięcie świadka
narzędzie zbrodni: nóż
przyznanie się do winy: nie
wyrok: dożywocie
koniec kary: dożywocie

Monika była nieślubnym dzieckiem, ojca nie zna. Ojczym pił nałogowo i był

agresywny. Matka rozwiodła się z nim dopiero w 1991 roku, kiedy Monika miała osiemnaście lat. Z ojczymem Monika miała bardzo złe stosunki, matkę postrzega jako osobę bardzo serdeczną, ale nie potrafi podać jej wad ani zalet. Do jedenastego roku życia wychowywała ją ciotka. Traktowałam ją jak mamę, do przedszkola nie chodziłam.

Nie miała problemów z nauką, przyswajanie wiedzy przychodziło jej łatwo i szybko.

Dopiero w siódmej klasie podstawówki zaczęły się jej problemy w szkole. Wolny czas spędzała, zajmując się sportem. Kulturystyka, lekkoatletyka, piłka ręczna. Nie znosiłam polskiego i rosyjskiego. Byłam dobra z chemii i fizyki. W szkole miała dobre relacje z kolegami, nie nosiła przezwiska. Miała kompleksy z powodu okularów, które musiała nosić, ma dużą wadę wzroku.

Chciała zostać fryzjerką, ciotka załatwiła jej szkołę z internatem. Nie ukończyła szkoły zawodowej, do której chodziła, ponieważ w pierwszej klasie zaszła w ciążę i przestała uczęszczać na zajęcia. Ojciec jej dziecka był w tym czasie w więzieniu. Nie uwierzył, że to jego dziecko, więc się rozstali. Poczułam się urażona i zdecydowałam, że wolę być sama.

Wróciła do mamy, do Ciechanowa, i tam urodziła dziecko. Zaraz po porodzie poznałam kolegę, który miał problemy z wojskiem, postanowiliśmy wziąć ślub. Kolega powiedział, że to jego dziecko, a dla mnie ważne było, co powie rodzina, sąsiedzi, dlatego to małżeństwo było kamuflażem. Trwało trzy miesiące. Napisałam pozew rozwodowy, ale on nie chciał mi dać rozwodu, mówił, że nadal mnie kocha. Rozwód wzięli dopiero, kiedy Monika odsiadywała wyrok w sprawie o zabójstwo. Kiedy ojciec dziecka wyszedł na wolność zamieszkali razem i do czasu aresztowania żyli w konkubinacie. W tym czasie Monika jeszcze dwukrotnie zachodziła w ciążę i urodziła dwójkę dzieci.

Jestem domatorką, taka raczej uczuciowa, dzieci to dla mnie cały świat. Nie mam jakiegoś wyjątkowego temperamentu seksualnego, po dzieciach to przestało mieć znaczenie.

Miałam w życiu siedmiu partnerów i zwykle byli to mężczyźni starsi, ale najwyżej o osiem lat. Wady? Jestem nerwowa, ale potrafię panować nad emocjami, mam trudności z uzewnętrznianiem uczuć.

Biegli rozpoznali u niej nieprawidłowy rozwój osobowości. Zauważyli, że ma skłonność do stosowania mechanizmów obronnych typu wyparcia i zaprzeczenia. Należy do osób bardzo bystrych, spostrzegawczych, ma dobrą sprawność intelektualną (iloraz inteligencji - 110 punktów), prawidłowo przeszła testy psychologiczne. Cechuje ją także duża elastyczność zachowań w zależności od sytuacji. Ale uczuciowość wyższa[8] nie uległa u niej w pełni wykształceniu, stwierdzono nawet patologię w sferze emocji, brak poczucia odpowiedzialności przy jednoczesnej dobrej sprawności intelektualnej.

Piła od piętnastego roku życia. Po alkoholu staje się agresywna, drażliwa, skłonna do konfliktów. Biegli psychologowie stwierdzili, że gdyby Szymańska chciała zmienić swoje życie, mogłaby to zrobić bez trudu. Przy tak wysokim ilorazie inteligencji z pewnością ukończyłaby studia. Nie chciała jednak tego zrobić, bo to wymagałoby wysiłku, podjęcia pracy zawodowej i zerwania z dotychczasowym towarzystwem.

Łatwiej jest pić, nie pracować, zabijać czas na oglądaniu ogłupiających, bzdurnych filmów.

***

Noc z 13 na 14 czerwca 1997 roku. Dzwoni telefon. - Czy pani wie, na jakim ognisku

jest syn i z kim? Jadwiga Jaworska: - Wiem. Ale o co chodzi?

- Czy pani wie, że był wypadek i jest uszkodzony ford transit? Jakim samochodem przyjechał pani syn? - ciągnęła kobieta po drugiej stronie.

Jadwiga Jaworska: - Syn nie ma samochodu. On w ogóle nie jeździ samochodem.

O co chodzi? Z kim rozmawiam?

Kobieta po drugiej stronie rozłączyła się.

Było wpół do czwartej nad ranem. Jeszcze nie zaczynało świtać. Telefon zbudził panią Jaworską i jej męża, Walentego. Tomek, ich syn, nie wrócił z ogniska zorganizowanego poprzedniego dnia wieczorem z okazji zdanej matury. Potem, w trakcie procesu, państwo Jaworscy przyznają, że kiedy w środku nocy zadzwonił telefon, czuli, że musiało się stać coś strasznego. Kilka minut później byli już w drodze na żoliborską[9] komendę policji.

Na miejscu okazało się, że ich najgorsze przypuszczenia się sprawdziły.

Napadli nas - powiedział na wstępie Jan Skoczkowski, kolega Tomka ze szkoły.

Mimo nocnej pory siedział na posterunku policji i czekał na przesłuchanie. - Wszyscy rozpierzchli się po krzakach i ukryli w lasku, a ja jakoś się wymknąłem i postanowiłem zadzwonić na policję ze stacji benzynowej.

Słysząc to, Jadwiga Jaworska domagała się, by natychmiast wszczęto akcję poszukiwawczą.

Może nic się nie stało, może syn wróci rano… na kacu… - sugerowali policjanci.

Jadwiga Jaworska kręciła głową. Miała złe przeczucia. Nie on, nie Tomek. Skontaktowała się z kuzynem i najlepszym przyjacielem syna, Jarosławem Księżopolskim. On też był na tym ognisku. Okazało się, że Tomek zadzwonił do niego wpół do czwartej (mniej więcej w tym samym czasie, gdy pani Jadwiga odebrała dziwny telefon u siebie w domu). Pytał, czy ze mną wszystko w porządku. Powiedziałem, że tak. Myślałem, że dotarł do domu i nie chce rozmawiać o tym, co zaszło na polanie, żeby nie denerwować państwa… A z tobą bardzo źle? - zapytałem. Odpowiedział, że bardzo. Jedziesz do szpitala? Usłyszałem, że nie, i na tym rozmowa się skończyła. Nie mogę mówić, wyszeptał. Byłem przekonany, że jest w domu i nie chce martwić rodziców.

Policjanci ustalili, że większość licealistów wróciła do domu przed północą. Reszta dopiero około piątej nad ranem. Tomka z nimi nie było. Nikt go nie widział. Nikt nie był w stanie powiedzieć, co mogło się z nim stać.

Dopiero około godziny szesnastej następnego dnia (14 czerwca 1997 roku) policja przyjęła oficjalne zgłoszenie o zaginięciu Tomka Jaworskiego. W tym czasie, w mieszkaniu Moniki Szymańskiej, sprawcy pastwili się nad maturzystą przywiązanym do kaloryfera, bili, kopali, obcinali mu włosy, przypalali lokówką - wciąż liczyli, że dzięki niemu zdobędą pieniądze na naprawę auta. Kiedy uznali, że nie[10], a na dodatek chłopak może rozpoznać Monikę, postanowili wywieźć go do lasu i zabić.

W tym czasie policja i rodzice wciąż poszukiwali maturzysty.

Z zeznania Jarosława Księżopolskiego:

Trzynastego czerwca 1997 roku zaplanowałem z bratem ognisko w Parku Młocińskim. Było kilkanaście osób i do pierwszej w nocy siedzieliśmy, piekliśmy kiełbaski, bawiliśmy się. Nagle na polanę wjechał polonez caro i wysiadło z niego pięć osób. Podeszli i zaczęli z nami rozmawiać. Potem odjechali. Trochę osób z naszego towarzystwa wróciło do domu. Około drugiej w nocy na polanę znów wjechał ten polonez, a wraz z nim fiat 125p.

Tym razem wysiadło z tych aut jakieś osiem osób. Mieli w rękach kije do baseballa i

wyglądało na to, że chcą nas pobić. Rzuciliśmy się do ucieczki. Zanim dobiegłem do lasu, ktoś uderzył mnie z całej siły czymś twardym w głowę. Upadłem. Czułem, że ktoś mnie kopie. Potem znów ktoś mnie uderzył. Tak silnie, że mnie zamroczyło. Na chwilę straciłem kontakt ze światem. Czułem jak przez mgłę, że ktoś rozbiera mnie ze swetra, zdejmuje zegarek, zrywa złoty łańcuszek, wyciąga portfel. Nie miałem sił się bronić, więc kiedy wzięli wszystko, co mogli zabrać, tak mnie zostawili. Doczołgałem się do zagajnika i ukryłem w krzakach. Słyszałem jakby głos Tomka - chyba bili go kijami, aż w końcu jeden z nich kazał temu pierwszemu przestać, bo go zabije. Potem wsiedli do samochodów i odjechali. Ale zaraz wrócili i zaczęli nawoływać, żebyśmy wyszli. Przeczekałem, aż sobie poszli. Z ich słów wywnioskowałem, że napadli na jakiś samochód i zbito szybę. Nie rozpoznam tych ludzi.

Dopiero po jakimś czasie wyszedłem z lasu, pozbierałem rzeczy, które walały się na polanie.

Plecaki, kurtki, puste portfele znajomych ze szkoły. Byłem tam sam. Wyszedłem na drogę i próbowałem zatrzymać jakiś samochód. Kiedy dotarłem do domu, jakoś tak wpół do czwartej, zadzwonił Tomek. Przypomniałem sobie, że jeszcze w lesie Tomek coś krzyczał. Chyba, że „ją rozpoznaje”, ale nie wiem, o co chodziło.

Z notatki urzędowej posterunkowego Krzysztofa Ryszki:

Czternastego czerwca o godzinie pierwszej pięćdziesiąt pojechałem na interwencję na ulicę Pułkową do CPN, gdzie znajdowali się poszkodowani rozboju. Zastałem tam Jana Skoczkowskiego i Michała Bożka, którzy oświadczyli, że w czasie, gdy byli na ognisku w Parku Młocińskim, podjechały do nich dwa samochody (fiat 125 p i polonez), z których wysiadło kilka osób i groziło pobiciem.

W wyniku tego zdarzenia poszkodowany został także Marek Grudziński, właściciel forda transita. Wszystkie osoby zabrałem na komendę celem przesłuchania.

Było około pierwszej w nocy - zeznał Grudziński - siedziałem w aucie ze swoją znajomą. W pewnej chwili podeszło do nas kilku młodych mężczyzn i zażądało, abym wysiadł z samochodu. Kiedy odmówiłem, zaczęli wybijać mi wszystkie szyby boczne. Jeden miał w ręku klucz do kół samochodowych, drugi drewnianą deskę. Żądali pieniędzy.

Zaaferowany tym wszystkim spostrzegłem, że nie ma Alicji. Chciałem odjechać, zapuszczałem silnik, kiedy wokół auta zaroiło się od kolejnych młodych ludzi z kijami w rękach. Kopali w samochód, krzyczeli. W końcu zdołałem uruchomić silnik i ruszyć, ale ktoś zajechał mi drogę „starym fiatem”. Przestraszyłem się, praktycznie staranowałem to auto, myślę, że z pewnością poszedł im zderzak, ale nie myślałem, co się stanie z samochodem ich i moim. Chciałem jak najszybciej stamtąd uciec. Grudziński natychmiast pojechał z policjantami do Łomianek[11] i pod jednym ze sklepów rozpoznał kilku, którzy jeszcze trzy godziny wcześniej byli na polanie i atakowali maturzystów. Dwaj z nich - Maciej K. i Mirosław W. - mieli na odzieży ślady krwi. Byli pijani (powyżej promila alkoholu we krwi).

Mirosław W. kilka miesięcy wcześniej był zatrzymywany przez policję jako sprawca ciężkiego uszkodzenia ciała w wyniku pobicia. Obaj zostali zatrzymani.

To Mirosław W. zeznał, że w grupie atakującej maturzystów była dziewczyna. Ubrana w strój kąpielowy, chyba blondynka, włosy do ramion. Spotkał ją w barze na Górce Młocińskiej, gdzie pił wódkę z kolegami z Łomianek i Burakowa. Ta dziewczyna przyjechała z kilkoma mężczyznami, chyba czerwonym fiatem 125p. Jednego z nich znałem

ze szkoły -

Roberta W., więc przywitałem się i oni przysiedli się do nas. I tak od słowa do słowa zgadaliśmy się, że tam palą się ogniska. Zaraz tam pojechaliśmy i zaczęła się bójka. Nie wiem kto zaczął i o co poszło. Potem, kiedy ten facet z transita uciekał, złamał zderzak tej grupie w fiacie i oni ruszyli za nim.

Poszukiwania Tomka Jaworskiego trwały tydzień i nie dały rezultatu. W tym czasie policjanci przesłuchiwali ludzi z Łomianek, którzy zaatakowali młodzież w Parku Młocińskim. Ostatecznie ustalili, że maturzysta został porwany przez grupę „dresiarzy" z fiata 125p. Ta grupa to: dziewiętnastoletni Tomasz K., trzydziestoletni Marek S., dwudziestosiedmioletni Robert W. i dwudziestopięcioletnia Monika Szymańska. To w jej mieszkaniu na warszawskim Bródnie, przy ulicy Kondratowicza przetrzymywano maturzystę.

Kiedy policja weszła, by aresztować kobietę, wciąż były tam ślady krwi. Na ścianach w łazience, na dywanie w pokoju, na kaloryferze… Zabezpieczono także włosy i inne ślady biologiczne.

Monika Szymańska przyznała się, że brała udział w porwaniu maturzysty. Przyznała, że był przetrzymywany, bity i dręczony w jej mieszkaniu, ale twierdziła, że nie brała w tym czynnego udziału, ani nie wie, co się z nim stało. Tomasz K. z Markiem S. zabrali go i wywieźli do lasu. Mieli przywiązać go do drzewa i zostawić.

Pierwszy złamał się Marek S. Alkoholik (ur. 10.08.1963), żonaty, ale nie utrzymujący kontaktów z żoną, nie płacący alimentów, nie mający żadnych zainteresowań. Podczas badań psychiatrycznych biegli stwierdzili u niego nieprawidłową osobowość, z wyraźnymi cechami psychopatycznymi; z trudem tłumi agresję, natomiast jego sprawność intelektualna jest na poziomie dolnej granicy normy. Już podczas pierwszego przesłuchania wydał wspólników.

Opowiedział o zbrodni, podał miejsce zakopania zwłok chłopca oraz miejsce ukrycia noża, od którego zginął. Liczył na nadzwyczajne złagodzenie kary. Policjanci początkowo nie ujawniali, że tę informację mają od niego. Działania operacyjne, tłumaczyli.

Kiedy aresztowano Tomasza K. (ur. 6.03.1978), ten początkowo wypierał się wszystkiego. W końcu złożył zeznania obciążające Monikę oraz Marka S. Biegli ustalili potem, że K. jest w początkowej fazie uzależnienia od alkoholu, ma przeciętną sprawność intelektualną, nieprawidłowo rozwiniętą osobowość z rysami psychopatycznymi, patologią emocji, nie liczy się z obowiązującymi normami życia społecznego, choć prawidłowo postrzega otaczającą go rzeczywistość.

Tomek Jaworski zginął od noża. Ciosy zadał Tomasz K. na polecenie Moniki.

Specjaliści medycyny sądowej stwierdzili, że były to cztery rany kłute zadane z zamachu -

narzędzie zbrodni godziło w ciało ze znaczną siłą. Nie było szansy na uratowanie Tomka. W swoich wyjaśnieniach Marek S. mówił o charakterystycznym charczeniu, co lekarze zinterpretowali jako uszkodzenie płuc - każdy z ciosów był więc śmiertelny. Sąd ustalił, że Monika Szymańska postawiła nogę na klatce piersiowej lub szyi Tomka, który był już w agonii. Potem sprawcy spalili ciało. Biegli nie byli w stanie stwierdzić, czy zrobili to za życia chłopca, czy już po śmierci. Jednak to dowodzi, że sprawcy musieli wykonać wiele czynności: zadać ciosy nożem, przynieść kanister z benzyną, wciągnąć ofiarę do dołu, podpalić ciało i je zakopać. Najprawdopodobniej Monika nie uczestniczyła

w zakopywaniu zwłok. Nóż, którym zamordowano Tomka, zabójcy wrzucili do Kanału Żerańskiego - został odnaleziony przez płetwonurków.

Musieliśmy go zajebać, bo było za głośno i poznałby nas na policji - ty się nie martw, bo tobie nic się nie stanie. Wyrwaliśmy chwasta - miał powiedzieć po zbrodni Marek S. Robertowi W., który brał udział w dręczeniu maturzysty.

Po śmierci Tomka w „czarnym marszu” ulicami Warszawy przeszły tysiące ludzi. Był to protest przeciwko agresji i przemocy.

Ciemnoczerwony fiat 125p o numerze rejestracyjnym CAC 3657 został zatrzymany przez policję jako narzędzie zbrodni. To nim sprawcy porwali Tomka Jaworskiego z Parku Młocińskiego, zawieźli w bagażniku do mieszkania Moniki Szymańskiej, a potem nad Kanał Żerański, by go zabić i zakopać. W aucie zabezpieczono ślady linii papilarnych, próbki ziemi, ślady zapachowe (w bagażniku, na kocu znalezionym w aucie oraz na tylnej kanapie).

Monika Szymańska nigdy nie przyznała się do udziału w tej zbrodni. Twierdziła, że nie widziała, jak zabijano Tomka i dowiedziała się o tym na komendzie. Nie brała udziału w ujawnieniu miejsca zakopania zwłok, nie uczestniczyła w pozbywaniu się noża. Sąd jednak uznał, że wiedziała, że się go pozbyto, bo wydała takie polecenia swoim kompanom.

Tymczasem przez cały proces przekonywała, że sama była ofiarą[12]. Byłam zdominowana przez mężczyzn. Podała, że w czasie, kiedy Tomek był katowany, dobrowolnie współżyła z Markiem S. i Robertem W., z Tomaszem K. - nie, chociaż tego chciał. W trakcie procesu dodała, że jeden z nich zgwałcił ją lokówką, lecz nie chciała podać który. Obydwaj byli po alkoholu, a ja praktycznie trzeźwa. Byli agresywni wobec tego chłopaka, powiedziałam, żeby przestali, a to się obróciło przeciwko mnie. Zaczęli drwić, myślałam wcześniej, że moje zdanie się liczy. Wiedziałam, że jeśli się sprzeciwię, będzie źle. Bałam się, że będę zbita. Nie chciałam tego kontaktu, sam stosunek był przykry, pamiętam tylko fragmenty. Kazali mi patrzeć, co będzie z Tomkiem, kazali mi nawet wprowadzić mu lokówkę do odbytu, ale tego nie zrobiłam. Potem jeden do drugiego powiedzieli, że już starczy. Zaczęli mnie przepraszać.

Nie zauważyłam, żeby o mnie rywalizowali. Chodziło raczej o zastraszenie mnie.

Sąd nie dał jej wiary. Oskarżona tak dalece stara się przedstawić siebie jako ofiarę, że według niej koledzy uknuli spisek, K.[13] ją zdradził, a Temida jest przeciwko niej.

Zdaniem sądu to silne mechanizmy obronne, dzięki którym kobieta dobrze funkcjonuje - gdyby ich nie stosowała, doszłoby do załamania się i ujawnienia swej roli w zarzucanych czynach.

Monika i jej kompani zostali poddani dokładnym badaniom przez psychiatrów. Uznali oni, że kobieta ma osobowość dysocjalną[14]. Dodatkowo ze względu na rodzaj relacji w grupie (Monika twierdziła, że była gwałcona i zastraszona przez współsprawców) oraz konieczność ustalenia dynamiki tych relacji w trakcie dramatycznych wydarzeń, sąd powołał profesora seksuologii Zbigniewa Lwa Starowicza. Ten wydał opinię, którą cytowali wszyscy dziennikarze[15], o niezwykle inteligentnej i androgennej osobowości kobiety. Stwierdził on między innymi, że kobieta o silnej osobowości, dominującej, o takiej panoramie zachowań, które silnie oddziałują na mężczyzn, nie może spełniać roli ofiary. Monika ma osobowość androgenną, w której dominują cechy męskie. Tymczasem po zbadaniu wszystkich oskarżonych Starowicz uznał, że zarówno Marek S., jak i Tomasz K. są kobiecymi mężczyznami, z przeważającą ilością cech kobiecych. Relacje między tą

czwórką były relacjami dominującej kobiety z mężczyznami skłonnymi do uległości wobec niej. Nie przypadkiem wszyscy mężczyźni w skali męskości uzyskali bardzo niską liczbę punktów.

Zachowania oskarżonych nie miały głównie seksualnego kontekstu, ale jest prawdopodobne, że ujawniały potrzebę ekspresji męskiej siły i dominacji. Nie można wykluczyć podświadomej rywalizacji męskiej wobec dominującej kobiety.

Marek S. mówił, że Monika miała wpływ na Tomasza K. Rządziła nim, zarabiał dla niej, napadając na ludzi, okradając samochody.

Ona miała z tego pieniądze. Twierdził, że na niego samego i na Roberta W. nie miała wpływu. Spałem z nią dwa razy. Między nami nie byłoby łóżka, gdybym nie był po alkoholu, bo ona nie jest atrakcyjna. Zresztą sam pan zobaczy. Ale ona była dominująca, wyrafinowana w seksie, prowokowała. Miała plany, żebyśmy zamieszkali razem, wyjechali z Warszawy.

Jedyną przyczyną śmierci tego chłopca było to, że w następnej klatce mieszkała jego rodzina i mogło dojść do rozpoznania przez Tomka Moniki i Tomasza K. Nie było sadyzmu, chodziło tylko o to, żeby nie uciekł.

Tomasz K. przyznał, że był uzależniony od Moniki psychicznie. Dobrowolnie pilnował jej dzieci, pomagał finansowo, nie sypiali ze sobą, ale ją podziwiał. Ona była silna, wywierała na mnie presję. Będę żałował tego związku z nią do końca życia. Po aresztowaniu wysyłał do niej grypsy[16], w których pocieszał ją, pytał o dzieci, obiecywał pomoc i zarzekał się, że nigdy jej nie wsypie.

Sąd uznał, że Monika chciała wywołać współczucie i dlatego uknuła teorię o rzekomym gwałcie, podczas gdy tak naprawdę do końca starała się manipulować własnymi zachowaniami. Te wypowiedzi nie współgrają z jej egocentrycznym zachowaniem. Tutaj - w sądzie, gdzie wie, że od jej postawy, tego co powie, zachowania zależeć będzie jej los - zachowuje się poprawnie; kontroluje swoje reakcje i wypowiedzi. Tymczasem tam, gdzie nie musiała tego robić - w domu, w barze „Na górce”, na polanie, w Lasku Bielańskim, nad Kanałem Żerańskim, a nawet w celi więziennej - była agresywna, arogancka i wulgarna.

Monika w trakcie aresztowania tymczasowego do tej sprawy była agresywna i stwarzała problemy. W opinii dla sądu, sporządzonej przez funkcjonariuszy aresztu śledczego, ustalono, że kobieta jest zdemoralizowana. Reaguje agresywnie w sytuacjach, które subiektywnie odbiera jako trudne. Kumuluje w sobie agresję. Jest osobą dominującą, wrogo nastawioną do wymiaru sprawiedliwości, bezkrytyczną, nie ma poczucia winy, nie jest skłonna do refleksji. Mówi, że nie wie, kto zabił, a także, że odczuwa obrzydzenie do współoskarżonych.

Sąd uznał Monikę za mózg bandy, wprawdzie sama nie użyła noża, lecz podżegała do zabójstwa, a nawet wydawała polecenia i zabiła maturzystę rękami omotanych przez nią mężczyzn. Oparł się na opinii biegłych psychologów, z której wynika, że ta kobieta ma wszystkie cechy, by być przywódcą grupy; niezwykle sprawna intelektualnie, błyskotliwa, charakteryzuje ją duża spostrzegawczość, umiejętność szybkiego wysnuwania wniosków, szybkość reakcji i podejmowania decyzji. Potrafi panować nad swoimi zachowaniami, manipuluje przez kokieteryjne zachowanie lub wywoływanie poczucia strachu i lęku. Jest osobą sterującą. Umiejętnie stosuje tzw. teatralność zachowań - odgrywa role dostosowane do sytuacji. Ona ma w sobie coś takiego, że musi być przywódcą, chce błyszczeć i pokazywać się, być na pierwszym planie. I to właśnie ona podejmowała najistotniejsze

decyzje. Była szefową grupy zadaniowej, która utworzyła się w makabrycznych okolicznościach.

Sąd skazał ją na dożywotnie więzienie, podobnie jak Tomasza K. Za współpracę z organami ścigania Marek S. ubiegał się o nadzwyczajne złagodzenie kary, lecz sąd wymierzył mu wyrok siedmiu lat i jedenastu miesięcy więzienia. Od czasu procesu Moniki Szymańskiej zaczęto mówić o nasilającej się agresji kobiet.

Oskarżona jest matką trojga dzieci i właściwie na tym stwierdzeniu ta kwestia powinna być zamknięta[17]. Jeśli rozważy się, jak zajmowała się dziećmi, jaką otaczała je opieką, jakie wpajała im wzorce postępowania, można uznać, że dobrze się stało, że opiekę nad nimi przejęła babka i sąd rodzinny. Na pewno w jakiś sposób kocha swoje dzieci, ale nie tak, jak to przedstawiała podczas procesu oraz badań psychiatrycznych. Nie interesowała się nimi, skoro zorganizowała wypad nad zalew z trzema mężczyznami i picie wódki. Także w listach, które pisze, nie ma tęsknoty za dziećmi. Ona tęskni za pocałunkami, za kolegą z więzienia.

Sprawa zabójstwa Tomka Jaworskiego przez wiele miesięcy przykuwała uwagę opinii publicznej i wzbudziła ogromne społeczne emocje. Była na swój sposób wyjątkowa.

Zginął młody człowiek, a jego śmierć nie była przypadkowa, nie był to nieszczęśliwy wypadek, to było wyrachowane przestępstwo, w którym sprawcy wykazali się bezprzykładnym bestialstwem, dla którego nie ma i być nie może zrozumienia, czytamy w uzasadnieniu wyroku. W tej sprawie mieliśmy do czynienia z takim nagromadzeniem okrucieństwa i cierpień, że okoliczności śmierci ofiary każą nam mówić o zbrodni szczególnej.

Jakże dramatycznie brzmiały słowa matki Tomka Jaworskiego[18] przed wydaniem wyroku na zabójców jej syna: Czy dobrze zrobiłam, nie ucząc Tomka agresji? Może miałby szansę przeżyć.

***

Podczas składania wyjaśnień do tej sprawy Tomasz K. pomówił Monikę o zabójstwo jej dawnej przyjaciółki Anety D. Kobieta zaginęła bez śladu kilka lat temu. Jestem zupełnie pewien, że zbrodni tej dokonała Monika. Razem z Katarzyną O. śmiały się, że Aneta pracuje w jakiejś fabryce pasty do zębów[19]. Chyba została zgwałcona, zawiadomiła policję i przez nią do więzienia trafił konkubent Kaśki. Obie z Moniką śmiały się, że trzeba Anecie obić mordę. […] Ona mogła to zrobić.

Raz z mężczyzną o pseudonimie „Dziamgo” wrzucili mnie do bagażnika i chcieli wywieźć do lasu. Bez powodu. Po prostu Monika miała taki humorek. Oswobodziłem się sam i uciekłem na szosę.

Przeciwko Monice wszczęto nawet dochodzenie i powstał akt oskarżenia dotyczący uprowadzenia, jednak do dziś nie odnaleziono zwłok kobiety[20]. Monika zaprzecza, twierdzi, że to absurdalne pomówienie z zemsty. Sprawa zaginięcia Anety D. wciąż jest nierozwiązana.

EPILOG 2012

Monika Szymańska jest wzorową osadzoną grudziądzkiego więzienia. Otrzymuje pochwały i nagrody od pracowników służby więziennej. Nie brała udziału w buncie, do którego namawiały ją współwięźniarki - słynne zabójczynie (Małgorzata R. - zabójstwo dealerów Ery GSM i Monika O. - zabójstwo Joli Brzozowskiej), które zostały

dyscyplinarnie przeniesione do innego zakładu karnego. Spolegliwe zachowanie Moniki wobec władz więzienia zinterpretowane zostało przez zbuntowane więźniarki jako słabość, co sprawiło, że Monika „straciła szacunek” w oczach pozostałych osadzonych oraz wpadła w depresję.

„Jestem już za stara na takie pajacowanie. Wiem już, ile przez to straciłam” - przekonywała więziennego psychologa. Jej proces resocjalizacyjny jest bardzo dobrze oceniany, a ona sama uznawana za jedną z najlepiej przystosowanych długoterminowych osadzonych. Ze względu na dobre zachowanie w 2011 roku otrzymała przeniesienie na oddział otwarty. Może w ciągu dnia swobodnie opuszczać celę i poruszać się po oddziale. Zyskała prawo do odwiedzin i telefonowania do rodziny o każdej porze dnia. Pomaga innym więźniarkom w przystosowaniu się do życia w zakładzie karnym. Stara się o przedterminowe zwolnienie warunkowe. Choć jej ostatnia prośba nie została poparta przez sąd penitencjarny, Monika nie traci nadziei, że kolejna sprawa wejdzie na wokandę i skończy się szczęśliwie - wyjściem na wolność.

Deklaruje, że chciałaby odciążyć swoją matkę i zająć się swoimi dorosłymi już dziećmi oraz wnukami.

Monika utrzymuje dobry kontakt z byłym konkubentem i ojcem ich dzieci, od którego czasem otrzymuje drobne pieniądze lub paczki. Piszą do siebie, Grzegorz sporadycznie odwiedza Monikę, informując ją o problemach z dziećmi. Kobieta zdaje sobie sprawę, że nie jest dla swoich dzieci żadnym autorytetem, kiedy więc wikłają się w identyczne kłopoty, jakie ona miała przed laty, nie jest w stanie im niczego nakazać, ani pomóc w żaden inny sposób.

„Trudno wychować dzieci przez telefon” - skarżyła się w 2011 roku. Jedna z jej córek kontynuuje edukację, „stanęła na nogi”, dobrze sobie radzi, nie ma żadnych związków ze światem przestępczym.

W trakcie odbywania wyroku do Moniki napisał także wspólnik zbrodni na warszawskim maturzyście (Tomasz K.), prosząc ją o wybaczenie.

Miała poważne problemy zdrowotne, trafiła nawet do więziennej kliniki, gdzie wykonano jej drobny zabieg. Od kilku lat pracuje w szwalni. Praktycznie nie bierze wolnego, rzadko korzysta ze zwolnień lekarskich. Część zarobionych pieniędzy przeznacza na zaspokojenie podstawowych potrzeb (nie ma żadnego wsparcia z zewnątrz), a resztę wysyła matce, by ją wesprzeć.

Przez ponad rok utrzymywała korespondencyjny związek ze starszym od siebie mężczyzną osadzonym w innym zakładzie karnym, którego poznała dzięki koleżance z celi.

Mężczyzna nalegał na spotkanie, przekonywał, że jest w Monice zakochany i nie przeszkadza mu jej przeszłość, jednak ona uważała go jedynie za przyjaciela. Gdy mu o tym napisała, listy od adoratora stały się lakoniczne, a wreszcie przestały przychodzić. Stale korzysta z więziennej biblioteki. Bardzo ładnie wyszywa - jej ogromnych rozmiarów haft z wizerunkiem Jana Pawła II zdobi więzienną kaplicę.

***

[1] Zdania wygrubione kursywą pochodzą z listów jej trójki dzieci, udostępnionych przez Monikę.

[2] Jeśli osoba skazana na karę więzienia w zawieszeniu w trakcie trwania wyroku popełni kolejne tego typu przestępstwo, sąd może automatycznie „odwiesić” karę i wezwać sprawcę do odsiedzenia wyroku w zakładzie karnym. Jeśli dana osoba popełnia kilka

podobnych przestępstw i została skazana za nie wyrokami w zawieszeniu, w przypadku odwieszenia nie sumuje się lat do odsiadki, bierze się pod uwagę jedynie najdłuższą z nich.

[3] Pobiła ją.

[4] Przekręt.

[5] Oddział zamknięty dla osób skazanych wyrokiem na długoterminowy pobyt w więzieniu.

[6] Iwona W. skazana za zabójstwo Sebastiana Prażmo w podwarszawskim Rembertowie w marcu 1997 roku. Poprosiła swojego chłopaka, by unieszkodliwił Sebastiana P., ponieważ ten ją obraził. W zabójstwie brało udział kilku mężczyzn i sama Iwona (kontrolowała, czy są skuteczni, a także, według ich zeznań, zadawała ciosy, sprawdziła, czy nie żyje). Kiedy chłopak był już u kresu sił zabójcy przywiązali go do auta i ciągnęli za nim, by zadać mu więcej cierpienia. Wyrok dla Iwony W.: piętnaście lat więzienia. Dwaj główni oprawcy dostali po dwadzieścia pięć lat.

[7] Artykuł 148 kodeksu karnego określa przesłanki odpowiedzialności karnej za zabójstwo. Najniższy wymiar kary za zabójstwo to 8 lat pozbawienia wolności, a najwyższy -

dożywotnie pozbawienie wolności. Artykuł 156 kodeksu karnego określa przesłanki odpowiedzialności karnej za pobicie ze skutkiem śmiertelnym, wymiar kary do 12 lat pozbawienia wolności.

[8] Umiejętność odczuwania miłości, współczucia, empatii.

[9] Żolibórz to dzielnica Warszawy.

[10] Chcieli wziąć okup, ale zorientowali się, że porwali niewłaściwą osobę, bo chłopak nie jest powiązany z fordem transitem.

[11] Podczas zajścia agresorzy krzyczeli, żeby nie zadzierał z ludźmi z Łomianek.

[12] Mówiła, że została zgwałcona i była zastraszana przez współoskarżonych.

[13] Tomasz K., zakochany w niej platonicznie od lat. Opiekował się jej dziećmi, pomieszkiwał, kiedy Grzegorz Ł., konkubent Moniki, był w zakładzie karnym. To jego, zdaniem sądu, wyznaczyła Monika na zabójcę Tomka Jaworskiego.

[14] Osobowość dysocjalna/socjopatyczna to zaburzenie struktury osobowości o charakterze trwałym, dotyczące 2-3% każdego społeczeństwa. Zaburzenie to wiąże się z obecnością trzech deficytów psychicznych: lęku, uczenia się i relacji interpersonalnych.

Osobnik nastawiony egocentrycznie, pozbawiony empatii, sumienia, altruizmu i innych uczuć wyższych, często przejawiający okrucieństwo fizyczne lub psychiczne w kontaktach z innymi ludźmi.

[15] Opinia została przygotowana na wniosek obrońców Moniki Szymańskiej.

[16] Nielegalne listy, przekazywane w tajemnicy przed służbą więzienną; zgodnie z prawem cała korespondencja jest w wiezieniu cenzurowana przez administrację ZK.

[17] Z uzasadnienia wyroku.

[18] W trakcie procesu rodzice Tomka byli oskarżycielami posiłkowymi.

[19] Agencji towarzyskiej.

[20] Nie ma ciała, nie ma zbrodni.

Elżbieta

Marzenia

Mam najbardziej kolorowe sny w całym więzieniu. Uciekam w świat fantazji, we śnie i na jawie. Dziewczyny się ze mnie śmieją. One potrafią marzyć tylko o wygranej w totka na chybił-trafił. Nie to, co ja, mój świat nie jest na zewnątrz, jest głębiej. Po co sobie w głowie mieszasz - mówią - przecież i tak nie masz szans, aby to się spełniło. A ja sobie marzę, bo tu nie chodzi o spełnienie, a o moje poczucie szczęścia. Złudne, wymyślone, ale moje własne - tych marzeń nikt mi nie odbierze. Dlatego, kiedy zasypiam, zawsze mam przed oczami kolorowe obrazy.

Głębiny oceanu i rafy koralowe. Światło przenika przez otchłań lazurowej poświaty.

Skaczę. Jestem w wodzie, wolna od zasad grawitacji i smutków tego świata. Jestem lekka jak piórko, oddycham rytmicznie. I widzę, widzę te cudowności, podwodne dzieła sztuki, ryby, żyjątka jak z filmu przyrodniczego; czerwień, żółć, fiolet i błękit, które mogła stworzyć jedynie natura. Czuję się dobrze, bezpiecznie, w bezczasie. Bawię się, odprężam, śmieję, a obok jest asekurujący mnie nurek, bo ja w ogóle nie umiem pływać.

One były we mnie, zanim tutaj trafiłam. Zawsze były, odkąd pamiętam. Nigdy nie dawałam się im omamić, nie chciałam ich realizować. Choć miałam marzenia ściętej głowy, pielęgnowałam je. Lubiłam je takie, jakie są - ulotne. Jest we mnie filozof i analityk jednocześnie. Jedno drugie wyklucza, ale ja sobie z tym jakoś radzę. Trzeba być zdrowym marzycielem, bo nierealne marzenia mogą pomieszać w głowie, mogą człowieka złamać, doprowadzić na skraj.

Byłam ostatnim dzieckiem Baby Jagi. To był piąty poród mojej matki. Zmarła, gdy miałam cztery latka. Nie pamiętam jej zapachu, twarzy, znam ją jedynie z kilku fotografii.

Była piękną kobietą.

Jako szkrab tułałam się po domach dziecka, ochronkach i pogotowiach opiekuńczych.

Kiedy ojciec ożenił się ponownie i zabrał mnie do domu, wszyscy sądzili, że do sieroty los się w końcu uśmiechnął. Gówno prawda! Wychowywała mnie macocha, obca kobieta, zimna jak Antarktyda. Miała swoje dzieci, o mnie nie myślała. Nic więcej nie słyszałam, tylko wynieś, przynieś, pozamiataj, zrób to, zrób tamto. A kiedy coś mi nie wyszło, to przez łeb szmatą mnie trzaskała, niczym swojego Kopciuszka, któremu można zlecić najgorszą robotę. Nikt mnie w dzieciństwie nie dowartościowywał, nawet ojciec - nie potrafił uzewnętrzniać swoich uczuć.

I wyrosłam na osobę zakompleksioną, strachliwą, złą na cały świat i na tego, co go stworzył. Chciałam mieć wszystko podane na tacy, a macochę wybrałam na sprawczynię moich klęsk. Przez długie lata obwiniałam ją za swoje niepowodzenia, a jednocześnie wciąż mówiłam do niej mamo, bo przecież innej mamy nie znałam. I winiłam ją za to, że moje rodzeństwo kochała bardziej. Za to, że zamiast do szkoły plastycznej wysłała mnie do zawodówki, żebym szybko fach w ręku miała. Wciąż powtarzała mi, że skoro się pod ławką urodziłam, nigdy na ławce nie usiądę. Buntowałam się, krzyczałam, że jak zechcę, na wieży Eiffla usiądę. Zostałam tokarzem. Potem starszy brat załatwił mi robotę w Zakładach Tocznych „Iskra”. Miałam dryg techniczny, zgadza się, ale duszę artysty. Tylko że nie było w moim otoczeniu osoby motywującej mnie do rozwoju. Zresztą, kto miałby o tym pomyśleć - tata kolejarz, macocha tkaczka - najzwyklejszy ograny duet. W wieku czternastu

lat wyszłam z domu i pojechałam w świat. Wykreowałam w głowie swój własny wizerunek - sierotki, która jest nieszczęśliwa. I poznałam życie ze złej i dobrej strony, choć sądzę, że nie jestem tak do szpiku kości zdegenerowana. Motocykl taki szybki, błysk, chrom, prędkość. Wsiadam i jadę naprzód. Nie oglądając się za siebie, nie ma nikogo oprócz mnie, tylko szalony wiatr. To niebezpieczne, ale nie zastanawiam się, nie myślę. Pędzę. Chciałam mieć motocykl.

Niekoniecznie taki wymarzony, jak z amerykańskiego filmu, ale szybki, piękny i błyszczący.

Co z tego, skoro zarobione pieniądze zaraz przepijałam, nigdy nie nazbierałam nawet na pierwszą ratę. Na Komarku jeździłam. Alkohol schrzanił mi cele życiowe, może za bardzo wygórowane. Marzyłam o własnym mieszkaniu. Dość miałam swoich problemów sublokatorskich, kiedy to przyszło mi się borykać z dojrzałymi samcami, chcącymi jedynie wykorzystać młode dziewczyny seksualnie, w zamian za możliwość pomieszkiwania w niekoniecznie ekskluzywnym M4. Filozofia ich sprowadza się do: rybki albo pipki, a jak nie, to fora ze dwora, bo znajdą się takie, co dadzą.

Siedemnaście lat miałam, jak poszłam do pracy, męskiej pracy. Pracowałam jako tokarz, łożyska toczne piękne wykonywałam! Lubiłam to - gwinty, śrubki, nakrętki. Praca niezwykle precyzyjna, z dokładnością do pięć setnych milimetra. Potem ziemniaki obierałam w kuchni na akord, ot, proste życie, proste prace. Potem wypłata, spotkania koleżeńskie, pierwsze niewinne kieliszki, które pozwalały marzyć na jawie. Do pewnego momentu były niewinne. Noga mi się powinęła dopiero, jak demokracja nastała - trudności ze znalezieniem roboty były. I potem niezliczoną ilość razy chciałam przestać pić. Jak mnie kolejny raz wyrzucili z fabryki, jak policja mnie zwinęła, jak wdałam się w bójkę. Przestać pić, nie robić sobie więcej kłopotów niż mam… A potem samo jakoś się układało, i znów praca, i znów piłam, jak na karuzeli.

Zaczęłam od wódki i piwa, na winach pisanych patykiem skończyłam. Dumna jestem, że nigdy wynalazków do ust nie wzięłam, tak do końca się nie upodliłam. Wiodłam życie lekkoducha, co jutrem się nie przejmuje, a jakiekolwiek sugestie życzliwych zbywałam atakiem, że przecież za swoje piję, nie jestem pasożytem. Zarabiałam i sądziłam, że mam prawo, bo to były moje pieniądze. Przy pełnej szklaneczce mogłam użalać się nad sobą.

Narzekać, jaka to jestem nieszczęśliwa. Dopiero potem, po jakimś czasie, gdy uzależnienie sprawiło, że tę pracę straciłam, zaczęłam zastanawiać się nad sobą. I zrozumiałam, że tak naprawdę to moje życie przeleciało mi, cholera, pomiędzy palcami, że wszystko przepiłam, że to już klapa, finisz i dostałam obuchem w łeb, w sam środek mojego wygórowanego ego.

Wszystko widziałam w czarnych barwach, nawet moje ryby w marzeniach o nurkowaniu były czarne. Miałam się za pijaka, a każdy pijak, wiadomo, to złodziej, co na śmietniku zbiera.

Skończyłam jako morderca, w więzieniu. Myślałam, że teraz to tylko się zabić. Już nie ma dla mnie szansy na lepsze jutro.

Tymczasem tutaj zaczęłam całkiem nowy etap życia. I dopiero tutaj stałam się optymistką, bo żeby tutaj przetrwać, po prostu trzeba myśleć pozytywnie. Teraz przestawiłam swoje szare komórki na kolorowy kanał i to mnie nakręca.

Jestem Ślązaczką - twardą, ale tylko pozornie. Taka zewnętrzna powłoka. Na pierwszy rzut oka oceniają mnie na skurwysyna, dopiero potem mówią, że się pomylili. Albo mają

mnie za choleryka, choć nie jest łatwo wyprowadzić mnie z równowagi; trzeba porządnie popracować, żebym zareagowała. Tylko że jak zadziałam, jak zrobię ten ruch, do którego mnie prowokują, to jestem jak wulkan emocji. Wszystko płonie. Nie nadstawiam drugiego policzka. Puszczam wiązankę, a jak ktoś zasłuży, nie pozwalam sobie w kaszę dmuchać.

Nakręcam się wtedy sama, już tego nie kontroluję.

Myślę, że jeszcze czterdzieści cztery lata pożyję. Planuję dożyć stu jeden. Nie stu, jak każdy życzy, ale o jeden więcej, ot tak, dla satysfakcji.

Rodzina, dom. Nigdy tego nie miałam. Żyłam w kilku związkach, bez małżeństw, wszystkie skończyły się rozstaniem. Wolny strzelec, błękitny ptak, ceniłam swoją przestrzeń i życie bez zobowiązań. Nikogo nie miałam blisko i nigdy nikomu nie udało się mnie zatrzymać na dłużej. Na smutki miałam jedno lekarstwo - picie.

Teraz mam tylko jeden problem: nadwagę. Ale mówię sobie - piękno zostaje pięknem, bez względu na rozmiary.

Siódmy rok już tutaj siedzę. Zakończyłam terapię antyalkoholową - pozwoliła mi ina czej na siebie spojrzeć. Nauczyłam się, że najważniejsze jest akceptować siebie taką, jaką się jest i że na wszystko jest czas. A nie, jak do tej pory - pstryk i ma być, bo ja tak sobie wymarzyłam. Kiedy to zrozumiałam, przenieśli mnie na oddział półotwarty, a tutaj, wiadomo, jest łatwiej. Oprócz moich marzeń niewiele mi trzeba. Wystarcza mi karta telefoniczna, papier i znaczki. Choć teraz nawet znaczków nie potrzebuję, już przestałam pisać. Gdybym spotkała złotą rybkę, która spytałaby, jakie są moje trzy życzenia, poprosiłabym ją o spełnienie tak naprawdę tylko jednego. Wydostanie się z kryminału.

Już niedługo, już mam z górki, za dwa lata będę miała pierwszą wokandę, wiem, że po pierwszej jeszcze nikt nie wyszedł, ale po trzeciej tak, zdarza się. Wychodzę i oddycham pełną piersią, zaczynam od nowa. Siedem lat przemyśleń, pięć lat doświadczeń na trzeźwo.

Dwadzieścia dziewięć kartek zeszytu, kratka w kratkę zapisałam. Nazwałam to opowiadanie Historia pewnej znajomości. Bardzo szczegółowo opisałam, jak i skąd znam kobietę, której zawdzięczam pobyt tutaj. Która mnie wrobiła, nazwijmy rzecz po imieniu, w zbrodnię. Bo ja tego nie zrobiłam, w każdym razie niczego nie pamiętam i dziś już nawet nie wiem, kto to zrobił. Mogę tylko podejrzewać. Myślałam, żeby to wydać, takie Wspomnienia z Alcatraz.

Może ktoś przeczyta, wzruszy się, zainteresuje? Zaczęłam pisać do różnych instytucji, walczyć o zmianę wyroku, wierzyłam, że takie cuda się zdarzają. Napisałam do prokuratora generalnego. Do telewizji jednej, drugiej. Do znanego dziennikarza. Do rzecznika praw obywatelskich. Czułam rosnącą siłę. Za każdym razem, kiedy przychodził list z odpowiedzią, bardzo się denerwowałam. Kiedy otwierałam pierwszy, myślałam: a może? dlaczego nie?

przecież to możliwe… Ale co otworzyłam - odpowiedź negatywna. Negatywna, negatywna, odrzucono wniosek… Najpierw się wściekałam. Ale nie poddam się, myślę. Nie dam się złamać. Aż w końcu stwierdziłam, że moja historia nikogo nie interesuje. Smutne? Nie, prawdziwe. Kolejne doświadczenie. Lubię grę w otwarte karty. Schowałam Historię… do szuflady. Zostały mi już tylko marzenia.

Elżbieta Bydłosz
(ur. 8.07.1957)
ofiara: właścicielka meliny

motyw: zemsta
narzędzie zbrodni: nóż
przyznanie się do winy: nie
wyrok: 12 lat
koniec kary: 23.05.2012

Elżbieta pochodzi z wielodzietnej rodziny. Jest najmłodsza z sześciorga rodzeństwa.

Kiedy miała cztery lata, jej matka zmarła na padaczkę. Elżbieta, tak jak reszta rodzeństwa, trafiła do domu dziecka. Po roku ojciec ożenił się jeszcze raz i ściągnął do domu całą szóstkę.

Macocha zajmowała się nami, ale była zimna.

Była dzieckiem grzecznym, ale upartym. Zawsze była „męska"; z wyglądu i obycia.

Poszła nawet do zawodówki z kierunkiem kształcenia tokarz. To mnie naprawdę interesowało, lubiłam toczyć gwinty. Zaczęła pracować w wieku osiemnastu lat, wtedy też zaczęła pić z mężczyznami. Raz była w ciąży, ale samoistnie poroniła. Po ukończeniu zawodówki wyjechała z rodzinnego miasteczka na Pomorzu do Szczecina (tam mieszkał jej brat), pozostała tam ponad dziesięć lat. Przez kilka lat żyła w konkubinacie z mężczyzną.

Wspólnie się alkoholizowali, bili nawzajem. Rozstaliśmy się, bo on za dużo pił. Połknęła garść tabletek, żeby się otruć, ale ją odratowano. Truła się potem kilkakrotnie: po kłótni z macochą, siostrą, po utracie pracy. A wyrzucano ją często - głównie z powodu alkoholu.

Elżbieta piła dużo, właściwie od osiemnastego roku życia jest uzależniona. Wpadała w tygodniowe ciągi. Mieszkała na kwaterach, gdzie się piło, wszczynała awantury. Potem wszyscy lądowaliśmy na dołku, czyli w areszcie. Była stałą bywalczynią szczecińskiej izby wytrzeźwień. Piła głównie wódkę i tanie wino. Nie dotykałam „wynalazków". Z przymusu, gdy nie było już co, piłam bimber.

Po alkoholu - jeśli nikt jej nie zdenerwował - szła spać. Ale bywało, że kłóciła się ze współtowarzyszami libacji. Starałam się wtedy wychodzić z domu, nie folgować agresji.

Któregoś razu obudziła się na kacu i stwierdziła, że krwawi. Poszła do łazienki i tam spostrzegła, że ma ranę za uchem od noża. Pojechała na pogotowie, założono jej szwy i wróciła do domu. Nie wie, nie pamięta, jak do tego doszło.

Kilka razy próbowała się leczyć odwykowo, bez skutku. Krótko brałam tabletki. Po przerwie w piciu było zawsze jeszcze gorzej. Wpadała w dłuższe ciągi. Miałam wtedy poty i przerywany sen. Ale nie majaczyłam, jak na odwyku.

Po dziesięciu latach wróciła do rodzinnej miejscowości. Przyjechała odwiedzić siostrę i została. Pracowała jako tokarz, szwaczka pościeli i preser w wytwórni uszczelek do aut. W każdym z tych zakładów miała kłopoty z powodu alkoholu. Jest uzależniona także od nikotyny, dużo pali. Nigdy nie brała narkotyków. Ale jakbym spróbowała, też pewnie bym się uzależniła.

W 1988 roku została skazana za „czyn chuligański". Pod wpływem alkoholu pobiła kobietę. Urwał się jej wtedy film - niczego nie pamięta. Została skazana na dwa lata więzienia.

Nie leczyła się psychiatrycznie. Kiedy ją aresztowano, oświadczyła, że jest zdeklarowaną lesbijką.

Z mężczyznami to lubię tylko pić wódkę. Jedynie homoseksualne związki dają mi

satysfakcję, choć żaden z nich nie był nigdy trwały.

Osiemnastego października 1999 roku w Dzierżoniowie jak zwykle piła ze znajomą od kieliszka - Teresą J. Potem poszły do Michała S. z półlitrową butelką rozrobionego spirytusu. Elżbieta oświadczyła, że chce go z nim wypić. Obie były już pijane - zezna potem S. Sam zgłosił się na policję i złożył zeznania, które obciążyły Bydłosz. - Ale Elżbieta była bardziej pijana, aż się zataczała. Krzyczała, że idzie „wpier…ć" sąsiadowi za to, że rozpija żonę. W tym czasie ja zrobiłem kanapki.

Elżbieta wyszła na dziesięć minut. Wróciła spokojniejsza, z kolejną butelką wódki.

Wcześniej dałem jej dwadzieścia złotych na ćwiartkę. Piliśmy. W połowie tej butelki Elżbieta zapytała, gdzie może się załatwić. Wskazałem jej wiadro w kuchni. Gdy tam była, słyszałem otwieranie lodówki, a jak potem wyszła, coś trzymała pod kurtką. Sprawdziłem - był tam ukryty półtorakilogramowy kawałek wędzonki. Co to jest? - krzyknąłem. Elżbieta zaczęła się tłumaczyć, że tak kazała jej zrobić Teresa. Kiedy ta to usłyszała, zaczęły się bić i szarpać. S. wyrzucił je z mieszkania.

Teresa i Elżbieta poszły dalej pić do Ireny M. Kobieta prowadziła melinę - w jej mieszkaniu w ciągu dnia zwykle nie było nikogo, zaś wieczorami i w nocy odbywały się tam pijackie balangi. Przychodzili do niej różni ludzie z marginesu społecznego. Zdarzało się wielokrotnie, że dochodziło do awantur, bójek, w których interweniowała policja. Bydłosz była tam częstym gościem. Kobiety były w dużej zażyłości. Elżbieta pomagała jej, między innymi realizowała bony żywnościowe z opieki społecznej. Robiła zakupy, gotowała posiłki.

Jednak przez ostatnie trzy dni Bydłosz nie odwiedzała Ireny M. - kobiety pokłóciły się 15 października 1999 roku, kiedy to Irena zażądała, by Elżbieta zamiast żywności przyniosła jej wino.

Feralnego dnia, kiedy Michał S. wyprosił je ze swojego mieszkania, Elżbieta i Teresa poszły do Ireny. Elżbieta miała w skarpecie dwa ukradzione noże. W drodze krzyczała: „Tą kurwę dzisiaj zarżnę". Na miejscu zastały jeszcze Jolantę W. Wypiły kolejny alkohol, po czym Elżbieta i Irena pokłóciły się o bony. W pewnym momencie zaczęły się szarpać.

Bydłosz wyjęła nóż i dwa razy ugodziła nim Irenę. W mieszkaniu nie było światła (administracja odcięła prąd za niepłacenie rachunków), więc Teresa i Jolanta nie widziały samego zajścia. Wiedziały, że kobiety się biją, słyszały krzyki Elżbiety: Nie udawaj, szmato, że śpisz! i charczenie umierającej, jednak nie udzieliły pomocy właścicielce meliny. Po wszystkim pozostawiły ciało kobiety przykryte kołdrą, wyszły z mieszkania, zostawiając otwarte drzwi.

Następnego dnia rano do Elżbiety przyszła Teresa. Próbowała ją obudzić (Bydłosz trzeźwiała). Dlaczego zabiłaś swoją przyjaciółkę? - zapytała. Gdzie jest nóż, który ukradłaś?

Elżbieta wskazała szufladę w komodzie. Teresa sprawdziła, nóż wciąż tam leżał. Kiedy Elżbieta zaczęła sugerować, że Teresa wmawia jej coś, czego nie zrobiła, ta krzyknęła: Nie pier… że jej nie zabiłaś!

Mniej więcej w tym samym czasie znaleziono ciało Ireny. Sprawą zajęła się policja.

Ustalono, że kobieta zginęła od dwóch ciosów nożem, nie było śladów włamania. Na miejscu zabezpieczono dwa noże stołowe bez śladów krwi oraz kilka luźnych kartek, z których zdjęto odciski palców.

Tego samego dnia wieczorem Teresa znów odwiedziła Michała S. Spytała, czy może u

niego przenocować, bo nie ma dokąd pójść. Opowiedziała mu, co zdarzyło się poprzedniego wieczoru. O tym, że Elka ukradła jego rzeźnicki nóż, z dwudziestocentymetrowym ostrzem i przed wyjściem włożyła go za skarpetkę, a potem zabiła nim Irenę M.

W tym czasie do tej zbrodni przyznał się już Mieczysław A. Jego konkubina trudniąca się zbieraniem złomu, Krystyna K., od kilku dni nocowała u Ireny M. - zamordowanej właścicielki meliny - ponieważ Mieczysław bił ją i musiała uciekać z domu. Policja przesłuchała ją jako jedną z pierwszych, ponieważ zachodziło podejrzenie, że była ostatnią osobą, która widziała Irenę M. żywą (nie było jej jednak u niej, kiedy dokonano zabójstwa).

Krystyna obciążyła odpowiedzialnością za tę zbrodnię swojego konkubenta: Mietek przychodził po mnie ze dwa razy, był bardzo pijany. Chciał mnie zabrać ze sobą, ale odmawiałam. Był wściekły, że Irena przytrzymuje mnie u siebie, a nawet stanęła w mojej obronie i praktycznie wyrzuciła go z mieszkania. Ty ch… ja cię załatwię, krzyczała. Za trzecim razem Mietek wrócił z nożem. Wszystko widziałam. Zrelacjonowała przebieg zdarzenia ze szczegółami. Tyle że nie zgadzało się to ze stanem faktycznym. Inna była liczba ciosów i inny sposób dokonania zbrodni.

Mimo to policja zatrzymała Mieczysława pod zarzutem zabójstwa. Przyznał się do zbrodni. Jako narzędzie pokazał składany scyzoryk. Jeszcze tego samego dnia wyszedł na wolność. Swoim nożykiem nie mógł zadać głębokich ran (10 cm) i nie byłby w stanie przebić chrząstki żebra ofiary.

Krystyna K. przyznała się, że świadomie pomówiła swojego konkubenta o zbrodnię, ponieważ chciała, by go zamknęli i by przestał się nad nią znęcać. Śledztwo przeciwko Mieczysławowi A. umorzono.

Trzy dni później o sprawie zabójstwa właścicielki meliny było już głośno. Wtedy na komisariat policji zgłosił się Michał S. Opowiedział, co usłyszał od Teresy.

Przesłuchano Elżbietę, która od razu przyznała się do wszystkiego. Zupełnie nie pamiętała zajścia. Podała, że po przebudzeniu wyjęła nóż z szuflady, umyła go z krwi i wrzuciła do kosza na śmieci na Osiedlu Złotym. Wskazała policjantom śmietnik i nóż zabezpieczono. Michał S. rozpoznał go jako swoją własność.

Została aresztowana pod zarzutem zabójstwa i wtedy zaczęła zaprzeczać, że dokonała tej zbrodni. Twierdziła, że została wrobiona przez Teresę, która była o nią zazdrosna i odbiła jej kobietę.

Przeciwko Elżbiecie skierowano do sądu akt oskarżenia. Teresa J. i Jolanta W. zostały oskarżone o to, że wiedziały o zbrodni, ale nie powiadomiły organów ścigania. Podczas przesłuchania Teresa tłumaczyła, że nie zawiadomiła policji, bo nie miała pewności, że była świadkiem zabójstwa. Tylko słyszałam charczenie. Myślałam, że to Jola, bo ona ma astmę.

Było ciemno - tłumaczyła się. Potem żadna z nich nie dotarła na proces. Zniknęły.

Policja w trakcie dochodzenia przesłuchała znajomych Bydłosz, którzy zeznawali, że Elżbieta już wcześniej dziwnie się zachowywała podczas libacji alkoholowych. Czy jesteś w stanie kogoś zabić? - pytała na przykład Barbarę K.[1] Ta odpowiedziała, że podczas wojny albo w samochodzie, to tak. Nie bierz pod uwagę tego, że K. dostał ode mnie siekierą w głowę, bo on nachodził mnie w domu. A teraz skończmy te wariackie rozmowy i wypijmy po kieliszku - dodała K. Elżbieta miała jej odpowiedzieć: Dla mnie to żaden

problem wsadzić nóż i po sprawie.

Elżbieta Bydłosz została skazana na dwanaście lat więzienia. Mimo iż do końca procesu zaprzeczała, jakoby dokonała tej zbrodni, sąd nie miał wątpliwości przy wydawaniu wyroku.

Po zbadaniu oskarżonej przez biegłych określono, że nie liczy się z tym, jak jest postrzegana przez otoczenie: ani z opinią moralną swego środowiska, ani z odbiorem jej osoby. Przejawia wybujały indywidualizm i słabą identyfikację ze społecznymi oczekiwaniami. Jej problemy mają swój początek w błędnym postrzeganiu przez nią swojej roli, jako kobiety. Poczucie nieadekwatności, nieidentyfikowanie się ze swoją płcią tworzy u niej obszar nieprzystosowania. Stąd potrzeba manifestowania niezależności, dominacji, agresywności i próba prowadzenia męskiego trybu życia, a także jej skłonności homoseksualne.

EPILOG 2012

Elżbieta Bydłosz nie otrzymała zwolnienia warunkowego, o które się starała. Nie udało jej się też oczyścić z zarzutów, choć napisała do wszystkich instytucji w Polsce i na świecie, które mogłyby dokonać rewizji jej wyroku. Karę odbyła co do dnia. Nie wróciła do miasta ani środowiska, z którego pochodzi. Widziano ją podobno na krakowskim dworcu.

***

[1] Odsiedziała wyrok za zabójstwo swojego konkubenta, zamordowała go zadając mu cios siekierą w głowę, ponieważ ją nachodził i bił.

Ewa

Sekret

Śledź musi być odpowiednio wymoczony. Nie za słony, bo zjeść się go nie da. Ale za długo w wodzie też niedobrze - wtedy płat się rozłazi. I z takiego już nic nie będzie. Znaczy smak zginie, a to według mnie to samo, jakby trociny łykać. Nie mówię, że moczenie to jakaś sztuka, ale trzeba wiedzieć, kiedy wyjąć śledzia z wody. Zwłaszcza, jak się na kuchni pracuje.

Teraz, jak już moczenie mam za sobą, kroję go najpierw w paski. Potem w kostkę, nie za drobno, ale w sumie to rzecz gustu. Są tacy, co wolą grubsze dzwonka. Każdy wedle własnych smaków gotuje. Ja mniejsze wolę, ładniej z cebulką się komponują i szybciej smakiem przechodzą. Trochę tego krojenia jest, nie powiem. Ale ręka sama mi się układa do noża. Zgrubienie się zrobiło przy wskazującym palcu.

Teraz cebula. Ze dwadzieścia główek rano obrałam. Jak najdrobniej trzeba ją siekać, i to najtrudniejsze. Wyślizgiwanie się krążków i tępe więzienne ostrza można jakoś opanować.

Najgorsze, że jak siekać dla tylu osób, to właściwie nie idzie nie płakać. Różne mi na to patenty sprzedawali. A to z zapałką w zębach, a to z otwartymi ustami, żeby powietrze łapać.

Na „ślepaka" - z zamkniętymi oczami, ale to już dla bardziej doświadczonych. Bo jest ryzyko, że palec sobie odkroję. Może i skuteczne te metody, tylko nie dla mnie. Zawsze i tak ryczę, jakby mi kto matkę mordował. Trudno, w końcu i tak idzie o to, żeby sprawnie robota szła, bo przecież sama tu jestem. Nikt mi pomóc nie przyjdzie. A zaraz zaczną się schodzić na obiad.

Tymczasem ja dopiero przy cebuli, cała zapuchnięta, zapłakana, a już ziemniaki dochodzą.

Rano je obrałam, to teraz tylko pilnuję, żeby woda nie wykipiała. Garnek mam dość spory, sama woda z godzinę się gotuje. No i teraz w tę i z powrotem latam - od kotła z ziemniakami do cebuli, a po drodze rybę do miski raz! Koperek pokroiłam, leży sobie. Zaraz… no, nie! Jak nie, jak tak: wszystko śledziem jedzie! Cała kuchnia! Noże, moje ubranie, ręce. Okno otwarte nic nie pomaga. Śledzia czuć będzie jeszcze ze trzy dni. I mnie też tym śledziem solonym.

Ale co tam, i tak dziś wyjść nie wyjdę. A kto mnie tutaj ma oglądać, a tym bardziej wąchać. Z czasem wszystko wietrzeje.

Byle teraz do obiadu zdążyć. Która to godzina? Zegarek też rybą zalatuje. Albo tylko ja w nosie mam ten zapach. Mało czasu. Już wiem, że teraz to ani na chwilę nie usiądę. Boję się, że żylaków przedwcześnie dostanę, ręce to już mam od tego moczenia w wodzie zniszczone. Dogotowują się ziemniaki. Odlać je do zlewu. Śledź z cebulką do miski, jajka pokrojone - siup. I wszystko zalać śmietaną, przyprawić. Zaraz kolejka przed okienkiem będzie. Już się kręcą, już są. Głodni. Kierownik ochrony niby przypadkiem zajrzał: Co to dziś za specjały? - spytał. E tam, żadne specjały. Śledzie w śmietanie i młode ziemniaki z koperkiem - odpowiedziałam. Wydawało mi się, że przełknął ślinę. Znaczy z apetytem jadł będzie. Chyba trafiłam ze zmianą[1]. Ale to teraz nieważne. Myśleć nie ma kiedy. Jak tylko podam obiad, mięso na jutro zacznę rozmrażać. Bitki zrobię, bo dawno nie było.

Siedzę już dwa i pół roku, wciąż w jednym zakładzie. Dobrze mi tutaj, spokojnie. Nie mogę się skarżyć. Ale to tylko „przetrwalnia”, jak to nazywam, bo moje życie jest tam, z rodziną. Tutaj czekam. Na co? Na wolność. Jestem normalną kobietą, nigdy wcześniej nie byłam karana. Widać po moich rękach - są spracowane, pełne napiętych żył. Wszystko, co mam, osiągnęłam ciężką harówką. Ale nie narzekam. Próbuję tylko wyjaśnić, że „to” mogło się zdarzyć każdemu. Nikt nie zagwarantuje, jak zachowa się w sytuacji zagrożenia. Ja zrobiłam, co zrobiłam. Trudno nazwać to obroną własną. Co do tego nie mam złudzeń i nie mogę wyjaśnić „dlaczego”. Ale stało się i się nie odstanie. Muszę odpokutować. Jeszcze sześć lat.

Na początek, zanim się przedstawię, chciałabym coś wyjaśnić. Mam na imię Ewa, ale to nie jest moje prawdziwe imię. To prawdziwe niech pozostanie tajemnicą. Znają je tylko ci, którzy mnie kojarzą z wolności. Nie pochodzę też z Chorzowa, choć wolałabym, żeby wszyscy tak myśleli. Żeby nie rozpoznali mnie sąsiedzi ani znajomi, a zwłaszcza koledzy moich dzieci. Niech to, skąd pochodzę, też pozostanie w sekrecie. Bardzo o to proszę.

Obiecuję, że reszta historii będzie już prawdziwa.

Miałam dobrą opinię, dobrego męża, dobre życie. Stałą pracę z całkiem dobrymi dochodami. Pracowałam jako dyspozytorka w spółdzielni mieszkaniowej. Głównie na nocki - cały czas tam były awarie. „To” zdarzyło się w 1997 roku. Nie wiem, w jaki dzień, nie chcę tej daty znać, ani pamiętać. Ofiara - obca kobieta, dużo starsza ode mnie. Znałam ją o tyle, o ile. Było tak: ona dawała mi złoto do sprzedania i ja sprzedawałam. Zrobiłam dziesięć, dwanaście transakcji. Dobre pieniądze z tego były i kiedy przyszłam po kolejną partię, ona nagle mi mówi: Ty nie oddałaś mi tysiąca złotych! Zaczerwieniłam się ze złości. To tak, jakby stara dała mi w twarz i krzyknęła: „Złodziejko!”. Nie, to nie było kradzione złoto, wszystko odbywało się legalnie. Ja się wtedy z nią umówiłam, że przyjdę i oddam resztę złota, a ona - teraz sobie przypominam, była grubo po sześćdziesiątce - ubzdurała sobie, że ja jej nie oddałam tego tysiąca. Co to była dla mnie za kwota, tysiąc złotych! To było wtedy tyle co nic. Ale ja jestem honorna, więc kiedy powiedziała, że jej ukradłam, postawiłam się. Nie - mówię. - Nie jestem pani winna ani grosza.

Sprzeczałyśmy się chwilę. Aż starej ślina pociekła z ust. Taka była zajadła. Nagle chwyciła za stołek. Stołek, taki drewniany, do siedzenia w kuchni. I dawaj nim machać na mnie, że niby ja złodziejka. W ostatniej chwili wyrwałam jej ten stołek i oddałam jej. To znaczy uderzyłam nim. W głowę trafiłam. Centralnie mierzyłam i tak dostała. Nie myślałam o niczym, tylko żeby jej oddać. Wściekłość miałam w sobie. Ona upadła i jakby film się urwał.

Nagle cisza. Stołek postawiłam obok i wyszłam.

Potem w domu powiedziałam do męża: Chyba ją zabiłam.

Rano poszłam na policję. Chcę karę śmierci - powiedziałam, a i tak wydawało mi się, że to mało.

Od razu mnie aresztowali, chociaż pies, którego wzięli, podobno wskazywał na kogoś innego. Ja się jednak przyznałam, nie umiałam inaczej. Z wolnej stopy odpowiadałam, bo sędzia nie obawiał się, że ucieknę. Wiadomo, gwarantem była moja rodzina… Mąż pracował jako prywatny przewodnik turystyczny, dzieci miałam dwójkę - ośmioletniego synka i trzyletnią córeczkę. To mnie trzymało w miejscu zamieszkania. Zresztą, dokąd niby miałam uciekać? I tak już wszyscy wiedzieli, że ja tym stołkiem uderzyłam lichwiarkę. Aż jej prawa część twarzy zsiniała. Ale przyrzekam, że to było tylko jedno uderzenie. Jakoś

tak niefortunnie - biegły stwierdził, że krwiak natychmiast zrobił się i zatrzymała akcja serca. Nie wezwałam karetki, no nie… Byłam jakby w szoku. Nie pomogłam jej. W ogóle o tej karetce nie pomyślałam. Wyszłam, jak mówiłam wcześniej, i cicho zamknęłam za sobą drzwi. Jakby mnie tam w ogóle nie było.

No i potem to już sąd, wyrok. Poszłam siedzieć. Bałam się więzienia. Myślałam, że kryminał to koniec życia - dla mnie sprawa była jasna. Pierwsze noce w celi były najstraszniejsze. Nie wiadomo, co się stanie. Co z dziećmi? Ale okazało się, że tutaj da się żyć. Ludzie są różni - wiadomo, to nie bajka. Nigdy jednak nie byłam w konflikcie. Zawsze ustępuję, gdy sytuacja zaczyna być kryzysowa. A takich tu nie brakuje, trzeba mieć silne nerwy. Ale udało mi się.

Po dwóch latach już wyszłam na wolność - ze względu na stan zdrowia. Nie powiem, co mi było, bo ktoś mógłby mnie rozpoznać. Po tej chorobie właśnie, specyficzna była.

Sześć lat byłam w domu[2]. Darowane sześć lat prawie normalnego życia. Prawie, bo wiedziałam, że co się odwlecze, to nie uciecze. Znaczy ten zakład, więzienie, do którego trafię na całe dziewięć lat. Więc te sześć lat - to było jak cud. Zajmowałam się dorastającymi dziećmi, odrabiałam z nimi lekcje, chodziłam na wywiadówki. Nikt z sąsiadów nie podejrzewał, że nade mną jeszcze więzienie wisi. Tylko ja i moja rodzina wiedzieliśmy. Oni też się bali, że któregoś dnia po prostu wyjdę z domu i znów mnie zamkną. Dla nas to było straszne - życie w oczekiwaniu na wezwanie do odbycia kary. Któregoś dnia wstałam - pamiętam, że ciemno było za oknem, listopad, zimno… - i stwierdziłam, że te wszystkie lata i tak będę musiała odsiedzieć. A im szybciej, tym lepiej. Sama zgłosiłam się na bramę.

Jak człowiek ma wyrok na karku, to ceni każdą chwilę wolności. Podobnie czują się ludzie, którzy dostają diagnozę - to rak. Nie kłócą się o drobiazgi, żyją dniem dzisiejszym. I ja też wiedziałam, że jedyne, na czym mi zależy, to moja rodzina. Popłakałam się, gdy mąż przywiózł mnie pod bramę więzienia. Uważaj na siebie - powiedział, jakbym jechała do sanatorium.

Myślę, że najgorsze już przeszłam. Teraz wcale nie czuję się, jakbym była w areszcie.

Tylko jak w pracy, specyficznej, ale pracy. Ludzie do Włoch czy Irlandii jeżdżą. Mówiłam sobie, że to tak samo. Pojechałaś do pracy, rodzinę rzadziej będziesz widywać. Jakbyś za granicą była. I jestem za granicą - ona jest wyraźna. Kraty ją wyznaczają. Dzielą moje dwa światy na sekretny i oficjalny.

Nie umiem żyć bez roboty, więc od razu zgłosiłam się do administracji. Ale potem wzięli mnie do kuchni. Ja to nawet nie bardzo chciałam, bo to odpowiedzialność. Gotować funkcjonariuszom, klawiszom niby. Pani by chciała? No, ale jak trzeba, to trzeba. I teraz gotuję dla trzydziestu osób albo więcej, zależy, czy sezon urlopowy, czy delegacja przyjechała. Są zadowoleni. Raczej chwalą. Na moje obiady przychodzą wszyscy - pani dyrektor, wychowawcy, strażnicy, kierownik ochrony. Normalnie ze mną rozmawiają, jak z bufetową. Pani Ewo to, a tamto. Czy można więcej soli albo pieprzu? Z szacunkiem podchodzą. Człowiek czuje się, jakby został naprawdę zatrudniony i stara się, by smakowało.

Już półtora roku tak gotuję. Dziś na obiad - mówiłam - śledź z cebulką, ziemniaki w mundurkach i żurek. Wczoraj wieczorem ugotowałam. Zawsze na drugi dzień lepszy, tak moja mama powtarzała. Rano była sałatka śledziowa. Wiem, za dużo śledzi, ale więcej mi się wymoczyło, to szkoda wyrzucać. U mnie nic się nie marnuje.

Menu sama wymyślam. Nikt mi nie nakazuje. Najwyżej mówią, że coś im smakowało, i za kilka dni znów chcą to samo danie. Polubiłam ten mój stały harmonogram. Nie mam czasu na myślenie. Bo muszę rozplanować wszystko na tydzień przed, zamówić produkty, przygotować. Chociaż teraz, po półtora roku pracy, nie jest to taka frajda jak kiedyś. Ale sprawna już jestem, restaurację mogłabym prowadzić. Dziesięć minut zajmuje mi obieranie ziemniaków dla trzydziestu głodnych pracowników służby więziennej. A ten dzisiejszy obiad i śniadanie - czterdzieści pięć minut mi to zajęło, licząc nawet ugotowanie jajek i zrobienie śledzia w śmietanie.

Mam swoje ulubione dania - na przykład piersi z kurczaka w kokosie. Była u nas w zakładzie terapeutka, to ona dała mi ten przepis. Najpierw kroję kurczaka w kostkę. Moczę go w mleku z dodatkiem maggi, pieprzu, mąki ziemniaczanej i kokosa właśnie. Dwie godziny to w lodówce musi postać, żeby się zamarynowało. A potem wszystko na mocno rozgrzany tłuszcz. Skwierczy, skacze, szybko trzeba zdejmować, żeby się nie przypaliło. Potrawa właściwie błyskawiczna. Lubię też gyros, bo to niedużo roboty. A zresztą funkcjonariusze co jakiś czas domagają się, żeby znów robić. Mięso i ziemniaki kroję na paski, do tego przyprawa do gyrosu, pietruszka i dużo, dużo czosnku. Tarkę przywiozłam z przepustki, bo nie było i gołąbki robię z tartych ziemniaków - taka potrawa regionalna. Ze czterdzieści pięć minut tarcie ziemniaków zajmuje. Niech mi kto powie, że kucharzenie to lekka robota. Ręce mnie bolą i puchną od tego tarcia, jakbym kilka worków z cementem ponosiła. Ale co robić, wszystko na mojej głowie. Nikt maszynki mi nie kupi. Więc jak utrę te ziemniaki, mięso z bułką tartą smażę - tyle bułki, ile w mięso wejdzie - i zawijam w kapustę. Na oko robię już teraz, bez przepisu.

Ciasta czasem piekę, dokładnie to sernik, bo tylko on mi się udaje. Sama zmywam.

Tego akurat nie cierpię. Jak czasem dziewczyna posprząta w administracji, to przychodzi mi pomagać. Ale w kuchni jest mało miejsca, więc zwykle sama zmywam i sprzątam. Wygodniej i to w końcu należy do moich obowiązków. Zwłaszcza że dzięki tej pracy nie filozofuję. A i czas szybciej mija do kolejnej przepustki. Na przykład jutro znów wychodzę. Cieszę się już od tygodnia, odliczam dni. A i tak muszę tu przyjechać na dwie godziny do zakładu, żeby obiad funkcjonariuszom podać. Potem wracam. To tak jak w pracy - człowiek ma urlop, a musi wrócić, bo wzywają go pilnie do papierkowej roboty.

Co trzy tygodnie mam „weekendówki", a co miesiąc „trzydziestki", czyli wyjścia na trzydzieści godzin. Spędzam ten czas z rodziną. Na siedem dni wolnego muszę czekać na decyzję sądu - zwykle dostaję, i to jest najpiękniejszy czas. Już poprzedniego dnia wiem, co założę. Tu mam tylko dwa wyjściowe komplety. Więcej nie można. W domu za to mam szafę pełną ciuchów, butów ze trzynaście par, na każdą porę roku - ale w celi tylko trzy góry i dwa doły dozwolone. Która kobieta by nie cierpiała? W domu się przebieram i wracam już w innym. Rzadko kto tutaj ma taką możliwość, żeby tak często ubrania zmieniać. Tylko tę bluzkę w różyczki od jakiegoś czasu noszę w kółko. Lubię ją, pozytywnie mnie nastraja.

Relaksuje, można powiedzieć. Do niej mam krótką, jasną spódnicę, bo nogi zawsze miałam zgrabne. I już gotowa jestem. Ale to tylko próba generalna przed lustrem. Dopiero jutro wyjdę naprawdę… Zdejmuję ubranie i do wyrka. Spać, wypocząć na jutro. Początkowo to przed wyjściem spać nie mogłam z emocji, a teraz to jak zabita. Padam, nawet w telewizor nie patrzę, bo przed wyjściem muszę przecież jedzenie zostawić gotowe.

Wstaję przed budzikiem. A potem wszystko zależy, czy mąż może po mnie przyjechać, czy muszę pekaes łapać. Bo wyjście stąd to nie jest ot tak sobie, łatwa procedura.

Minimum dwie godziny wcześniej muszę być gotowa. A jak pekaesem jadę, to nawet i trzy.

Zresztą i tak spać bym rano nie mogła. Za każdym razem, tuż przed wyjściem, boję się, że mnie cofną i zostanę. Dzieci, męża nie zobaczę. Teściowej nie pomogę. Tylko pójdę do tutejszej kuchni na przykład te śledzie moczyć. Ale jak już mam przepustkę, to się jeszcze nie zdarzyło, żeby mnie cofnęli. Takie strachy moje…

Czy pekaesem, czy autem z mężem jadę, tylko jedną torebkę zabieram. Koleżanki się śmieją, że jak jakaś księżniczka, bez bagażu wychodzę. Bo w torebce mieszczą mi się zaledwie dokumenty, karta kredytowa i kilka drobiazgów potrzebnych kobiecie. Jak choćby czerwona szminka. Aha, właśnie: bardzo dokładnie maluję się na tę okazję. Chcę czuć się odświętnie. Ładnie wyglądać. Mam wrażenie, że każdy się na mnie patrzy. Jak już odejdę dalej od zakładu, wrażenie to mija. Jestem jak inni - wolna. Po drodze wdycham świeże powietrze. Wolność pachnie, słowo honoru. Ona pachnie! Wdycham i prawie biegnę.

Najchętniej ten autobus bym popchnęła, żeby szybciej jechał. Patrzę na zegarek i mam wrażenie, że czas przyspieszył, a przecież mi szkoda nawet sekundy na głupoty. Jadę z kołowrotkiem myśli. Co załatwić najpierw? Syna odpytać z geografii, bo znów dostał jedynkę za brak znajomości stolic, czy córce sukienkę przerabiać? A może najpierw zabrać się za obiad? Znów krojenie, smażenie, gotowanie… W domu tak samo się przykładam. I czasem obiad na więziennych przepisach im robię. Mąż też zaraz zasypie mnie gradem różnych problemów do rozwiązania: jak odplamić spodnie, co robimy z koloniami córki, czy ja wyjdę w sierpniu, bo wesele siostrzeńca się szykuje. A on beze mnie nie pojedzie, bo i po co?

Ale wyjście z więzienia to nie jest święto. To znaczy wszyscy się cieszą, witają mnie, dzieciaki rzucają się na szyję. Musimy odsiedzieć ze sobą swoje; wygadać się, wyśmiać, naprzytulać. Ale już od progu zawijam rękawy i do roboty. Moja teściowa, która na co dzień zajmuje się domem, dziećmi, zakłada nogę na nogę i mówi: Ewa, teraz ty mnie obsługujesz. I tak się dzieje. Ja piorę, gotuję, sprzątam. Żyjemy, jakbym wyjechała i wróciła. W domu najbardziej odczuwam różnice tych dwóch światów. Na początku to nawet do łazienki chodziłam po ciemku, aż mąż się ze mnie śmiał. W celi światło i telewizor jest tylko do dwudziestej drugiej - jak w soboty do dwudziestej drugiej pięćdziesiąt pięć zrobią, święto jest - a tutaj mogę sobie palić, ile dusza zapragnie. I choć w celi na telewizję mogłabym na okrągło patrzeć, tu nie mam chęci nawet „M jak Miłość” zobaczyć. Wolę z dziećmi posiedzieć. Z mężem do znajomych pójść.

Tylko jedna sąsiadka z dołu wie, że ja za granicą nie pracuję, a w więzieniu siedzę. Po co rodzinie być na językach ludzi? Niech myślą, że już wyszłam, i że stara sprawa nieaktualna. Dlatego w szkole u dzieci też tajemnica. Przecież chodzę na wywiadówki, akademie, teatrzyki szkolne - jeśli tylko mogę dostać przepustkę. A czasem, jak nie mogę, to mąż albo teściowa chodzą. Mam dobrą teściową, jak matkę, może nawet bliżej jesteśmy. Ale nie, mama by się obraziła. Tak samo obie kocham. Pomocne mi są. Bardzo.

Kiedy jestem w domu, nie mówimy o sprawie, o więzieniu. Po co? Wszystko już zostało powiedziane. Zajmujemy się bieżącymi rzeczami, na przykład myciem okien przed świętami. Albo szkołą dzieci. Jak normalna rodzina.

Najgorzej jest w święta. Bo jak będę z rodziną w wigilię Bożego Narodzenia, to w

sylwestra już muszę wrócić. Tak było w ubiegłym roku. Mąż na bal w Książu mnie zaprosił, za dwie osoby zapłacił. Kupił mi suknię, piękną, w kolorze burgunda, do moich blond włosów pasującą. I napisał oświadczenie. Zobowiązał się, że mnie odwiezie, przywiezie pod bramę, ale sąd i tak się nie zgodził. Nie mogłam wyjść na wolność i bilety przepadły. Suknia do tej pory wisi w szafie nieużywana. Dotykam jej, gdy jestem w domu. Kiedyś jeszcze ją założę. Kiedyś. Staram się nie przytyć, żeby się w nią zmieścić. Ale przy kuchni trudno dbać o linię.

Męża mam cudownego. Kiedy mnie odwozi do więzienia, nie odjedzie, póki nie przekroczę bramy. I zawsze wodzi za mną wzrokiem. Gdybym miała jeszcze raz wybierać, znów bym za niego wyszła. Naprawdę. Poznaliśmy się, gdy mieliśmy po piętnaście lat.

Mieszkałam w małej wiosce pod Łodzią, on tam po sąsiedzku miał babcię. Spotkaliśmy się na dyskotece, potem spędziliśmy wspólnie niemal całe wakacje. Wszyscy mówili, że dla niego to tylko wakacyjna przygoda, a ja czułam, że on wróci. I przyjechał do mnie w ciągu roku szkolnego. To znaczy nie do mnie, a do babci. Ale i mnie przy okazji odwiedzał. Tak trwało to nasze chodzenie pięć lat. W wieku dwudziestu - pobraliśmy się. Z wielkiej, romantycznej miłości. Jestem pewna, że on mnie kocha. Inaczej już dawno poszukałby sobie innej. Nie mam co do tego złudzeń. Jak człowieka zamkną, to bywa, że nawet największa miłość nie wystarcza, żeby mąż był wierny. A on jest - już tyle lat. Kochamy się. Może to dzięki dzieciom?

Już rok po naszym ślubie na świat przyszedł syn. Dobrze nam się powodziło.

Mieliśmy mieszkanie, samochód… Niczego nam nie brakowało, mówiłam wcześniej.

Mąż? On wcale nie jest aniołkiem, można powiedzieć - trudny, bardzo wybuchowy. A jednak charakterny i to w nim cenię. No i to, że dla dzieci jest taki dobry. Poważają go. A on musi im być i matką, i ojcem. Jak wtedy przyszłam do domu i powiedziałam: Chyba ją zabiłam, krzyknął tylko raz: Coś ty zrobiła! Do dziś jego głos dźwięczy mi w uszach. Potem nigdy już nie powiedział na ten temat ani słowa. Zawsze, gdy odwozi mnie z przepustki do więzienia, zatrzymuje samochód przed zakładem i przytula mnie. Kocham cię - mówi. -

Pamiętaj! - dodaje, jakbym mogła o tym zapomnieć. Czasem płacze. Ja tutaj czekam, słyszę zawsze na odchodne. A mnie już łzy do oczu się cisną, ale pozwalam im się wylać dopiero, gdy się znajdę po tej drugiej stronie. Przy nim staram się powstrzymać. Bo wtedy bym już nie wróciła do zakładu, sto razy bym uciekła, a tego nie mogę zrobić dzieciom.

Powiedziałam im całą prawdę. Zrobiłam już tyle złego, że wystarczy. Musiałam im powiedzieć, bo chciałam, żeby mnie odwiedzały. A jak mamusia jest za kratkami, to chyba jasne, że popełniła jakąś zbrodnię, czy nie? Córka niewiele rozumiała, była trzyletnią dziewczynką. Za to syn bardzo to przeżył. Był już nastolatkiem, po komunii. Mąż mu powiedział, że mamusi przez jakiś czas nie będzie. Przyjeżdżał do mnie przez pół roku, ale z dnia na dzień z roześmianego chłopca stawał się bardziej skryty. Potem pojawiły się pierwsze kłopoty. Do szesnastego roku życia moczył się w nocy. Jeździliśmy po specjalistach…

Wszyscy razem: syn, mąż i ja, oczywiście. Wykorzystałam na ten cel dostępne przepustki.

Teraz jest już dobrze. Syn chodzi do technikum elektronicznego, myśli o studiach. Może resocjalizacja? Wiem, że te problemy się na nim odbiją. Ale mam z nim dobry kontakt. Z obojgiem dzieci. Trzy razy dziennie do nich dzwonię. Wiem wszystko, co dzieje się w domu.

Czasem córka mówi, żebym zadzwoniła do męża i coś mu przekazała, bo jej szkoda impulsów w komórce.

Początkowo nie chciałam ich w to mieszać. Nie chciałam, żeby miały przeze mnie spaprane życie. Powiedziałam, żeby nie przyjeżdżały. Niech sobie wykorzystają ten czas na przyjemniejsze sprawy. Ale oni - mąż, syn i córka - jak jeden oburzyli się: Mowy nie ma! Są ze mną i wiem, że już będą. To daje mi siłę.

Patrzcie: jestem silna, mocna, spokojna. Ale przeszłam swoje. Byłam na prochach, pod opieką psychiatry. Miałam plan, by odebrać sobie życie. Nawet próbowałam… Nigdy nie wybaczę sobie tego, co się stało. Poczucie winy mam ogromne i choć wiem, że trudno w to uwierzyć - ja żałuję.

Żałuję, że chwyciłam ten stołek. Żałuję, że przekreśliłam normalne życie, własne marzenia. Miałam trzydzieści jeden lat, zgrabną figurę, rodzinę, pracę. Chciałam urządzać mieszkanie, bo kupiliśmy segment-bliźniak. Nie, nie wybaczę sobie nigdy. Wyobraźcie sobie, że wszystko macie w zasięgu ręki i nagle w ułamku sekundy to wszystko tracicie. Pryska bańka mydlana. Dotychczasowe życie okazuje się snem.

To już trochę mnie znacie. Kuchnia jest idealnym zajęciem. Wyznacza mi rytm życia.

Wychodzę z celi o ósmej, wracam o szesnastej trzydzieści. Dzień w dzień wiem, co będzie na obiad i nigdy się to nie zmienia. Wszystko idzie według ustalonego harmonogramu. Potem wracam do celi, idę na godzinny spacer, robię sobie kawę. Dalej kolacja, zawsze o ustalonej godzinie. Trochę telewizji i spać, bo rano znów do kuchni. Tak to się kręci nawet w weekendy, bo ja nigdy nie mam wolnego. Chyba że jestem w domu, ale i wtedy zostawiam funkcjonariuszom przygotowane dania, tylko do podgrzania. Jak widzicie, mam pełne ręce roboty.

Za to nie jem tego, co tu dają. Mam ten komfort, że nie muszę. Gdy wychodzę, to zawsze przywożę sobie z pięć kilogramów jedzenia - tyle waży paczka, jaką mogę wnieść do zakładu. Dzielę się tym wszystkim z koleżankami pod celą. Sery, suche kiełbasy, zafoliowane szynki w plastrach - nie brakuje mi niczego. W celi lepiej mieć swoje. Tak jak na koloniach - wiadomo, że karmią i z głodu nie zginiesz, ale owoce i chemia to luksus, który przyśle ci tylko kochająca rodzina.

Zawsze byliśmy tak zintegrowani. Nawet moje więzienie tego nie zmieniło. Dlatego zależy mi, żeby nikt się nie dowiedział. Nie o mnie idzie. Oni by ucierpieli.

Ile zarabiam? Dziewięćdziesiąt, czasem sto złotych. Nie starcza nawet na karty telefoniczne. Dostaję od męża kieszonkowe, ciuchy, kosmetyki. Tutaj i tak najbardziej liczy się towar w postaci kart telefonicznych, papierosów i kawy. Niestety, zaczęłam palić, a tutaj tylko „męskie” dostać można, zresztą innych się nie opłaca, za słabe. Taką mam więzienną przywarę, trudno…

Teraz jestem na oddziale nagrodowym[3]. Mamy wyremontowane łazienki, z prysznicami, tylko dwie osoby są w celi. I zupełnie inni ludzie niż na pozostałych oddziałach - nikt nie chce konfliktów. Nie mogę się skarżyć.

Ewa Kowalska[4] (ur. 24.05.1966)
ofiara: emerytka handlująca złotą biżuterią
motyw: rabunkowy
narzędzie zbrodni: stołek, gołe ręce
przyznanie się do winy: tak

wyrok: 11 lat
koniec kary: 5.05.2016

Mieszkanie państwa Kowalskich (segment domku jednorodzinnego) jest ładnie wyposażone, zadbane, czyste. W oknach zazdrostki, na parapetach kwiatki doniczkowe, w środku podstawowy sprzęt RTV i AGD, ręcznie robione serwetki. Małżeństwo jest bardzo zgodne, utrzymuje ścisłe i ciepłe kontakty z rodziną męża i najbliższymi sąsiadami. W ich opinii Ewa to wzorowa matka i żona.

Ewa Kowalska nie była wcześniej karana. Opinia z miejsca zamieszkania przed aresztowaniem - bardzo dobra. Matka dwójki dzieci: Marcina lat dwanaście i Patrycji lat cztery. Mąż Hubert, z zawodu górnik, zarabia tysiąc dwieście złotych netto. Przed aresztowaniem Ewa pracowała jako portier - sprzątaczka w spółdzielni mieszkaniowej.

Zarabiała czterysta złotych miesięcznie.

W 1996 roku państwo Kowalscy kupują na raty samochód. W 1997 roku Ewa traci pracę w spółdzielni mieszkaniowej. Mąż staje się jedynym żywicielem rodziny. Z trudem spłaca raty za auto.

Elżbieta T., siedemdziesięcioletnia kobieta, mieszka na drugim piętrze śląskiego „familoka". Budynek dawno nie był remontowany, ze ścian klatki schodowej łuszczy się farba. W obawie przed wandalami na prośbę mieszkańców zostaje zamontowany domofon.

Według opinii sąsiadów Elżbieta T. należy do osób niezwykle ostrożnych. Cicha, spokojna, wcześnie kładąca się spać emerytka. Handluje złotą biżuterią oraz „domowym żurem", który sprzedaje na pobliskim targowisku. W związku z jej profesją odwiedzają ją różne osoby.

Czasem Elżbieta T. występuje jako pośrednik - towar (złotą lub srebrną biżuterię) przekazuje kolejnym, zaufanym osobom, które sprzedają go dalej. Takim sprzedawcą zostaje Ewa - zna emerytkę od lat, bo w 1992 roku kupiła od niej po okazyjnej cenie pierścionek. W tajemnicy przed mężem i rodziną Ewa zaczyna handlować złotem. Na początku zdarza się to raz na jakiś czas - przed świętami czy rozpoczęciem nowego roku szkolnego - gdy Ewa potrzebuje pieniędzy. Elżbieta T. stopniowo coraz bardziej jej ufa, bo kobieta uczciwie i terminowo rozlicza się z pieniędzy i niesprzedanego towaru. Mąż nie zauważa, że Ewa dyskretnie wspomaga rodzinny budżet.

Elżbietę T. często odwiedza syn Roman. Codziennie pomiędzy szóstą trzydzieści a siódmą do staruszki przychodzi też Eugeniusz B., sąsiad, który zabiera na targ butelki z domowym żurem, z którego produkcji słynie T. Jest ich kilkanaście, czasem więcej, a staruszka nie ma sił, by sama dostarczyć je na targ. Dociera tam później, mniej więcej około dziesiątej. Po zakończonej sprzedaży, około trzynastej Eugeniusz B. odwozi puste butelki po żurze do mieszkania staruszki. W zamian za tę pomoc emerytka gotuje mu obiady.

Czasami w handlu domowym żurem pomaga staruszce Zofia Ś.

Złoto przeznaczone na sprzedaż Elżbieta T. trzyma w metalowych puszkach po landrynach i kawie, które chowa w kredensie w kuchni. Mniej wartościowe przedmioty na sprzedaż trzyma w pokoju, zwykle na stole, w dostępnych, widocznych miejscach. W kwietniu 1997 roku zgubiła klucze od mieszkania. Od tej pory trzyma złoto w pokoju, który po wyjściu zamyka na dodatkowy klucz. Staje się jeszcze bardziej nieufna. Nie wpuszcza do domu nikogo, kto nie uprzedzi o swej wizycie przez domofon. Zawsze przed otwarciem drzwi sprawdza ponownie przez wizjer.

Prowadzi notes, w którym zapisuje każdą dokonaną transakcję. Notuje kwoty i nazwiska dłużników. Nazwisko Ewy Kowalskiej znajduje się w nim kilkanaście razy.

Na początku maja 1997 roku Ewa bierze od Elżbiety T. kolejną porcję złota o wartości dwa tysiące czterysta złotych: siedem łańcuszków, siedem pierścionków, dwie pary kolczyków, trzy obrączki. Kobiety sporządzają pisemny dowód, podpisują się na dole spisu.

Handlarka chowa go do jednej z puszek po landrynach.

Rankiem 15 maja 1997 roku niespodziewanie dzwoni domofon w mieszkaniu Elżbiety T. Staruszka jest zaniepokojona. Pyta, kto dzwoni. To Kowalska, przyszła się rozliczyć - mówi uspokojona do Zofii Ś. i Eugeniusza B., którzy właśnie rozlewają do butelek żur. Za chwilę mają jechać na targ. Wchodzi Ewa. Wyciąga z torby kopertę, ale zaraz chowa ją z powrotem. Ojej, to nie ta, co trzeba… Pomyliłam się, tą właściwą zostawiłam w domu - mówi.

W takim razie przynieś pieniądze na targ - odpowiada jej T. Ewa kiwa głową i wychodzi.

Nie pojawia się na targowisku ani tego dnia, ani następnego, ani przez kolejny tydzień. Elżbieta T. ustala adres zamieszkania dłużniczki i idzie złożyć jej wizytę, jednak nie zastaje nikogo. Zofii Ś. i Eugeniuszowi B. mówi, że ma wrażenie, jakby ktoś był w domu, tylko nie chciał jej otworzyć. Chyba straciłam pieniądze - żali się.

Dwudziestego drugiego maja, kiedy Zofia Ś. i Eugeniusz B. przychodzą rozlewać żur do butelek, Elżbieta T. mówi im, że po targu zamierza pójść znowu do Ewy Kowalskiej i upomnieć się o swoje pieniądze. Zofia Ś. i Eugeniusz B. obiecują, że sami odwiozą puste butelki do jej domu.

Tego dnia Ewa przez cały dzień jest w swoim mieszkaniu. Wyprawiła dzieci do szkoły, zrobiła zakupy. Jest ciepłe popołudnie. Ewa zabiera się do gotowania obiadu. Obiera ziemniaki, gdy rozlega się pukanie do drzwi. Mąż ogląda na kanapie telewizję. Dzieci w swoim pokoju odrabiają lekcje. Ja otworzę - mówi Ewa i wyciera ręce w fartuch. Za drzwiami stoi Elżbieta T. Oddawaj pieniądze! - krzyczy staruszka. - Bo inaczej będziemy rozmawiać…

Ewa stara się ją uspokoić, prosi, by mówiła ciszej. Błaga, żeby porozmawiały później, nie przy dzieciach… T. jest bardzo zdenerwowana: wyzywa ją od złodziejek i żąda odsetek od „pożyczonej” kwoty. Ewa wścieka się, obiecuje, że przyjdzie do niej wieczorem. Zatrzaskuje drzwi przed nosem handlarki.

Jest godzina dwudziesta trzydzieści. Ewa przygotowuje kolację dla dzieci i męża.

Siadają do stołu. Po jedzeniu Ewa kładzie dzieci do snu. Hubert wychodzi na nocną zmianę do kopalni. Ewa zakłada fioletowy rozpinany sweter i zielone spodnie. Po cichu wymyka się z mieszkania, zamyka drzwi na klucz i idzie do mieszkania Elżbiety T.

Dociera tam po dwudziestej trzeciej, a staruszka wpuszcza ją mimo późnej godziny.

Rozmowa odbywa się w kuchni. Ewa stwierdza, że oddała już pieniądze i nie zamierza ich jeszcze raz zwracać. T. wyzywa ją od złodziejek. Kłócą się. Nagle Ewa chwyta taboret. Z całej siły uderza staruszkę w głowę. Kobieta pada na podłogę. Ewa siada na niej i zaciska ręce na jej szyi. Zaczyna dusić. Ratunku! Jadźka! Pomocy! Puść mnie, co robisz! - woła T., ale Ewa coraz mocniej zaciska ręce na szyi staruszki. Zwalnia uścisk tylko po to, by z całych sił uderzyć ją kilka razy pięścią w twarz. Kaj to masz![5] - charczy jej do ucha. - Kaj to masz?!

Elżbieta T. wije się. Z całych sił stara się wydostać spod ciężaru Ewy, która siedzi na niej okrakiem i próbuje zakryć dłonią jej usta. Emerytka dotkliwie gryzie napastniczkę w palec.

To rozwściecza Ewę. Wtedy udaje jej się zacisnąć obie dłonie na szyi staruszki. Ciało Elżbiety T. nieruchomieje. Ewa gwałtownie zrywa się i zaczyna chaotycznie przeszukiwać mieszkanie. Do reklamówki wrzuca to, co udaje jej się znaleźć: bony, biżuterię, pieniądze.

Jadwigę W. budzi hałas - coś jakby odgłosy uderzeń, krzyki, wołanie o pomoc. Zrywa się z łóżka. Próbuje nasłuchiwać, wygląda przez wizjer. Zdaje sobie sprawę, że coś niedobrego dzieje się u mieszkającej naprzeciwko starej T. Schodzi do sąsiadki na dole i z jej telefonu wzywa policję.

Po kwadransie w mieszkaniu obok cichną odgłosy walki. Słychać tylko trzaskanie drzwiczkami szafek, spadanie przedmiotów, przesuwanie krzeseł.

Gdy Jadwiga wraca do siebie, w drzwiach mieszkania handlarki złotem spostrzega sylwetkę kobiety w fioletowym swetrze i zielonych spodniach, która na jej widok natychmiast chowa się do środka. Jadwiga jest przerażona. Wchodzi do swojego mieszkania i przez wizjer obserwuje drzwi naprzeciwko. Po chwili postać w fioletowym swetrze - myśląc, że nikogo nie ma w pobliżu - wymyka się z mieszkania i zbiega po schodach. Jadwiga W. wyskakuje na klatkę i próbuje ją dogonić: Ty złodziejko, co tu robisz? Co ty zrobiłaś tej kobiecie? - krzyczy.

Ewie udaje się jednak umknąć. Kiedy dopada drzwi klatki schodowej, słyszy ostatnie słowa Jadwigi: Poznam twoją twarz!

Kilka minut później na klatkę schodową wchodzą funkcjonariusze. Znajdują zwłoki staruszki.

Ewa ukrywa reklamówkę ze zrabowanymi przedmiotami pod stertą węgla w piwnicy.

Kładzie się spać, ale nie może zmrużyć oka. Nad ranem, około czwartej trzydzieści, wraca mąż i kładzie się obok niej. Około ósmej rano Ewa budzi męża i oświadcza: Zabiłam kobietę.

Jeszcze tego samego dnia do mieszkania Kowalskich wchodzą funkcjonariusze i aresztują Ewę. Przeszukują mieszkanie. W piwnicy znajdują gotówkę (trzy tysiące dziewięćset pięćdziesiąt złotych), pięć bonów „Progresja" o wartości dwa i pół tysiąca, złotą biżuterię o wartości ponad cztery tysiące złotych, puchar kryształowy i dokumenty Elżbiety T.

Ewa trafia do aresztu. Przyznaje się do winy już podczas pierwszego przesłuchania.

Twierdzi jednak, że rozliczyła się ze staruszką na targu, a mimo to ta po południu przyszła do niej do domu i ponownie zażądała pieniędzy. Umówiły się, że porozmawiają o tym wieczorem. Kiedy Ewa przyszła, emerytka nie mogła znaleźć kartki, na której zapisała, ile biżuterii Kowalska ma zwrócić. W końcu umówiły się na następny dzień (w niedzielę), kiedy T. znajdzie kartkę.

Ewa twierdzi, że to staruszka ją zaatakowała. Zamachnęła się stołkiem. Wyrwałam go jej z ręki i uderzyłam - wyjaśnia. Przyznaje, że dusiła ją i przyciskała kolanem do ziemi, bo ta… krzyczała. Chciałam ją jedynie uciszyć. Dotąd naciskałam, aż całkiem znieruchomiała -

wyjaśnia prokuratorowi. Nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego przeszukała całe mieszkanie i zabrała kosztowności. Zrobiłam to bez powodu, pod wpływem impulsu - tłumaczy. Twierdzi też, że dalszego przebiegu zdarzeń nie pamięta - była w szoku.

Sąd nie daje jej wiary. Za nieprawdopodobne uznaje zarówno atak handlarki na Ewę (sąsiedzi przedstawili Elżbietę T. jako bezkonfliktową, spokojną staruszkę), jak i fakt, że Ewa wcześniej zwróciła pieniądze.

Elżbieta T. zmarła w wyniku uduszenia, ale na jej ciele ustalono co najmniej kilkadziesiąt obrażeń: rozległe siniaki na twarzy w okolicy oczu, masywne podbiegnięcia krwawe powłok głowy, szyi i wiele innych. Skoro oskarżona zadała tylko jeden cios, skąd na ciele ofiary tak wielka liczba obrażeń? - pyta sąd. Ewa milczy.

Taka jest jej linia obrony, te wyjaśnienia mają na celu jedynie pomniejszyć stopień jej winy - orzeka sąd. Nie ma wątpliwości, że Ewa działała w zamiarze pozbawienia życia.

Zdawała sobie sprawę ze skutków swojego działania. Dotąd uciskała szyję staruszki, aż ta nie dawała oznak życia. Natomiast zamiar rabunku Ewa powzięła tuż przed zabójstwem albo w jego trakcie. Prawie cała kamienica słyszała jej krzyki: Kaj to masz?!

I choć adwokat twierdził, że Ewa mieszka na Śląsku zaledwie od dziesięciu lat, więc nie mogła w sytuacji wielkiego wzburzenia używać śląskiej gwary, sąd nie wziął tego pod uwagę. Zwracała się do staruszki gwarą, aby być zrozumianą - orzekł.

Poza tym syn zamordowanej, Roman, zeznaje, że matka opowiadała mu o kobiecie, która pożyczyła dwa tysiące czterysta złotych na kupno samochodu, ale nie mogła tych pieniędzy oddać.

Badający Ewę psychiatra stwierdza u niej sytuacyjną reakcję depresyjną wywołaną zdarzeniem. Poziom inteligencji w granicach normy. Żadnych zaburzeń osobowości.

Piątego lipca 1999 roku sąd orzeka karę jedenastu lat więzienia. Bierze pod uwagę fakt, że przed aresztowaniem Ewa Kowalska była wzorową matką i żoną oraz posiada bardzo dobrą opinię w miejscu zamieszkania. W większości rozpraw Ewa nie uczestniczyła.

Dziewiętnastego stycznia 1998 roku stwierdzono u niej śmiertelną chorobę. Dziesięć dni później zgłosiła się na operację, która ma uratować jej życie. Przez cały czas do procesu, także po wydaniu wyroku, Ewa znajdowała się pod opieką specjalistów.

Z tego powodu Ewa nie od razu trafia do więzienia. Zajmuje się domem, opiekuje dziećmi, żyje normalnie. W tym czasie składa apelację, ale sąd utrzymuje wyrok w mocy.

Także wniosek o kasację wyroku zostaje odrzucony. Rosną za to koszta sądowe.

Siedemnastego grudnia

1999 roku na adres państwa Kowalskich przychodzi wezwanie do odbycia kary oraz rachunek na kwotę sześć tysięcy pięćset dwadzieścia złotych i dwadzieścia trzy grosze za opłaty sądowe. Ewa postanawia zgłosić się do więzienia, a mąż składa prośbę o umorzenie opłat. Usprawiedliwia się tym, że musiał zmienić pracę i obecnie jako przedstawiciel handlowy zarabia zaledwie sześćset czterdzieści osiem złotych netto.

Co miesiąc do domu Kowalskich puka komornik, ale w końcu stwierdza, że nie mają żadnego majątku, który mógłby zająć.

Kurator społeczny pisze do sądu list w obronie Kowalskich. Prognozę resocjalizacyjną Ewy określa jako pomyślną. „Nie mają majątku, niemal co miesiąc składają wniosek do urzędu miejskiego o pomoc w opłatach za czynsz. Wydatki na lekarstwa dla żony oraz utrzymanie dzieci pochłaniają cały dochód. Nikt nie nadużywa alkoholu, atmosfera domowa ogólnie dobra”. Sąd umarza koszta sądowe.

Ewa dobrze funkcjonuje w więzieniu, cieszy się zaufaniem kadry, pracuje jako kucharka.

EPILOG 2012

Ewa Kowalska wyszła na wolność i wróciła na łono rodziny. Zahamowany został rozwój choroby nowotworowej. Ewa pozostaje pod stałą opieką lekarzy. Mąż zawsze ją wspierał i bronił przed oskarżeniami. Córka osiąga sukcesy na międzynarodowych mistrzostwach. Syn przeszedł terapię antynarkotykową i nadal jest ze swoją żoną.

***

[1] Bohaterka przygotowuje posiłki dla pracowników służby więziennej, jest szefową służbowej stołówki i bufetu.

[2] Ze względu na nieuleczalną chorobę, na jaką zapadła, sąd zdecydował w jej przypadku o przerwie w karze. Miała w tym czasie dozór policyjny, nie mogła opuścić kraju, dopóki jednak jej stan zdrowia zagrażał życiu, przebywała na wolności.

[3] Oddział, gdzie trafiają osadzone, które odbyły już większość swojej kary, dobrze sprawują się w zakładzie karnym, nie stwarzają problemów, nie są konfliktowe. Są łagodniej traktowane, mają wygody w postaci prysznica w celi, zwykle są to skazane na długoterminowe wyroki.

[4] Imię i nazwisko zmienione.

[5] Gwara: gdzie to masz?!

Aneta

Samotność

Nie miałam przyjaciółki ani przyjaciela, nigdy. W szkole podstawowej miałam koleżankę, z którą bardzo dobrze żyłam. To mogła być przyjaźń i pewnie by była, ale ja zawaliłam sprawę. Uczyłyśmy się w tej samej szkole. Bardzo często do siebie przychodziłyśmy. Ja częściej do niej. U mnie była taka atmosfera w domu, że raczej to ja do niej chodziłam. Ania zawsze miała dla mnie czas. Odkładała na bok swoje problemy, żeby ze mną porozmawiać. Nigdy mnie nie zawiodła, niczego nie odmówiła, jeśli chodzi o rozmowę i w ogóle. Zawsze była wobec mnie szczera. Obgadywałyśmy chłopaków, chodziłyśmy do dyskoteki, paliłyśmy papierosy, piłyśmy jakiś alkohol. Różnie, naprawdę różnie. Razem nigdy się nie nudziłyśmy. Czułam, że po prostu jest za mną. To było ważne.

Mieszkałam na obrzeżach Węgorzewa, jakieś piętnaście minut piechotą od centrum.

Wokół drzewa, jeziora. Ładnie. I w środku parku trzy stare kamienice, nasza w najlepszym stanie. Mieszkanie było małe - dwa pokoje i kuchnia. Mama bardzo dbała o czystość. Jeden pokój był duży, tam mieszkali rodzice; my z bratem trzymaliśmy w ich segmencie swoje rzeczy. A potem przechodziło się do drugiego pokoju. Dwie amerykanki - moja i brata, plecaki nasze za łóżkami. We wnęce malutka kuchenka, zlew, lodówka. Dobrze to mieszkanie wspominam. Niewiele się tam mieściło, ale dobrze, dopóki mama żyła.

Pracowała w banku, urzędzie miasta i gminy, pod koniec jako kadrowa w szkole. Z wykształcenia była księgową. Ojciec w wypadku samochodowym stracił jedno oko, na drugie też słabo widział. Nie miał pracy. Pił. Do mnie, mamy i brata ręce wyciągał - bił nas całe życie, odkąd pamiętam. Przychodził pijany do domu, odgrzewał sobie jedzenie, coś mu tam nie wychodziło, to rzucał w nas naczyniami. Jak do mamy ręce wyciągał, musieliśmy uciekać z domu. Mama tylko łapała torebkę i uciekaliśmy, tak jak staliśmy. Czy to była piżama, czy to były klapki. Uciekaliśmy po prostu. Czekaliśmy na strychu albo u sąsiadki, z którą moja mama dobrze żyła. Czekaliśmy, aż zaśnie, jakąś godzinę, dwie… Wtedy się podchodziło pod drzwi i nasłuchiwało, czy nie ma szmerów w domu. Jak spał, po cichu się wchodziło. Rano ojciec na kacu wstawał - skupiał się raczej na tym, żeby jakoś dojść do siebie. Nie odzywał się, nie przepraszał. Wychodził z domu. Po trzeźwemu nie bił nas. To się rzadko zdarzało, ale bywały takie dni. I wtedy, można powiedzieć, nie był złym ojcem.

Nie mówiłam nikomu o tym, że ojciec jest alkoholikiem i że są awantury w domu; że znęca się nad nami, wygania nas z mieszkania albo że musieliśmy spać na strychu. Niby każdy o tym wiedział, ale to była moja sprawa i nie obnosiłam się z tym. Nie pokazywałam, że jest mi źle albo że cierpię, co to, to nie. A tak naprawdę to nie miałam komu powiedzieć.

Dopiero jak poznałam Grześka… Przed nim pierwszym się otworzyłam.

Bardzo dużo rzeczy mu opowiedziałam. On wiedział o mojej sytuacji w domu, o moich znajomych, koleżankach. Bardzo mu ufałam. Uważałam, że jest moim chłopakiem i łączy nas uczucie, więc mogę mu się zwierzać ze wszystkiego, bo nigdy nie będzie chciał mnie skrzywdzić. Myślałam, że to jest naprawdę ktoś w porządku.

Grzesiek był starszy ode mnie o siedem lat i bardzo zazdrosny. Na przykład o to, że

rozmawiałam z jego kolegą. Po co ta rozmowa była? - krzyczał. Jakbym była jego własnością.

Wyciągał mnie ze szkoły. Całymi dniami wystawał pod szkołą. Stał, palił. Czekał, aż wyjdę.

Po co? Żebym szła do niego. Często w ogóle do szkoły nie docierałam, bo po drodze mnie spotykał. Jego ojciec pracował na budowie, a matka jako stróż - czasem w nocy, czasem w dzień; na dwie zmiany. Była alkoholiczką, niezbyt się nim przejmowała. U niego przeważnie nie było nikogo w domu; siedzieliśmy w jego pokoju albo w dużym, gdzie był telewizor. To z nim spróbowałam pierwszy raz zioła. Byłam w ósmej klasie, straszną „głupawkę" załapaliśmy. Niedługo później, miałam może z piętnaście lat, pokazał mi amfetaminę. Amfa, feta, antek. Razem ćpaliśmy, ale jeszcze nie tak, żeby w ciągu.

Pierwszego razu nie pamiętam. Byłam zaskoczona. Jak zaczął przepraszać, pomyślałam, że więcej się to nie powtórzy. Ale potem uderzył mnie jeszcze wiele razy.

Łudziłam się, że to z miłości. Bo przecież jest zazdrosny, zależy mu na mnie.

Czasem coś go napadało bez powodu, a za moment przepraszał i wszystko było dobrze. Starałam się być wyrozumiała. Kochałam go, więc cierpiałam i wierzyłam, że to się zmieni. Ale nie zmieniało się - ani jego zachowanie, ani to, że mnie okłamywał i źle traktował.

Mama od początku była przeciwna, żebyśmy się spotykali. Mówiła, że on ma złe towarzystwo i zły wpływ na mnie. Ania - ta moja jedyna koleżanka - też prosiła, żebym z nim zerwała. To nie jest chłopak dla ciebie - tłumaczyła. Ale wtedy nie chciałam nikogo słuchać.

Ania zadawała mi pytania: Co się z tobą dzieje? Dlaczego tak postępujesz? A ja nie chciałam się zastanawiać. Już tylko Grześka widziałam. Mówił, że mnie kocha i czasem to czułam.

Wydawało mi się, że to szczęście. Tylko w niego byłam zapatrzona, nie widziałam nikogo dookoła. Ani zaczęłam unikać.

Poszłam do zawodówki - uczyłam się na kelnerkę. Trzy dni w tygodniu miałam zajęcia w szkole, dwa dni na praktykach. Ubikacje musiałam sprzątać. Kawiarnia nazywała się Relax, przy dworcu była, pijacy przychodzili, żołnierze. Wulgarnie się zachowywali. Od dziewiątej rano do popołudnia. Cały czas na mopie, a ubikacje obsikane dookoła, nawet na ścianach mocz. Czasem jak swoje zrobiłam, stawiali mnie na mycie szkła. Wtedy tylko patrzyłam na tego, co na kasie siedzi. To oznaczało, że cieszysz się zaufaniem szefa.

Patrzyłam i myślałam, kiedy ja będę w tym miejscu. Marzyłam o tym. O tym, że będę sobie siedziała i pieniądze liczyła. Długo tam nie popracowałam.

Potem przeniosłam się do innej klasy - cukierniczej. Trafiłam do małej cukierenki. Ale było jeszcze ciężej niż w Relaxie. Byłam w pierwszej klasie, więc musieli przeczołgać kota.

Dostałam najgorszą robotę; a to sitka od maszynek myć, a to twaróg ugniatać, żeby żadnej grudy nie było. Ciągać kotły z serem albo makiem. W maszynce wszystko mielić kilka razy.

Był taki wielki pojemnik z olejem - pączki na czas musiałam wyciągać. Do każdego oddzielnie wcisnąć marmoladę, rolady składać. Ci z trzeciej klasy siedzą na zapleczu i tylko zamówienia robią, kosztorysy i kotom - takim jak ja - rozkazują. Sprawdzają, czy dobrze pracujesz. Jak brygadier na budowie.

Nie wiem, czy byłam przygotowana na ten związek. Teraz myślę, że od kiedy Grzesiek pojawił się w moim życiu, wszystko się jakoś tak dziwnie poprzewracało.

Miałam szesnaście, prawie siedemnaście lat jak zaszłam w ciążę. Nie chciałam mieć dziecka, sama będąc dzieckiem. Ojciec zażądał, żebym usunęła. Nie będę twoich bękartów chował! Uciekłam z domu. Ale mama mnie przekonała, żebym wróciła, żeby jednak urodzić, choć wiadomo było, że zostanę sama. Grzesiek nie potrafił wziąć na siebie takiej odpowiedzialności. Nie, nie mówił, że to nie jego dziecko. Po prostu przestaliśmy się widywać. Żadnej pomocy od niego nie uzyskałam.

Człowiek rodzi się sam, żyje sam i umiera sam… Od tej pory już nigdy nikomu nie zaufałam. Taka blokada mi się włączyła. I za każdym ra zem, jak nawet próbowałam nawiązać z kimś bliższy kontakt, to zawsze mnie coś od środka blokowało. Po prostu wiedziałam, że są pewne granice, których nie mogę przekroczyć, i są pewne rzeczy, o których nie mogę mówić, bo zawsze gdzieś tam ciążyła mi ta jedna myśl, że ktoś to może wykorzystać przeciwko mnie. Może na przykład źle zinterpretować, powiedzieć drugiej osobie, mogą powstać z tego plotki, nieprzyjemne sytuacje.

Byłam sama z dzieckiem. Tylko mama mi pomagała. To ona Zuzię wychowywała i tuliła. Ja nie mogłam.

Z mamą zawsze miałam dobry kontakt. Jak dostałam jedynkę w szkole, to nic jej nie mówiłam, tylko podrabiałam podpis. Jak nauczycielka widziała, że na dużej przerwie lecę do parku palić papierosy, to też jej nie mówiłam, że mnie przyłapano. Mówiłam za to, że taki i taki chłopak mi się podoba. Rozmawiałam z nią po prostu.

Któregoś dnia smażyła kotlety i skaleczyła się w palec. Zakażenie poszło do brzucha i takie burchle z wodą zaczęły jej wyskakiwać. Kilka dni wcześniej dałam jej żel pod prysznic.

Najpierw myślała, że to z powodu tego żelu. Nawet poszła do dermatologa. Powiedział, że to możliwe i kazał go odstawić. Ale burchle nie schodziły. Wyskakiwały kolejne. Maleńkie białe pęcherzyki z wodą. Jeden obok drugiego. Miała je już na całym ciele, na piersiach, rękach, nogach. Znów poszła do lekarza. Kazali jej pojechać do Olsztyna i położyli do szpitala. Nie wiedzieli, skąd te burchle się biorą. Leżała tam siedem tygodni. I tam zmarła. Byłam przekonana, że wróci. Przecież miała tylko małą rankę na palcu. Raz w tygodniu jeździł do niej ojciec. Nie zdążyłam jej odwiedzić. Tylko rozmawiałam z nią przez telefon. Chyba czuła, że umiera, bo kiedy zadzwoniła ostatni raz, prosiła, żebym opiekowała się Zuzią. Mówiła, że bardzo mnie kocha i w ogóle takie dziwne rzeczy mówiła. Jakby się żegnała. Potem obiecywała, że już wraca do zdrowia, że jak wróci, to będzie grill.

Tego wieczoru położyła się do łóżka i już się nie obudziła. Te pęcherze przeszły jej do serca. Lekarz powiedział, że i tak z tą chorobą mogła żyć najwyżej pięć lat. Pożyje od trzech miesięcy do pięciu lat - tak powiedział, kiedy ustalili w końcu, co jej było - pęcherzyca.

Wcześniej nie potrafili tego stwierdzić. Dawali jej różne leki i testowali, jak reaguje organizm. Aż mama zmarła.

Najpierw zadzwonili do ojca. Jechał do szpitala i kostnicy. Ja dowiedziałam się ostatnia. Myślałam, że to żart, że to się nie dzieje naprawdę. Potem ją zobaczyłam. Leżała w kaplicy przed pogrzebem. Podeszłam, Zuzię na ręku trzymałam. Mama leżała w fioletowym garniturze. Cała w ciemnych plamach, głowę miała zakrytą chustką, twarz

zamalowaną. Jezu, jak Zuzia nagle zaczęła wrzeszczeć, jakby coś w nią wstąpiło. Była aż czerwona od tego płaczu. Wtedy poczułam się naprawdę samotna. Najpierw Grzesiek, potem mama. Każdy, kogo kochałam, mnie opuszczał. Jeszcze chwilę patrzyłam na mamę, zanim zamknęli ją w trumnie. Samego pogrzebu już nie pamiętam. Szłam za tą trumną i płakałam. Sypanie ziemi, karuzela myśli. I nagle do mnie dotarło, że ona odeszła, że już nigdy jej nie zobaczę. Że jej nie ma. Wystałam do końca pogrzebu. Potem w domu zeszły się wszystkie cioteczki i nasza rodzina. Już nie mogłam płakać.

Do śmierci mamy wierzyłam, że Bóg jest i nas chroni, że czuwa nade mną. Ojciec pije, okay, ale kiedyś będzie lepiej. Kiedyś, jak będę miała swoją rodzinę. Chodziłam na religię, ksiądz przychodził po kolędzie. Dostawałam obrazki Jezu ufam Tobie, wklejałam je na pierwszą stronę zeszytu. Do komunii szłam, to mi mama taką piękną suknię uszyła, rękawiczki i wianuszek z kwiatami miałam. Włosy nakręciła na wałki. W święta na pasterkę nie chodziłam, nie chciało mi się. Do końca siódmej klasy chodziłam do kościoła, potem przestałam. Ale modlitwy podstawowe Ojcze nasz, Aniele Stróżu, Wierzę w Boga umiem za księdzem. Na bierzmowaniu wzięłam sobie imię Faustyna. Każdy wybierał takie piękne -

Wiktoria, Maria, Magdalena. To ja wybrałam Faustynę. Bo brzydkie i niedzisiejsze. Wszyscy mieli ubaw. Nie wiedziałam nawet, co ono oznacza, ani kim była ta święta. Założyłam się z koleżankami. I wygrałam, jestem Aneta Maria Faustyna.

Jak mama umarła, nie rozumiałam, dlaczego Bóg mi ją zabrał. Jak On mógł nam to zrobić! Nie spodziewałam się tego po Nim. Wcześniej była jakaś nadzieja na lepsze, że coś się zmieni. Kiedy zostaliśmy z ojcem, straciłam wiarę. Przestałam myśleć, że On jest.

Przestałam z Nim rozmawiać. Już nie prosiłam Go o nic, nie mówiłam do Niego ani rano, ani wieczorem. Czułam pustkę. Nic do mnie nie docierało. Przez cztery lata wciąż mówiłam o mamie w czasie teraźniejszym. Jakby ona była i zaraz miała wejść do naszego domu. Nie mogłam zaakceptować jej śmierci. Rósł we mnie gniew.

Przerwałam szkołę zaraz po pogrzebie. Siedziałam w domu z Zuzią. Z ojcem nie potrafiłam się dogadać. Chciał być górą, cały czas mi rozkazywał, chciał, żebym go słuchała, żeby wszystko było po jego myśli. Nienawidziłam go. Mówiłam o nim bezosobowo: on, jego.

Nigdy tata czy nawet ojciec. Życzyłam mu najgorszego. A przecież noszę jego nazwisko.

Często myślałam, że nie wytrzymam. Że coś sobie zrobię. Że nie dam rady. I już nie potrafiłam mieszkać w tym domu. Mój brat był silniejszy; biały, samotny żagiel. Mnie to wszystko przerastało. Och, żeby tylko nie mówić, nie myśleć o tym, co jest tutaj. A Zuzia jest, ojciec alkoholik, brat. Zuzia się męczy, myślałam. Miałam dostęp do towaru. Zaczęłam ostro ćpać, bez różnicy mi już było. Po śmierci mamy nie chciałam być trzeźwa. Po narkotykach mogłam stworzyć sobie bajkę, w której żyje: mam dobrą rodzinę, spokój, dom. Prawdziwy świat nie był kolorowy.

Pewnego dnia wyszłam z domu. Zuzia miała pięć lat. Wsiadłam do autobusu, który jechał do Giżycka, a potem do Warszawy. Nie miałam pieniędzy, na kredytowy dojechałam.

Była tylko jedna myśl, uciec. Tak zrobiłam. Zostawiłam wszystkie swoje rzeczy, Zuzię. Nic nie myślałam. I już nigdy do domu nie wróciłam.

W Warszawie na Dworcu Centralnym wysiadłam. Tam wszystko było proste.

Poznałam narkomanów, którzy zaopatrywali się w amfetaminę na Ochocie i tam mnie

zawieźli. Wyszedł diler, obejrzał mnie i powiedział, że mogę pomieszkać u niego. Było mi wszystko jedno. Do tego gdzie, z kim, żadnej wagi nie przywiązywałam. On miał żonę w Kielcach, do której jeździł, a ja spałam w pokoiku obok. To był układ: ja miałam gdzie mieszkać, a on nie latał z towarem, ja za niego ryzykowałam.

W Węgorzewie miałam już kontakt z amfetaminą. W Warszawie była tańsza i więcej.

Szybko w nią weszłam, a potem w heroinę. Było mi obojętne, czy dostanę zapaści, czy uderzy we mnie samochód. Ludzie to mięczaki, myślałam. Mogę handlować towarem, nie zastanawiać się nad niczym. Tak porządnie się naćpać i nie obudzić. Spotkać z mamą, jakby mnie tu nigdy nie było. Raz miałam zapaść na ulicy. Jacyś ludzie wezwali pogotowie. Lekarz podawał mi narka[1] i pytał, czy mnie zawieźć do szpitala. Nie chciałam.

Powtórzyło się to wielokrotnie. Za każdym razem się budziłam. Niby wciąż żyłam, ale jakbym wyszła z lodówki - coraz bardziej zamrożona. Mówiłam, że dobrze się czuję, a myślałam: Znowu mi się nie udało.

Żyłam z dnia na dzień, ćpałam sobie, praktycznie nic nie robiłam. Wychodziłam z domu, podilowałam, trochę z tym pogadałam, trochę z tamtym. Po sklepach pochodziłam, po Śródmieściu trochę, czasem poświrowałam - jakaś przelotna przygoda z chłopakiem. Moje towarzystwo było typowo narkomańskie, ale nie z centralniaka, tam tylko sprzedawałam towar, starałam się nie nawiązywać kontaktów. Jakbym była widziana za często, długo bym nie pochodziła, bo na każdym kroku są tajniacy, niby normalnie ubrani, ale policja. Cały czas cię obserwują.

Starałam się dbać o siebie. Włosy zawsze miałam umyte i spięte. O to dbałam, żeby nie wyglądać jak narkomanka. Jakbyś mnie zobaczyła w sklepie, gdy chciałam coś ukraść, to nie powiedziałabyś, że biorę. Tak dobrze wyglądałam. Nie chodziłam zawalona narkotykami, tylko tak - aby tylko, tylko. Żeby nie być na skręcie, nie czuć głodu, ale w miarę normalnie funkcjonować. Nie łapać przysypki, kontrolować, co mówię. Jedynie po moich oczach mogłabyś poznać, że jestem naćpana.

Najpierw chodziłam z tym gościem, potem samą mnie już wysyłał. Towar był podzielony w małe koperty, złotko lub kartonowe pakieciki. Setki, jednorazowe działki. Jedna setka kosztowała wtedy dziesięć złotych. W ręku to trzymałam, żeby w razie czego wyrzucić albo połknąć. W tramwaju rękę z towarem w kieszeni miałam. Bez biletu jeździłam, jak był kanar, to na ładne oczy zawsze się wykpiłam.

Dzwonili ludzie na komórkę, a ja szłam i niosłam towar. Z daleka się rozpoznawaliśmy. Pytałam tylko czy jedna setka, dwie czy trzy. Wymiana ręka w rękę. Pod Pałacem Kultury albo pod Rotundą. Czasem szkoda mi ich było, jak brakowało im parę złotych, to też towar dawałam. Kiedyś cały towar rozdałam i wyćpałam.

Na różne sposoby brałam; część do nosa, piłam w coca-coli albo z wodą, rozpuszczałam do strzykawki. Dożylnie od razu działa, do nosa po jakichś dwudziestu minutach, najdłużej trzeba czekać na wypite albo zjedzone. Zależy, co chcesz osiągnąć. Jak zależy ci na spokoju, to najlepszy zastrzyk, jak nie - to do nosa.

Amfetamina daje takiego powera, że nie możesz usiedzieć w miejscu. Ludzie po amfie mają szwendaka. Raz dwa kwiatki zerwałam - odruch, nie mogłam odejść bez nich, musiałam wziąć. Po heroinie patrzysz w jeden punkt, ospała, ociężała. Jak cię posadzą, to siedzisz, przysypki łapiesz jak po lekach. Źrenice jak szpileczki, chrypka w gardle. Mogłoby się wokół ciebie walić i palić, a ciebie nie ma. Huraganu nie zauważysz. Lubiłam je obie ze sobą mieszać. Pierwsze wejście heroiny - myślisz, że zaraz uśniesz, ciarki

chodzą po plecach, a zaraz idzie amfa - nagle oczy jak pięć złotych i nie wiesz, co robić, żeby tę energię wykorzystać. Jak usiądziesz, to przysypiasz, a jak wstaniesz, to chodzisz. Raz spróbujesz i wciągasz się momentalnie.

Kiedyś stałam w Warszawie pod Rotundą, jest tam apteka z szybą jak weneckie lustro, że od zewnątrz możesz się przejrzeć. Spojrzałam na siebie i wydało mi się, że widzę na twarzy krostę. Próbowałam ją wycisnąć. W pewnym momencie wyszła z apteki kobieta i zapytała, co mi się stało. Okazało się, że stałam tam ponad trzy godziny. Straciłam kompletnie poczucie czasu.

Innym razem dostałam amfetaminę niewiadomego pochodzenia. Jak wzięłam, to myślałam, że z butów wyskoczę, miałam ciarki, włosy normalnie stanęły mi dęba, serce waliło, a pięty zaczęły mnie piec. Mocny towar był, niechrzczony. Normalnie z polopiryną się miesza, tynkiem świeżym, proszkiem do pieczenia, niektórzy szkło wcierają. Ja sama nigdy nie mieszałam, dostawałam już gotowy.

Dużo ludzi wtedy spotykałam. Klienci zwykle byli brudni. Ćpuny - pognieceni, z gigantu. Ciężko czasem było wiek odróżnić. Wyglądali jak starcy, a jakby ich ogolić, okazałoby się, że mają po dwadzieścia parę lat. Ludzie ulicy cuchnący, co nie kąpali się ze trzy dni i łażą z torbą wypchaną śmieciami, bo wszystko może się przydać. Ale byli też inni -

podjeżdżali samochodami, czyści, pachnący. Rodzice mają firmę, a dziecko ćpa.

Ludzi traktowałam jak migawki na filmie; dziś rozmawiam z tobą, jutro nie mamy sobie nic do powiedzenia. Nie nawiązywałam więzi. Bardziej odpowiadało mi koleżeństwo.

Po prostu wiedziałam, że niektóre rzeczy muszę zachować dla siebie i że nie mogę o tym mówić. I nawet, jak pytali mnie wprost, co się ze mną dzieje albo dlaczego nie chcę o czymś powiedzieć, starałam się odpowiedzieć wymijająco - pytaniem na pytanie albo jakoś tak, nie krzywdząc nikogo w tej rozmowie. Tak delikatnie dać do zrozumienia, że po prostu nie mam ochoty o tym mówić albo że nie ma o czym mówić. Nic się nie stało. Nie ma znaczenia, choć tak naprawdę ma i to duże.

Nie wiem, czy ja w ogóle jestem w stanie komuś tak naprawdę zaufać i o wszystkim, tak naprawdę o wszystkim, mówić. O tym, co mnie boli, o tym, co mnie cieszy, o tym co mnie martwi, co czuję.

Wtedy nie zagłębiałam się w nic. Ty masz problem, okay, ja nie mam żadnych. Nie obchodziło mnie, co ktoś czuje. Miałam swój świat. Ten świat był taką tarczą, zasłoną, żeby nikt nie poznał mnie od środka. Wszyscy widzieli mnie uśmiechniętą, wyczesaną z deczka.

Zaraz idzie, zaraz wraca. Roztrzepana. Gestykulacje, miny, śmiałam się z niczego. Nie chciałam pokazywać małej Anetki, która nie była przygotowana na śmierć mamy. Dzika byłam. Jak czułam zagrożenie, że bardziej się mną interesują, znikałam. Bałam się, że ktoś mi pomoże, a tego nie chciałam. Bo jak chcieli mnie poznać, przejrzeć, to i skrzywdzić.

Wtedy Grzesiek się powiesił. Byłam już w Warszawie, zadzwoniłam do domu i ojciec mi powiedział. Nie rozpłakałam się nawet. Ta wiadomość nic nie zmieniła w moim życiu.

Jakby liście z drzew opadały. Tylko gdzieś podświadomie zanotowałam, że go nie ma.

Wtedy Grzesiek już dla mnie nie istniał. Czy jest, czy go nie ma? Czy ma piątkę dzieci. Było mi obojętne. Byłam znieczulona. Nie miałam praktycznie żadnych ludzkich uczuć.

Któregoś razu włóczyłam się po mieście. Nie padało, więc szłam do domu na piechotę. Stałam przed przejściem, a obok mnie kobieta z siatkami plastikowymi. Wyraźnie się

spieszyła z tymi zakupami. Zanim zielone się zapaliło, już weszła na jezdnię. Nagle nadjechał samochód, uderzył ją w połowie przejścia. Z butów normalnie wyskoczyła. Pękły jej te siatki i wszystkie przedmioty się rozsypały. Nie rzuciłam się na ratunek, nawet na nią nie spojrzałam. Tylko na jej portfel. Upadł obok mnie. Nie zastanawiałam się. Wzięłam go i schowałam się do budki telefonicznej. Wyjęłam osiemdziesiąt złotych, portfel zostawiłam w budce i uciekłam. Potem dopiero był przebłysk. Może ona nie żyje. Może do dzieci szła.

Ludzie to wszystko widzieli. Biegłam. To przecież mogłam być ja. To ja mogłam wejść na przejście. A może mama już nade mną nie czuwa? Ale zaraz się naćpałam i już nie pamiętałam niczego.

Miałam koleżankę na Żoliborzu. Czasem jeździłam do niej. Ona z kolei znała tych wszystkich chłopaków z osiedla: Jacka, Darka, tych co ćpają. No, a wiadomo, jak to się czeka na dilera. Chcąc nie chcąc, z kimś zagadasz: skąd jesteś, ile bierzesz, ile chcesz wziąć towaru.

No różnie. Temat po prostu różny, no i on przyszedł tam, też kupić. Tak się poznaliśmy. Od razu mi się spodobał. Oczy miał takie niebieskie. Coś miał w tych oczach, taki był niedostępny. Ale ja mu też się chyba spodobałam, bo stał i obcinał mnie od stóp do głów.

Chyba te jego oczy mnie przyciągnęły. I jak patrzyłam na niego, to myślałam tylko o tym, czy ma dziewczynę. Czy jest zajęty, czy nie, gdzie mieszka, czy tutaj, a jeśli nie, to gdzie… Jakby miał dziewczynę, nie interesowałabym się nim. Jeśli byłaby jakakolwiek miłość, to nie wchodziłabym z butami w ten związek, bo może akurat to coś naprawdę wielkiego. Dalej już nie pamiętam, co się działo. W każdym razie któregoś dnia zaprosił mnie do mieszkania, tam na Sadach Żoliborskich. Jego brat był w tym czasie na Białołęce[2], jego mama mieszkała w Legionowie, z konkubentem, bo jego ojciec się powiesił - z bólu chyba, bo był chory na raka.

Pomyślałam sobie: fajny chłopak, ma swoje mieszkanie. Potem jakoś tak drugi raz mnie zaprosił. I zamieszkałam tam w końcu. Potem wyszedł jego brat, poznałam brata. On za jakąś drobną sprawę siedział, kolegium czy coś takiego - może pół roku.

Mieszkałam i żyłam z Darkiem. Nie rozmawialiśmy prawie w ogóle. Mnie było na rękę, że on ma to mieszkanie i mogę tam mieszkać. Ale też on załatwiał pieniądze. Czasem większe, czasem mniejsze. Znał dużo osób, które miały dobry towar, dobre dojścia. To wszystko mi pasowało. Zarabiał przez dziesiony[3]. Sporo ich było. Nigdy nie mówił, gdzie idzie, ani jak to robi. Po prostu wychodził. Wiedziałam, że idzie załatwić pieniądze. Nie dopytywałam się o nic, bo i po co? Dla mnie było lepiej, im mniej wiedziałam. Bałam się, że któregoś dnia przyjdzie policja i zapyta o niego. Jak na przykład wychodził rano, a nie było go ze cztery godziny, to wkurzałam się, że go tak długo nie ma, że może coś się stało, może miał jakąś wpadkę. Martwiłam się, że mogła go policja złapać, mogło mu się coś stać.

Poszedł dziesionę zrobić, ktoś go złapał i gdzieś wywieźli, no nie wiem, policja, coś się stało.

Jak wracał, czasami opowiadał, ale rzadko. Kiedyś przyszedł w poszarpanej bluzce, bo nie mógł kobiecie zerwać łańcuszka, takie mocne zapięcie było. Musiał ją ciągnąć kawałek.

Ona go złapała, porwała mu ubranie. Ale i tak zerwał ten łańcuszek. Wrócił, ale poszarpany.

Nie był wściekły, że podarła mu koszulkę, tylko że trwało to długo, zamieszanie było. Mógł złapać przypał[4].

Potem, jak już idziesz do złotnika czy Żyda, gdziekolwiek, żeby oddać fanty, i masz już pieniądze na towar, to nie pamiętasz, że była ta adrenalina, ten strach, że przed chwilą z kimś się walczyło o coś tam. To się nie liczy. Było - minęło. Najpierw starasz się zarobić pieniądze, potem, gdy już masz towar, idziesz go gdzieś opchnąć, powstaje następny problem: czy się dodzwonisz do dilera. Jeśli się dodzwonisz, to jest kolejny problem: czy ma towar. A później, żeby nie wpaść przy kupnie, a później, żeby dojść z towarem do domu. I to takie życie, choć w sumie to nie życie, tylko taka wegetacja. W kółko, dzień w dzień to samo.

Wstajesz rano, ćpasz albo bierzesz dożylnie i myślisz, co dalej zrobić, skąd skombinować pieniądze. Kombinujesz pieniądze, robisz zaopatrzenie i przychodzisz do domu, i oglądasz sobie - nie wiem - telewizję, cokolwiek. I nad niczym się nie zastanawiasz.

Na początku jedna działka brownu[5] starcza ci na cały dzień, ale potem okazuje się, że jest ci mało. To w zależności od tego, jak często bierzesz. Na początku jedna działka starczała na nas oboje, a później już nie. Było tak, że jak Darek zarobił więcej pieniędzy i było dużo narkotyków, to bez oporu się brało. Potrzebowałaś zapalić czy nie, to i tak paliłaś.

On czasem miał pretensje, że ja nie załatwiam pieniędzy. Sprzeczaliśmy się o to, ale mnie nie bił. Nigdy mnie nie uderzył. On mi nie wypominał wprost, dlaczego cały czas ja zarabiam, a ty nie możesz załatwić kasy, tylko dawał mi to do zrozumienia, że ma już dość, albo tak normalnie narzekał.

Byliśmy razem ponad dwa lata. Zależało mi na nim, ale to był typowy narkomański związek. Wydaje ci się, że coś czujesz do tego człowieka, a tak naprawdę to narkotyki przez ciebie przemawiają. Dopiero to widzę, jak już jestem czysta. Wtedy byłam w niego zapatrzona. Wydawało mi się, że to fajny chłopak, że może wyjdziemy razem z tego, życie sobie ułożymy. Dopiero po jakimś czasie, gdy wyszły ze mnie wszystkie narkotyki, zrozumiałam, że ten związek w żaden sposób nie mógł się utrzymać, bo był za bardzo przyćpany, chory. Wtedy zrozumiałam, że wcale nie byliśmy razem, że tak naprawdę byłam sama. I on był sam. Tylko razem mieszkaliśmy. To nie była ani miłość, ani przyjaźń.

Jak mnie zamknęli do sprawy, to odcięli mnie od towaru. To bolało, jakby ktoś mnie czymś ciężkim uderzył. I raptem zaczęłam trzeźwieć. Wszystko do mnie dotarło: że jestem w kryminale, że są osoby, z którymi siedzę, że, niestety, ze swoimi problemami muszę radzić sobie sama. I dotarło do mnie, że to nie jest tak, że jak mam problemy, jakieś zmartwienia, doły, to pójdę sobie, wezmę, zapalę i zaraz wszystko jest fajnie, super, bo już o tym nie myślę. To było pierwsze prawdziwe zderzenie z rzeczywistością, z tym, co się dzieje wokół tak naprawdę.

Wtedy umarł mój ojciec. Byłam już w więzieniu. On zawsze miał problemy z sercem, cukrzycę i nie mógł pić alkoholu, a pił. Serce po prostu nie wytrzymało. Było mi wszystko jedno. Nic nie czułam.

Zuzia… moja córeczka została z moim bratem, ale potem trafiła do rodziny zastępczej.

Robert nie mógł jej wychowywać. Ma teraz dwadzieścia sześć lat, młody jest, uczy się jeszcze i po prostu jest sam. To jest tak, że ja jestem w bardzo złych relacjach z moim bratem.

To znaczy nie z mojej strony, bo ja bym bardzo chciała nawiązać kontakt, ale on jest strasznie uparty i jakoś mu się nie spieszy do tego. Mój brat jest na mnie zły w związku ze sprawą. Nie spełniał wymogów stawianych rodzinie zastępczej.

Nie zrzekłam się praw rodzicielskich do Zuzi! Mam tylko ograniczone. Nie widziałam jej, nie znam rodziców. Nie mam żadnych wieści.

*

Jestem już sześć lat trzeźwa i to wszystko inaczej widzę. Najpierw, jak tu trafiłam, chciałam być - jak przed zamknięciem - znieczulona. Przeszłam terapię. Nie sądziłam, że potrafię reagować na słowa, gesty, opiekować się kimś. Odstawić swoje problemy i zająć się cudzymi. Dziwne. Poznałam tutaj chłopaka, bardzo się przed nim otworzyłam. On wie o mnie więcej niż ktokolwiek kiedykolwiek. Jestem pewna, że to jest miłość. Tym razem dojrzała, bo zbudowana na wszystkich moich czarnych doświadczeniach.

Moja blokada pękła. Wiem teraz, co znaczy kochać i być kochaną. Wcześniej nigdy nie mogłam tego poczuć. Zaręczyliśmy się. On wyszedł na wolność, ale jest wciąż ze mną.

Pisze, dzwoni, odwiedza mnie. Zaakceptował mnie z całym bagażem moich błędów. Wierzę, że to się uda. Już nie jestem sama.

Tylko luki w pamięci zostały. Nie pamiętam dokładnie, co w niektórym czasie czułam i jak myślałam. Wyrzuciłam pewne fragmenty zdarzeń. Pierwsza rozmowa z panią Olgą, Grzesiek, Darek, mama… Tutaj nie mówię o tym nikomu. Nie chcę mówić. Staram się nie psuć mojego świata wewnętrznego, który jako tako stoi. Boję się, że się rozsypie.

Aneta Barczuk (ur. 28.01.1980)

ofiara: Olga Koszutska-Listkiewicz, zaprzyjaźniona starsza pani, która pomagała jej finansowo

motyw: rabunkowy

narzędzie zbrodni: nóż, kabel, tłuczek do mięsa

przyznanie się do winy: tak

wyrok: 25 lat

koniec kary: 2029 (może się starać o przedterminowe zwolnienie warunkowe po 20 latach odsiadki - w 2024)

Na oddział obserwacji sądowo - psychiatrycznej Wojewódzkiego Szpitala dla Nerwowo Chorych w Pruszkowie przyjęto ją spokojną i opanowaną. Sprawiała wrażenie zrównoważonej. Od razu potwierdziła, że jest narkomanką i nosicielką wirusa HIV. Do chwili aresztowania przyjmowała clonazepam[6] i heroinę. Tuż po aresztowaniu miała objawy abstynencyjne: biegunkę, wymioty, przypominające bóle reumatyczne kręcenie nóg, zaburzenia snu, ale wszystko minęło po miesiącu. Bez oporów odpowiadała na pytania lekarzy.

Rodzice nie żyją. Matka zmarła cztery lata przed jej aresztowaniem, ojciec trzy lata i siedem miesięcy później - chorował na cukrzycę i serce. Śmierć matki wstrząsnęła nią. Ojca nie - był alkoholikiem, dręczył nas, więc wcześniej też jakby go nie było. Ma brata, młodszego od siebie o rok, który po ujawnieniu zbrodni, jakiej się dopuściła, zerwał z nią kontakty.

Nigdy nie uczyła się dobrze. Nie chciało mi się. Wagarowała od ósmej klasy podstawówki. Lubiłam chodzić na występy zespołów, brałam nawet udział w występach

tanecznych „Węgorzyków”. Papierosy paliła od piętnastego roku życia. Zna smak alkoholu, ale w całym życiu wypiła może kilka piw. Wódki w ogóle nie próbowała. Pierwszy raz uciekła z domu jako czternastolatka. Matka ją znalazła. Potem Aneta znikała coraz częściej i na dłużej; dwa tygodnie, miesiąc. Mimo to klas nie powtarzała. Zaczęła naukę w zawodówce ciastkarskiej. W pierwszej klasie została wyrzucona za niewłaściwe zachowanie. Matka goniła mnie do nauki, ale nic z tego nie wyszło. Już brałam narkotyki. Zaczęła pod koniec siódmej klasy szkoły podstawowej od kleju i rozpuszczalnika. Odurzała się nimi sporadycznie. Miała wtedy wizje, wydawało jej się, że z kimś rozmawia. Wąchanie kleju traktowała jako urozmaicenie życia towarzyskiego. Miała kolegów „klejarzy”, z którymi spotykała się nad kanałem. To było towarzystwo z butelką, zawsze pozwalali mi nasączyć szmatę. Tam poznała Krzyśka - wąchał klej, potem chodziła z Maćkiem, też narkomanem.

Skończyła piętnaście lat, kiedy zakochała się w dwudziestodwuletnim Grześku. Chciała mu pomóc wyjść z nałogu.

Było mi go szkoda. On nie miał nikogo. Matka była alkoholiczką, niezbyt się nim interesowała. Ojca często w ogóle nie było, a potem wyjechał do Niemiec. Grzesiek całymi dniami chodził naćpany. To on wstrzyknął jej pierwszy kompot. Wychodził na pół godziny, wracał przyćpany i nie było z nim rozmowy. Kiedy pewnego dnia zaproponował, żebym spróbowała, zgodziłam się. Kochałam go. Chciałam mieć z nim kontakt.

Po pierwszym razie nie czuła się najlepiej - wymiotowała co dwadzieścia minut. Ale spodobało się jej, jak kompot „wchodzi w ciało”. Najpierw czujesz, jak przechodzą dreszcze, a potem błogostan przez godzinę lub dwie. Drugi raz wzięła po dwóch tygodniach, a potem już co tydzień. Po pół roku była wciągnięta. Kleju już wtedy nie wąchała. Eksperymentowała - do kompotu dosypywała relanium i amfetaminę. Dzięki temu miałam trzy wejścia - najpierw błogość (relanium), potem dreszcze (kompot), a na koniec gwałtowne bicie serca i trudności z oddychaniem (amfetamina). Dobrze znała działanie każdego z tych środków, bo wcześniej brała je osobno.

Po roku znajomości chciała odejść od Grześka, ale tylko się wściekł. Powiedział, że zatrzyma mnie przez ciążę. Krótko potem nie dostała miesiączki.

O swoich podejrzeniach powiedziała matce, która i tak wcześniej sama się zorientowała. Potem o ciąży dowiedział się ojciec. Krzyczał, że nie będzie chował bękarta.

Aneta uciekła na działki, do Grześka. Ukrywała się z nim dwa dni, aż odnalazła ją matka.

Płakała i prosiła, żebym wróciła do domu. Załatwiła mi detoks w Olsztynie. Zgodziłam się i pojechałam, ale po dwóch tygodniach zasymulowałam bóle brzucha i uciekłam przez okno z oddziału ginekologicznego.

Wróciła do Węgorzowa i udawała przed rodzicami, że zerwała z nałogiem.

Tak naprawdę brała rzadziej i w mniejszych ilościach. Zwykle raz dziennie, choć były dni, kiedy w ogóle nie brałam.

Ojciec nalegał, żeby się leczyła, ale uciekała z każdego odwyku. Po pół roku znów zniknęła z domu, pojechała do znajomych w Giżycku. Tam chwyciły ją bóle porodowe i w giżyckim szpitalu urodziła przedwcześnie dziecko. Miała szesnaście lat. Córeczka Zuzanna po urodzeniu ważyła kilo czterdzieści. Przez ponad miesiąc leżała w inkubatorze w Suwałkach. Aneta na porodówce dostała odtrucie. Początkowo jeździła do córeczki z rodzicami. Kiedy jednak mała znalazła się w domu, szybko przestała się nią interesować.

Opiekę nad Zuzią przejęła mama Anety. Sąd ograniczył dziewczynie władzę rodzicielską, a rodziną zastępczą ustanowił jej rodziców.

Trzy miesiące po porodzie Aneta znów spotkała się z Grześkiem i zaczęła brać jak zwykle. Kompot, amfetamina i heroina, ćwiara, tzn. dwie setki.

Matka zmarła nagle, w ciągu dwóch tygodni. Aneta nawet nie pojechała do szpitala, aby ją odwiedzić. Po śmierci matki, któregoś dnia po prostu wyszła z domu, wsiadła do autobusu PKS i odjechała. Bez skrupułów zostawiła roczną córeczkę pod opieką ojca alkoholika i młodszego brata. Nie mogłam wytrzymać z ojcem, który czepiał się o wszystko.

Nie wie, dlaczego przyjechała akurat do Warszawy. Może dlatego, że na Dworcu Centralnym są narkomani? Nie miała problemów z nawiązaniem nowych znajomości. Bardzo szybko poznała dilera, który pozwolił jej u siebie zamieszkać. Potem, kiedy znalazła towarzystwo z Żoliborza, przeniosła się w okolice Hali Marymonckiej.

Ćpała, włóczyła się, kradła, żebrała. Spotykała się głównie z narkomanami; z Jackiem, który siedzi za rozbój, potem z kilkoma innymi, aż spotkała Darka U., w którym się zakochała.

Darek miał przy Sadach Żoliborskich mieszkanie, za które płaciła matka. Aneta szybko się do niego wprowadziła. Jakiś czas mieszkali jeszcze z bratem Darka, Sylwkiem, kiedy ten wyszedł z więzienia. Siedział na Białołęce za włamanie. On nie był ani narkomanem, ani alkoholikiem. Miał do nas pretensje o narkotyki i kradzieże. Chciał, żebyśmy zaczęli się leczyć. Mówił mi, że Darek ma ciężki charakter - „chodził własnymi ścieżkami”, miał dziwne zachowania, nie można było do niego dotrzeć.

Nigdy nie pracowała. Nie była karana, miała jedynie kolegia: za produkcję kompotu, drobne kradzieże w supermarketach, rabunki kieszonkowe w autobusach. Przeciwko niej toczy się sprawa o fałszerstwo. Utrzymywała się z żebractwa, produkcji kompotu oraz pieniędzy ukradzionych przez jej chłopaka.

Miała talent do zjednywania sobie przychylności całkiem obcych ludzi. Potrafiła wzbudzić litość, opowiadając wymyślone przez siebie historyjki. Na przykład w trakcie żebrania na Dworcu Centralnym w Warszawie poznała Włodzimierza S., który często i dość regularnie dawał jej niewielkie kwoty pięć, dziesięć złotych. Wzbudzała zaufanie, szukała ciepła i wsparcia u innych ludzi, a zwłaszcza u starszych kobiet, tak zwanych „dobrych cioć”.

To był jej sposób na życie i zdobywanie źródeł dochodów, które oczywiście przeznaczała na narkotyki. Mniej więcej w taki sposób poznała także Olgę Koszutską-Listkiewicz, która mieszkała w bloku naprzeciwko i wychodząc na spacer, siadywała na ławeczce koło bloku Anety. Pani Olga była pogodna i towarzyska, bardzo lubiana przez sąsiadów. Wspominają, że zawsze była gotowa pomóc w potrzebie. Pani Olga prawie natychmiast polubiła dziewczynę.

Wzruszyła się jej losem, kiedy ta opowiedziała wymyśloną historię swojego życia.

Przedstawiła siebie jako dziecko alkoholika, mającą pod opieką małą siostrę i znajdującą się w trudnej sytuacji materialnej. Tak często zmyślałam na temat własnego życia, że sama nie wiem, kiedy wymyśliłam historyjkę dla pani Olgi.

Aneta i Olga Listkiewicz mniej więcej co drugi dzień spotykały się na spacerach w okolicy Sadów Żoliborskich. Z czasem ta znajomość przekształciła się w przyjaźń - tak w każdym razie sądziła pani Olga. Z całego serca pragnęła pomóc biednej, doświadczonej

przez los dziewczynie. Dawała jej dość spore kwoty pieniędzy od stu do trzystu złotych jednorazowo, a także jedzenie, ubranie, najpotrzebniejsze przedmioty. Wszyscy sąsiedzi, znajomi i rodzina pani Olgi wiedzieli o pewnej młodej przyjaciółce, z którą od kilku miesięcy rozmawia i spędza czas, a którą także wspiera finansowo.

Aneta tak zawsze organizowała spotkania, że wyglądały na całkiem przypadkowe.

Przed Bożym Narodzeniem 2001 roku podczas spotkania w okolicach baru mlecznego starsza pani podała dziewczynie numer telefonu i zaoferowała pomoc. Oczywiście tuż przed samymi świętami Aneta zadzwoniła i opowiedziała zmyśloną historyjkę o tym, że nie ma ani grosza na prezenty świąteczne. Olga Listkiewicz natychmiast zaprosiła ją do siebie. Zrobiła dziewczynie herbatę, dała trzysta złotych i poprosiła, by zawsze, gdy będzie w pobliżu, wpadała do niej pogadać. Aneta skwapliwie to wykorzystywała.

W tym czasie w ogóle nie interesowała się swoją córeczką. Kilka razy dzwoniła do domu, żeby spytać, co słychać, ale nie zamierzała wracać. Uznała, że ojciec i brat jakoś się nią zajmą. Któregoś dnia przez telefon dowiedziała się, że Grzesiek, ojciec Zuzi, popełnił samobójstwo. Nie przyjechała na jego pogrzeb. W ogóle mnie to nie obeszło.

Dariusz wiedział o „dobrej cioci", od której Aneta dostaje pieniądze za opowiadanie bajek. Śmiał się z naiwności staruszki. Kiedy zrobiło się chłodniej, a starsza pani przestała bywać w parku, Aneta miała mniej okazji, by wyłudzić od niej kolejne datki na „małą siostrzyczkę". W lutym 2002 roku Dariusz zaproponował Anecie, żeby okraść Olgę Listkiewicz, a Aneta nie zaprotestowała. Ustalili, że podadzą pani Oldze środki nasenne, a kiedy ta zaśnie, ograbią ją.

Aneta umówiła się z panią Olgą pod pretekstem kłopotów z ojcem alkoholikiem.

Weszła na górę, Dariusz czekał na półpiętrze klatki schodowej. Pani Olga poczęstowała Anetę herbatą i dała jej od razu sto złotych. Aneta spytała, czy może zadzwonić. Z aparatu telefonicznego pani Olgi zadzwoniła do Darka i powiedziała, że już dostała pieniądze, więc może odwołać akcję. Ile? - spytał U. Kiedy dowiedział się, że tak mało, kazał jej mimo wszystko wsypać tabletki do herbaty. Kiedy stara uśnie, poszukaj więcej pieniędzy i zabierz je - polecił. Aneta rozkruszyła do herbaty starszej pani dwie tabletki clonazepamu. W dalszym ciągu słuchała opowieści Olgi Listkiewicz, uśmiechała się, ale tak naprawdę czekała, aż staruszka zaśnie. Ale nic się nie działo. Po jakimś czasie znów zadzwoniła do Darka. Co mam robić? To wcale nie działa, skarżyła się. Chłopak kazał jej wrzucić kolejne sześć tabletek.

Wtedy stara na pewno zaśnie. Aneta nie zgodziła się, wiedziała, jakie jest działanie leku.

Bałam się, że coś się jej stanie z sercem. Mimo to wrzuciła do szklanki staruszki kolejne dwie pigułki. Kiedy i te nie poskutkowały, postanowiła wyjść. Uznała, że sto złotych, które dostała, muszą dziś wystarczyć. Zamykając drzwi, zauważyła, że starsza pani się zatacza. Pomyślała, że tabletki pewnie zaczynają działać z opóźnieniem. Pojechała do domu, a pieniądze przekazała Darkowi, który pojechał kupić towar. Ustalili, że wrócą do mieszkania Olgi Listkiewicz w nocy, kiedy ta już zaśnie. Po jego powrocie zażyli swoje działki i usnęli. Około drugiej w nocy Anetę obudził krzyk Darka. Potrząsał nią z całej siły. Krzyczał, że zaspaliśmy.

Że stara pewnie już się obudziła i nie znajdziemy więcej pieniędzy. Wtedy powiedziałam, że pewnie nie zamknęła drzwi na zamek i śpi.

Zadzwoniła domofonem i bez pytania została wpuszczona na klatkę schodową. Pani

Olga nie spała, otworzyła drzwi Anecie, uśmiechała się. Dopiero kiedy zauważyła za jej plecami Dariusza U., zamarła. A kto to? - spytała przerażona i natychmiast cofnęła się w stronę kuchni.

Dariusz U. ruszył w jej kierunku. Chwycił drewniany młotek do mięsa, który leżał na blacie w kuchni, i nie zdejmując wełnianych rękawiczek, zaczął uderzać nim staruszkę. Olga Listkiewicz krzycząc, osunęła się na podłogę. U. usiadł okrakiem na ciele staruszki, kazał Anecie podać przewód do radia i obwiązał go wokół szyi kobiety. Chwycił jeden koniec, Anecie kazał ciągnąć za drugi - wspólnie utworzyli śmiertelną pętlę. Po kilku minutach ciało przestało się poruszać. Ona już chyba nie żyje - szepnęła Aneta. Dariusz sprawdził puls kciukiem, podniósł głowę kobiety i pokręcił głową - jeszcze żyje! Chwycił za nóż i zadał osiem ciosów z taką siłą, aż złamało się ostrze. Dla pewności poderżnął jeszcze kobiecie gardło.

Aneta zajęła się „sprzątaniem". Pozbierała do reklamówki złamane ostrze, rękojeść noża, tłuczek do mięsa. Zaczęła szukać pieniędzy. Po chwili dołączył do niej Dariusz. W przeciwieństwie do niego, Aneta nie była „przygotowana" do napadu - przeszukiwała mieszkanie goły mi rękoma. U. miał wełniane rękawiczki, których nie zdejmował, na buty natomiast założył foliowe reklamówki. Dlatego to jej odciski znajdą potem technicy kryminalni.

W jednej z szuflad komódki zabójcy znaleźli kopertę z pieniędzmi oraz srebrną biżuterię. Ja wzięłam biżuterię, a Darek gotówkę. Powiedział mi, że było tam około stu baniek, w przeliczeniu na stare.

Wszystko to trwało około godziny. Po wyjściu Aneta zamknęła drzwi na klucz, który znalazła w szufladzie biurka stojącego przy drzwiach. Ruszyli na postój taksówek. Dariusz poszedł wyrzucić do kontenera reklamówkę z narzędziami zbrodni - nożem i tłuczkiem. W tym czasie Aneta chodziła w kółko, błąkała się od taksówki do taksówki, zaglądała do każdej i wołała: Darek, Darek… Taksówkarze zeznają potem, że miała błędny wzrok, jakby była w szoku lub czymś zrozpaczona. W końcu U. wrócił, wsiedli do jednej z taksówek i pojechali do domu. Wszystkie rzeczy, w których byli tego dnia, oprócz skórzanej kurtki Darka, wyrzucili na śmietnik. Przebrali się i poszli spać. Rano U. pojechał po narkotyki. Kupił bardzo dużo towaru, komórkę dla mnie, dwie dla siebie, telewizor oraz urządzenie do gier Play Station. Dostałam trochę kasy, żebym kupiła sobie nowe ubrania. Kupiłam kilka rzeczy, resztę praktycznie przećpałam.

Zwłoki Olgi Listkiewicz znaleziono dopiero po czterech dniach. Sąsiadów niepokoiła jej tak długa nieobecność. Dzwonili, pukali do jej drzwi, lecz nikt nie otwierał. Jedna z sąsiadek, wracając ze spaceru z psem, zauważyła, że od kilku dni w mieszkaniu pani Olgi bez przerwy widać odblask telewizora. Trzynastego lutego 2002 roku zawiadomiła syna pani Olgi - Michała Listkiewicza, prezesa PZPN, który był akurat na Cyprze. Listkiewicz poprosił swojego współpracownika Tadeusza Olbińskiego oraz wnuka Tomasza, by sprawdzili, co się dzieje w mieszkaniu jego matki. Przynieśli ze sobą klucze do mieszkania, lecz nie pasowały do zamka. Wtedy postanowili wspiąć się do mieszkania przez balkon. W kuchni znaleźli kobietę martwą.

Policja zabezpieczyła ślady linii papilarnych na fragmentach szuflady oraz pudełku czekoladek w kuchni. Mieli też DNA zabójców zabezpieczone dzięki niedopałkom papierosów „Sobieski" i „Crystal", które znaleziono w pokoju. Znaleźli też notes, w którym Olga Listkiewicz zanotowała imię „Anetka".

Sekcja zwłok wykazała dwadzieścia osiem ran tłuczonych głowy, złamanie kości czaszki, dwie rany kłute, trzy rany cięte, dwie punktowe rany skóry, ranę kłutą policzka i przedramienia lewego, głęboką ranę ciętą szyi z przecięciem krtani, czternaście ran kłutych klatki piersiowej oraz innych narządów.

Olga Listkiewicz zmarła od doznanych obrażeń. Biegli nie byli w stanie określić dokładnej daty śmierci, gdyż po ujawnieniu zwłok zbyt długo przechowywano je w warunkach chłodniczych. Z badania jednak wynikało, że w krwi Olgi Listkiewicz nie było ani clonazepamu, ani innych środków odurzających. To mogło oznaczać, że ofiara nie wypiła podanej jej herbaty - stwierdzili przed sądem biegli.

Zabójcy cieszyli się wolnością zaledwie dziesięć dni. Dwudziestego lutego 2002 roku policja wtargnęła do mieszkania Dariusza U. Podczas przeszukania znaleziono banknot dwudziestoszylingowy ze śladami krwi Olgi Koszutskiej-Listkiewicz oraz jego kurtkę zaplamioną krwią, którą zabrano do zbadania. Przeszukano też kantor w okolicach Hali Marymonckiej, gdzie znaleziono dwa medale okolicznościowe: „120 lat Gazowni Warszawskiej” oraz „100 lat Ruchu Robotniczego w Polsce”, które Michał Listkiewicz rozpoznał jako pamiątki po dziadku. Odciski palców znalezione na miejscu zdarzenia okazały się należeć do Anety Barczuk. Także niedopałki znalezione na miejscu zdarzenia nosiły ślady śliny Anety - po zbadaniu DNA okazało się, że to ona je paliła. Została także rozpoznana przez syna Olgi Listkiewicz, który widział ją kilka razy w mieszkaniu matki.

Aneta podczas składania wyjaśnień przed prokuratorem, a potem przed sądem, nie zasłaniała się niepamięcią ani naćpaniem (tak jak jej chłopak). Przyznała się do udziału w zbrodni i bardzo dokładnie opisała swoją znajomość z panią Olgą. Kiedy składała wyjaśnienia po raz drugi, próbowała już pomniejszyć swoją rolę w morderstwie. Twierdziła, że jedynie zacisnęła pętlę na szyi ofiary i nie była do końca świadoma tego, co robi, bo była na prochach. Dariusz U. całą winą obarczył dziewczynę. Aneta zadawała ciosy tłuczkiem i nożem, a potem podcięła staruszce gardło. Sąd nie dał mu wiary. Orzeczenie wydał na podstawie zeznań Anety, które uznał za wiarygodne. Dziewczyna mówiła, że głęboko żałuje tego, co zrobiła i poprosiła o wybaczenie najbliższą rodzinę Olgi Koszutskiej-Listkiewicz.

Biegli psychiatrzy nie stwierdzili u niej choroby psychicznej. Rozpoznano za to nieprawidłową osobowość i uzależnienie od środków psychoaktywnych. Stwierdzili, że jest osobą egocentryczną, co przejawiało się w jej relacji z rodzicami (gdy umierała matka, nie pojechała ani razu do szpitala) oraz własnym dzieckiem. Nie uczyła się, nie pełniła żadnej roli psychospołecznej - nie radziła sobie z byciem matką, córką, siostrą. Biegli dostrzegli też niezwykle rozwinięte umiejętności społeczne. To osoba obdarzona niezwykłą łatwością nawiązywania kontaktów z ludźmi, wzbudzania zaufania oraz traktowania ludzi w sposób instrumentalny, dla zaspokajania własnych celów.

Mimo daleko posuniętego egocentryzmu, mogła być podatna na wpływ drugiego człowieka. Mogła - jak twierdziła - być „wpatrzona jak w obrazek” w Dariusza U. i zrobić to, co jej kazał. Poza tym była o pięć lat od niego młodsza, przyjechała z prowincji, nikogo nie znała, nie miała gdzie mieszkać, była uzależniona od narkotyków. Z drugiej strony - ma bardzo silną osobowość i nie jest osobą, która łatwo się podporządkowuje. Na przykład wszystkie próby zmiany jej życia i leczenia proponowane przez matkę odrzucała. Wciąż uciekała z domu, nie podporządkowywała się, jeśli sytuacja jej nie odpowiadała. Umiała wymigiwać się z trudnych sytuacji, jeśli tego chciała. Potrafiła sobie poradzić. Widać tak

naprawdę chciała uczestniczyć w napadzie na Olgę Listkiewicz i jej przyjaźń nic dla niej nie znaczyła.

Nigdy nie przejawiała bezpośredniej przemocy fizycznej ani w stosunku do siebie (choć na głodzie miewała myśli samobójcze, to nigdy ich nie realizowała), ani wobec innych.

Nie miała za to oporów, żeby wynieść z domu rzeczy i sprzedać je, a za uzyskane pieniądze kupić narkotyki.

Na obserwacji była zdyscyplinowana i bardzo lubiana. Kiedy gorzej się czuła, wzbudzała współczucie. Potrafiła umiejętnie manipulować ludźmi w celu osiągnięcia wymiernych korzyści. To dlatego tak skutecznie żyła z żebractwa. Umiejętnie tworzyła obraz własnej słabości i bezradności, by wzbudzić w człowieku uczucia opiekuńcze. Nigdy nie musiała posuwać się do wywierania presji.

Ma zdolności organizatorskie. Jest stanowcza i zdecydowana. Potrafi być konsekwentna w dążeniu do celu, co przejawiało się na przykład w zdobywaniu pieniędzy na narkotyki. Biegli zauważyli u Anety dużą podatność na frustrację, co oznacza, że gdy jej potrzeby nie są zaspokajane, dąży uparcie do tego, by je jak najszybciej i najskuteczniej zaspokoić, niezależnie od napotykanych przeszkód.

Należy do osób, które niczego nie planują. Podtrzymywane przez nią znajomości nigdy nie są bezinteresowne, mają służyć określonemu celowi. Na przykład spotkania z Olgą Koszutską-Listkiewicz nie były z jej strony aktem wielkiej przyjaźni, a służyły zdobyciu środków finansowych.

Biegli psychiatrzy stwierdzili, że nawet wyrażenie żalu po zbrodni, jakiej się dopuściła, a także okazanie skruchy może mieć jedynie na celu pozytywne kształtowanie jej wizerunku w oczach sądu. U takiej osoby wszystko może być manipulacją. Ale w jej przypadku nikt nie jest w stanie stwierdzić obiektywnie, czy to jest manipulacja, czy to jest szczere. To była okropna, ohydna i zupełnie niepotrzebna zbrodnia - podkreślał przewodniczący składu sędziowskiego Marek Celej, uzasadniając wyrok dwudziestu pięciu lat więzienia dla Anety i jej chłopaka. Dodał, że wina młodych ludzi nie budzi żadnej wątpliwości. Należy brać pod uwagę to, że wszystko zaplanowali. Chcieli okraść starszą panią i zabili świadka - powiedział.

Mimo iż byli pod wpływem narkotyków, nie mieli zniesionej poczytalności, ani nawet ograniczonej zdolności rozpoznania znaczenia czynu oraz pokierowania swoim postępowaniem. Istniał określony podział ról: oskarżony zadaje ciosy tłuczkiem w głowę, podczas gdy Aneta przygląda się temu, nie przeciwstawia, przez co wyraża swoją akceptację dla podjętego działania. Dalej wspólnie zaciskają pętlę na szyi ofiary, plądrują mieszkanie.

Narzędzia, których używają: nóż, kabel, tłuczek, nie pozostawiają wątpliwości, że chcą kobietę pozbawić życia.

Na korzyść Anety sąd wziął pod uwagę, że przyznała się do zarzucanego czynu, wyraziła skruchę, złożyła wyczerpujące wyjaśnienia oraz jej sytuację osobistą i zdrowotną -

to, że jest nosicielką wirusa HIV. W przypadku jej chłopaka sąd zaznaczył, że o przedterminowe warunkowe zwolnienie będzie się mógł ubiegać dopiero po upływie dwudziestu trzech lat. Ma to na celu odseparowanie go od społeczeństwa na długi czas.

Michał Listkiewicz nie odzyskał żadnego ze skradzionych przedmiotów. Po śmierci

papieża Jana Pawła II napisał do Anety list, w którym zapewnił, że jej wybacza. Pomógł w znalezieniu rodziny zastępczej dla jej córeczki Zuzi. Po wydaniu wyroku stwierdził, że takie orzeczenie jest kompromisem - na długi czas izoluje morderców od społeczeństwa, ale też daje im nadzieję, że kiedyś będą mogli wyjść na wolność.

EPILOG 2012

Aneta Barczuk tuż po pierwszym wydaniu książki (2008) wyszła na przerwę w wykonywaniu kary ze względu na zły stan zdrowia. Nie miała wsparcia w rodzinie, która definitywnie odwróciła się od niej. Wróciła do Warszawy, mieszkała u swojego chłopaka, którego poznała listownie w więzieniu. Próbowała swoich sił jako fotomodelka. Jej zdjęcia próbne zostały przyjęte przez niewielką agencję, nie udało się jej jednak zdobyć żadnych zleceń. Po skończeniu przerwy punktualnie wróciła do zakładu karnego w Warszawie, gdzie przebywa do dziś.

***

[1] Tlen.

[2] Zakład Karny na Białołęce.

[3] Od art. 210 starego kodeksu karnego, oznaczał rozbój.

[4] Wpadka.

[5] Heroina.

[6] Lek jest stosowany np. przy epilepsji, nerwicach. Ma bardzo silne działanie uspokajające, usypiające wręcz. Bardzo szybko uzależnia, często stosowany przez narkomanów jako substytut lub dodatek do narkotyków. Jak większość bendiazepin jest niebezpieczny w przypadku stosowania przez osoby starsze, ze względu na ryzyko np. udaru mózgu lub problemów z sercem.

Beata

Prawda - fałsz

Mam na imię Beata[1].

PRAWDA.

Mam trzydzieści lat.

FAŁSZ. Trzydzieści trzy.

Od początku września 2006 mieszkam w pięcioosobowej celi na warszawskim Grochowie.

PRAWDA.

Zawsze mówię prawdę.

PRAWDA.

Mamy teraz zimę.

PRAWDA

Za oknem pada śnieg.

PRAWDA.

Warszawa jest stolicą Polski.

PRAWDA.

Teraz mamy przełom 2006 i 2007 roku.

PRAWDA.

Jestem mężatką.

FAŁSZ. Rozwódką.

Jestem fryzjerką.

FAŁSZ. Nie znoszę robienia czegoś przy cudzych włosach.

Jestem cukiernikiem.

PRAWDA.

Nie znoszę piec ciast.

PRAWDA. Najbardziej znienawidzone ciasto to biszkopt. Zawsze zakalec mi wychodzi. Odkąd skończyłam szkołę, może raz upiekłam w domu ciasto. Mama mnie poprosiła. I był to ten biszkopt niestety.

Byłam ekspedientką.

PRAWDA.

Miałam kłopoty z nauką w szkole.

PRAWDA. Niewielkie, ale zawsze coś tam było. Matematyka na przykład. Klasy pozdawałam wszystkie.

Jako nastolatka buntowałam się.

FAŁSZ. Nie stwarzałam kłopotów. Kiedy mama nie chciała mnie gdzieś puścić, szłam do swojego pokoju i płakałam. Nie krzyczałam, nie ubliżałam rodzicom. Co najwyżej taki wewnętrzny bunt. Mama i tak nie zmieniała zdania, raczej tata ustępował.

Nigdy nie byłam na wagarach.

PRAWDA.

Moja matka pracowała w szkole jako kucharka i cały czas mnie pilnowała.

PRAWDA. W podstawówce na wagary nie mogłam iść, bo mama przez trzydzieści lat pracowała w szkole - od dnia otwarcia tej podstawówki. Zawsze wiedziała, gdzie jestem i

co robię: czy jestem na lekcji historii, czy wyszłam na przerwie poza szkołę. Znała wszystkie moje koleżanki. Znała mój plan dnia. Nie byłam w stanie niczego przed nią ukryć. Wszystko wiedziała. Miała nade mną pełną kontrolę.

Denerwowała mnie jej nadopiekuńczość. Pragnęłam wolności.

FAŁSZ. Wiedziałam, że to wynika z troski.

Jestem młodą blondynką.

PRAWDA. Ciemną blondynką. Podczas pierwszego procesu miałam farbowane włosy na platynowy blond. Czy młodą? Rzecz gustu.

Moja rodzina jest wierząca.

PRAWDA. Chodzimy do kościoła co niedziela, obchodzimy wszystkie święta, modlimy się. Jesteśmy wierzącą, praktykującą rodziną.

Wierzę w Boga.

PRAWDA.

Pracowałam u księdza jako gospodyni.

PRAWDA. Przez siedem lat. Znaliśmy się jeszcze z czasów, zanim mnie aresztowano.

Kiedyś był proboszczem w Ostrówku, w mojej parafii. Chrzest mi dawał, komunię, potem ślubu mi udzielał. I po tym, jak zapadł wyrok uniewinniający, jak wyszłam w 99. roku[2] zadzwonił do mnie i zaproponował pracę, bo akurat nie miał gospodyni. Powiedziałam, że tak, oczywiście, zgadzam się. I tak się stało, zostałam gosposią księdza. Bardzo dobrze ten okres wspominam. Mieszkałam na plebanii w Markach, miałam swój pokój. Rano musiałam wstać, przygotować śniadanie, potem obiad i kolację. W międzyczasie pójść do banku, na pocztę - opłaty porobić. To były różne kwoty, proboszcz nie bał się dawać mi pieniędzy.

Czasami szłam do banku wpłacić całą tacę z niedzieli. Zdarzało się, że jakieś cztery, pięć tysięcy wychodziło. Robiłam zakupy, na przykład w Carrefourze. Ksiądz mi ufał, wiedział, że nic nie ukradnę, ani go nie zawiodę. Ludzie dobrze mnie traktowali. Nie było krzywych spojrzeń ani złośliwych uwag. Byłam wtedy dość znana w związku z procesem uniewinniającym i być może były osoby, którym się to nie podobało, ale nie odczułam tego.

Dostawałam pensję, z czego część odkładałam, a część dawałam mamie. To był bardzo dobry czas.

Umiem gotować.

PRAWDA. Moja specjalność: ziemniaki, kotlet schabowy albo kurczak. Polska kuchnia, jak najbardziej. Sama lubię jeść, choć może po mnie nie widać.

Uwielbiam dekorować torty.

PRAWDA. Moja mama oprócz pracy w szkole, chodziła po weselach i gotowała.

Miała takie trzy panie, które jej pomagały, a ja z nimi jeździłam. One piekły, a ja dekoracje na tortach robiłam. Z kremu, z orzechów i z bakalii. To mi sprawiało przyjemność. Pamiętam, raz w Ząbkach z mamą byłam i dekorowałam taki ślubny, piętrowy. Ładnie wyszedł.

Mąż oświadczył się w starym stylu.

PRAWDA. Była niedziela. Przyszedł ze swoimi rodzicami do moich rodziców. Z kwiatami dla mnie i mojej mamy. To były róże - dla mnie czerwone, a dla mamy białe. Nie byłam zaskoczona, wiedziałam, że przyjdą. Byłam przygotowana, ubrana odświętnie, był obiad. Rodzice wszystko omówili na temat wesela, dostałam pierścionek. Moja mama się popłakała, ja oczywiście też, nawet tata. Wszyscy popłakali się ze szczęścia.

Miałam huczne wesele.

PRAWDA. Najpierw ślub cywilny, potem kościelny, a wieczorem - w dużej sali gimnastycznej szkoły podstawowej w Ostrówku, tam, gdzie się uczyłam - było wesele.

Przyjechało jakieś dwieście pięćdziesiąt osób. To wszystko była rodzina, męża i moja. To było dla mnie ogromne święto. Klasyczna polska uroczystość: gorzko - gorzko, oczepiny, podwiązki. Trwało dwa dni - w sobotę skończyło się około czwartej nad ranem, a w niedzielę były poprawiny. Byłam zmęczona, ale szczęśliwa. W końcu coś takiego przeżywa się tylko raz w życiu. Suknię ślubną miałam z trenem, prostą, bez udziwnień, ale efektowną. Dużo wydaliśmy na wesele, rodzice za nie zapłacili.

Suknia ślubna do tej pory wisi w mojej szafie.

FAŁSZ. Sprzedałam ją w komisie na Pradze. Ze stratą, ale nie było mi jej szkoda. Ze dwa miesiące czekałam na klientkę.

Mąż był moim pierwszym chłopakiem. Wyobrażałam sobie, że się wspólnie zestarzejemy.

PRAWDA. Myślałam, że będziemy razem do końca swoich dni.

Był dla mnie dobry.

PRAWDA. Bardzo opiekuńczy, nigdy złego słowa od niego nie usłyszałam.

Mąż odszedł do innej kobiety.

PRAWDA. Półtora roku po naszym ślubie.

Prasowałam mu koszulę, kiedy usłyszałam, że już mnie nie kocha i nie chce ze mną być.

PRAWDA.

Kiedy to powiedział, wybuchnęłam złością. Chciałam go uderzyć.

FAŁSZ.

W ogóle się tym nie przejęłam.

FAŁSZ. Choć w pierwszej chwili to do mnie nie dotarło. Musiałam to przetrawić i pomieścić w sobie. Nie sądziłam po prostu, że on kiedykolwiek odejdzie. Zostawi mnie, że w ogóle może być inna kobieta w tym wszystkim. Miałam do niego stuprocentowe zaufanie.

Dokończyłam prasować tę koszulę i dopiero jak usiadłam, zaczęliśmy rozmawiać.

W sytuacjach kryzysowych zawsze zachowuję zimną krew.

PRAWDA. Ale to jest spokój pozorny, taki „na zewnątrz", taka moja obrona. Na zewnątrz jestem zamknięta, za to w środku emocje buzują. To dlatego po wszystkim zawsze płaczę. I wtedy też tak było.

Mama powiedziała mi, że każde małżeństwo przechodzi kryzysy, że to tylko chwilowe, że się jeszcze pogodzimy.

FAŁSZ. To ja byłam spokojniejsza. Myślałam, że on musi odpocząć, przemyśleć, że mu przejdzie. I że ten kryzys potrwa najwyżej dwa tygodnie, a potem wróci do mnie i znów będzie wszystko w porządku. Mama bardzo się przejęła. Obawiała się, że to już koniec, że on ma kogoś i tak dalej. Ona pierwsza mówiła o zdradzie. Wtedy jeszcze w ogóle nie brałam tego pod uwagę. Nawet potem, jak mi ktoś sugerował, nie wierzyłam. Znałam go od szkoły podstawowej, nie sądziłam, że mógłby mnie zdradzić. To zaufanie było bardzo głębokie, bezgraniczne. Gorzko się rozczarowałam.

Wiedziałam, dlaczego chce odejść.

FAŁSZ. Wtedy nie miałam o tym pojęcia. Powiedział mi, że po prostu przestał mnie kochać. Nie chciało mi się w to wierzyć.

Wynajęłam detektywa, żeby mieć dowód zdrady męża.

PRAWDA. To było dwa, może trzy miesiące po tym, jak ode mnie odszedł.

Zadawałam mu pytania, czy ma kogoś, czy odszedł ode mnie dla innej kobiety, ale zaprzeczał. Kłamał, udawał, że nie ma romansu. Przekonywał, że nikogo nie ma, ale intuicja mówiła mi coś innego. Koleżanka zasugerowała pomysł z detektywem i zdecydowałam się skorzystać. Może ona wiedziała, że chodzi o zdradę, ale sama nie chciała mi tego powiedzieć?

Wzięłam pierwszy lepszy numer z książki telefonicznej i zadzwoniłam do biura detektywistycznego, żeby umówić się na rozmowę.

Niewiele wydałam na detektywa. Nie był to zbyt duży wydatek.

FAŁSZ. Za tę usługę zapłaciłam jakieś pięćset złotych. Koleżanka pożyczyła mi te pieniądze. To było wtedy naprawdę dużo, prawie połowa mojej miesięcznej pensji. Byłam zdeterminowana, musiałam mieć jasność. Zapłaciłabym dwa razy tyle, wtedy bardzo potrzebowałam wyjaśnić tę sprawę.

Wszyscy naokoło wiedzieli o ich romansie, tylko nie ja.

PRAWDA. Szefostwo wiedziało i dziewczyny, z którymi pracowałam. Ale nikt nie potrafił mi tego powiedzieć.

Nienawidzę kobiety, do której odszedł.

PRAWDA. Tak czułam wtedy. Kiedy się dowiedziałam, kim jest osoba, która zabrała mi moje szczęście, mojego męża i żyje z nim, zamiast mnie, byłam zła, wściekła.

Nienawidziłam jej szczerze. Nie będę kłamać, że byłam spokojna, pogłaskałam ją po głowie i powiedziałam: „No fajnie, że odebrałaś mi męża”. Było wręcz odwrotnie. Naubliżałam jej, obrzuciłam wulgaryzmami. Czułam prawdziwą złość na nią, bo mnie oszukała. Byłyśmy przyjaciółkami, pracowałyśmy razem, znałyśmy się dość długo. Kiedy dowiedziała się, że mąż ode mnie odszedł, zaprosiła mnie do restauracji i ze mną rozmawiała. To troszeczkę nie fair. Choć teraz po latach to uczucie zelżało. Może tak musiało być? Tak sobie wybrał, niech sobie z nią żyje. Pogodziłam się z tym faktem, choć szczęśliwa nie jestem.

Po odejściu męża zawalił się mój świat.

PRAWDA. Niby funkcjonowałam normalnie, jak każdy człowiek, chodziłam do pracy i tak dalej. Ale stałam się zamknięta w sobie, płakałam oczywiście. Schudłam strasznie, chyba z dziesięć kilo w ciągu dwóch dni, nie mogłam w ogóle nic zjeść. I nie wierzyłam do końca, że to się dzieje naprawdę. Myślałam, że to jakiś zły sen. Nie wyobrażałam sobie życia bez niego, nie dopuszczałam nawet takiej myśli, że on kiedykolwiek ode mnie odejdzie, że mnie zdradzi. Nie wyobrażałam sobie życia z nikim innym. Myślałam, że umrę.

Kiedy to się stało, uniosłam się honorem i nie chciałam go znać.

FAŁSZ. Pracowaliśmy razem, więc jeszcze wiele razy pytałam go, co stało się między nami, co było nie tak. Może to ja zrobiłam jakiś błąd, może mogę naprawić ten błąd, coś zmienić, żeby wrócił do mnie. Ale on był stanowczy. Mówił, że nie i już. Bardzo mnie to bolało.

Kobiecie, która odbiła mi męża, wysłałam kalie, pogrzebowe kwiaty, żeby dowiedziała się, jak cierpiałam. Chciałam zemsty.

PRAWDA. Chciałam, żeby ona też zapłakała, żeby zobaczyła, jak to jest stracić kogoś, kogo się kochało.

Był moment, że pragnęłam śmierci tej kobiety.

FAŁSZ. Miałam złość do niej, ale nigdy nie życzyłam jej śmierci: żeby ją samochód

potrącił czy coś takiego, ani choroby. Naubliżałam jej, ale nie byłam zdolna do niczego więcej.

Zaplanowałam zemstę.

PRAWDA. Koleżanka podsunęła mi taką myśl. Wybrałam te kalie osobiście i powiedziałam w kwiaciarni, że to na ślub dla kobiety, która odbiła mi męża. Ta pani, która mi je sprzedawała, obiecała, że oddzwoni i powie, jaka była jej reakcja. Nie była to wiązanka pogrzebowa, nie było tam wstążek z napisami „ostatnie pożegnanie" ani krzyżyków. To była zwykła wiązanka. A jednak zadziałało.

Pomiędzy osiemnastym a dwudziestym rokiem życia myślałam o tym, żeby pozbawić kogoś życia.

FAŁSZ.

Kiedykolwiek myślałam o tym, żeby pozbawić kogoś życia.

FAŁSZ.

Nienawidzę kryminałów.

PRAWDA.

Często czytam romanse.

PRAWDA. Lubię harlequiny. To jest moje oderwanie się od rzeczywistości. Mogę pobyć w zupełnie innym świecie - pięknym i dobrym.

Lubię ładne ubrania i ładne rzeczy.

PRAWDA. Jak w Ultimo pracowałam, miałam dostęp do ładnych ubrań. Od tego momentu zaczęła się moja fascynacja modą i ładnymi ciuchami. Jak ładnie wyglądam, lepiej się czuję.

Nie uważam, że luksusowe rzeczy są złe.

PRAWDA. Ale nie przyzwyczajam się do metki. Rzeczy mogą być markowe, ale nie muszą. Jak mam nowe ubranie ze Stadionu X-lecia, to też się cieszę.

Próżność jest grzechem.

PRAWDA. Niektórzy lubią żyć w luksusie. Dążą do tego, to jest ich cel. A to jest próżność. To jest grzech. Są inne ważne rzeczy w życiu. Duchowa pożywka, na przykład do teatru czy do kina pójść.

Jestem skromna.

PRAWDA. Zawsze byłam. Nie wywyższam się. Nie lubię być w centrum zainteresowania, choć jestem przez ten proces. Bardzo tego nie chciałam i jakoś muszę z tym żyć. Skromność mi nie pomaga, kiedy dziennikarze weszli z butami w moje życie. To mi się nie podoba. Nie jestem lwem salonowym, który leniwie przeciąga się w świetle reflektorów.

Wręcz odwrotnie - wolę być z boku, z natury jestem obserwatorem.

Pieniądze dają wolność.

PRAWDA. Pieniądz rządzi światem. Za pieniądze można kupić wszystko. Uczucia też. Pieniądze szczęścia nie dają, ale pomagają w życiu.

Miłość nie istnieje.

FAŁSZ. Jeśli chodzi o mnie może teraz nie istnieje, ale tak w ogóle to gdzieś jest.

Chciałabym być zakochana.

PRAWDA. Niestety, na razie nie jest mi to dane.

Byłam dobrą ekspedientką.

PRAWDA. Chyba tak, w końcu pracowałam w Ultimo siedem lat. Sprzedawałam

towar, remanenty robiłam, rozmawiałam z klientami, doradzałam, metkowałam. Starałam się i myślę, że mi ta praca wychodziła.

Po zwolnieniu mnie pod pretekstem kradzieży, czułam się upokorzona.

PRAWDA. To było niesprawiedliwe pomówienie. Tam wszyscy kradli.

Złożyłam sprawę do sądu pracy. Chciałam uratować swój honor.

PRAWDA. Nie mogłam się z tym pogodzić.

Jestem ładna.

FAŁSZ. (śmiech) Nie mogę sama siebie oceniać. Niech będzie, że jestem przeciętna. I za chuda…

Jestem zgrabna.

FAŁSZ.

Zawsze miałam powodzenie u mężczyzn.

PRAWDA. Nie miałam problemu z samotnością. Nie uwodziłam nikogo, ale mężczyźni mnie zauważali.

Mam łagodne usposobienie.

PRAWDA. Jestem łagodna. Nie podchodzę do niczego agresywnie.

Przynajmniej raz w życiu uderzyłam kogoś ze złości.

FAŁSZ.

W sytuacji kryzysowej reaguję płaczem.

PRAWDA. Kiedy dowiedziałam się, że mąż chce ode mnie odejść, płakałam. Potem na procesach, ze wzruszenia. Praktycznie wszędzie płaczę. Na widzenie idę - płaczę, wracam - też. Dostaję paczkę, przy telefonie, zaczynam mówić o mamie - płaczę. Zawsze tak miałam.

Praca w sklepie Ultimo była ciężka i mozolna.

FAŁSZ. Stałam za ladą, wśród ładnych rzeczy, przychodziły klientki, którym doradzałam, co będzie na nich najlepiej leżało. Było czasem ciężko, bo cały dzień na nogach, ale nie powiem, że praca nie dawała mi satysfakcji.

Chciałam awansować.

FAŁSZ.

Wiedziałam, że w sklepie dochodzi do kradzieży.

PRAWDA. To była sieć sklepów i nie było takiej możliwości, żeby nie dochodziło do kradzieży. Ubrania ze sklepu nosiło się po kilka miesięcy, nigdy tego nie ukrywałam.

Koleżanki mi pokazały, jak nosi się ubrania, żeby je potem sprzedać. Nigdy nie przyłapałam nikogo, jak kradnie pieniądze z kasy.

Anna Jaźwińska nie jest postacią kryształową w tej sprawie.

PRAWDA.

Ona też kradła, jak my wszystkie.

PRAWDA. Wiedziała o kradzieżach w sklepie. Sama też brała ubrania i nosiła je bez płacenia.

Nauczyłam się oszukiwać na kasie fiskalnej.

FAŁSZ. Choć wiem, że w sklepie były machlojki. Były dwie kasy i na jedną nabijało się sprzedane ubrania, a na drugą nie. Ale to było robione na polecenie właścicieli. To były nieksięgowane dochody. Wszystkie miałyśmy obowiązek zaniżać dochody ze sprzedaży.

Jaźwińska też to robiła. Nie robiłam tego na własną rękę.

Zanim ujawniono zwłoki, wiedziałam, że Jaźwiński nie żyje.
FAŁSZ. Dowiedziałam się z mediów, że on nie żyje.
Byłabym dobrą kierowniczką. Potrafię zarządzać zasobami ludzkimi.
FAŁSZ. Nie wiem, nigdy nie zarządzałam ludźmi.
Nie mam zdolności przywódczych.
PRAWDA.
Nie umiem niczego zaplanować.
PRAWDA. Jak coś zaplanuję, to wychodzi mi odwrotnie, więc postanowiłam, że nie będę planowała. Zawsze ktoś to robi za mnie.
Los rozdaje karty w naszym życiu. Nie mamy wpływu na to, co się zdarzy.
PRAWDA.
Nigdy nie miałam wpadki z kradzionymi ciuchami.
PRAWDA. Chociaż oskarżono mnie o kradzież spodni za sto czterdzieści dziewięć złotych. Dokładnie pamiętam cenę, bo Jaźwińska mnie oskarżyła.
Często nosiłam rzeczy ze sklepu, a potem je oddawałam.
PRAWDA. Czasem nosiłam je przez dwa, trzy dni, czasem tydzień. Oddawało się je do pralni i ponownie przyczepiało metkę. Nikt się nie orientował. Mogłyśmy tak robić, pozwalano na to. Szefowie nawet chcieli, żebyśmy je zakładały, bo to była reklama.
Chociaż raz w życiu coś ukradłam.
FAŁSZ.
Nigdy nie miałam w rękach broni.
PRAWDA.
Wiem, czym różni się pistolet od rewolweru.
FAŁSZ. Nie miałam żadnego w ręku. Nie wiem, czy krótka lufa czy długa. Słyszałam na sprawie, że są między nimi różnice, ale nadal nie wiem.
Przed ujawnieniem sprawy Ultimo byłam zamieszana w podobną zbrodnię.
FAŁSZ.
Mam swoje tajemnice.
FAŁSZ.
Jestem skryta.
PRAWDA. Zawsze lubiłam mieć swój świat.
W więzieniu na agresję reaguję stoickim spokojem.
PRAWDA.
Zaakceptowałam zasady, jakie tutaj panują.
PRAWDA.
Szybko dostosowuję się do nowych sytuacji.
PRAWDA.
Kompromisy przychodzą mi z trudem.
FAŁSZ. Zwykle zgadzam się z decyzją większości.
Lubię kontrolować sytuację. Wiedzieć, co zdarzy się za chwilę, jutro, za tydzień.
PRAWDA. Wolę stać na twardych dowodach, a nie na iluzji.
Jestem pedantycznie porządnicka.
PRAWDA. Sprzątanie mnie uspokaja.
Jestem pewna, że Jaźwińska kłamie.
PRAWDA. Wiem, co robiłam w tym dniu. Po prostu wiem. Zresztą nigdy nie spojrzała

w moją stronę. Nigdy nie spojrzała mi w oczy, kiedy podawała szczegóły, jak to się stało. To ja mówię prawdę.

Ona sama nie wie, kto do nich strzelał.

FAŁSZ. Chyba raczej wie.

Ona zna prawdziwy przebieg zdarzeń. Widziała twarz swojego niedoszłego zabójcy.

PRAWDA.

Znałam Daniela Jaźwińskiego.

PRAWDA.

Był przystojny.

PRAWDA.

Nie lubiłam go. Źle traktował Annę, było mi jej szkoda.

PRAWDA.

Jaźwiński robił ciemne interesy.

PRAWDA. Słyszałam o tym od ludzi pracujących w Ultimo.

Zawsze miałam wiele przyjaciółek.

PRAWDA.

Nigdy nie oszukałam matki.

PRAWDA.

Kanapki, które mama dawała mi do szkoły, zawsze zjadałam.

FAŁSZ. Ukrywałam je i mówiłam jej, że zjadłam. Ale to było kłamstwo.

Jestem dumna z ojca.

PRAWDA.

Jestem bardzo związana z matką.

PRAWDA. (płacz) To jest jedyna chyba osoba, która mnie naprawdę rozumie, której naprawdę na mnie zależy. Ona jest ze mną zawsze, nigdy mnie nie zawiodła, w każdej sytuacji mogę na nią liczyć. Mama to zawsze mama. Ona wierzy mnie, a nie mediom.

Śmierć ojca mną wstrząsnęła. Patrzyłam jak umiera.

PRAWDA.

Zawsze uchodziłam za grzeczną dziewczynkę. Nie broiłam, nie pyskowałam, nie brudziłam sukienek.

PRAWDA.

Nigdy nie sprzeciwiłam się matce.

PRAWDA.

Ufam tylko sobie.

PRAWDA.

To ja oddałam śmiertelny strzał w głowę Jaźwińskiego.

FAŁSZ.

Zawsze denerwowałam się przed klasówką.

PRAWDA.

Umiem zachować zimną krew.

PRAWDA.

Mam intuicję.

PRAWDA.

Jestem zaborcza w związkach.

FAŁSZ.

Po nieudanym małżeństwie zwątpiłam w miłość.
PRAWDA.
Mam twarde zasady moralne.
PRAWDA.
Kiedy o szóstej rano weszli do mojego domu antyterroryści i powalili mnie na podłogę, krzyczałam.
PRAWDA.
Podczas pierwszego przesłuchania milczałam.
PRAWDA.
Nie umiem czekać.
FAŁSZ.
Jestem niecierpliwa.
FAŁSZ.
Znam dekalog na pamięć.
PRAWDA.
Żyję w zgodzie z chrześcijańskimi zasadami.
PRAWDA.
Bardzo cierpiałam w związku z Piotrkiem, bo wiedziałam, że życie bez ślubu jest grzechem.
PRAWDA.
W każdą niedzielę jestem na mszy w kościele.
PRAWDA.
Zrobiłam w życiu wiele złych rzeczy, ale ze wszystkich się wyspowiadałam.
PRAWDA.
Jestem oczyszczona. Wszystkie moje grzechy zostały odpuszczone.
PRAWDA.
Jestem konsekwentna w działaniu.
PRAWDA.
Lubię stawiać sobie cele.
PRAWDA.
Umiem czekać.
PRAWDA.
Samotność mi nie przeszkadza.
PRAWDA.
Żyję nadzieją, że w końcu prawda wyjdzie na jaw.
PRAWDA.
Bracia pomagają mi, przyjeżdżają do mnie, rozśmieszają mnie.
PRAWDA. Mam dwóch braci. Regularnie mnie odwiedzają. Zresztą tak jak cała rodzina. To jest długa lista, pomagają mi i mojej mamie oczywiście. Finansowo i psychicznie.
Piszą listy, przysyłają gazety, pomagają w każdy sposób, w jaki tylko mogą. Nie ma takich osób, które by się ode mnie odsunęły.
Cierpiałabym, gdyby odwróciła się ode mnie rodzina.
PRAWDA.
Jestem elegancka.

PRAWDA.
Jestem otwarta i towarzyska.
PRAWDA.
Lubię koleżanki z celi.
PRAWDA.
Lubię to miejsce, w którym teraz jestem.
FAŁSZ.
Świtało, kiedy wychodziłam ze sklepu na Nowym Świecie.
FAŁSZ.
Podejrzewam kogoś w sprawie zabójstwa Daniela Jaźwińskiego.
PRAWDA. Nie powiem kogo. Może kiedyś się to wyjaśni.
Broń jest zimna w dotyku.
FAŁSZ.
W czasie, kiedy popełniano tę zbrodnię, byłam w kinie.
FAŁSZ.
W czasie, kiedy popełniano tę zbrodnię, byłam w restauracji.
FAŁSZ.
W czasie, kiedy popełniano tę zbrodnię, byłam na ulicy przed Ultimo.
FAŁSZ.
W czasie, kiedy popełniano tę zbrodnię, byłam na zapleczu sklepu Ultimo.
FAŁSZ.
W czasie, kiedy popełniano tę zbrodnię, byłam w sklepie Ultimo.
FAŁSZ.
W czasie, kiedy popełniano tę zbrodnię, byłam u rodziców mojego chłopaka.
PRAWDA.
Modlę się codziennie rano i wieczorem.
PRAWDA.
Ksiądz, u którego pracowałam, nie wierzy w moją winę.
PRAWDA.
Tę zbrodnię wykonali profesjonaliści.
PRAWDA.
Jestem tylko kozłem ofiarnym.
PRAWDA.
Wyrok uniewinniający mnie jest słuszny.
PRAWDA.
Mam zmarnowane życie.
PRAWDA.
Mój ojciec bił matkę.
FAŁSZ.
Kocham małe zwierzęta.
PRAWDA.
Mój ulubiony kolor to różowy.
FAŁSZ.
Biały to symbol niewinności.
PRAWDA.

Świetnie się odnajduję w więzieniu, to mój drugi dom.
FAŁSZ.
Najbardziej lubię czarne rzeczy, gdyż są eleganckie.
PRAWDA.
Nigdy nie widziałam martwego człowieka.
FAŁSZ.
Przeraża mnie widok krwi.
PRAWDA.
Oddałabym wszystko, żeby dowiedzieć się, kto zabił Jaźwińskiego.
PRAWDA.
Śniło mi się, że on żyje, a ja obudziłam się zlana potem.
FAŁSZ.
Ktoś w tej sprawie czegoś nie mówi, ale to nie jestem ja.
PRAWDA.
Nigdy się nie przyznam.
PRAWDA.
Jestem głodna.
PRAWDA.
Jestem zdenerwowana.
FAŁSZ.
Jestem wściekła.
FAŁSZ.
Jestem uparta.
PRAWDA.
Wszystko mi jedno, co się ze mną stanie.
FAŁSZ.

Beata Kamińska (ur. 27.03.1973)
ofiara: zwierzchniczka z pracy i jej mąż
motyw: zemsta
narzędzie zbrodni: rewolwer lub pistolet
przyznanie się do winy: nie
wyrok: 25 lat
koniec kary: 21.06.2030

Marek M. i Artur D. byli wspólnikami spółki Ultimo. Mieli w Warszawie trzy sklepy z odzieżą damską - dwa mieściły się przy ulicy Nowy Świat, a jeden przy ulicy Świętokrzyskiej. W jednym z nich przez siedem lat jako ekspedientka pracowała Beata Kamińska. Kierowniczką i prawą ręką szefów była Anna Jaźwińska. Kobiety były rówieśniczkami. Nie utrzymywały ze sobą kontaktów towarzyskich, nie znały swoich rodzin.

Przez trzy miesiące 1993 roku pracowały na tych samych stanowiskach, potem Jaźwińska awansowała i została kierownikiem sklepu przy Nowym Świecie 36.

W 1997 roku do Jaźwińskiej zaczęły docierać informacje od obsługi, że Beata Kamińska nie rejestruje do kasy fiskalnej wszystkich pieniędzy ze sprzedaży ubrań i część

zabiera dla siebie. Jaźwińska w porozumieniu z Markiem M., jednym z właścicieli firmy, postanowiła przeprowadzić fikcyjną sprzedaż, która miała umożliwić złapanie nieuczciwej sprzedawczyni na gorącym uczynku. Czwartego grudnia 1997 roku, w godzinach gdy Kamińska była w sklepie sama, jedna z ekspedientek, której nie znała, przyszła do sklepu jako klientka i kupiła spodnie za sto czterdzieści dziewięć złotych. Kamińska sprzedała towar, ale nie wprowadziła pieniędzy do kasy, nie wydała też klientce paragonu. Jaźwińska poinformowała o tym fakcie szefa i dwa dni później Marek M. dyscyplinarnie zwolnił Kamińską z pracy.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Beata z dnia na dzień została bezrobotna, jej chłopak był na długotrwałym zwolnieniu lekarskim, które zresztą miało go chronić przed zwolnieniem z pracy. Bała się też, że ona i jej chłopak zostaną bez środków do życia. Poza tym ekspedientka nie mogła pogodzić się z faktem, że zwolniono ją pod zarzutem kradzieży i to po siedmiu latach pracy. Nie dała więc za wygraną - zadzwoniła do drugiego wspólnika spółki Ultimo, który przebywał akurat za granicą i nie był zorientowany w sytuacji, po czym wymogła na nim zgodę na to, by po weekendzie mogła przyjść do pracy.

Wszystkie ekspedientki wiedziały, że szefowie Ultimo często się kłócą i chcą podzielić między siebie firmę, towar, sklepy oraz zatrudniony personel. Marek M. i Artur D. rozliczali się z fiskusem oddzielnie, a wszystkie pieniądze z utargu były dzielone na dwie koperty - po jednej dla każdego z szefów. Co jakiś czas między właścicielami firmy dochodziło do awantur, a nawet szarpaniny. Któregoś dnia żona Artura D. znalazła w skrzynce kartkę o treści: Połknąłeś śledzia. Żyleta. Nikt z otoczenia szefów Ultimo nie słyszał o tym, by mieli problemy ze światem przestępczym, nikt nigdy nie zgłosił się do nich z propozycją „płatnej ochrony".

Kamińska twierdziła, że Marek M. nigdy jej nie lubił i od dawna szukał okazji, żeby się jej pozbyć. Tymczasem Anna Jaźwińska była w firmie człowiekiem Marka M., jego prawą ręką - miał do niej stuprocentowe zaufanie. Beata pracowała dla Artura D.

Kiedy Marek M. mimo zwolnienia zobaczył Beatę na terenie sklepu, natychmiast wyprosił ją, a gdy odmówiła, tłumacząc, że musi przecież zamknąć kasę i ma na to zgodę drugiego szefa - wezwał policję. Beata w asyście funkcjonariuszy opuściła miejsce dotychczasowej pracy. Drugi wspólnik, po powrocie zza granicy, najpierw dał Beacie kilka dni urlopu, by zapoznać się z sytuacją, potem definitywnie ją zwolnił. Oskarżył ją o kradzieże, kazał się rozliczyć i oddać klucze od sklepu. Nie pomogły zapewnienia ekspedientki, że jest niewinna i padła ofiarą „nieuczciwej prowokacji".

Kiedy Beata była już zwolniona, jej chłopak poszedł do sklepu, w którym pracowała podstawiona klientka i zagroził jej, że za zwolnienie Beaty naśle na nią chłopaków z bejsbolami. Będziesz miała przerąbane życie! - krzyczał. Został wyrzucony ze sklepu przez szefa, Marka M., który zresztą ponownie zawiadomił policję.

Beata dobrze wiedziała, że zwolnienie z pracy zawdzięcza Jaźwińskiej - to przecież ona doniosła szefom i ona wymyśliła prowokację. Kamińska nie mogła zaakceptować opinii złodziejki i za wszelką cenę pragnęła się oczyścić oraz w dalszym ciągu pracować w Ultimo.

Kontaktowała się ze znajomymi, szukała ludzi zaprzyjaźnionych z szefami Ultimo, by mieć szansę na wyjaśnienie sprawy zakupu spodni. A kiedy to nie poskutkowało, poszła do kancelarii prawnej - chciała dowiedzieć się, czy ma szansę założyć szefom spółki sprawę w sądzie pracy za bezprawne zwolnienie. Prawnik poradził jej, by pogodziła się z tym

faktem, bo nie wygra takiego procesu, nie ma żadnych szans na przywrócenie do pracy ani na odszkodowanie.

Później sąd weźmie pod uwagę powyższe zachowania Beaty i uzna, że jest osobą niezwykle zdeterminowaną i skuteczną, ponieważ dla osiągnięcia zamierzonego celu wyczerpuje praktycznie wszystkie możliwości pozytywnego załatwienia sprawy. Ale w sytuacjach dla niej trudnych posuwa się do zachowań niekonwencjonalnych, a nawet gróźb.

Feralnego dnia - 16 grudnia 1997 roku - sklep Ultimo przy ul. Nowy Świat 36 w Warszawie był czynny do dziewiętnastej. Po jego zamknięciu sprzedawczynie z pozostałych filii Ultimo przyniosły utarg, który miała policzyć kierowniczka sklepu Anna Jaźwińska.

Tego dnia zachorowało jej dziecko i bardzo spieszyła się do domu. Dlatego przyjechał po nią mąż, Daniel - razem mieli wrócić do dziecka. W trakcie przeliczania pieniędzy do drzwi od zaplecza zadzwoniła lub zapukała Beata Kamińska. Jaźwińska wpuściła ją do środka. Potem krętymi schodami zeszła na dół sklepu, aby kontynuować liczenie pieniędzy. Beata poszła za nią. Kiedy znalazły się na dole schodów, zwolniona sprzedawczyni wyjęła z torebki broń i wycelowała w Annę. Jaźwińska zaczęła wzywać pomocy. Jej mąż był akurat w toalecie, ale wybiegł natychmiast, słysząc wołanie żony. Kiedy znalazł się w zasięgu wzroku Kamińskiej, kobieta strzeliła do niego, potem oddała strzały do Anny, a na koniec strzeliła jeszcze raz w plecy Daniela, leżącego bez ruchu na podłodze. Następnie, pozorując napad rabunkowy, zabrała pieniądze z kasetki, zamknęła ją na klucz, po czym wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Jeszcze tego samego dnia przed dwudziestą drugą Beata ze swoim chłopakiem Piotrem N. przyszli do kwiaciarni „Tuberoza" i zażądali pilnie wykonania kokard na choinkę.

Kiedy ekspedientka odmówiła przyjęcia zamówienia, ponieważ właśnie zamykano kwiaciarnię, Beata i Piotr zrobili wielką awanturę. Choć tak bardzo im na tym zależało, wcale nie odebrali kokard następnego dnia. Zostali za to dokładnie zapamiętani przez obsługę kwiaciarni. Podczas procesu sąd uzna, że dokładnie o to im chodziło - chcieli w ten sposób zapewnić alibi Beacie. Potem pojechali po papier podaniowy do siostry Piotra, a następnie wrócili do swojego mieszkania.

Rodzina Jaźwińskich martwiła się, że mimo choroby dziecka ani Anna, ani Daniel nie wrócili do północy do domu. Żadne z nich nie odbierało telefonów. W końcu brat Daniela pojechał do sklepu, by sprawdzić, czy nic się nie stało. Znalazł ich tam oboje leżących na podłodze nieprzytomnych, zakrwawionych. Wezwał pogotowie i policję. Kiedy służby przyjechały na miejsce zdarzenia, okazało się, że Daniel zmarł w wyniku odniesionych ran, ale Anna jeszcze żyje. Przeżyła mimo rany postrzałowej szyi i klatki piersiowej, rany postrzałowej lewego ramienia i rany tłuczonej głowy - ta ostatnia mogła powstać w wyniku upadku na podłogę. Została odwieziona do szpitala, gdzie natychmiast poddano ją operacji.

Osiemnastego grudnia 1997 roku odzyskała przytomność i w obecności opiekującej się nią lekarki, policjantom czekającym na jej przesłuchanie podała nazwisko kobiety, która do niej strzelała. Ktoś dzwonił lub pukał do drzwi od zaplecza. Na dworze zobaczyłam Beatę Kamińską, która została zwolniona pod zarzutem kradzieży jakiś tydzień temu. Okradała sklep od jakiegoś czasu, z naszych obliczeń wynikało, że przywłaszczała sobie jakieś dwieście, trzysta złotych tygodniowo.

To ja zorganizowałam sprzedaż kontrolowaną i powiadomiłam o tym Marka M. Byłam świadkiem, jak chłopak Beaty zrobił awanturę ekspedientce, która kupiła te spodnie.

Krzyczał, że będzie miała przerąbane życie za to, że Beata wyleciała z pracy.

Nie wiem, czy Beata ma jakieś kontakty ze światem przestępczym, jeśli już, to raczej jej chłopak.

Wtedy wpuściłam ją do sklepu i zamknęłam drzwi na zamek. Zeszłyśmy obie na dół.

Nie podejrzewałam, że ona może mi coś złego zrobić, zwłaszcza że był ze mną Daniel. Gdy byłyśmy już na dole, ona się nie rozbierała, nic nie mówiła, po prostu wyjęła pistolet z długą lufą i wycelowała go wprost na mnie. Na pewno nie był to rewolwer, bo wiem, jaka jest różnica[3]. Zaczęłam krzyczeć, wołać męża na pomoc. On wybiegł z toalety, a ona oddała do niego strzał, nie pamiętam, czy strzelała raz, czy dwa. Kiedy Daniel upadł na podłogę, odwróciła się do mnie i zaczęła do mnie strzelać. Potem już nie pamiętam, czy oddała do mnie dwa, czy trzy strzały, po których upadłam na podłogę i straciłam przytomność.

Nie pamiętam, czy coś do mnie mówiła. Jestem pewna, że była w sklepie sama. I tego, że strzelała z zemsty, za to, że przyczyniłam się do jej zwolnienia.

Pistolet miał rękojeść czarną, a lufę srebrną lub niklowaną. Nie widziałam tłumika i nie pamiętam, czy był głośny huk. Nie pamiętam też, w co Beata była ubrana.

Jeszcze tego samego dnia do mieszkania Beaty Kamińskiej i Piotra N. weszła ekipa antyterrorystów i zatrzymała ich pod zarzutem podwójnego zabójstwa.

Kamińska konsekwentnie nie przyznawała się do zarzucanych jej czynów. Twierdziła, że nigdy nie była w sklepie, gdzie doszło do zabójstwa. Złożyła wyjaśnienia tylko raz, potem korzystała z prawa do milczenia. Wcześniej jednak podała, że tego dnia, w czasie kiedy strzelano do Jaźwińskich, była u rodziców swojego chłopaka, Piotra N., a oni to potwierdzili.

Beata z Piotrem przychodzili do nas codziennie na kolację, tego dnia najprawdopodobniej również byli - zeznali matka i ojczym Piotra. Po czym bardzo szczegółowo opisali, jak Beata tego dnia wyglądała i co jedli. To wzbudziło podejrzenia organów ścigania - dlaczego starsi państwo tak dokładnie pamiętają akurat ten wieczór, skoro nie różnił się on od pozostałych.

Rodzice Piotra N. zasiądą podczas procesu na ławie oskarżonych pod zarzutem składania fałszywych zeznań.

Kamińska w śledztwie zaprzeczała, jakoby wiedziała, kto wymyślił i wykonał fikcyjną sprzedaż spodni, na podstawie której została zwolniona, jednak sąd jej nie uwierzył. Ponadto podczas drugiego przesłuchania jej chłopak - przerażony tym, że może zostać oskarżony o współudział w zbrodni, a przecież musiał mieć nieposzlakowaną opinię, bo akurat starał się o pracę w policji - zeznał, że Beata o wszystkim mu opowiedziała i przyznała, że to ona strzelała do Jaźwińskich. Czwartego grudnia byli razem u adwokata, żeby dowiedzieć się, czy Beata może w jakiś sposób wpłynąć na decyzję zwolnienia jej z pracy. Kiedy wyszliśmy od adwokata, Beata była bardzo zdenerwowana. Powiedziała: Sprawa mojego zwolnienia jest stracona. Kurczowo trzymała przy sobie torebkę. Powiedziała mi, żebym sam jechał do domu, bo ona musi jeszcze coś załatwić. Wsiadłem do jej cinquecenta, a ona została przy zespole adwokackim. Nie dzwoniliśmy w tym czasie do siebie. Beata wróciła około dwudziestej drugiej. Kiedy kładliśmy się spać, dostała histerii, przyznała się do tego, co zrobiła, i poprosiła, żebym w razie czego mówił, że po wyjściu od adwokata byliśmy cały czas razem.

Następnego dnia w telewizyjnych Wiadomościach poinformowano o strzelaninie w

Ultimo. Wtedy Piotr N. zadzwonił do swoich rodziców i poprosił ich, by w razie czego poświadczyli, że byli razem. Mieli powiedzieć policji, że tego dnia Beata i Piotr przyszli do nich na późny obiad, jak też zeznali, kiedy wezwano ich na przesłuchanie.

Beata twierdziła, że nigdy nie widziała tej broni, nie posiadała, ani nie potrafi się nią posługiwać. Po aresztowaniu policja zbadała jej torebkę, ale nie znaleziono śladów wskazujących, żeby kiedykolwiek była w niej noszona broń po użyciu.

Broni, z której strzelano do Jaźwińskich, nigdy nie odnaleziono. Podczas procesu biegli prowadzili długie rozważania na temat rodzaju użytej broni. Nie ustalono, czy sprawca używał tłumika. Biegły z zakresu broni i amunicji stwierdził jedynie, że pociski znalezione na miejscu zdarzenia zostały wystrzelone z lufy kaliber 38. Natomiast nie był w stanie ustalić rodzaju broni - czy był to rewolwer, czy pistolet. Jego zdaniem mógł to być 357 Smith lub INA model 1 lub Ruger SPE-ED SIX lub Ruger Police Service. Pewny był jedynie kaliber lufy. Biegły balistyk określił, że strzały oddano z dużej odległości. Niejasna też pozostawała kolejność oddawania strzałów, ale sąd przyjął, że Beata najpierw strzeliła do męża Anny, a dopiero potem do niej samej. Na miejscu zdarzenia nie zabezpieczono odcisków palców Kamińskiej, mimo to sąd uznał, że proces nie ma charakteru poszlakowego. Jako motyw zbrodni ustalił zemstę.

Głównym dowodem w sprawie było zeznanie Anny Jaźwińskiej, która widziała, kto do niej mierzy i tuż po wybudzeniu z narkozy wskazała Beatę Kamińską jako swoją niedoszłą zabójczynię. Podtrzymywała to zeznanie podczas każdego procesu. Jednak w trakcie kolejnych przesłuchań przed sądem wskazywała Beatę ze stuprocentową pewnością lub mówiła, że jest prawie pewna. I dodawała nowe szczegóły. Podczas jednego z przesłuchań powiedziała, że Beata po wyciągnięciu broni krzyczała: Nie możecie mi tego zabrać, bo za dużo za niego zapłaciłam. Jej rozbieżne zeznania wykorzystali adwokaci Beaty Kamińskiej, by żądać uniewinnienia.

Biegły psycholog Włodzimierz Grodzicki przeprowadził badanie poszkodowanej pod kątem konfabulacji - czy jej zeznania nie zawierają elementów fantazjowania bądź treści zasugerowanych - lecz ich nie stwierdził. Także uczestniczący w przesłuchaniu biegli psychiatrzy nie dostrzegli tendencji do fantazjowania lub prezentowania patologicznych sytuacji. Nie mieli również zastrzeżeń do jej zdolności spostrzegania, zapamiętywania i odtwarzania informacji. Zdaniem bieg łego fragmenty niepamięci u Anny Jaźwińskiej (nie pamiętała, czy oskarżona mierzyła do niej z pistoletu, czy rewolweru, do kogo oddała pierwszy strzał, ani w co była wtedy ubrana) są zupełnie normalne, ponieważ moment kulminacyjny zdarzenia - mierzenie z broni, strzelanie - wywołał nieporównywalnie większe emocje u pokrzywdzonej niż sama broń.

Sąd dysponował opinią osmologiczną (zapachową), która jednoznacznie wskazywała, że Beata Kamińska była na miejscu zdarzenia (wskazały ją aż trzy psy). Beatę obciążało także zeznanie Piotra N., jej chłopaka, które potem odwołał pod pozorem dręczenia go przez policję. I choć Jaźwińska czasami była pewna w stu procentach, że to właśnie Beata Kamińska do niej strzelała, a innym razem tylko w dziewięćdziesięciu dziewięciu, sąd uznał, że żaden inny dowód nie wyklucza wersji pokrzywdzonej, nie dyskwalifikuje jej, a wszystkie zeznania Anny są wręcz wspierane innymi dowodami.

Jaźwińska wpuściła swoją zabójczynię do sklepu, gdyż nie było żadnych śladów włamania - musiała ją wobec tego znać.

Po zabójstwie sprawca zabrał pieniądze z metalowej kasetki, którą następnie zamknął

na klucz. Nie był to jednak typowy mord rabunkowy, bo Daniel Jaźwiński miał w portfelu kwotę przewyższającą zawartość kasetki, a na ręku drogi zegarek, a te przedmioty nie zostały zabrane.

Sprawca zabójstwa zamknął drzwi sklepu po wyjściu, co uniemożliwiało szybkie znalezienie ofiar i udzielenie im pomocy.

Sąd nie uwierzył w wersję obrony Kamińskiej, w dodatku rodzice jej chłopaka w pewnym momencie wycofali jej alibi. I choć Beata konsekwentnie twierdziła, że jest niewinna, podczas trzeciego procesu została skazana na dwadzieścia pięć lat więzienia. Tak błahy motyw, jak zwolnienie z pracy, sąd uznał za dodatkową okoliczność obciążającą.

Podczas obserwacji sądowo-psychiatrycznej Kamińska była spokojna i zachowywała się poprawnie. Przestrzegała regulaminu, nie popadała z nikim w konflikty, nie przejawiała zachowań agresywnych. Początkowo była nieco zagubiona, ale szybko dostosowała się do warunków szpitalnych. Umiała zorganizować sobie czas wolny, dbała o swój wygląd i higienę osobistą. Wobec pacjentek starych i niedołężnych wykazywała postawy opiekuńcze, bezinteresownie im pomagała.

Łatwo nawiązywała kontakt z psychologami, zawsze jednak wykazywała wyraźne napięcie emocjonalne, niezwykle łatwo wzruszała się do łez, czerwieniała i bladła na twarzy, nadmiernie się pociła, nie mogła opanować drżenia rąk.

Biegli określili jej sprawność intelektualną jako normatywną, czyli zgodną z wykształceniem i pochodzeniem społecznym, natomiast iloraz inteligencji jako raczej niższy od przeciętnego. Stwierdzili, że podczas badania była nieufna, podejrzliwa, ostrożna, przy tym próbowała tworzyć nieprawdziwy obraz własnej osoby, stosując raczej naiwne zaprzeczanie swoim słabościom i problemom. Starała się ze wszystkich sił ukazać siebie jako osobę przystosowaną do wymagań społecznych, bez większych problemów emocjonalnych i społecznych, tymczasem analiza wyników badań przemawia raczej za tym, że jest odwrotnie.

Emocje to obszar, w którym Beata ma dość spore problemy. Przede wszystkim dotyczy to kontaktów z innymi ludźmi. I chociaż na co dzień wydaje się być osobą towarzyską, rozmowną, wylewną, a nawet skłonną do ryzykanctwa, jest to jedynie fasada, za którą ukrywa się prawdziwa twarz Beaty Kamińskiej. Bo tak naprawdę jest osobą niezwykle egocentryczną.

Cechuje ją mała plastyczność w kontaktach z innymi ludźmi, a także słaby wgląd w przyczyny swoich trudności w relacjach międzyludzkich, co zresztą powoduje u niej poczucie ogromnego niezrozumienia i osamotnienia. I chociaż ona sama deklaruje, że zna i rozumie zasady współżycia międzyludzkiego, jej zdolność pojmowania tego w naturalny sposób biegli określili jako niezwykle niską.

Ponadto uznali, że badana w sytuacjach dla siebie trudnych psychologicznie, stresowych, włącza silne mechanizmy obronne, takie jak tłumienie, wypieranie, projekcje oraz zaprzeczanie. Ma raczej dobrą kontrolę nad zachowaniami impulsywnymi, a agresja nie jest jej sposobem na rozwiązywanie konfliktów między ludźmi, jednak w trudnych sytuacjach reaguje co najmniej niekonwencjonalnie.

Biegli nie stwierdzili u niej żadnych zaburzeń osobowości. Natomiast zauważyli, że poziom myślenia abstrakcyjnego jest u niej bardzo niski, cechuje ją za to nadmierny konkretyzm[4].

I choć zarzucany jej czyn wydaje się być obcy jej osobowości, a motywacja nie wydaje

się czytelna z psychologicznego punktu widzenia, to nie można wykluczyć, że tego nie zrobiła.

W kuluarach warszawskiego sądu sprawa Beaty Kamińskiej nazywana jest sprawą Ultimo. Wszystkie gazety i czasopisma publikowały zdjęcia obu bohaterek tego dramatu i zadawały pytanie: Która z nich kłamie? Jaźwińska konsekwentnie wskazuje Beatę jako sprawczynię zabójstwa jej męża i próby pozbawienia życia jej samej. Tymczasem Beata zaprzecza, twierdzi, że jest kozłem ofiarnym, a zabójstwa dokonała mafia, gangsterzy, profesjonaliści… Powołuje się na fakt z akt sprawy, że mąż Jaźwińskiej przez rok był w USA, po powrocie pracował dla Macro Cash&Carry, a potem chciał założyć własną firmę ochroniarską. Robił podobno ciemne interesy, tak się w każdym razie plotkowało w sklepie.

Zresztą starał się kilka razy o pozwolenie na prowadzenie firmy, ale za każdym razem oferta była odrzucana ze względu na fałszywe rekomendacje. To chyba o czymś świadczy…

Odbyły się już trzy procesy - sprawa oparła się nawet o Sąd Najwyższy - dwa zakończyły się wyrokiem skazującym, jeden - uniewinniającym. To ewenement, by w jednej sprawie zapadły tak odmienne orzeczenia. Ostatni wyrok skazujący Beatę na dwadzieścia pięć lat jest już prawomocny. Pierwszego października 2007 roku, czyli prawie dziesięć lat od dokonania zbrodni, matka Beaty złożyła wniosek o ułaskawienie córki.

EPILOG 2012

Beata Kamińska nadal przebywa w zakładzie karnym w Grudziądzu. Jej brat starał się o wznowienie procesu, a w obronę kobiety zaangażowała się cała społeczność miejscowości, z której Beata pochodzi. Bezskutecznie. Jest wzorową więźniarką. Nie traci nadziei, że zostanie oczyszczona z zarzutów. Wciąż pisze do różnych instytucji o ułaskawienie.

Odmówiła zgody na kolejne spotkanie z autorką książki.

***

[1] Rozdział opracowany na wzór badania na wykrywaczu kłamstw, dzięki pomocy wybitnego specjalisty od badań na wariografie - Jacka Bieńkuńskiego.

[2] W sprawie Beaty Kamińskiej zapadły trzy wyroki. W pierwszym procesie (październik 1999) sąd skazał ją na 25 lat więzienia, lecz od tego orzeczenia odwołał się prokurator i Anna Jaźwińska, jako oskarżyciel posiłkowy. Sprawa trafiła do Sądu Apelacyjnego, który uchylił wyrok i zwrócił ją do ponownego rozpatrzenia. W kolejnym procesie (maj 2003) Beata Kamińska została uniewinniona i wypuszczona na wolność. Anna Jaźwińska i prokuratura zwróciły się do Sądu Najwyższego o kasację od tego wyroku. W listopadzie 2004 znów rozpoczął się proces Kamińskiej. Wyrok zapadł 27.02.2007 roku -

została skazana na 25 lat więzienia. Wyrok jest prawomocny.

[3] Rewolwer to pistolet typu bębenkowego, posiada obrotowy bębenek do którego wkłada się naboje, najczęściej jest miejsce dla siedmiu sztuk.

[4] Wszystko odnosi do rzeczy, wierzy jedynie w istnienie rzeczy, byty abstrakcyjne są jej obce.

Wioletta

Strach

Zaczęły przychodzić dwa i pół roku temu. Pojawiły się którejś nocy, pamiętam dobrze, bo to była podszywka pod moją siostrę. Po prostu przyszły i zostały. Potem już nigdy mnie nie opuściły, tylko czasem cichną. Wtedy nie jem, nie piję, spać po nocach nie mogę.

Boję się na przykład, że moja siostra naprawdę nie żyje i przychodzi do mnie. W kółko te głosy słyszę. Ale ja mam to mówić naprawdę?

Miałam osiemnaście lat i szłam ulicą, gdy pierwszy raz nagle usłyszałam, jak ktoś woła: Wiolka, Wiolka… Ja się odwracam, a tam nikogo nie ma. Drugi raz słyszałam te głosy, jak miałam dwadzieścia dwa lata. Grałam wtedy w totolotka i podpowiadały mi, jakie numery skreślić. Dyktowały mi, namawiały, jak skreślisz - to wygrasz, a ja na złość skreśliłam inne.

Chciałam je przechytrzyć i nic nie wygrałam. A potem jak nawet chciałam ich posłuchać i skreślić, co podpowiedzą, bardzo długo nikt się do mnie nie odzywał. Udawały, że ich nie ma.

Bo one się pojawiają i znikają. Teraz mam je cały czas za uchem.

A ty zamknij się, zamknij, ch… jeden[1].

To nie jest jeden głos, tylko kilka. U, Mądraliński, Ona, Profesor, Aneta… Najpierw nie znałam ich imion, dopiero potem się zapoznaliśmy. Niektórych do dziś nie znam dobrze, tylko one mnie znają.

Pierwsza przyszła się zapoznać Aneta. Ma takie imię, bo podszyła się pod moją siostrę, pod jej głos. I powiedziała mi, że umarła, znaczy nie żyje. To było tak, jakby moja siorka Aneta do mnie przyszła, a przecież wiedziałam, że to nie może być ona, tylko ktoś ją udaje. Nie dałam się nabrać, choć nie od razu ją przejrzałam. Sprytna jest, jak one wszystkie, czujna.

No więc Aneta pojawiła się pierwsza i powiedziała, że nie żyje, ale dziękuje mi za to, że dałam pieniądze na operację nogi jej syna, bo lekarze nie chcieli się nim zająć. A ja, fakt, dałam jej sto złotych. Strasznie się zdziwiłam, ale słuchałam tego, co ona mówi, i nawet uwierzyłam, że może naprawdę ona umarła i mi dziękuje. Nie bałam się jej wcale, nie przestraszyłam - to przecież moja siostra do mnie przyszła. Ale też nie ucieszyłam, leżałam po prostu smutna na łóżku. Najpierw rozmawiała ze mną godzinę, może dwie. Opowiadała mi takie głupoty, że nie chcę nawet powtarzać. Takie głupoty, że policjanci mówili w sądzie, że ja udawałam Anetę; że chcieli mi zabrać dziecko, ale ona mnie obroniła; że wzięłam nóż, a potem ciągnęłam gliniarzy za włosy podczas aresztowania. Ale to ostatnie to prawda, tak było: ciągnęłam ich za włosy i biłam po mordach.

A taka Marzena, znajoma jedna, mojej siostry bratowa, bała się, że ją też zabiję. Za to, że mnie psom wydała. I miała rację. Bo wcześniej przyszła do mnie ze swoim chłopakiem i powiedziała, że ja piję, źle się dzieckiem zajmuję, to ją też za włosy wzięłam. Rzuciłam na podłogę i z piąchy ją, z piąchy… Ja potrafię uderzyć, czemu nie, potrafię… Ja ich nie widzę, słyszę te tylko głosy. Słowo honoru, że tych duchów nie widzę, rozpoznaję je tylko po głosie.

Bo one są różne. One wszystkie są właściwie delikatne, ale ja je i tak rozróżniam. Wiem, kto kiedy przychodzi, zanim się jeszcze odezwą. Już przyzwyczajona jestem do nich.

(gardłowy śmiech)
Romancio, Romancio…
Ja kocham ciebie, ja kocham ciebie (na przemian śmiech i rzężenie) Jestem tutaj, jestem, jestem…
Romancio to jest taki duszek, który kiedyś ze mną bardzo dużo rozmawiał. Na wszystko mu pozwalam, a on mówi mi, co i kiedy mam robić. To znaczy on chciałby, żebym tak robiła, jak on chce. Mądraliński jest zabawny, on chciałby, żebym mu miłość wyznawała.
On by chciał, żebym była jego żoną. A ja nie chcę, bo wiem, że on kocha tylko Oną. Ona to jest kobieta. Mądraliński chce się między mną a Oną bawić. Chciałby, żebym była razem z nim i razem z nią.
U to jest taki duszek, w którym ja się podkochuję. Bo on mi na wszystko pozwala, dobry jest, delikatny nie wyżywa się na mnie jak inne duchy. Dziwko do mnie mówi, a ja do niego ch… mój, pieszczotliwie. Przyszedł dzisiaj rano i uśpił mnie, bo one mnie usypiają.
Ty ch… zostaw, ty ch… (śmiech)
Uśpił mnie i cały ranek spałam. Bo ja lubię spać. Nie wiem, jak U to robi, że ja przy nim zaraz usypiam. Sposoby na mnie różne mają. Jakieś karuzele czasem, a czasem przez język, przez wystawianie języka. Jak nie wystawiam języka, to znaczy, że nie chcę spać.
- Bo ci wyrwę język k… jak jeszcze słowo powiesz.
- Weź mnie nie wyzywaj, bo się nie boję!
(chichot)
Mądraliński jest dobry, a Parapet zły. On mi lanie robił.
Ci Parapet teraz dam… Ty, Parapet, ja i tak teraz wszystko powiem!
To było tak: on przyszedł i zaczął mi robić paluszkiem… A paluszek to tylko na początku.
- Ty k…! Zamknij się!
- To ty się zamknij, uuuuu! Że o Tobie powiedziałam, to się zaraz musisz wtrącać.
- Jak ci przyj… to zobaczysz…
On nie jest zły wcale, tylko one, te moje duszki, po prostu kłócą się między sobą o mnie. I raz za razem się biją, czasem to już nie mogę tych ich kłótni słuchać. A Parapet to już jest wyjątkowo zazdrosny, jak się czasem przyczepi, to spokoju nie daje. Wciąż powtarza, że pójdzie za mną, nie da mi spokoju, on mnie chce tu i teraz.
- Tu i teraz, k…
- Cicho! Wszystko powiem, wszystko, nawet to, co miało być tajemnicą.
- Zamknij się, zamknij, zamknij…
Między sobą rywalizacje odprawiają: jeden chce mi zrobić gówno, drugi chce mi zrobić rzygi, a trzeci chce, żebym ich wpuściła. Bo ja ich nie wpuszczam generalnie. I mówię: spróbuj mnie ruszyć. Nie mogę ich wpuścić, bo wtedy każą mi po celi łazić. A tego nie mogę dziewczynom zrobić, bo nie dam im spać, jeść, nie dam im normalnie żyć. Tego nie mogę im zrobić!
- Nie! Nie! Nie słucham cię… Nie, nie, cicho, nie chcę, nie! Gówno to ja zaraz sama ci zrobię! Ty zaraz sam gówno będziesz jadł!
- K… stara, niezła, niezła, niezła.
- Zjedz gówno, zjedz, zjedz… gówno… Wiola… Zjedz, zjedz…
Ja jadłam gówno, jak byłam na Grochowie i jak byłam na wolności. Normalne

odchody, gówno, kupę. Nie swoją, czyjąś. Byłam załamana, myślałam, że dzięki temu umrę.

- Ch… musieliście powiedzieć!

Znów powiedziały, chociaż nie chciałam. Nie chciałam tego ujawniać.

(Płacze).

Nie wiem, który z nich przychodzi i bierze mnie siłą. Gwałci mnie w nocy. Nie rozpoznaję go. Ale już dawno tego nie było. Rzadko się zdarza, tylko raz na jakiś czas.

Pierwszy raz było to na Grudziądzu, rok temu. To było tak, że miałam z nim stosunek.

Leżałam na wznak, on wszedł we mnie, to znaczy jakby wbijał coś we mnie. Krzyczałam, bo to bolało, to nie był normalny stosunek. Po prostu nie wiem, czemu on mi to robił i czym. Ale wbijał raz za razem i przezywał mnie od takich tam… Jakbym z diabłem była.

Nie wiem dlaczego. Nie wiem.

- Bo to jest k… z zawodu, pierdoliła się za pieniądze z każdym.

- Nie za pieniądze, ch… a dla przyjemności. Ja to lubię, zazdrościsz! A myślisz, że ci dam? Akurat, chciałbyś k… posmakować. Nic z tego. Świnio pierd…

- O pięknie, sama tak mówi… pięknie, k… rozmawiasz, jak cię poprawić nie można, tylko przeklinasz, jak k… prawdziwa, za pieniądze się pierdoliła.

- Jak do mnie mówisz!

Ona to jest taka niedobra dziewczynka. Zazdrosna, mówi: masz wszystko, masz wszystko, masz wszystko… I szybko się denerwuje i namawia mnie do różnych rzeczy. Nie mogę powiedzieć do jakich, bo ja jej nie wpuszczam, nie słucham, nie robię. Ona jest zła.

Ja bym chciała, żeby one odeszły, żeby sobie poszły i przestały do mnie mówić.

Mogłaby Pani cały czas, non stop z kimś rozmawiać? To wykańczające, nie ma kiedy odpocząć. Na początku było bardzo ciężko, a teraz już jestem w sumie przyzwyczajona. Już wiem, który jest który. Chociaż czasami tak krzyczą, że muszę powtarzać, co mówią. Tak mi zrobiły, bo nie chciałam z nimi rozmawiać. Zadawały mi na przykład pytanie, a ja nie chciałam odpowiadać. Obiecywały, że jak z nimi porozmawiam, to odejdą, ale nie odeszły.

Zostały i tylko wiedzą o mnie więcej i więcej. Chciałam kiedyś, żeby odeszły, ale dziś sama już nie wiem… Może już nie chcę, żeby odchodziły? Nie mam oprócz nich nikogo bliskiego, nikogo już nie mam. Teraz tylko, kiedy mnie namawiają do złego, nie słucham. A najbardziej jak On mówi, bo On chciałby, żebym samobójstwo popełniła.

- Bo musisz, k… samobójstwo popełnić! Musisz…

- Romancio?

- Tak, jestem Romanciem… To ja, nie poznajesz? Tak będzie dla ciebie i wszystkich… naj…

- Nie jesteś Romanciem!

-…lepiej. Jestem! Tak, musisz samobójstwo popełnić… Najlepiej…

- Nie wierzę ci! Od Romancia się odwal.

On się podszywa pod Romancia, ale ja go rozpoznaję. Nie znam go, ale rozpoznaję.

- Co, k… to miłośnik twój, ten Romancio. Ja was widziałem… Powieś się, k… stara! Powieś…

- Sam się powieś!

- Powieś się, k…! Bo cię znów zgwałcę, znów będziesz krzyczała.

Znów będzie bolało, bój się… Tam masz grzałkę, weź ją, powieś się na kablu… znajdą cię… ale będzie za późno. I po wszystkim. Powieś się, powieś, powieś, powieś…

- A jak to zrobię, to co?
- Uf, uf, uf, uf…
Aneta, Romancio, one chciałyby mnie bronić przed Nim, ale nie mogą. On jest silniejszy, On jest silniejszy nawet od U.
- Powieś się, powieś, powieś, powieś…
Nawet Parapet nie może mnie obronić. Nikt.
- Powieś się, powieś, powieś, powieś… I już po wszystkim…
- Ty k… ty k… ty… k…
W celi jest nas pięć: Ela, Basia, ja, Dorota i Beata. I to są wszystko dobre dziewczyny.
Odkąd jestem z nimi, nie chodzę po celi. Tylko chodzę do ubikacji, ale one wtedy pilnują, żebym nie dorwała grzałki.
- Powieś się, powieś, powieś, powieś…
- Sam się powieś! Ty sam się powieś! Ty sam!
Ale jak będzie trzeba, to dziewczyny mnie nie obronią. Bo jak o sprawie mówią, jak mówią, co zrobiłam, to wiem, co one myślą.
- Zrobiłaś, to siedź! Do śmierci siedź!
- Zabiłam i co? (śmiech) I zrobię to jutro, i co? (śmiech) I jak trzeba to jeszcze kilka razy! Bo to była wesz, to był… nieczłowiek.
Ja się z nimi droczę, przekomarzam. Kłócę się z nimi.
- Tak ci przyp… że krew z nosa ci pójdzie.
- Oddaj mu, oddaj!
Bo ja nie zaznałam w życiu ani miłości, ani bliskości, moje dzieci mi zabrali…
Miałam dwójkę dzieci: Ewelinę i Tomka. Poszły do domu dziecka, a potem do adopcji. Zabrali mi najpierw ją - przyszli, jak leżałam w domu nieprzytomna, pobita przez konkubenta, ale to nie był Jacek. Potem zabrali mi synka - Tomka. Nie chciałam się ich zrzec, nie chciałam. Eweliny się nie zrzekłam, a Tomka, powiedziałam, że mogę się zrzeknąć. Już tutaj byłam. To Jacka był synek (płacz). Teraz zrobiłabym wszystko, żeby wrócił do mnie.
Wcześniej, zanim tu trafiłam, miałam zwidy. Widziałam, że jestem mordowana i że dziewczyny z celi podkładają mi truciznę i mówią: Masz to zjeść. Kładły mi na ręku leki, a ja wiedziałam, że to trucizna. Chciały mnie zamordować. Takie zwidy miałam. Widziałam, jak mi to podkładają do jedzenia, jak nie patrzę. To wszystko moje duchy mi robiły. Wszystkie pięć - każde inaczej się ukazywało, czasem już mi się mieszały ich wizje. Marianek, Zygmunt, Romancio, Aneta, U i Parapet. No i On. Ale są też inne, których nie znam. Tylko po głosach je rozpoznaję. O właśnie teraz U chce się bawić. To tak, jakby się wsiadło na karuzelę: hałas i gwar. I kręci się wszystko, kręci w kółko, aż ustać na nogach nie można.
Karuzela.
- Stój, stój, nie teraz…
- Daj mi teraz, k…! Zabiłaś, to siedź! Powieś się, powieś się…
- Marianek, nie mów tak do mnie, prosiłam cię…
- Ja nic nie wiem, co ty mówisz? Pokręcimy się?
- Nie teraz, ty podlizuchu.
- Ja nie jestem twoim podlizuchem… Powieś się, powieś się…
Chodziłam do księdza z tym. Ale albo go nie ma, albo nie potrafił mi pomóc, bo nadal

przychodzą, nadal są. Ksiądz mówił, że egzorcystę wezwać trzeba. Czekam już chyba z rok i nic. Tylko leki biorę, pięć razy dziennie. Lepiej mi po nich jest, zdecydowanie. Ale żeby tak całkiem dobrze, to nie. Nie to, żeby przestały przychodzić, tylko nie załamuję się tak łatwo jak dawniej. I nie zgadzam się tak na wszystko jak dawniej. One kiedyś kazały mi nago chodzić, to chodziłam. Kazały mi pić, to piłam. Kazały mi bić - biłam. Już naprawdę mam dość więzienia. Wszystko tutaj mnie denerwuje. I na te same gęby patrzeć się codziennie.

- Ej stara, na wolności to też na te same gęby patrzyłaś. I jeszcze dostawałaś…

Nie lubię ludzi. Elę tylko lubię, ona mi pomaga. To jest postać rzeczywista, nie duch.

Siedzi za zabójstwo, jak ja. Kawę mi robi, uspokaja, jak karuzela idzie. I grzeczna dla mnie jest, nie to, co reszta chamstwa. Pomaga mi dzwonić, pomaga mi jeść. Kartę mi pożyczyła, jak się moja skończyła, zanim mi konkubent, znaczy Jacek, przysłał. On ma, bo jemu rodzina przynosi. On dba o mnie, pamięta. List do mnie napisał, miło z jego strony. On też siedzi, za to samo. Jestem już zmęczona, mogę iść?

Wioletta Piorunowska
(ur. 14.12.1976)
ofiara: znajomy matki
narzędzie zbrodni: ciosy rękoma i nogami, dwa noże, śrubokręt
motyw: zemsta
przyznanie się do winy: tak
wyrok: 12 lat
koniec kary: 8.12.2011

- Kogo kochasz?
- Swojego synka, który ma teraz rok i cztery miesiące.

Wiola była lokalnym postrachem. Duża, potrafiła wypić i bić się jak facet. Sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, spora nadwaga, braki w uzębieniu. Na ciele mnóstwo drobnych blizn po samouszkodzeniach: na twarzy, piersiach, skórze głowy i przedramieniu.

Brała udział w krwawych bójkach, ale nigdy nic poważniejszego się jej nie stało. Ludzie się jej bali. Agresywna w stosunku do siebie i innych. Łatwo wpadała w złość, konfliktowa.

Często biłam ludzi, jednego omal nie zabiłam. Potem chciałam mu podpalić dom.

Pochodzi z nizin społecznych, z rodziny patologicznej. Matka opuściła ojca, gdy Wiola miała trzy latka (bił je), wyjechała z Biskupca i zamieszkała w Siedlcach. Nie radziła sobie z wychowaniem małej - była uzależniona od alkoholu, piła z towarzystwem, znikała na całe dnie. Sześcioletnia Wiola trafiła do Domu Dziecka w Łukowie. Matka nie walczyła o nią, dziewczynka mieszkała tam do ukończenia podstawowej szkoły specjalnej. Uczyła się całkiem dobrze, ale była bita przez rówieśników. Po takich konfliktach kiedyś próbowała się powiesić na skakance, potem sama stawała się coraz bardziej agresywna. Zanim osiągnęła pełnoletność, kilka razy karnie zmieniała placówki opiekuńcze.

W tym czasie jej matka urodziła jeszcze trójkę dzieci (każde z innym ojcem) - wszystkie zostały oddane do adopcji. Kiedy Wiola miała dziesięć lat, matka drugi raz wyszła za mąż. Dwa lata później ojczym zatłukł ją na śmierć. Po wyjściu Wioli z domu

dziecka jej wychowaniem zajęła się babcia. Dziewczyna rozpoczęła naukę w zawodówce krawieckiej, ale po roku przenieśli ją do szkoły gastronomicznej, którą ukończyła. Rok później, kiedy Wiola miała dziewiętnaście lat, babcia zmarła. Jako sierota dostała „od miasta" mieszkanie „z wygodami". Ale nie płaciła czynszu, więc przenieśli ją do lokalu o gorszym standardzie. A potem… Przychodziły do mnie różne męty, piliśmy wódkę, zdemolowałam je, i trafiłam do noclegowni.

Jako mała dziewczynka często mdlała w tłumie albo w upalne dni. Psychiatrzy stwierdzili później, do sprawy, że to z powodu wielokrotnych urazów głowy. Ale pamięć mam doskonałą, tylko jak pokłóciłam się z koleżankami lub jak kogoś pobiłam, to potem nie pamiętałam. Najpierw przez lata bił ją po głowie ojciec. Czasami biła ją matka, a później babka i wujek, który z nimi mieszkał. Tak było do piętnastego roku życia, potem już się bali.

Wiedzieli, że oddam z nawiązką. W wieku szesnastu lat wpadła pod samochód, straciła przytomność i była hospitalizowana. Potem bili ją mężczyźni, z którymi mieszkała. Było ich wielu. Szybko się zakochuję i odkochuję. Jeden z nich tak ją skopał, że miała wstrząśnienie mózgu. Przez dwa tygodnie nie wychodziła z domu, takie miała siniaki.

Narkotyków nigdy nie brała, za to już jako trzylatka napiła się alkoholu. Matka dała mi spróbować wódki. Potem Wiola sięgała po alkohol świadomie: w szkole, w domu dziecka, w innych placówkach opiekuńczych. W wieku dwunastu lat pierwszy raz upiła się do nieprzytomności. Potem wpadłam w towarzystwo i upijałam się codziennie. Gdy jest pijana, staje się agresywna - w stosunku do siebie lub innych. Dokonuje samouszkodzeń: tnie skórę albo przypala papierosem. W czasie obu ciąż nie piła. Po urodzeniu pierwszego dziecka musiała codziennie wypić piwo. Po urodzeniu drugiego nie piła przez trzy miesiące - w czasie, gdy karmiła piersią. Ale potem w dzień piwo, a wieczorem wódka. Jak piwa nie wypiłam, to byłam chora. Ciągnęło mnie do alkoholu i tu też mnie cholernie ciągnie.

Ze swoim ostatnim konkubentem, Jackiem, mieszkała w dwupokojowym mieszkaniu przy ulicy Pułaskiego w Siedlcach. Dorywczo handlowali zniczami przed cmentarzem lub sezonowo zatrudniali się przy zrywaniu owoców. Głównie żyli z zasiłków opieki społecznej i zapomóg miasta dla najbiedniejszych rodzin. Utrzymywała mnie siostra albo kradłam pieniądze pijakom. Kradłam od dziecka. Jako mała dziewczynka ukradłam ciotecznej siostrze srebrną biżuterię i dałam koleżance. W domu dziecka też kradłam.

Alkohol, awantury, pobicia były w ich domu na porządku dziennym. Regularnie odwiedzał ich kurator, często przyjeżdżała policja. Wiola często biła się z Jackiem. Zawsze on wygrywał, ale jemu też się nieźle dostawało. Biliśmy się do krwi. Jak żadne nie miało już siły, to się godziliśmy.

Wioletta i Jacek mieli rocznego synka - Tomka. Pierwsza córeczka Wioletty - Ewelina P. - trafiła do domu dziecka. Na postawie zeznań „życzliwego" wszczęto postępowanie sądowe i pozbawiono Wiolettę władzy rodzicielskiej. O donos do Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej Wiola podejrzewała znajomego swojej matki - Roberta P., zwanego „Maćkiem" albo „Niuniem". Podpieprzył mnie do opieki, że piję. Zabrali mi pierwsze dziecko i teraz znów to zrobił! Znała mężczyznę od dziecka, pili razem, ale niezbyt się lubili.

Kiedy 14 lutego 2002 roku Niunio przyszedł do mieszkania Jacka i Wioletty z butelką wódki, akurat odbywała się tam libacja. Byli sąsiedzi, znajomy Wojciech P. i cioteczny

brat Wioli - Robert A. Wszyscy już zdrowo podpici. Na sam widok Niunia Wiola wpadła w szał.

Cztery lata temu podpieprzyłeś mnie do opieki! Przyznaj się. To przez ciebie zabrali mi dziecko!

Wyzwała go od kapusiów, sprzedawczyków, donosicieli, a potem uderzyła w twarz.

Próbowałam strzelić mu z bańki, ale odciągnął mnie Pluta. A Niuniowi kazał się wynosić. P. wyszedł, odgrażając się, że go jeszcze popamiętają.

Impreza trwała dalej. Do szklanek rozlewano wódkę, ktoś zaczął rozmowę o donosie.

Wiola była coraz bardziej zła. Na uspokojenie wzięła garść proszków, popiła je wódką. Nie wiem jakich, chyba Jacka od padaczki i innych, jakie były. Chciałam usnąć, ale nie mogłam.

Pałała chęcią zemsty. Wtórował jej w tym cioteczny brat Robert A. Po chwili wybiegli razem z domu. Kiedy zadowoleni wrócili, powiedzieli wszystkim, że powybijali kamieniami Niuniowi szyby w oknach. Po czym dalej pili wódkę. Libacja przeciągnęła się do rana. Około dziesiątej Wojciech P. poszedł do pracy - tak jak Wiola, jej brat Robert i Jacek - sprzedawał znicze pod cmentarzem przy ulicy Janowskiej w Siedlcach.

Zaraz po jego wyjściu przyszedł Niunio. Awanturował się, że w nocy ktoś rzucał w jego okna kamieniami i oskarżył Wiolę. Ta zaprzeczyła - zupełnie tego nie pamiętałam - po czym znów zaczęła mu zarzucać, że doniósł na nią do MOPS - u. Wybuchła straszna awantura. Wiola krzyczała. Kiedy P. zagroził, że zawiadomi policję o wybitych szybach, próbowała go uderzyć. Wtedy z łóżka wstał Jacek. Ty sk… Ty Wiolki dziecko sprzedałeś! To ty już żywy stąd nie wyjdziesz! Zaczęli go bić. Wiola kopała go w krocze, Jacek okładał pięściami po głowie. Niunio upadł na podłogę i rozpaczliwie charczał. Kiedy wszedł Robert, brat Wioli, i zobaczył, co się dzieje, bez słowa zaczął im pomagać. My go kopaliśmy, a Wiola skakała mu po twarzy, potem zmiażdżyła mu krtań - w pierwszych zeznaniach stwierdził Jacek, potem wycofywał te słowa.

Niunio krzyczał i w dalszym ciągu się poruszał, gdy Robert A. chwycił za nóż.

Dziubał go tak mocno, aż pękło ostrze. Jacek podał mu śrubokręt. Wbijali go w ciało Niunia na oślep - w okolice szyi, klatki piersiowej, brzucha oraz krocza. Robert A. próbował podciąć mu gardło, ale mimo wysiłków nie udało się - nóż był zbyt tępy.

Później, podczas procesu, nie udało się ustalić, kto zadał uderzenia, które spowodowały śmierć. W zabójstwie brali udział wszyscy, także Wiola - z rocznym Tomkiem na ręku. Stawała butami na krtani ofiary - biegły patomorfolog potwierdził to na podstawie obrażeń. Niunio zmarł w ciągu kilkunastu minut.

Ja i Robert pojechaliśmy na cmentarz do roboty, a Jacek został z trupkiem Niunia.

Poszłam do P. i powiedziałam mu, żeby dziś nie przychodził do nas na noc (pokłócił się ze swoją Anką i spał u nas), bo w domu leży martwy Niunio. Jak zapytał, co się stało, powiedziałam, że wbiliśmy mu ileś noży.

P. był wstrząśnięty wyznaniem Wioletty. Nie uwierzyłem jej. Śmiała się, ja też myślałem, że ona żartuje. Powiedziałem o tym księdzu, grabarzom i wszystkim znajomym.

Śmieli się. Każdy myślał, że jej od alkoholu mózg się podziurawił. Już wcześniej widywała białe myszki. Tymczasem Wiola pojechała z dzieckiem do MOPS - u po zasiłek socjalny. Za otrzymane pieniądze kupiła wódkę i coś do jedzenia. Wrócili do domu, otworzyli butelkę.

Zwłoki Roberta P. w dalszym ciągu znajdowały się w mieszkaniu. Jedynie rozebrali

ciało, a ubranie wyrzucili do śmietnika. Potem zawinęli je w dywan i ścisnęli przewodem elektrycznym. Otworzyli kolejną butelkę wódki.

Kiedy zawijali zwłoki w dywan, do drzwi zapukał ich znajomy, Ryszard R. Otworzyli, a rulon wykładziny leżał na środku pokoju. Byli wyraźnie rozradowani. Ryszard R. w progu powiedział, o co mu chodzi - chciał pożyczyć pięćdziesiąt złotych. Wiedział, że tego dnia Wiola była w MOPS - ie i ma pieniądze. Kupiliście nowy dywan? - zainteresował się. Cała trójka wybuchnęła śmiechem. Tam leży trupek! Pijemy z trupkiem! Wykończyliśmy sprzedawczyka! - zaśmiewali się. Dopiero wtedy R. dostrzegł, że ze zwiniętej w rulon brudnej wykładziny wystają stopy w czarnych skarpetkach. Chciał na nas donieść na policję, że źle opiekujemy się dzieckiem - powiedział Jacek, po czym wyciągnął ręce, były brudne, w plamach koloru brunatnego, w zaschniętej i zakrzepłej krwi. Rysiu, pomożesz mi go wynieść? - zapytał. R. wymówił się brakiem czasu i wyszedł. Całą sytuację natychmiast opowiedział żonie i bratu. Był tak roztrzęsiony, że myślałam, że dostał ataku epilepsji - zeznawała potem jego żona. Rysiu, idź na policję, bo jeszcze będzie na ciebie, że brałeś w tym udział - poradził mu brat. Ale Ryszard nie poszedł na komisariat. Bał się, że ktoś go zobaczy i zostanie oskarżony w środowisku, że donosi, albo Wiola, Jacek i Robert postąpią z nim jak z Robertem P. Zadzwonił więc anonimowo z budki naprzeciwko. Podał adres, nazwiska sprawców, nazwisko ofiary. Oni mają w domu trupa. Kiedy spytano go o jego personalia i skąd dzwoni, odłożył słuchawkę. Zniknął na tydzień. Potem przed prokuratorem zeznawał: Pili, byli wyraźnie rozbawieni, pokazywali ręce we krwi. Używali liczby mnogiej: wbiliśmy mu ileś noży!

Mimo iż informacja była anonimowa, po chwili do mieszkania przy ulicy Pułaskiego pojechał patrol policji. Wiola zauważyła policjantów z okna. Zanim zapukali do drzwi, ciało Niunia już leżało schowane w skrzyni wersalki. Wiola z dzieckiem i Jacek położyli się na niej, udając, że śpią. Policjanci przeszukali mieszkanie, ale niczego nie znaleźli. Na komisariacie złożyli raport, że anonimowy telefon był jedynie głupim żartem. Następnego dnia Jacek pojechał z dzieckiem do swojej mamy. Wiola i Robert A. poszli do pracy na cmentarz. Wojciech P. zagadnął Wiolę: I co z Niuniem?

Alkohol wywołał u mnie delirkę - skłamała Piorunowska. I dodała, że to jej się tylko wydawało. Ale nikt go nie widział… - miał powiedzieć P. Wiola odpowiedziała, że pewnie gdzieś jest.

Przez następne dwa dni wydawało jej się, że słyszy głosy, które ją prześladują.

Skarżyła się, że widzi myszki, ktoś za nią chodzi. Zaczęła się bać. Zwierzyła się z tego ciotce Zofii Ś. Podczas procesu ciotka zeznała, że spotkała Wiolettę z dzieckiem na ręku: Mamy trupa w mieszkaniu - powiedziała jej Wiola. Musisz iść na policję - doradziła jej ciotka.

Podczas rozprawy ciotka streściła dokładnie przebieg tragicznych zdarzeń i rozpłakała się.

Trzy dni później Wiola zgłosiła się na komisariat. Zatrzymano ją. Na miejsce zdarzenia wysłano kolejny patrol. Tym razem policjanci zajrzeli do wersalki. Zwłoki mężczyzny nadal tam były (nie przeszkadzało to zabójcom nocować w tym mieszkaniu i spać na tym posłaniu).

Ciało Niunia było zawinięte w kołdrę, dywan i kawałek starej wykładziny oraz dokładnie okręcone kablem elektrycznym. Policjanci zabezpieczyli ubrania zamordowanego (tkwiły w koszu na śmieci, nikt ich nie wyniósł), złamane ostrze noża

kuchennego, którym Robert próbował podciąć gardło Niuniowi, śrubokręt, a także nóż typu „motylek", którymi zadawano ciosy.

Biegły specjalista medycyny sądowej stwierdził już zmiany gnilne na zwłokach. W momencie zgonu Niunio miał we krwi trzy i pół promila alkoholu. Gdy zawijano go w kołdrę i dywan, już nie żył, ale gdyby wcześniej został zawieziony do szpitala, być może udałoby się uratować mu życie.

Wszyscy przyznali się do udziału w zbrodni, złożyli obszerne wyjaśnienia. Robert A. i Jacek próbowali jednak wybielić Wiolettę. To my dwaj go załatwiliśmy. Dziobaliśmy go nożem i śrubokrętem. Wiolka nie ma z tym nic wspólnego, tylko stała obok, zajmowała się dzieckiem. Wiola twierdziła, że niewiele pamięta, bo była zamulona po lekach. Robert, zanim zaczął Niunia nacinać w gardło, to go rozebrał do slipek. Potem już nie widziałam, co zrobił z rzeczami. Całe buty miał we krwi. Ja tylko lekko uderzyłam Niunia obcasem w szyję… - tłumaczyła się.

Sąd jednak nie dał wiary ich zeznaniom. Orzekł, że Jacek minimalizował winę Wioletty, bo są w konkubinacie i mają razem dziecko, a Robert A. jest z nią blisko spokrewniony. Zresztą ten chciał wziąć winę na siebie, bo zdawał sobie sprawę, że on i tak dostanie najwyższy wymiar kary (był już skazany za zabójstwo). Liczył, że jeśli weźmie winę na siebie, Jacek i Wiola dostaną mniejsze wyroki - orzekł sąd. Wioletta odmówiła udziału w wizji lokalnej. Nie chcę znów tego przechodzić. Poprosiła, by klucz od mieszkania przekazać siostrze Roberta A., Anecie. Ta jednak odmówiła i klucz wrócił do zakładu karnego, gdzie przebywała Wiola. Nie chcę mieć nic wspólnego z tą kobietą, tymi ludźmi i tą sprawą - odpisała.

Jedną z ważniejszych w tej sprawie była opinia psychiatrów na temat zdrowia oskarżonych. Stwierdzono, że zarówno Wioletta, jak i Jacek cierpią na upośledzenie umysłowe w stopniu lekkim, Robert A. zaś w stopniu umiarkowanym. Wszyscy mają także zaburzenia zachowania. Wioletta była karana za kradzież, jednak sąd nadzwyczajnie złagodził jej karę, uznając, że miała zniesioną poczytalność w momencie popełnienia przestępstwa.

Jacek przebywał już w więzieniu za pobicie ze skutkiem śmiertelnym, Robert był skazany za zabójstwo, ale na podstawie pozytywnej opinii kryminologicznej wyszedł na zwolnienie warunkowe po odbyciu połowy kary. Biegli uznali, że prognoza była chybiona. Jest bardzo duże prawdopodobieństwo, że w przyszłości popełni podobny czyn, niezależnie od tego czy jest trzeźwy, czy nie. Dlatego powinien być jak najdłużej izolowany od społeczeństwa.

Podczas postępowania przygotowawczego Wioletta trafiła na obserwację psychiatryczną. Z uśmiechem powtarzała, że nie rozumie, dlaczego ma być badana. Kiedy dwa lata temu chcieli mnie zawieść do wariatkowa, zdemolowałam mieszkanie. Teraz muszę być grzeczna. Na pytania odpowiadała rzeczowo, posługując się bogatym słownictwem. Biegła psycholog, Teresa Rogulska-Towarnicka, stwierdziła, że Wioletta wie i rozumie istotę prostych, konkretnych sytuacji życia społecznego, jednak zakres jej zainteresowań ogranicza się do zaspokajania podstawowych potrzeb biologicznych. Kieruje się w życiu motywacją doraźną, jest nastawiona na otrzymywanie gratyfikacji.

Groźba zawiadomienia policji o wybiciu szyb i podejrzenie o donosie… Jak błaha była przyczyna ich agresji - podnosił siedlecki sąd w uzasadnieniu wyroku. Co więcej, była ona skierowana przeciwko osobie znanej, wręcz bliskiej, z którą wiele razy spotykali

się na stopie koleżeńskiej.

Przerażające jest zwłaszcza to, co zrobili z ciałem zmarłego; pili alkohol przy leżących zwłokach, żartowali, a kiedy przyszli policjanci, schowali je do skrzyni wersalki i położyli się na niej! Wszystkiego tego dopuścili się w obecności zaledwie rocznego dziecka.

Dziecko było cały czas ze mną - tłumaczyła przed sądem Wiola. - Albo na kolanach, albo odchodziłam z nim do okna i drzwi, żeby nie widziało.

Jedenastego czerwca 2003 roku sąd skazał Wiolettę na osiem lat więzienia, Jacka na dwanaście, a Roberta A. na dziesięć lat. Dwa lata później, po apelacji prokuratury, sąd apelacyjny zaostrzył kary. Wiola ma spędzić w więzieniu dwanaście lat, Jacek dwadzieścia pięć, a Robert dostał dożywocie.

EPILOG 2012

Wioletta Piorunowska ze względu na zaburzenia psychiczne trafiła do ośrodka AGAPE w Nowym Stawie. Była wielokrotnie hospitalizowana i leczona farmakologicznie w szpitalu psychiatrycznym w Malborku. Jej stan zdrowia sukcesywnie się jednak pogarszał.

Pod koniec życia miała trudności z rozpoznawaniem osób, coraz bardziej odpływała w świat wyobraźni. Zmarła, nie mając kontaktu z rzeczywistością. Lekarze musieli podawać jej najmocniejsze leki przeciwbólowe. Śmierć uwolniła ją od koszmarnych cierpień fizycznych i psychicznych.

***

[1] Podczas rozmowy z autorką książki bohaterka rozmawiała z nawiedzającymi ją duchami. Przewracała oczami, używała dziwnego bełkotliwego języka - zlepka różnych słów, krzyczała, klęła, kłóciła się ze swoimi duchami. Kursywą wyróżnione zostały słowa, jakie padały w trakcie tych dygresji. Przekleństwa również oryginalne.

Małgorzata

Śmierć

Kiedyś starałam się o niej nie mówić, nie myśleć nawet. Ona gdzieś tam jest, ale mnie nie dotyczy. Nie dotyczy mnie ani moich bliskich. Nigdy nie umrą moi rodzice, nie umrze mój chłopak, pacjent też mi chyba nie umrze, jak będę dobrym lekarzem. A gdy ktoś umierał, jakoś się to wypierało. Tego nie było. Tymczasem okazało się, że śmierć trzeba akceptować, trzeba o niej rozmawiać, nie można chować głowy w piasek. I zaczęłam się z nią oswajać.

Jestem z nią już całkowicie pogodzona.

Jak byłam mała wzięłam najlepszy obrus mamy - wykrochmalony i uprasowany, używaliśmy go tylko na wigilię. Nasypałam do środka skórki od chleba, pokruszyłam ciastka, dorzuciłam dżemu i miodku, bo zauważyłam, że lubią słodycze, i postanowiłam założyć hodowlę faraonek.

Obserwowałam je: jak się mnożą, pracują, budują gniazdo. Opiekowałam się nimi. Mama odkryła to i bardzo się zdenerwowała. Wszystkie moje podopieczne wylądowały na śmietniku.

Na żywopłocie wokół szkoły siedziały biedronki. Złowiłam je do słoika. Słoik zakręciłam, żeby nie uciekły. Wszystkie się udusiły.

Ślimak mi uciekł. Ktoś go rozdeptał.

Kilkanaście gupików mieszkało w sporym, okrągłym słoju. Chciałam go wyczyścić, niedokładnie wypłukałam - zatruły się resztką płynu do naczyń.

Żółwia przywieźliśmy z Jugosławii. Potrafił być kilkanaście dni sam w domu. Rodzice kupili nową wykładzinę i wyjechaliśmy na weekend, żeby klej wysechł - tylko na dwa dni.

Żółw wszedł pod wykładzinę i zatruł się zwierzaczek.

Miałam pieska, a nawet dwa. Pierwszego przywiózł do schroniska leśnik. On długo nie pożyje - powiedział, wskazując na malutkiego jamnika. - To jest zwierzę do uśpienia.

Wzięliśmy go do domu, dałam mu na imię Gucio. Miał wadę serca, szybko umarł. Drugiego psa już kupiliśmy, też jamnika. Kali się nazywał. Cierpliwy i oddany. Mogłam go „męczyć", nigdy nawet nie warknął. Traktował mnie jak swojego szczeniaka - bronił przed obcymi, nikt nie mógł do mnie podejść, tak mnie kochał. Ten żył dłużej, ale miał słaby kręgosłup - po kilku latach dysk mu wypadł i na spacery trzeba było go wynosić, męczył się. Rodzice tego nie wytrzymali. Byłam na studiach, jak decyzja zapadła. Piesek usnął u mamy na rękach.

Na studiach, w ramach terapii, hodowałam pająka. To był jeden z tych dużych, tupiących. Miał taki wielki brzuch. Polubiłam go. Łapałam srebrzyki z wanny, żeby miał co jeść. Po kilku tygodniach zdechł. Nie miał imienia. Zdzichu na niego mówiliśmy.

Ludzie uważają, że śmierć jest czymś złym, ale myślę, że to wynika z egoizmu. Jeżeli odchodzi ktoś, kogo kochamy i kto nas kochał, to osoba, która zostaje przy życiu, myśli tylko o sobie. Straciłam miłość, bliskość, ciepło, bezpieczeństwo. Straciłam obiekt, który mogłam kochać. Jestem zdania, że to czysty egoizm.

Babcia umarła na zawał, miałam może z siedem lat. To był pierwszy człowiek, który umierał przy mnie. Wujek poszedł do telefonu wezwać pogotowie, a ja zostałam z babcią. Trzymała mnie za rękę. Była spokojna i ja też się nie bałam. Skupiałam się na tym, co

mówiła: Jeszcze się zobaczymy. Leżała w takim szarogranatowym fotelu, a ja siedziałam obok na taborecie, oparta o jej nogę. Jedyne, co było dziwne, to ten grymas na jej twarzy. Poza tym zachowywała się normalnie, mówiła do mnie, pewnie, żeby mnie uspokoić. Potem przyjechało pogotowie, a ja zostałam przepchnięta do innego pokoju. Nie pamiętam, co działo się dalej. Jakieś przebłyski. Wujek płakał, nie rozumiałam dlaczego. Nie wiedziałam jeszcze, że śmierć jest straszna.

Babci w trumnie nie pamiętam. Żywą tak, ale w trumnie nie. Pierwszy kontakt ze śmiercią człowieka zapamiętałam jako dwa w jednym: siedząca na fotelu babcia, która umiera, jest spokojna. I jej syn, mój wujek - tak strasznie zapłakany. Te dwie twarze widzę do dzisiaj.

Pierwszy raz zapłakałam po niej na komunii. I może nie tyle płakałam za babcią, co za tym wianuszkiem, który obiecała mi zrobić. To było bardzo dziecięce. Potem wiele razy mi jej brakowało: na rozdaniu dyplomów, jak już uzyskałam dyplom lekarski, na pierwszym przesłuchaniu. Po babci umarł jeszcze brat taty, nie byłam na pogrzebie. Poza tym niewiele bliskich osób mi umarło.

Na szczęście moi rodzice żyją do dziś. Tato ma sześćdziesiąt siedem, mama jest o dwa lata młodsza. Jeszcze za młodzi są na śmierć, choć boję się strasznie, że kiedyś umrą. Przecież to nieuniknione, nie da się od tego uciec, to przyjdzie. Jedyną rzeczą, o którą proszę Boga, jest to, żeby byli jak najdłużej. I wiem, że to mój egoizm. Bo nie boję się ich śmierci, ale samotności, jaką po sobie zostawią. Nie boję się, że im będzie źle. Jeśli nie będą cierpieć, ich śmierć nie będzie niczym złym. To będzie dobra śmierć. Tylko mnie będzie źle. We mnie zostanie pustka, której wspomnienia nie wypełnią.

Nie wierzę, że na Sądzie Ostatecznym Bóg mi powie: Zrobiłaś źle to, to i to. Nie chcę cię! Wierzę w Boga i to w Boga dobrego, który nie stoi, nie krzyczy, nie patrzy krzywo. I w takiego, który nie karze za wszystko, ani nie obarcza nikogo grzechami innych. Nie jest okrutny. Owszem, doświadcza ludzi - myślę tu o tych, których doświadcza chorobą, śmiercią własną albo kogoś bliskiego - ale wierzę, że On nie robi tego za karę, tylko próbuje nas czegoś nauczyć albo czemuś zapobiec. Może to, że w danym momencie ktoś złamał nogę, spowodowało, że nie zdradził żony? To oczywiście tylko przykład i prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy. Przynajmniej w tej ziemskiej części życia. Nie ukrywam się przed Nim.

Nie robię uników, jak niektórzy: może na mnie nie patrzy, może mnie nie słucha, może nie myśli, może zapomni. Wręcz odwrotnie.

Nie boję się śmierci. To tylko przejście do innego etapu życia. Kiedyś takie piękne zdanie usłyszałam: Człowiek nie umiera, po prostu się dwa razy rodzi. Wydaje mi się to magiczne. I daje nadzieję, że mam przed sobą inne życie albo ciąg dalszy tego samego, tylko już w innym kształcie. Może lepsze? Może bardziej tajemnicze? Może cieplejsze, szczęśliwsze? Na pewno inne. Nie mam się czego obawiać.

Piotruś był starszy ode mnie o jakieś trzy lata. Mieliśmy taką paczkę, spotykaliśmy się na żaglach, na sylwestra. On na moich oczach się usamodzielnił - założył rodzinę, urodziło mu się dziecko i pewnego pięknego dnia po prostu zdarzyła się tragedia. Już byłam na studiach, kiedy załapał jakąś pracę dorywczą na budowie. Pracował bez zabezpieczeń i zasypało go w nieoszalowanym dole. Zanim go zasypało, podniósł rękę - dzięki temu wiedzieli, gdzie go szukać. Odkopali go, przeżył, ale zapadł w śpiączkę. Był jak roślina. Zbieraliśmy pieniądze, żeby ściągnąć lek, który w Polsce nie był dopuszczony do

sprzedaży. Nie gwarantował, że jego stan się poprawi, ale dawał jakąś nadzieję. Znajomy neurolog, który badał Piotrka, powiedział mi: Małgorzata, to nic nie da, ty studiujesz medycynę, wiesz o tym. Wiedziałam, a jednak chciałam spróbować. Może robiłam to dla nas - dla przyjaciół, dla jego rodziny…

Ściągnęliśmy ten lek. Nic nie pomógł, chociaż jego żona, matka i my, nasza paczka, dopatrywaliśmy się poprawy. Wmawialiśmy sobie, że lek działa, że Piotrek się do nas uśmiecha, że nas widzi… Potem okazało się, że to były jedynie grymasy, jakieś tam zwarcia w komórkach, po prostu część jego mózgu pracowała, a część nie. Piotruś jakiś czas brał lek, potem przestał - nie było nas na niego stać. Nigdy nie zapomnę mojego ostatniego dnia stażu.

Przyszłam do pracy i dowiedziałam się, że Piotruś dzień wcześniej zmarł. Strasznie się popłakałam. I chociaż wiedziałam, że Piotrek w pewnym sensie się wyzwolił, byłam na niego zła. To była mieszanina złości i żalu: Dlaczego odszedłeś! To było bardzo dziwne, niesamowite wręcz, bo okazało się, że każdy miał do niego o to pretensje. Nigdy więcej nie spotkałam się ani z jego żoną, ani z jego matką. Nasza paczka się rozpadła. Na pogrzeb nie poszłam. Zapamiętałam go takiego, jakiego znałam całe życie, nie jak roślinę.

Tę malutką dziewuszkę znałam kilka miesięcy. Teraz już nie pamiętam, jak miała na imię. Opiekowałam się nią. Na pediatrię onkologiczną przychodziłam dwa razy w tygodniu. Miała może ze cztery latka i przepiękne loki - czarne, bujne, mimo że leżała na onkologii. Włosy, które odrastają po chemii, są inne niż te, które wcześniej wypadły, ale to nieprawda, że wypadają na zawsze.

Kiedy dzieci wracały do nas po dłuższej remisji, potrafiły wyglądać całkiem normalnie - miały włosy, były nawet okrąglejsze - to skutek działania określonych leków. Choroba nowotworowa była jednak tak silna, że te dzieci umierały, ale nie zdążały zbliżyć się wyglądem do osoby umierającej. I to było chyba najokrutniejsze. Dosłownie kilka dni wcześniej widziałam ją w szpitalu. Rozmawiałam z nią, badałam ją, bawiła się z nami, śmiała…

To zabrzmi dziwnie, ale te dzieci wiedzą, że odchodzą. Dlatego chcą swoje krótkie życie przeżyć intensywniej, lepiej. Skądś wiedzą, że mają mniej czasu. I one bardziej uspokajają nas żywych, niż my je. I właśnie ta dziewczynka obdarzyła mnie mądrością osoby, która umiera. Nie wiem, skąd miała w sobie tyle siły, ciepła i spokoju, ale czasami mówiła, jakby była dorosła. To ona tłumaczyła rodzicom, na czym polega śmierć. Taka osoba zapada w pamięć. Taką osobę się lubi i gdzieś w sercu ją umieszcza. Bo ona umierała, a śpiewała, tańczyła. Ja odchodzę - mówiła z uśmiechem.

Sala sekcyjna na anatomii patologicznej jest okrągła. Stół jest na dole. Studenci wchodzą od góry i schodzą w dół. Nikt nie wiedział, jaka akurat tego dnia będzie sekcja, bo nigdy nie było wiadomo, co jest dla nas przygotowane. Zobaczyliśmy ją z góry… Króciutkie małe ciałko pod prześcieradłem. Twarz całkowicie zakryta. I te bujne loki wypływające spod prześcieradła, rozsypane na całym stoliku. Wszystkich nas zahamowało, zastopowało. Było jasne, że to ona. Niby każdy z nas był przygotowany, że to dziecko umrze, a jednak wierzyliśmy, że jesteśmy cudotwórcami, że jesteśmy w stanie jej pomóc. Prawie jak bogowie.

Zanim zeszliśmy z tych schodów i stanęliśmy w ławeczkach, jej ciało zostało odsłonięte. To był pierwszy moment, kiedy poczułam grozę śmierci.

Już wcześniej wiedziałam, że tego dnia ja będę wykonywała sekcję. Nie wiedziałam

tylko czyją. Na roku jest średnio od dwustu do czterystu osób, każdy student w ciągu roku wykonuje zaledwie dwie sekcje. Prawdopodobieństwo, że jej sekcja trafi się mnie, było minimalne. Tutaj akurat tak się złożyło.

Kiedy prowadzący mnie wywołał, powiedziałam, że nie, nie wykonam tej sekcji, nie mogę… Myślę, że zostało to zrozumiane, bo nie poniosłam konsekwencji takiego zachowania.

Cóż, byłam młodą kobietą, niedoświadczonym adeptem sztuki lekarskiej. Prowadzący zrozumiał, że opiekowałam się tą dziewczynką i zdążyłam z nią się zżyć. Zresztą nikt z nas nie podjął się wykonania tej sekcji. Patrzyliśmy, jak to robi prowadzący. Zostałam do końca zajęć. Mieliśmy zbadać, dlaczego umarła. Sprawdzić, jakich błędów można było uniknąć w terapii.

Każdą sekcję zaczyna się od sprawdzenia, jak wygląda mózg. W momencie, gdy otwiera się mózg, cały skalp jest już przesunięty na twarz. Więc bodziec wzrokowy, przypominający, że to osoba, którą znaliśmy, się minimalizuje. Zaczęłam sobie radzić z tą sytuacją. Nawet te jej włosy przestały tak upiornie działać. Nie zostały obcięte, ponieważ po sekcji każdy człowiek jest tak przygotowany, żeby można było spokojnie wydać ciało rodzinie - a rodzina ma prawo zapamiętać tę osobę tak, jak powinna, czyli nieuszkodzoną i niepokaleczoną.

Nie czułam ani obrzydzenia, ani odrazy. Tylko ten niesympatyczny, duszący zapach rozprzestrzeniający się na sali. Wchodzący w nozdrza, w ubranie, w skórę. Słodkawy, drażniący, drapiący. Oczy pieką, piecze gardło, piecze nos. Przez całe kilkanaście godzin. I nawet po wyjściu zostaje we włosach, ubraniu, nawet w naskórku. Nie pomaga prysznic.

Człowiek wychodzi z zajęć odurzony tym zapachem i czuje go cały czas. Ten zapach zapamiętam do końca życia. Ale te ciała, na których ćwiczyliśmy na pierwszym roku studiów, to nie jest tak naprawdę…

Ciało ludzkie

Wiedziałam, że na studiach będę musiała obcować ze zwłokami. Nie było we mnie strachu. To w końcu nadal człowiek. Co zwłoki mogą mi zrobić? To raczej ja mogę im coś zrobić, na przykład przeciąć skórę nie tak, jak trzeba. A zajęcia z anatomopatologii wszyscy muszą przejść, lekarz nie może się bać ciała zmarłego.

Każde dziecko bawiło się w dzieciństwie gumowymi laleczkami. A ciało ludzkie, zanim trafi na stół, długo nasącza się formaliną. Jest napuchnięte i nie ma koloru czysto ludzkiego. Nie ma koloru krwi, nawet mięśnie, one są szarofioletowe. A całość specyficzna, szaroziemistoperłowa. To ciało jest mniej realne. I nie pachnie trupem. To brutalne, ale w naturalnych warunkach zwłoki ludzkie mają zapach psującego się mięsa, jakby zgnilizny, wyziewów z jelit. Coś między zapachem żółci a psującego się pożywienia. Czasami ten zapach jest gorzkawy, dziwny, za to bardzo charakterystyczny. Kto raz w życiu poczuł zapach trupa, już zawsze go rozpozna.

Ale - jak mówiłam - widok zwłok nie był dla mnie wielkim wstrząsem. To był raczej życiowy podręcznik - organizm ludzki, najdoskonalsza forma życia, którą dzięki śmierci mogłam zbadać. By w przyszłości nieść pomoc innym.

Pamiętam pierwsze wejście na salę sekcyjną, pierwsze spojrzenie na zwłoki. To był moment nabożeństwa, cisza jak makiem zasiał. Podeszłam do stołu i pomyślałam, że ten człowiek kiedyś żył, ale już jest martwy. Oprócz mnie na sali było jeszcze pięć osób. Nie

pamiętam, co pierwsze preparowałam. Sekcja to zabieg, w którym wszyscy uczestniczą i pomagają sobie nawzajem. Pełna współpraca. Nie jest bynajmniej tak, że ja preparuję, a tamci stoją z boku. Pracujemy zawsze we dwoje, zwłaszcza na początku. Żebym ja mogła zrobić nacięcie w odpowiednim miejscu, ktoś odsuwa warstwę skóry czy mięśni. Najpierw prowadzący zajęcia pokazuje nam, jak to zrobić; odsłania jakąś ważną żyłę, kość. Pokazuje.

Potem, kiedy mamy już pewną wprawę - bo trzeba wiedzieć, jak trzymać skalpel, żeby nie zrobić krzywdy sobie czy kolegom stojącym obok - próbujemy. Ale to nie jest takie proste, jak się wydaje. Jedno naczynie i drugie naczynie przebiegają bardzo blisko nerwu i choć nie jest to operacja na żywym ciele, to jednak jest duże przeżycie. Przede wszystkim zwłoki nie są miękkie jak tkanka zdrowego, żywego człowieka. Mimo iż nasączone formaliną, mają twardszą konsystencję i jeżeli ten skalpel wymsknie mi się, a ja nie wyczuję, że gdzieś go wbiłam, może mi się na przykład ześlizgnąć i pokaleczyć. Te nasze ćwiczebne zwłoki z każdym dniem zajęć wyglądały coraz gorzej. Coraz mniej jak laleczka. My za to byliśmy coraz bardziej z nimi oswojeni i w pewnym sensie chyba darzyliśmy je nie tyle szacunkiem, co sympatią. Ale ja nie chciałam iść w tym kierunku - anatomopatologia to raczej zajęcie dla naukowców, ja chciałam być lekarzem.

Ratować życie

Mogłam wybierać: stomatologia lub medycyna ogólna, wybrałam to drugie.

Uważałam wtedy, że dentysta to rzemieślnik, a lekarz - twórca. Byłam lekarką z powołania.

W dzieciństwie leczyłam lalki i misie. Wzruszały mnie biedne dzieci, kulejące psy, chore ptaszki. Nie bałam się widoku krwi. Od zawsze chciałam pomagać ludziom. Medycyna była moim wielkim marzeniem. Uczyłam się bardzo dobrze, z matematyki startowałam w olimpiadach. W mojej rodzinie nigdy nie było lekarzy, nawet pielęgniarek. Mama jest pedagogiem i psychologiem, tata - inżynierem sanitarnym. Kiedy powiedziałam rodzicom, co zamierzam studiować, najpierw chcieli mnie od tego odwieść. Potem tylko przestrzegali, że będzie ciężko. Większość studentów medycyny to są dzieci lekarzy, obcujące na co dzień z sytuacjami, słownictwem i zwyczajami świata lekarskiego.

Mnie nikt nie mógł pomóc, a wtedy było trzynaście osób na jedno miejsce. Udało się dopiero za drugim razem.

Pamiętam swój pierwszy wyjazd karetką. Przyszłam do pracy na siódmą i zaraz było wezwanie. Ledwie zaczęłam pakować torbę lekarską. Jestem dość precyzyjną osobą - wzięłam aparat do mierzenia ciśnienia, słuchawki, stertę długopisów, karteczek, nawet pharmindex[1], żeby wiedzieć, co pacjentowi przepisać. Wsiadłam do karetki i całą drogę przypominałam sobie wszystko, co wiem na temat cukrzycy, ale dojechaliśmy do pacjentki, a ja nie doszłam nawet do momentu, co zrobić w razie śpiączki cukrzycowej. Potem okazało się, że to klasyczny błąd świeżo upieczonego lekarza, bo nie na tym rzecz polega. Nie ma czasu na zastanawianie się, czy pamiętam, co było w książkach. Trzeba wejść i zachować się jak odpowiedzialny lekarz. Trzeba zaufać intuicji i temu, co mózg zanotował. Wiedza, kiedy jest potrzebna, przychodzi sama. Jeśli była gromadzona latami, to ona jest. Ale ważna jest nie tylko głowa pełna wiedzy, także rutyna. I to był taki pierwszy prawdziwy egzamin. Dobrze wiedziałam, jak się zachować. To był impuls. I tak już zostało.

Pracowałam w pogotowiu, codziennie musiałam ratować życie. Nie było czasu na myślenie, na zastanawianie się. Nauczyłam się zachowywać zimną krew i szybko reagować.

Liczyły się sekundy. Wtedy zauważyłam coś niezwykłego. Nie wiem dlaczego, ale od dzieciństwa mam problem z poceniem się rąk. Dłonie są zawsze wilgotne, a nawet mokre, kiedy się bardziej zdenerwuję. W szkole biegałam z bibułką, na klasówce musiałam podkładać czystą kartkę - inaczej długopis się rozmazywał i wszystko płynęło (z tego powodu przy wyborze kierunku studiów wszystkie zawody kreślarskie odpadały na starcie). Kiedy kogoś poznawałam i musiałam podać dłoń, a chciałam dobrze wypaść, ta natychmiast była mokra. Kiedykolwiek musiałam coś szybko zrobić, napisać - dłonie momentalnie spływały wodą.

Dlatego, jak się dostałam na medycynę, wiedziałam, że nie mogę być stomatologiem albo lekarzem pierwszego kontaktu. Marzyłam o chirurgii, ale ponieważ jestem kobietą, nie było dla mnie miejsca. Szkoda, bo to niesamowite wyzwanie i dla mnie osobiście, chirurgia jest bardzo piękna… Wjeżdża chory człowiek, zjeżdża ze stołu zdrowy. Trochę jak mag, cudotwórca. Otwiera go i widzi wszystko. Wie o nim wszystko, co go interesuje. Na dodatek, jeśli ktoś czuje się mało pewny w obcowaniu z ludźmi, to jest to dla niego idealna dziedzina.

Ma kontakt z pacjentem jedynie, jak go przyjmuje, bada, a potem nie musi z nim rozmawiać.

Bez konieczności konfrontacji, podawania mokrych dłoni.

Ja miałam szczęście pracować w pogotowiu. Bo - co najdziwniejsze - w największym nawet stresie, kiedy balansowałam na granicy życia i śmierci, próbując ściągnąć na tę stronę kolejnych ludzi, ani razu, nigdy nie miałam mokrych dłoni.

Może dlatego, że podczas reanimacji pracuje się na najwyższych obrotach? Tak jakby wewnątrz mnie był ktoś zupełnie inny - to on decyduje, on działa. Jest wewnętrzny spokój, ale… nie wiem jak to określić - to jest spokój graniczący ze stanem podniecenia. Robi się wszystko, co jest dostępne. Świat wokół przestaje istnieć. I może dlatego momentami miałam takie jakby zaniki pamięci. Po każdym wyjeździe, także po reanimacji, trzeba napisać w raporcie, jakie były objawy, co się działo, co zrobiłam, żeby uratować pacjenta. Zdarzało się, że nie pamiętałam. Ale wtedy nie myśli się o niczym, tylko wykonuje swoje obowiązki. Nie ma czasu na rozważania, co pacjent czuje, co ja czuję, ani co by było, gdyby mi się nie udało, gdyby ten ktoś umarł…

Spotykałam niedoszłych samobójców, często mieli pretensje, że ich uratowałam.

Zdarzało się, że osoba była terminalnie[2] chora, cierpiąca od iluś lat. Czy ona naprawdę chce żyć, czy ona chce, by jej pomóc, czy chce umrzeć? Nad tym się nie zastanawiałam. Nie zastanawiałam się, co myślą ich rodziny. Złożyłam przysięgę, że będę ratować życie i z mojej strony nie miało nawet prawa paść pytanie: Mam pomagać czy nie? Zawód lekarza jest zawodem humanistycznym, ale nie ma w nim czasu na filozofię. Ważne jest tylko to, że ten człowiek ma przeżyć.

Nie zawsze to się udaje. Kiedyś pod kościół wyniesiono człowieka, wezwano nasz zespół. Zaczęłam go ratować: rozpoczęłam masaż serca, podłączyłam kroplówki, przyłożyłam worek ambu[3]. Potem przyjechała erka i oni kontynuowali reanimację, my musieliśmy jechać do innego przypadku. Po powrocie do stacji dowiedziałam się, że ten pan zmarł.

Medycyna to wiedza niezwykle precyzyjna. Jak zajmujemy się prawym okiem, to tylko prawym, a nie lewym. Ale tak naprawdę lekarz powinien leczyć nie tylko ciało, duszę także. A jeśli tak, to musi mieć zdolność wiary. W Boga, w cuda, w siły, które działają gdzieś obok. Mimo tej silnej wiary czasem musi przyznać, że jest bezsilny, że nie może pomóc, że nie wie, jak pomóc. I nie pomoże, musi pogodzić się ze śmiercią. Zdarza się jednak, że wraca do takiego pacjenta za miesiąc, rok i okazuje się, że pacjent powinien nie żyć, a żyje. I to nie jest zasługa lekarza. Tutaj zadziałało to Coś. Siła boska, Matka Natura… A może ten lekarz nieświadomie nasycił ten umierający organizm mocą, pobudzając go do walki z chorobą? My tak do końca nie znamy działania organizmu ludzkiego, nie znamy siły oddziaływania ludzkiej psychiki na stronę fizyczną ciała. Więc w całym konkrecie, w całej precyzji medycyny jest miejsce na mistykę. Myślę, że ja ją znajdowałam.

Społecznie jestem martwa

Kiedy mnie aresztowano, miałam dopiero dwadzieścia siedem lat. Myślałam, że mam jeszcze dużo czasu.

Niemożność kontynuowania pracy zawodowej to był dla mnie pierwszy i największy cios po aresztowaniu. Dotknęło mnie to już na drugi dzień - bolało fizycznie, że nie mogę być z moimi pacjentami. Słyszałam sygnały karetek i idealnie rozpoznawałam wszystkie z mojej podstacji. One budziły mnie w nocy. S-64 jedzie, S-72, a teraz noworodkowa - mówiłam.

Patrzyli na mnie jak na wariatkę. Dla większości ludzi sygnał karetki pogotowia jest jednakowy, ale nie dla mnie. Każdy kierowca ma swój własny sposób przełączania modulatora dźwięku i jeśli się z tym zespołem spędza dwanaście godzin dziennie, co dwa trzy dni, to gdzieś w człowieku zostaje - dlatego je dokładnie rozpoznawałam i precyzyjnie podawałam numer zespołu wyjazdowego. Może w jakiś sposób rozpoznawałam to sercem?

Nie wiem, ale trwało to bardzo długo. Było jak wołanie, że ja mam być tam, tam jestem potrzebna, a nie tu - zamknięta.

Pustka z powodu braku rodziny przyszła później. Bardzo chciałabym mieć dzieci.

Gdybym teraz nagle i gwałtownie umarła, najbardziej będzie mi żal, że tak krótko pracowałam w zawodzie. Nie zostaną w związku z tym wspomnienia, że byłam potrzebna innym, że zrealizowałam się jako lekarka. Obawiam się, że ta przegroda - moment śmierci - wyeliminuje wszystkie te wspomnienia. I z tego życia nie będę po śmierci nic pamiętała.

Gdybym zaś umierała w wieku osiemdziesięciu lat, żałowałabym, że umieram po rodzicach.

Oznaczałoby to ileś lat samotności i odseparowania się. Jestem z nimi bardzo związana i boję się, że po śmierci już nie odrobimy tego czasu, który mogliśmy być razem. Pewnych rzeczy nie da się cofnąć, ani odwrócić.

Przeżycie procesu, to, że znalazłam się za kratami, też było rodzajem mojej śmierci - społecznej. Ta Małgorzata z wolności nie istnieje, można powiedzieć, że już nie żyje.

Jestem teraz kimś zupełnie innym

Nauczyłam się cierpliwości. Kiedyś, jak każdy młody człowiek, chciałam mieć wszystko szybko, najchętniej małym kosztem. Chciałam, żeby wszystko szło po mojej myśli, a jak nie, to się denerwowałam - obgryzałam paznokcie, skórki, grymasiłam. Nie lubiłam stać w kolejkach do lekarzy - jak miałam w przychodni czekać, to wolałam wyjść i

sama się leczyć. Ale tego się nauczyłam przez te dziesięć lat siedzenia - cierpliwości. Przykład: W bibliotece, gdzie pracuję, powinnam być na daną godzinę, ale sama z celi nie wyjdę, musi przyjść po mnie wychowawca. Spóźnia się. Prawdopodobnie dawniej tupałabym nogami i chodziła nerwowo naokoło stołu. A dziś? W tej chwili nie przyszedł, to… nie przyszedł.

Przyjdzie. Czekam spokojnie. Inna sytuacja - mają przyjechać rodzice. Powiedziane było, że będą o dziesiątej, a ich nie ma. Ale nie łapię nerwowo za telefon, żeby sprawdzić, czy jadą, czy nie. Spokojnie czekam. Wiem, że za godzinę się tego dowiem. Najwyżej martwię się, czy coś się nie stało.

Nauczyłam się też szalonej pokory. Wiem, że nie jestem pępkiem świata. Wiem, że są ludzie, którzy są bardziej dotknięci przez los niż ja. Bardziej cierpią, bo są terminalnie chorzy albo kogoś stracili. Tacy, którzy nie mają nadziei, na przykład z wyrokiem dożywocia. Mój wyrok kiedyś się skończy, ich już nie. Osoby, które nie mają bliskich, na których mogłyby polegać. Osoby, które nie mają marzeń. Osoby, które są niepogodzone z samym sobą, zniszczone emocjonalnie. Osoby, które nie potrafią marzyć, które boją się myślenia o przyszłości, tylko żyją chwilą obecną - od obudzenia się do zaśnięcia. Tym osobom jest z pewnością trudniej.

Chciałam być chirurgiem. Chciałam być jak najlepszym lekarzem. To było tak ważne, że zrezygnowałam z szukania partnera życiowego, z potrzeby założenia rodziny. Najpierw chciałam osiągnąć coś w zawodzie, a potem zająć się życiem osobistym. Myślałam, że nie da się pogodzić tych dwóch ról - albo się jest dobrą żoną, dobrą matką, albo jest się dobrym lekarzem. Lekarz uczy się całe życie, jednak szczególnie kiedy stawia swoje pierwsze kroki.

Wtedy najbardziej się boi, a jednocześnie najbardziej chłonie wiedzę i zbiera doświadczenia.

Jeżeli będzie miał głowę zaprzątniętą rodziną, to się nie zrealizuje, czyli nie będzie ani dobrym lekarzem, ani człowiekiem wzorowo spełniającym się w roli żony i matki. Dlatego stłumiłam w sobie naturalną potrzebę posiadania kogoś bliskiego. Wystarczyli mi w tym okresie rodzice, ja sama, plus mój zwierzak w domu. Wtedy najważniejsze było dla mnie to, że jeśli rano stałam przy pacjentce podczas operacji, to wieczorem jechałam do niej, żeby zobaczyć, jak się czuje. Tymczasem bardzo często osoby bliskie nie są w stanie tego zrozumieć, uważają, że to nadinterpretacja zachowania lekarskiego. Chciałam tego uniknąć.

Uniknąć pytań: A po co ty tam jeździsz? Zwłaszcza wśród lekarzy, którzy byli związani z nie lekarzem, brakowało tego zrozumienia. A przecież po wyjściu ze szpitala nie przestawałam być lekarzem. I to, że ciągnęło mnie do pacjenta, ułatwiło mi zrezygnowanie z budowania jakiegokolwiek trwałego związku i szukania oparcia w domu.

Bo jeśli się w coś angażuję, to całą sobą. Jestem maksymalistką. Gdy w coś wchodzę, to na sto dwadzieścia procent. To dlatego rodzina, mąż, dzieci - to wszystko spychałam na później. Kiedyś… Myślałam: zrobię specjalizację jedynkę (ginekologia położnictwo), potem dwójkę (może ginekologia operacyjna), a co potem - nie wiem. Ale przecież nie jest tak, że ja sobie planuję i to się spełnia, idzie jak z płatka. Dopiero w trakcie okazałoby się, co tak naprawdę było mi pisane.

W dzieciństwie bardzo chciałam mieć rodzeństwo. Wciąż prosiłam rodziców o starszego braciszka. Nieraz zazdrościłam koleżankom w szkole, które opowiadały, że starszy brat kogoś potrząsnął, bo ten ktoś ciągnął je za warkoczyk, czy wyzywał. To

wydawało mi się fajne, że jest osoba, która się zaopiekuje. Oczywiście były też takie sytuacje, gdy cieszyłam się, że jestem sama. Nie trzeba było z nikim dzielić pokoju, zabawki były moje. Nie musiałam patrzeć, jak się dwie siostry czy brat z siostrą pokłócili. Ale jako dziecko chyba nie akceptowałam tego, że jestem tylko ja, bo zawsze się dopytywałam: kiedy… może by jednak…

Zaakceptowałabym rodzeństwo, jakiekolwiek by było, siostra, brat - wszystko jedno. Nie czułabym się sama.

Zło i dobro w nas się miesza. Raz dominuje jedno, raz drugie. Nie ma do końca złych ludzi, bo każdy, kto żałuje, nie jest w stu procentach zły. Mówi się: taki dobry człowiek był i umarł. O każdym umarłym mówi się tylko dobrze, bo tak chcemy go zapamiętać. Najważniejsze jest nie to, co mówią o nas inni, ale co my sami sądzimy o sobie. To, jak się postrzegamy. Czy możemy spojrzeć sobie w oczy i powiedzieć, że jesteśmy wobec siebie fair. Nie jestem do końca zła ani dobra. Czasem chcemy dobrze, a wychodzi tragicznie.

Jeden z moich jamników, Kali, zeskakiwał z czegoś, dysk mu wypadł i był sparaliżowany. Próbowaliśmy go leczyć różnymi sposobami, między innymi nagrzewać lampą w podczerwieni, na zmianę z zimnymi kompresami. Byłam wtedy w szkole średniej.

Tak bardzo chciałam mu pomóc, że zamiast naświetlać go z półmetrowej odległości, przystawiłam lampę w odległości dziesięciu centymetrów i go popaliłam. Spaliłam mu całą skórę, odchodziła płatami, aż na wierzchu zaczęły sterczeć kości kręgosłupa. Nie miałam świadomości, że tak się stanie. Nie chciałam. Myślałam, że robię dobrze - przecież nie wyrywał się, nie piszczał, nie skomlił. Lekarz powiedział, że nic nie czuł. We mnie wina została do dziś. To była najgorsza rzecz, jaką w życiu uczyniłam. Nie pozwoliliśmy uśpić Kalego, jeszcze trochę pożył, był nawet radosny i wesoły. Może tak powinno być - i u zwierząt, i u ludzi - cieszmy się w życiu tym, co mamy.

Małgorzata Połczyńska[4]
(ur. 7.03.1969)
ofiara: żona kochanka
motyw: miłość, usunięcie przeszkody na drodze do szczęścia
narzędzie zbrodni: pasek parciany
przyznanie się do winy: nie
wyrok: 25 lat
koniec kary: 7.02.2022

Małgorzata jest jedynaczką. Urodziła się 7 marca 1969 roku w niewielkim miasteczku na Podkarpaciu. Jej rodzice mieszkają tam do dziś. Małgorzata jest z nimi bardzo mocno związana emocjonalnie, zwłaszcza z matką. W momencie aresztowania córki oboje byli czynni zawodowo. Ojciec jest inżynierem, matka pedagogiem - pracowała w poradni zawodowo-wychowawczej.

W domu państwa Połczyńskich nigdy nie brakowało pieniędzy. Dzieciństwo miałam wspaniałe. Rodzice troszczyli się o mnie, dbali o moje zdrowie i wykształcenie.

Małgorzata nigdy nie zetknęła się w domu z nałogami: alkoholizmem, paleniem papierosów czy narkotykami. Nigdy nie paliła, ani nie narkotyzowała się. Alkohol (wino lub piwo) piła sporadycznie - kilka razy do roku. W rodzinie nie było także chorób psychicznych.

W dzieciństwie przeszła zwichnięcie stawów biodrowych, dlatego zaczęła chodzić dopiero, kiedy skończyła trzy lata. Poza tym rozwijała się dobrze - mówiła o czasie, nie moczyła się, nie przechodziła ciężkich chorób. Miała tylko jedną nieprzyjemną dolegliwość - odkąd pamięta, bardzo pociły się jej dłonie. W sytuacjach stresowych były nie tylko wilgotne, ale mokre od potu. Kobieta nie wie, dlaczego.

Nie chodziła do żłobka, do przedszkola zaczęła uczęszczać jako pięciolatka, jednak z tego okresu niczego nie pamięta. W wieku sześciu lat, po badaniach psychologicznych, poszła do szkoły. Nie sprawiała żadnych kłopotów wychowawczych. Była wzorową uczennicą. W liceum postanowiła, że będzie zdawać na medycynę. Chciałam być lekarzem, pomagać ludziom. Ale za pierwszym razem oblała egzaminy. Poszła do pracy jako salowa, aby mieć dodatkowe punkty i za rok spróbować ponownie. Udało się. Była pilną studentką, naukę na akademii medycznej ukończyła o czasie, odbyła także wymagany staż w szpitalu. Dopiero na studiach, w wieku dwudziestu trzech lat rozpoczęła życie seksualne. Miała swojego chłopaka, chodziła z nim przez trzy lata.

Trzeciego listopada 1995 roku została przyjęta do pracy jako lekarz - asystent w kieleckim pogotowiu. Mniej więcej w tym samym czasie rozpoczęła specjalizację ginekologiczną. Chciała być ginekologiem - chirurgiem. Wtedy nie myślałam o małżeństwie, a tym bardziej o dzieciach. Szef kliniki ginekologicznej, który przyjmował mnie na specjalizację, postawił warunek: żadnej ciąży! Liczyło się dla mnie wtedy głównie życie zawodowe, kariera. Chciałam najpierw zrobić tę specjalizację. To było najważniejsze.

W pogotowiu przydzielono ją do podstacji numer osiem. Nie miała żadnych problemów z adaptacją w nowym miejscu pracy, nieco stresującym. Nie wchodziła z nikim w konflikty. Zapamiętano ją jako sumienną, obowiązkową, lubianą lekarkę, która dobrze wykonywała swoje obowiązki. Zarzucano jej natomiast nieumiejętność utrzymywania zawodowego dystansu ze średnim i wyższym personelem. To przesada, chyba miałam prawo być na ty z rówieśnikami - tłumaczyła się podczas procesu sądowego.

W tej samej podstacji pogotowia od trzech lat pracował już trzydziestotrzyletni Robert K.

Zdarzało się, że Małgorzata i Robert mieli wspólne dyżury. Robert, jako doświadczony lekarz pogotowia, pomagał nowej, niezwykle atrakcyjnej koleżance.

Małgorzata pytała go o radę, żaliła się, zwierzała. Miała wtedy dwadzieścia siedem lat.

Byłam nim zafascynowana; jego wiedzą medyczną, doświadczeniem, osobowością.

On mnie uczył, radził, pomagał we wszystkim. Wiedziała, że mężczyzna jest żonaty i ma czteroletnią córeczkę, bo tego nie ukrywał, mimo to zaczęła z nim flirtować.

Zimą, zaledwie po miesiącu pracy, podczas jednego z wyjazdów Małgorzata przycięła sobie dłoń drzwiami karetki. Gdy była na zwolnieniu, Robert odwiedził ją w jej mieszkaniu.

Przegadaliśmy całą noc. Zaprzyjaźniliśmy się - zezna potem Małgorzata. Ale przyjaźń nie potrwała długo - zaledwie trzy miesiące, do marca. Wiosną Małgorzata stwierdziła, że jest zakochana. Nie planowałam tego. To uczucie wymknęło mi się spod kontroli i po prostu płynnie przeszliśmy do bliższego związku.

Zostali kochankami. Początkowo lekarka bagatelizowała fakt, że Robert jest żonaty.

Żyłam chwilą, nie myślałam o przyszłości. Kochałam go bez zastrzeżeń i ufałam mu.

Spotykali się potajemnie w wynajmowanym mieszkaniu Małgorzaty mniej więcej dwa, trzy razy w tygodniu. Czasem widywali się na mieście lub jeździli na spacery nad rzekę.

Robert odwiedzał ją podczas dyżurów w pogotowiu. Przez jedenaście miesięcy jego żona nawet nie podejrzewała zdrady. Uważała go za wzorowego męża.

Kochałem je obie - zezna potem prokuratorowi Robert K. - Choć początkowo nie byłem zakochany w Małgorzacie. To uczucie rodziło się stopniowo.

Małgorzata z początku traktowała ten związek jako romantyczną przygodę, romans, nic poważnego. Ale już latem zaczęła liczyć na coś więcej. Nie nalegałam na rozwód. On sam zaczął o tym mówić. Ale to nie było proste, czuł się odpowiedzialny za żonę, bał się o dziecko. Roiła sobie, że pewnego dnia Robert odejdzie od żony i zwiąże z nią, założą rodzinę, będą mieli wspólne dzieci… Któregoś dnia napomknęła o jego rozwodzie. Jednak on odmówił rozmowy na ten temat. Kategorycznie oświadczył jej, że nigdy nie odejdzie od żony, bo nie potrafi rozbić rodziny i skrzywdzić dziecka. Dodał, że mogą być jedynie kochankami albo się rozstać. Małgorzata była już bardzo zaangażowana i nie miała wyboru: przystała na propozycję dalszej konspiracji. Nigdy nie obiecywałem jej, że zostawię rodzinę. Nawet nie chciałem o tym rozmawiać, to w ogóle nie wchodziło w grę. Małgorzata również o tym nie mówiła. Nie prosiła, żebym się rozwiódł. Tłumaczyła, że jest ze mną, bo jest nam dobrze razem. Mnie też było z nią dobrze, ona zawsze miała dobry humor. Była zupełnym przeciwieństwem mojej żony.

Oboje skrzętnie ukrywali swój związek. Kiedy na przykład Robert odwiedzał Małgorzatę w mieszkaniu, prosiła współlokatorki, by wychodziły w tym czasie do ogródka.

Aby nie łączono jej z żonatym kolegą z pracy, wszystkim znajomym powiedziała, że spotyka się ze swoim byłym chłopakiem.

Robert K. wielokrotnie próbował zerwać z Małgorzatą. Nigdy mi się to nie udało.

Wytrzymywałem dwa tygodnie, a potem na jej prośbę zawsze znów się spotykaliśmy. Byłem za słaby.

Kilka tygodni przed morderstwem znów chciał zakończyć ten romans. Małgorzata powiedziała mi, że była ze mną w ciąży, ale samoistnie poroniła. Wtedy zapytałem ją, co by było, gdyby tej ciąży nie straciła, odpowiedziała, że natychmiast wyjechałaby z miasta.

Wcześniej też mówiła, że chciałaby mieć ze mną dziecko, ale gdyby tak się stało, nie dowiedziałbym się o tym, bo zniknęłaby z mojego życia. Tak mi powiedziała. Lekarz nie życzył sobie takich kłopotów.

Chciałem, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Przestraszyłem się, że kiedyś naprawdę może zajść ze mną w ciążę i ją donosić. Miałbym wtedy pozamałżeńskie dziecko, co byłoby dla mnie osobistą klęską. W takiej sytuacji Małgorzata nie chciałaby już więcej akceptować takiego związku, jaki mieliśmy, czyli bez zobowiązań. Pragnęłaby kogoś więcej - ojca dla dziecka. Dlatego nalegałem, żebyśmy się rozstali. Ale wcale się tak nie stało. Nadal się spotykali. Nie znaczy to jednak, że Małgorzata pogodziła się z faktem bycia w cieniu. Nie znosiła roli kochanki, bycia „tą drugą". Uczepiła się myśli, że któregoś dnia jej marzenie się spełni (Robert porzuci żonę) i czekała.

Połczyńska od kilku lat znała Dariusza S. Należał do paczki jej przyjaciół ze studiów, wspólnie żeglowali. Kiedy Małgorzata nawiązała romans z lekarzem pogotowia, Dariusz S. pracował na jednym z kieleckich basenów jako ratownik. Małgorzata wykorzystywała tę znajomość i mniej więcej dwa razy w tygodniu chodziła tam popływać. S. miał wtedy dziewczynę, z Małgorzatą łączyło go jedynie koleżeństwo. W marcu 1996 roku poprosił

lekarkę o pożyczenie ośmiu tysięcy złotych. Małgorzata zgodziła się i wypłaciła mu te pieniądze w trzech ratach. Miesiąc później zapytała ratownika, czy nie zna kogoś, kto wykonałby „mokrą robotę”. Kiedy S. domagał się wyjaśnień, o co chodzi, sprecyzowała, że trzeba zabić żonę pewnego lekarza. Twierdziła, że kobieta nie pracuje, stwarza same problemy i znęca się psychicznie i fizycznie nad ich wspólnym dzieckiem. S. stwierdził, że zna „ruskich” - może by się tego podjęli. Obiecał, że spyta, i dalsze rozmowy na ten temat przełożyli na inny dzień. Podczas następnego spotkania Małgorzata wręczyła Dariuszowi S. sześć tysięcy złotych[5] oraz kartkę z nazwiskiem i adresem Julii K.-K. Powiedziała, że może dopłacić, byle tylko robota została wykonana szybko. Podczas kolejnego spotkania S. powiedział, że ruscy chcą jeszcze dwa tysiące, wobec tego Małgorzata przekazała mu brakujące pieniądze. Umówili się, że usługa będzie wykonana do maja 1996 roku.

Minęły kolejne trzy miesiące. S. rozstał się ze swoją poprzednią dziewczyną i związał z inną. W sprawie zamówienia Połczyńskiej nie zrobił nic; nie załatwił kilerów, za to pieniądze wydał na swoje potrzeby. Kupił sobie na przykład auto - UAZ-a, którym jeździł aż do dnia zatrzymania. Lekarka kilkakrotnie dzwoniła do niego i prosiła o zwrot gotówki. Bez skutku. Wtedy zaproponowała, żeby S. sam wykonał „robotę”, a wówczas ona anuluje dług - ratownik jednak nie chciał się tego podjąć. Zaczął za to unikać Małgorzaty, udawał, że nie ma go w domu, nie odbierał jej telefonów.

W tym czasie romans z lekarzem kwitł. Robert wciąż przyjeżdżał do niej w czasie pracy. Na bieżąco zwierzał się ze swoich problemów domowych, opowiadał o sposobie życia, charakterze i upodobaniach. Początkowo Małgorzata mieszkała u kuzynki, jednak ze względu na romans z K. postanowiła samodzielnie wynająć mieszkanie. Po przeprowadzce dała mu klucze do nowego mieszkania, by mógł wchodzić pod jej nieobecność. Często czekała na niego z obiadem, sypiali ze sobą, Robert jednak nigdy nie zostawał u niej na noc.

Koledzy z pogotowia zaczęli podejrzewać, że Małgorzata i Robert kręcą ze sobą - któregoś dnia K. podał numer jej telefonu jako kontaktowy na wypadek pilnej potrzeby w pracy. Tylko jego żona pozostała zupełnie nieświadoma zdrady.

W lipcu 1996 roku lekarka zaprzyjaźniła się z byłą dziewczyną S. Pocieszała ją, gdy ratownik z nią zerwał i związał się z inną. Połczyńska pomagała jej jako lekarka, gdyż dziewczyna popadła w depresję po rozstaniu z Dariuszem S. Wspólnie spędzały czas. Dzięki temu Małgorzata była na bieżąco poinformowana o tym, co dzieje się w życiu S. Coraz usilniej próbowała wymusić na nim oddanie pieniędzy. W końcu, w sierpniu postawiła ratownikowi ultimatum: albo oddaje jej pieniądze, albo „załatwia” żonę Roberta K. Namawiała wspólnych znajomych, aby wpłynęli na ratownika i wymusili na nim oddanie długu - prosiła o pomoc jego byłą dziewczynę, znajomego taksówkarza i kolegów, z którymi wspólnie żeglowali. Posunęła się nawet do wysłania telegramu na obóz żeglarski w Zbąszynie, gdzie w lecie pracował S. Chciała go ściągnąć do Kielc, gdyż dowiedziała się, że żona kochanka wyjechała do Anglii i to byłby dobry moment, żeby się jej pozbyć. Kiedy ten nie zareagował, osobiście do niego pojechała i próbowała namówić do wyjazdu oraz popełnienia zabójstwa. Bezskutecznie. Była coraz bardziej wściekła - nie miała ani pieniędzy, ani pewności, że jej zlecenie będzie wykonane. We wrześniu była już na tyle zdesperowana, że wymusiła na S. obietnicę, że osobiście zabije żonę K. i zajęła się opracowaniem planu.

Zapytała znajomego pielęgniarza, czy nie załatwiłby jej dużego plastikowego worka.

Kuzynka potrzebuje go na suknię ślubną - tłumaczyła. Kilka dni później pielęgniarz przyniósł jej czarny worek na zwłoki.

Drugiego października 1996 roku zadzwoniła do S. Nie oddałeś mi kasy, więc jutro spodziewaj się ekipy, która cię urządzi - oświadczyła i odłożyła słuchawkę.

Następnego dnia rano zadzwoniła do jego byłej dziewczyny i powiedziała, że Darek dziś odda jej pieniądze, więc nie będzie miał już u niej długu. Zadzwoniła też do niego, żeby sprawdzić, czy ratownik jest w swoim mieszkaniu. Był. Wsiadła więc do swojego malucha i pojechała pod jego dom. Wywołała go domofonem z mieszkania. Jeśli nie zrobili tego Rosjanie, to ja to zrobię osobiście - stwierdziła. - Ty jedziesz ze mną.

Było kilka minut po dziewiątej rano. Pojechali na ulicę Stalową, gdzie mieszkał Robert K. z rodziną. Lekarka wiedziała, że żona kochanka będzie w domu sama - on miał tego dnia dyżur od dziewiątej rano. Mieli się spotkać około południa. Miała trzy godziny.

Zaparkowała swojego malucha w pobliżu szkoły, a ratownik swojego UAZ - a kilka metrów dalej.

Wiedziałem, że Małgorzata chce porozmawiać z Julią. Nie sądziłem jednak, że chce ją zabić, choć wielokrotnie o tym mówiła - próbował się potem tłumaczyć przed prokuratorem.

Został w swoim samochodzie, a Małgorzata podeszła do domofonu. Kiedy zadzwoniła do drzwi, Julia K. - K. była jeszcze w łóżku. Słuchawkę podniosła jej matka. Małgorzata poprosiła Julię. Przedstawiła się, że jest znajomą jej męża i chciałaby z nią porozmawiać o ich romansie. Kobieta zgodziła się zejść na dół. Tylko ubiorę dziecko - powiedziała. Małgorzata podeszła do UAZ-a, w którym siedział S. i powiedziała mu, że będzie jechała w kierunku Oporowa-Skowroniej Góry i poleciła mu, żeby jechał za nią. Zapytałem, czy to długo potrwa, bo chciałem wracać do domu. Ale poprosiła mnie, żebym jeszcze poczekał.

W tym czasie z klatki wybiegła Julia. Miała na sobie dżinsy, koszulę i ciemnozieloną kurtkę męża, którą narzuciła w pośpiechu. Wzięła ze sobą klucze od mieszkania. Portfel i dokumenty zostawiła w domu. Myślała, że wychodzi z domu jedynie na chwilę.

Małgorzata czekała na nią w bramie. Zaproponowała rozmowę w innym miejscu, na co żona Roberta K. się zgodziła. Wsiadła do auta lekarki. W okolicach cmentarza żołnierzy włoskich Małgorzata zatrzymała auto, kilka metrów dalej zaparkował Dariusz S. Podszedł do malucha Małgorzaty, otworzył drzwi od strony pasażera. Przyjechałaś z ochroną? - zapytała Julia. Wtedy S. chwycił ją za szyję i zaczął dusić. Głowa kobiety uderzyła o oparcie fotela, Julia próbowała się wyrywać, ale brakowało jej powietrza. W końcu zaczęła tracić przytomność. Ratownik oparł się kolanami o jej ciało i zacisnął mocniej ręce na szyi ofiary.

Małgorzata założyła na jej szyję parciany pasek i mocno go zacisnęła. Skręć jej kark - poleciła, lecz S. nie zareagował. Żyje? - spytał po chwili. Lekarka przyłożyła palec do szyi Julii, sprawdziła puls, po czym pokręciła przecząco głową. Nie - odpowiedziała. - Ty zajmiesz się ciałem.

Wyjęła plastikowy worek, który dostała od pielęgniarza. Wspólnie zapakowali do niego ciało kobiety i schowali do bagażnika UAZ-a. Małgorzata wsiadła do swojego auta i jeszcze raz poleciła, by ratownik pozbył się zwłok. Ukryj je tak, żeby nikt ich nigdy nie znalazł. Po jej odjeździe mężczyzna pojechał na Niskie Łąki nad rzekę, w okolice Opatowic.

Wyjął ciało z worka (wyrzucił go do rzeki), a zwłoki zostawił w zaroślach.

Małgorzata po powrocie do swojego mieszkania zadzwoniła do byłej dziewczyny S., i poinformowała ją, że Dariusz właśnie oddał jej pieniądze. Wpłaciłam je do banku - powiedziała.

Około południa pod dom Małgorzaty podjechał Robert. Zauważył z okna samochodu, że rozmawia z koleżanką, więc zaczął cofać. Nie chciałem, żeby ta dziewczyna mnie rozpoznała. W tym momencie zauważyła go Małgorzata i szybko wybiegła na ulicę. Wsiadła do jego auta i pojechali na spacer nad rzekę. Romantyczne spotkanie trwało około pół godziny. Rozmawialiśmy o nas, o moich wspomnieniach, oboje mówiliśmy o tym, jak nam razem dobrze - zeznawał Robert K.

Odwiózł Małgorzatę do domu, a sam pojechał do żony. Zastał jedynie teściową. Jakaś kobieta zadzwoniła rano domofonem. Poprosiła do słuchawki Julkę. Kiedy córka podeszła do słuchawki, mówiła odmienionym głosem: Ale ja mam nieubrane dziecko! Potem założyła na siebie, co znalazła pod ręką, i wybiegła z domu. W drzwiach spytałam ją: Kto to taki?, odpowiedziała poirytowana: Jakaś baba, nie wiem czego chce! Do tej pory nie wróciła.

Robert początkowo nawet się nie zmartwił. Myślałem, że pojechała na uczelnię (po urodzeniu córki przerwała studia, ale kiedy dziecko poszło do przedszkola, postanowiła je dokończyć). Pojechał do pracy, z dyżuru dzwonił kilka razy do domu, jednak Julii nie było.

Dopiero po południu ogarnął go niepokój. Wieczorem byłem już porządnie zdenerwowany.

Zacząłem dzwonić do znajomych, szwagra, sprawdziłem na pogotowiu, czy nie było wypadków z udziałem młodych kobiet. W końcu przed północą złożył na policji zawiadomienie o jej zaginięciu.

Robert usilnie poszukiwał żony, ale jednocześnie wciąż spotykał się z Małgorzatą.

Przyjeżdżał do niej po pracy, ona przygotowywała mu posiłki.

To był najpiękniejszy etap naszego związku - miała potem powiedzieć Małgorzata.

Podczas jednego z wyjazdów ekipy pogotowia do rozkładających się zwłok, Małgorzata wypytywała policjantów, czy w takim przypadku jest możliwe ustalenie, czy dana osoba została uduszona, czy uderzona. Potwierdzają to jej koledzy z pogotowia, którzy dziwili się, że Małgorzata przez przeszło pół godziny z taką pasją dyskutuje z policjantami o identyfikacji zwłok, mimo panującego dużego mrozu.

W grudniu 1996 roku żona Roberta K. nadal była uznawana za zaginioną. Tymczasem Małgorzata zaczęła nalegać, by S. zrobił coś w celu ujawnienia zwłok kobiety. Tłumaczyła, że jej chłopak jest w skomplikowanej sytuacji prawnej i ma związane ręce. Zależało jej, by zwłoki zostały znalezione, a K. został uznany za wdowca. Nie chciała być już kochanką, a żoną. Dopóki jednak sytuacja prawna jej kochanka była nieuregulowana, nie mogła na to liczyć - miał zeznać potem Dariusz S.

Dwukrotnie anonimowo powiadamiał on policję o miejscu ukrycia zwłok, jednak bez skutku. W końcu zażądał od Małgorzaty pieniędzy za oficjalne zgłoszenie. Osiemnastego grudnia pożyczyła więc od kuzynki sto złotych i w jej obecności wręczyła mu gotówkę, mówiąc, że to opłata za basen. Wtedy ratownik pod koniec roku zaczął inicjować rozmowy z policjantem, który często przychodził na basen. Niby przypadkiem rozmawiali na temat możliwości ustalenia przyczyny zgonu, identyfikacji i ujawnienia zwłok. Podczas kolejnych tego typu rozmów S. w końcu ujawnił miejsce ukrycia zwłok Julii K.-K. One są tam już od pół roku. Komuś zależy, aby się odnalazły - powiedział.

Informacje trafiły do komendy policji i 6 lutego 1997 roku, w miejscu podanym przez ratownika, w krzakach znaleziono zwłoki kobiety w stanie znacznego rozkładu. Mimo iż ciało nie znajdowało się pod ziemią, a było ukryte w krzakach, ekipa poszukiwawcza odnalazła je dopiero po ponad dwudziestu minutach. Było częściowo wmrożone w podłoże, znajdowały się na nim kawałki roślin, zgniłych liści i gałązek. Po przetransportowaniu do zakładu medycyny sądowej okazało się, że daleko posunięte procesy gnilne bardzo utrudniały stwierdzenie przyczyny zgonu. Wezwany Robert K. nie był w stanie rozpoznać ciała na podstawie rysów twarzy ani znaków szczególnych. Zidentyfikował żonę jedynie na podstawie ogólnej postury, obrączki oraz ubrania. Sąd uznał, że nie ma możliwości pomyłki (w końcu S. nie mógł mówić o innych zwłokach kobiecych, na dodatek w takim stanie rozkładu!). Poza tym ubranie znalezione na ciele martwej kobiety dokładnie odpowiadało temu, w którym Julia K. - K. opuściła dom. Mąż nie miał wątpliwości, że są to zwłoki jego żony, gdyż ciemnozielona letnia kurtka, w której ją znaleziono, należała do niego. Dodatkowo matka Julii rozpoznała ubrania, w których znaleziono ofiarę, jako te, w których wyszła z domu 3 października 1996 roku. Podczas procesu adwokaci Małgorzaty sugerowali, że nastąpiła pomyłka w identyfikacji zwłok i w krzakach nad rzeką znaleziono całkiem inne zwłoki[6].

Małgorzata Połczyńska została aresztowana 7 lutego 1997 roku. Policjanci zabrali ją na przesłuchanie ze szpitala, podczas jej dyżuru. Nawet nie podejrzewałam, że mogę być aresztowana, sama prosiłam szefa, żeby mnie zwolnił z dyżuru. To nie była moja sprawa. Mój świat wtedy to była praca, tam się realizowałam.

Nie wróciła już nigdy do swojego wynajmowanego mieszkania ani miejsca pracy - od razu została zatrzymana. Jej rzeczy osobiste odebrali rodzice. Pierwsze dni aresztowania były dla mnie straszne - wciąż płakałam. Nie miałam wiadomości od rodziców, nie wiedziałam, co ze mną będzie, nie mogłam spać, nie miałam z kim porozmawiać. Próbowała popełnić samobójstwo, uszkadzając sobie tętnicę nadobojczykową, ale ją odratowano i opatrzono w więziennym szpitalu.

Nigdy nie przyznała się do zabójstwa Julii K.-K. - ani podczas postępowania przygotowawczego, ani w trakcie procesu, ani po dziesięciu latach odsiadywania wyroku, kiedy z nią rozmawiałam. Twierdzi, że została w to zabójstwo „wrobiona” przez kochanka i ratownika (ci dwaj nawet się nie znali).

W sądzie wyjaśniała, że nie mogła udusić Julii, ponieważ nawet jej nie znała.

Widziała ją jedynie raz przelotnie, kiedy ta przyszła odwiedzić męża w pogotowiu, a potem drugi raz w dniu jej zniknięcia. Małgorzata twierdzi, że to K. nalegał, by porozmawiała z jego żoną o ich romansie (czemu on zaprzeczył, a sąd dał mu wiarę). Chciał się rozejść, a nie wiedział, jak to powiedzieć żonie. Twierdziła także, że to S. kazał jej wywołać Julię z domu, a potem ją gdzieś zawieźć. Chciał, żebyśmy porozmawiały gdzie indziej, bo to plotkarska okolica. Twierdzi, że to dlatego zawiozła kobietę na parking przy cmentarzu i zostawiła ją z S. (znów wyjaśniała, że ją o to poprosił, czemu on zaprzecza), a sama odjechała. Co stało się dalej, nie mam pojęcia. Nie wiedziałam, że nie żyje, zresztą Robert podejrzewał, że porwała ją jakaś sekta - twierdziła.

Dariusz S. już w pierwszych zeznaniach wskazał Małgorzatę jako zleceniodawczynię i w końcu wspólniczkę w zabójstwie. Sąd uznał, że ogólnie jego zeznania są wiarygodne i spójne. Podał bowiem bardzo wiele okoliczności i szczegółów, które pozwoliły na udowodnienie winy Małgorzacie Połczyńskiej i wydanie wyroku skazującego. Jego

zeznania potwierdziły billingi telefoniczne i zeznania świadków. S. był przesłuchiwany kilkakrotnie, najpierw jako świadek, a potem jako oskarżony. Uczestniczył także w wizji lokalnej, na co Połczyńska się nie zgodziła. Przez cały czas postępowania współpracował z policją - był przekonany, że w tej sprawie będzie jedynie świadkiem. Kiedy więc postawiono mu zarzut zabójstwa, zareagował wrogością wobec organów ścigania i zaczął zmieniać zeznania.

Powiedział na przykład, że za zabójstwo Małgorzata zapłaciła mu osiem tysięcy złotych, próbował także pomniejszyć swoją rolę. W pewnym momencie śledztwa stwierdził, że nie obezwładnił ofiary, co miało umożliwić Małgorzacie zarzucenie na jej szyję parcianego paska, a jedynie przypadkowo upadł na Julię K.-K. i wtedy chwycił ją za głowę. Uderzyła głową o oparcie, spojrzała na mnie i zaczęła tracić przytomność, aż w końcu była bezwładna - zeznawał.

Biegły lekarz sądowy stwierdził, że nawet jeśli by się tak stało, to biorąc pod uwagę ciężar ciała S., kobiecie nie mogła się stać krzywda zagrażająca życiu. Na podstawie obrażeń na ciele ofiary stwierdził prawdziwość pierwszych zeznań ratownika - mógł unieruchomić kobietę, by Połczyńska mogła ją udusić.

Sąd uznał Małgorzatę za główną inicjatorkę i sprawczynię zbrodni, Dariusz S. został uznany za współwinnego zabójstwa. Biegli bowiem potwierdzili, że to zabójstwo musiało być wykonane przez dwie osoby: jedna dusiła i przytrzymywała ofiarę, druga w tym czasie zarzuciła jej pasek na szyję i zacisnęła. Jedna osoba nie mogła tego dokonać.

Sąd uznał również, że Dariusz S. nie miał żadnej motywacji, by chcieć zabić Julię K.-K. (taką wersję przedstawiła Połczyńska). Tymczasem Małgorzata miała wyraźny motyw -

chciała się pozbyć konkurentki i wyjść za mąż za lekarza. Zresztą w trakcie procesu okazało się, że Robert K. nie wiedział o planach morderstwa. Nie zamierzał sobie układać życia z Połczyńską, a już z całą pewnością porzucać rodziny. Sąd całkowicie oczyścił go z podejrzeń, choć po aresztowaniu Małgorzata pomawiała go o udział w zleceniu tej zbrodni.

Nie było powodu, dla którego z inicjatywy Roberta K. Małgorzata miałaby przeprowadzać rozmowę z jego żoną, dotyczącą ich związku. Wszak fakt tegoż związku był skrzętnie ukrywany praktycznie przed wszystkimi: czy to bliskimi, czy znajomymi, czy choćby współpracownikami.

Dwudziestego czwartego czerwca 1999 roku zapadł wyrok[7] dwudziestu pięciu lat więzienia dla Małgorzaty i piętnastu lat dla jej wspólnika. Dodatkowo sąd nakazał oskarżonej zapłacić grzywnę w kwocie dziewiętnastu tysięcy dwustu złotych na poczet Roberta K. jako oskarżyciela posiłkowego[8] tytułem poniesionych kosztów zastępstwa procesowego, a także opłatę kosztów sądowych w wysokości trzystu złotych.

To z góry zaplanowane i wyrachowane działanie, wymuszone i pokierowane przez oskarżoną ugodziło w najwyższe dobro człowieka, jakim jest ludzkie życie, a dopuścili się tego ludzie, z których zwłaszcza oskarżona miała szczególny obowiązek chronić to szczególne dobro.

Połczyńska nie była nigdy karana. W miejscu zamieszkania, a także w zakładzie karnym miała pozytywną opinię. Przed rozpoczęciem procesu została poddana badaniom psychologicznym. Wykonano także badania w kierunku wykrycia zmian organicznych w centralnym układzie nerwowym. Biegli mieli na celu określenie osobowości podejrzanej oraz mechanizmów sterujących jej zachowaniem. Ocenili, że w momencie popełniania czynu miała pełną zdolność rozpoznania jego znaczenia i pokierowania swoim

postępowaniem.

Małgorzata podczas badań łatwo nawiązywała kontakt. Odpowiadała na pytania chętnie i wyczerpująco (ale podtrzymywała swoje wyjaśnienia, nie przyznawała się do udziału w zbrodni), dobrze konstruowała zdania. Była swobodna, spontaniczna i nieco przymilna. Starała się uwiarygodnić, wpłynąć na określony odbiór jej osoby i na ocenę jej sytuacji życiowo - prawnej. Wyjątkowo współpracująca postawa była pozorna i biegli mieli trudności interpretacyjne. Wszystkie skale kliniczne znajdowały się w tzw. ciszy interpretacyjnej, a konfiguracja skal kontrolnych wyraźnie wskazywała, że profilogram jest zafałszowany w kierunku lepszego przystosowania psychologicznego.

Biegli wykluczyli głębsze zaburzenia psychotyczne, zwrócili jednak uwagę na to, że właśnie tak podczas badań zachowują się osoby silnie broniące się przed jakąkolwiek oceną - starają się ukryć przeżywane napięcia, aby w odbiorze społecznym wypaść na osoby dobrze przystosowane. Małgorzata starała się więc stworzyć pozory efektywnego funkcjonowania, dobrej samokontroli i adekwatności oraz przedstawić siebie w korzystniejszym świetle.

Taki układ skal kontrolnych jest typowy dla osób, które mają słaby wgląd w motywy własnych zachowań i słabo rozumieją zachowania innych ludzi. A także usilnie broniących się przed sytuacjami trudnymi. Tego typu reakcje pojawiają się u osób o niedojrzałej, infantylnej osobowości z rysami histerycznymi.

Dodatkowo biegli dostrzegli, że Małgorzata ma osobowość autonomiczną - niepoddającą się naciskom społecznym. W działaniu preferuje racje pragmatyczne[9] nad moralnymi. W realizacji swoich potrzeb emocjonalnych stara się wywierać wpływ na innych, posuwa się nawet do manipulacji. Zna normy moralne, potrafi o nich mówić, ale nie wykształciła dostatecznie uczuciowości wyższej. Nie potrafi przeżywać poczucia winy.

Ma poczucie własnej wartości, a nawet wyższości nad innymi. Jeśli sytuacja lub relacje z innymi w jakiejś mierze jej nie odpowiadają, winą obarcza otoczenie, nigdy siebie.

To pozwala jej zachować wewnętrzny ład i stabilność psychiczną.

Zauważyli także, że typowe jest dla niej myślenie życzeniowe. Niezbyt dobrze rozróżnia świat fantazji, fikcji od realności, co jest typowe dla osobowości niedojrzałych, infantylnych.

Testy wykazały też u niej skłonność do fiksacji - usztywniania się stanów emocjonalnych, co sprawia, że straciły one zdolność do sprzężenia zwrotnego. Małgorzata nie wie, czym jest empatia. Jest infantylną egocentryczką. Miesza jej się świat wewnętrzny z zewnętrznym (fantazja z realnością). Nie potrafi spojrzeć na siebie i własną sytuację z dystansu. Oprócz złego przystosowania społecznego działa na zasadzie pierwotnych impulsów. Do tego permanentnie i aktywnie stara się utrzymać stan fikcji, w który wierzy (to też pozwala jej zachować wewnętrzny ład i równowagę psychiczną). W praktyce wygląda to tak, jakby zakładała kolejne psychologiczne maski, pod którymi nawet przed sobą ukrywa prawdziwe emocje i pragnienia. Skutek jest taki, że Małgorzata zachowuje się w sposób akceptowany i dobrze widziany w społeczeństwie, ale to jedynie pozory, w rzeczywistości realizuje swój plan i własne cele.

Połczyńska była również poddana obserwacji psychiatrycznej. Biegli nie stwierdzili u niej choroby psychicznej ani niedorozwoju umysłowego. Rozpoznali osobowość histrioniczną, charakteryzującą się przesadnym wyrazem emocjonalnym, płytką i chwiejną

uczuciowością wyższą, egocentryzmem oraz podejmowaniem działań stawiających ją samą w centrum uwagi i infantylnością. Biegli taką osobowość określili jako nieprawidłową, o niedojrzałej strukturze i cechach typowych dla histerycznej organizacji (histeryczki).

***

Sprawa Małgorzaty Połczyńskiej zbulwersowała opinię publiczną. Kobieta jednak do dziś walczy o uniewinnienie. Wyrok jest prawomocny, jednak akta wciąż wędrują z sądu do sądu. Były już dwie kasacje wyroku, sprawa dotarła do Sądu Najwyższego. W tej chwili Ministerstwo Sprawiedliwości rozważa, czy nie cofnąć jej do ponownego rozpatrzenia.

Sprawa czeka także na rozpatrzenie przez Trybunał Sprawiedliwości w Strasburgu, Fundację Helsińską. Skierowana została także do Rzecznika Praw Obywatelskich.

EPILOG 2012

Małgorzata Połczyńska została przeniesiona do Aresztu Śledczego w Opolu, gdzie pracuje jako kucharka w hospicjum przy Domu Pomocy Społecznej prowadzonym przez zakonnice. Regularnie wychodzi na przepustki, stara się o zwolnienie warunkowe, jednak na razie bez skutku. Ostatni jej wniosek został odrzucony. Miała profil na nk.pl, nawiązała kontakt z dawnymi znajomymi. Jej ojciec przeszedł poważną operację oka, mimo to razem z matką starają się regularnie odwiedzać córkę, która zachowuje się w więzieniu wzorowo. Do dziś w Lublińcu jest bardzo dobrze wspominana, jako jedna z bardziej zaangażowanych wolontariuszek programu resocjalizacyjnego „Zameczek”.

***

[1] Spis leków z cenami.

[2] Śmiertelnie, lekarz może oszacować, kiedy dana osoba umrze.

[3] Worek to samoprężny aparat z gumy lub tworzywa sztucznego do wykonywania sztucznego oddychania.

[4] Nazwisko zmienione.

[5] Wszystkie opisywane zdarzenia miały miejsce, gdy w Polsce były w obiegu inne pieniądze, przed denominacją złotego. Bohaterka wręczyła więc Dariuszowi S. 80 mln złotych, jednak ze względu na wygodę czytelnika operujemy nowymi wartościami, czyli 8 tysięcy.

[6] Na tej podstawie adwokatom oskarżonej udało się uchylić pierwszy wyrok skazujący ją na 25 lat. Sprawa była rozpatrywana ponownie, jednak kobieta nie została oczyszczona z zarzutu, orzeczenie było również skazujące.

[7] W pierwszej instancji, potem odbyły się jeszcze trzy procesy w tej sprawie, ale sąd za każdym razem podtrzymywał wyrok skazujący. Po zapadnięciu każdego orzeczenia oskarżona składała apelację.

[8] Polski kodeks karny przewiduje, że rodzina osoby zamordowanej lub osoba pokrzywdzona przez sprawcę ma prawo występować w sądzie jako strona procesowa. Może wówczas zadawać pytania świadkom, oskarżonym, biegłym. Może także składać wnioski dowodowe oraz żądać kary przed wydaniem wyroku przez sąd.

[9] Oparte na faktach, na logicznym związku rzeczy; pragmatyczny - rzeczowy, praktyczny.

Irena

Czas

Pamiętam, modne były wtedy długie flauszowe płaszcze i krótkie futerka. Mnie na futro stać nie było, za to płaszcz miałam. Czarny, ze stójką, długi do kostek - to był wtedy hit.

Nosiłam do niego kozaki na szpilce i spódnicę wełnianą za kolano. Znów takie się nosi, w telewizji widziałam. Ołówkowa się to teraz nazywa. Do tego torebkę skórzaną na długim pasku i sweter węgierski, ze srebrną nitką. Taki sweter trzeba było mieć koniecznie, tak jak marynarkę za biodra, z poduchami na ramionach. Miałam sweter czarno-fioletowy, a marynarkę czerwoną. Teraz już się w takich nie chodzi. Po tylu latach ja też już swojej nie mam, chyba że u siostry została. Tutaj tylko cztery sztuki garderoby można mieć - cztery doły i cztery góry. Wymienia się je na lato i zimę, dwa razy w roku. Reszta rzeczy jest w magazynie, jak ktoś nie ma komu przekazać na wolności, leżą i czekają do wyjścia.

Nosiłam wtedy włosy do ramion, jasny blond. Na lokówkę je kręciłam albo termoloki - gumowe wałki napełnione w środku piaskiem lub wodą. Wkładało się je do naczynia i gotowało. Po piętnastu minutach można było włosy zakręcać. Były lepsze od lokówki, nie niszczyły włosów i dłużej trzymały. Makijażu nigdy sobie nie robiłam. Teraz nawet osiemnastolatki nakładają sobie na twarz maskę z pudru. Ja, co najwyżej, używałam cieni do powiek. Fiolet do białego stroju, róż do czarnego, czasem niebieski, ale rzadko.

Modna wtedy byłam, starałam się podążać za trendami. Miałam maszynę do szycia, wieloczynnościową. Sama sobie szyłam. Dzieciom, jak były małe, przerabiałam ubranka. Ja to po prostu lubiłam, zarówno kiedy byłam panienką, jak i potem, kiedy wyszłam za mąż. To mnie odprężało. I w tej chwili, w zakładzie, cały czas to robię. Zwęzić, zamki poprzeszywać, skrócić, poszerzyć, wstawić klin… Jak coś trzeba, to dziewczyny do mnie przychodzą.

Wiedzą, że mam do tego smykałkę. To moje hobby, można powiedzieć, które zresztą uprawiam dla własnej i koleżanek przyjemności. Staram się nadal być na bieżąco z modą, bo po tym, jak ona się zmienia, rozpoznaję upływający czas.

Pracowałam w handlu prywatnym. W tamtych czasach handel był inny, prywatyzacja dopiero się zaczynała. Ale wtedy, jak się w handlu pracowało, to miało się wszystkiego w bród. Prywatne sklepiki dopiero się otwierały - mięsne, spożywka i butiki z odzieżą. Tylko prywaciarze mogli sobie pozwolić na kupowanie w butiku. To był luksus, mnie nie było na to stać. W odzieży używanej z Zachodu się zaopatrywałam i na bazarach. Tam wszystko można było dostać, i taniej. Często chodziłam na największy i najsławniejszy w Gliwicach bazar „Balcerek". Jak ja uwielbiałam tam robić zakupy! Moc wszystkiego, targi, gwar… Zachodnie ciuchy - dla dorosłych i młodzieży, bielizna, na okryciu wierzchnim skończywszy.

Kombinezony dla dzieci kupowałam. Kurtki i spodnie to one sobie same wybierały, tylko pieniądze dawałam. Gdybym ja wybrała, nie było pewności, że zechcą w tym chodzić.

Owoce, warzywa kupowałam. Tam było mnóstwo wszystkiego. Co bogatsi handlarze mieli wykupione kramy, ci gorsi z samochodów sprzedawali, na przykład Ukraińcy, Rosjanie.

Kupowałam u ruskich pościel, bo mieli kolorową i tanią, młynki do kawy, suszarki do

włosów - zresztą sprzęty to chyba wszyscy u nich kupowali. To się szybko psuło, ale było tanie. Noże ze stali u nich kupowałam, zawsze mieli dobre wyroby. Hurtem u nich zaopatrywałam się w igły do „łuczników” - towar u nas wtedy niedostępny. A oni przywozili tego ogromne ilości. U Rumunów z kolei brałam tanie orzechy łuskane. Włoskie, po kilogramie albo po dwa. To lubiłam bardzo, bo to, ot tak, się chrupało, przy telewizorze, od niechcenia. Lepsze niż słonecznik albo dynia. I zdrowe.

Jeszcze pamiętam taki mały bazarek był koło mnie. „Handelek” się nazywał. Tam też było wszystko: mięso i wyroby własne. W budkach to mięso na ladzie leżało, ze wsi ludzie przywozili i drób można było wiejski kupić. Gospodynie stały i pokrzykiwały - targowałam się zawsze. Rosół z takiej wiejskiej kury to nie to samo, co ze sklepowej. Sery, masło, jajka, śmietana - swojskie to było, dobre, tłuste. Ludzie kupowali, ale trzeba było mieć swoją babkę, bo jak nie, to ciężko było dobrze trafić.

Ludzie kupowali wszystkie produkty na bazarach. W delikatesach zaopatrywali się ci, którzy mieli pieniądze. Tam były wszystkie produkty spożywcze, tylko droższe i lepsze jakościowo. Tam można też było kupić to, czego na bazarze się nie dostawało - bakalie, czekolady Wedla, Wawela. Ale ja to w „blaszaku” kupowałam, dziesięć metrów od mojej klatki. Tam też było wszystko.

To były czasy dobrobytu, początek prywatyzacji, w sklepach nie brakowało niczego, kartek już nie było. A ja jeszcze w handlu pracowałam. Szef, który mnie zatrudniał, miał własny ubój bydła i co tydzień dostawałam mięso w deputacie, a jak nie potrzebowałam tyle wędlin czy mięsa, zamieniałam to na pieniądze. I co tydzień deputat w jakiejś kwocie dostawałam. Mięsa więc było pod dostatkiem. Także życie było całkiem dobre. Wybór pieczywa w tamtych czasach nie był tak duży jak w tej chwili. Chleby, bułki, rogale, drożdżówki, bagietki to były, ale tych sezamowych, czy włoskich ciabatek - to nie.

Już wtedy ani dolary, ani kawa nie miały wielkiej wartości, jak chciałam coś załatwić w urzędzie, to szłam bez niczego. Skończyły się czasy, że trzeba było coś zanosić. Bez problemu załatwiałam każdą papierkową sprawę w urzędzie. Może jeszcze mebli nie było - jak ktoś chciał dostać trochę inne niż meblościanka, to niósł w kopercie pieniądze albo koniak, i się załatwiało. W sklepach były stałe ekspozycje mebli, które miesiącami się kurzyły na wystawach. Nikt ich nie kupował, bo każdy chciał mieć inne, a nie taką „szablonówkę”.

Meble, odkurzacz, automat, znaczy pralkę automatyczną, firany, zasłony, narzuty na wypoczynki - to też było trudno dostać, i to się załatwiało. A wszystko zależało od stopnia znajomości z osobą, która mogła to zrealizować. Jeszcze wtedy było tak, że jak ja tobie coś załatwię, to ty mi załatwisz coś innego. Czyli coś za coś, przysługa za przysługę. Czy to się zmieniło? Jak patrzę w telewizor, to myślę, że nic. Chyba to nasza polska cecha.

Wydaje mi się, że wtedy życie było dużo lżejsze niż teraz. Wiadomo, siedzę już szesnaście lat, więc moje relacje z rzeczywistością są oparte tylko na rozmowach z funkcjonariuszami, dziewczynami, które dopiero co przyjechały do zakładu, rodziną, czy rozmowach przez telefon. Poza tym telewizja i gazety. Mam więc tylko teoretyczne wyobrażenie, jak to się teraz w Polsce żyje.

Jak mnie zamykali, nowinką techniczną były telefony komórkowe. Przyjeżdżali z Zachodu biznesmeni - tak się na nich teraz mówi, wtedy to byli przedsiębiorcy po prostu - i oni czasem takie aparaty mieli. Wszyscy się za nimi oglądali. Dzisiaj to chyba każdy ma telefon, albo i dwa, trzy, jak bogaty jest. Tak samo z komputerami. Wtedy to dopiero

zaczynały być w szkołach, a jak ktoś miał w domu - o, to była wielka rzadkość. To wszystko nie było jeszcze popularne, świadczyło o wysokim statusie majątkowym, bo było po prostu bardzo drogie. Były za to gry telewizyjne z dżojstikami. I magnetowidy, moje obie córy chciały to mieć. A video po prostu trzeba było kupić i już. Na przykład Panasonica, dobra firma, taki właśnie miałam. Wieże już były. Pamiętam, że starsze córy miały małą, bo duże były dla mnie za drogie. A młodsza - taki długi magnetofon. Jak on się nazywał? Jamnik chyba. DVD, płyt - wiadomo, że tego nie było. Ani discmanów. Najlepszym prezentem dla młodzieży był walkman - z tym w uszach dzieciaki chodziły, to było wtedy modne.

Najmłodsza córa na biały się uparła, a ja, jak na złość, nie mogłam nigdzie znaleźć.

Jeszcze dziewięć lat mi zostało do końca kary. W lutym przyszłego roku, 2008, będę miała drugą wokandę, może wyjdę na warunkowe. Boję się tylko, że jak wyjdę, zostanie mi przeszło rok do uzyskania wieku emerytalnego - a mam teraz pięćdziesiąt cztery lata. Reszty się nie boję: staż pracy mam, wszystko mam, tylko tego wieku emerytalnego brak. Więc chodzi mi o to, żeby załapać się gdzieś do pracy, a w moim wieku, po wyjściu z zakładu, to będzie bardzo trudne. Nie wiem, czy ktoś mnie w ogóle zatrudni. Teoretycznie mogłabym jeszcze rok tutaj zostać, ale to jakby o rok śmierć sobie przedłużać. Jestem zmęczona ludźmi, którzy mnie otaczają, tym zakładem, jego atmosferą. Dlatego jak najszybciej chciałabym stąd odejść, bo planuję jeszcze troszkę pożyć. Fizycznie nic mi nie dolega, może od czasu do czasu choruję na zatoki.

Pomysłów na życie mam bardzo dużo, nie boję się zaczynać od nowa. I nie obawiam się wyjścia, broń Boże. Nawet tak leżąc, nieraz sobie myślę: A co będzie, jak tam się znajdziesz za bramą? Jak w ogóle ten świat teraz wygląda? Tak bardzo pragnęłabym wejść do swojego pustego mieszkania i odpocząć od ludzi. Pobyć choć chwilę sama - dla swojego komfortu psychicznego. Wieść normalne, wyluzowane życie, wejść na normalne tory. Bo tu jest kolosalne przeludnienie. My się nawzajem nienawidzimy - bo jest za głośno, bo ktoś do kogoś przyjdzie, bo ktoś chce spać, a inny kawę akurat sobie robi, włącza muzykę, czy chce oglądać w telewizji to, a ja coś innego, i tworzy się taki młyn. Człowiek ma dość, własnych myśli nie słyszy. Dlatego bym chciała stąd już wyjść, choćby jutro.

Telewizja jest moim oknem na świat. Oglądam teleturnieje. Oglądam interwencje i programy informacyjne z naszego regionu - wtedy mogę zobaczyć moje miasto, Gliwice.

Widzę przez to moje okno telewizyjne, jak świat się zmienia, co nowego się dzieje, i porównuję z tym, co sama pamiętam.

I są takie miejsca, których w ogóle nie poznaję. Powstały takie wielkie fabryki, supermarkety, deptaki, wieżowce, ogromne centra handlowe. Wyremontowali Palmiarnię Gliwicką i otworzyli ją dla zwiedzających. Kiedy w „Nowinach Gliwickich”, to taka nasza lokalówka, zobaczyłam zdjęcia, to był dla mnie szok. Zmieniły się wystroje ulic, bulwary, hale handlowe, sam rynek, politechnika. Handel mocno się posunął do przodu, a przede wszystkim - co mnie się podoba - prezydent dba o to, żeby zmniejszyć bezrobocie i stworzyć dużo nowych miejsc pracy. O swoim mieście czytam regularnie, bo dziewczyna, z którą siedzę w jednej celi, też pochodzi z Gliwic i mąż co tydzień jej gazetę przynosi. Pożyczam od niej i czytam pismo od deski do deski; o dzielnicach, wyborach samorządowych, bo bardzo mnie interesuje, kto będzie rządził nami, jak wyjdę. Interesuje mnie, co się dzieje w gminie, powiecie, kto dowodzi, kogo zdjęli ze stanowiska i dlaczego.

Na pamięć ich wszystkich mogę wyliczyć. Staram się być na bieżąco. Ostatnio widziałam w telewizji, że na rynku odsłonięto kamień pamiątkowy, gdzie papież błogosławił miejsce bohaterskiej śmierci pomordowanych gliwiczan. Miał tam mszę na lotnisku odprawić, ale chory był, to mszy nie było. Jak wyjdę, koniecznie muszę to zobaczyć. Patrzę w telewizor i oglądam reklamy. Oglądam wszystkie wiadomości, bo muszę być na bieżąco z „niusami". Jak przychodzi prasa, to czytam wnikliwie wkładki z Biedronki, żeby wiedzieć, co ile kosztuje. Kiedyś tego nie było, ani dyskontów, ani takich ulotek. Tak jak nie było żadnych tam super - albo hipermarketów.

Tylko delikatesy były, samy spożywcze, całodobowe duże sklepy, pedety. Taka na przykład Biedronka jest na rynku dziesięć lat, a ja szesnaście już siedzę. To wszystko się zmieniło.

Pamiętam, jak nowe pieniądze wchodziły. Poszłam do kantyny i o jakichś tam groszach usłyszałam. Grosze, jakie grosze? - zapytałam. Matko Boska, ile to jest? - pytały mnie dziewczyny. Pomyślałam, że to śmieszne, bo jak byłam małą dziewczynką, też grosze były. To już moja trzecia zmiana pieniędzy, jak byłam dzieckiem, potem mężatką i teraz znów grosze porobili.

Pieniądze tamtej epoki dość dobrze pamiętam. Najładniejsze było pięć tysięcy z Szopenem, zielone jak dolary i po prostu ładne. Dwa miliony to był największy banknot, na nich jakiś król był. Był jeszcze milion, pięćset tysięcy, sto tysięcy. Ja zarabiałam wtedy dwa i pół miliona złotych, do tego miałam dziewięćset tysięcy alimentów i przeszło czterysta tysięcy rodzinnego. To był mój dochód. Milion sto dziesięć tysięcy płaciłam za mieszkanie, to wychodzi jakieś sto dziesięć złotych na dzisiejsze pieniądze, a wiem, że teraz ludzie dużo więcej płacą za czynsz. Reszta, czyli ponad dwa miliony zostawały mi w kieszeni. Wtedy to było bardzo dobrze. Dziś te dwieście złotych ledwie wystarczyłoby mi na bilet z więzienia do domu.

Tych nowych złotówek to nigdy jeszcze w ręku nie miałam. Nawet jak pracuję i wpływają na moje konto w więzieniu, to znam tylko kwotę. Kiedyś dostanę do ręki jakieś dwadzieścia pięć milionów złotych, czyli dwa i pół tysiąca złotych na nowe. Wiem, jak te nowe pieniądze wyglądają. Jak byłam w zakładzie w Krzywańcu, to pracowałam z wolnościowymi ludźmi i miałam tam styczność z pieniędzmi. I tutaj też - chodzę przecież do kantyny na dół i widzę, jak wychowawcy albo oddziałowi płacą za coś albo przynoszą wypłatę. Na widzeniu ktoś płaci pieniędzmi obok mnie. Byłabym głupia, gdybym szybko nie nauczyła się, ile to jest - dużo czy mało. Na co dzień nimi nie operuję, ale nauczyłam się nimi operować na sucho. Jako jedna z niewielu tutaj długo odsiadujących nie przeliczam nowych na stare. Nie myślę, że pięćdziesiąt złotych to jest tyle milionów czy tyle tysięcy. Myślę już po nowemu. Z początku, jak weszły te nowe pieniądze, to faktycznie miałam kłopot, myliłam się w obliczeniach, ale szybko się przestawiłam. Nie chciałam być zacofana. Dla niektórych, co siedzą tak długo jak ja, do dziś to jest jakaś ciemna sprawa. Nie rozumieją, co to jest pięćset złotych.

- A co to jest pięćset złotych? - pytają.

A ja im wtedy tłumaczę: - To tyle, jakbyś miała pięć milionów.

A tamta mi na to: - Nie gadaj, że pięćset złotych to pięć milionów.

- No chyba, że tak…

- A skąd ty wiesz?

- Jak to skąd? Człowiek czyta, to wie.

Nie ukrywam, że temat pieniędzy bardzo mnie interesuje. Ostatnio czytałam w „Gościu Niedzielnym" o pewnym numizmatyku, który wypuścił krótką serię pięćdziesięciu złotych z papieżem. Jestem na bieżąco. Bo jak wyjdę, to muszę za takimi rzeczami nadążać.

To jest podstawa - umieć liczyć pieniądze. Inaczej nie będę umiała sobie nawet bułki w sklepie zakupić! A ty co? - mówię do nich. - Jak cię wypuszczą, to nie będziesz wiedziała, o co chodzi. Lepiej się poducz, bo debila z siebie zrobisz.

Dlatego cały czas staram się być do przodu. A nie tkwić w przeszłości, jak niektórzy tutaj…

Jak ja byłam na wolności, nawet książeczek czekowych nie było. Były za to książeczki oszczędnościowe: mieszkaniowe, systematycznego oszczędzania, samochodowe.

Pieniądze trzymałam w domu i na książeczce PKO. Niektórzy w bieliźnie, inni w kryształach, za szkłem. Jeszcze inni pod podłogą. Jak z mężem byłam, to trzymałam w schowku, żeby on nie znalazł. Meblościankę miałam w kuchni i jedna ścianka była taka witrażowa, a w niej serwis kawowy z chińskiej porcelany i pieniądze w słoiczku na śmietankę, przykrywanym pokryweczką, chowałam. Nazywałam je podręczne. Z napadów to już było znacznie więcej pieniędzy. Te trzymałam w saszetce pomiędzy szafką a ścianą. Taki ukryty schowek. Dzieci tam nie szperały, nikt tam nie zaglądał, bo i po co?

Na koncie pieniędzy nie trzymałam, konta nawet nie chciałam mieć. Chociaż można było, nie mówię, że nie. Były też banki walutowe, nawet z siostrą tam chodziłam, bo siostra miała walutę. Ten bank był inny od naszych - tam już były bramki ze światełkami, na fotokomórkę, numerki, wyświetlały się nazwiska, wszystko, całe dane o człowieku - jak na Zachodzie. Innych banków nie znam. Nie miałam potrzeby do nich chodzić. Jak chodziłam do banku, to tylko do PKO. Tam się kredyty wszystkie załatwiało: ememki - dla młodych małżeństw, książeczki mieszkaniowe dla córek… Tam się to załatwiało. Wpłacałam pieniądze co miesiąc, więc szybko się książeczki kończyły i wymieniali je na nowe. Obliczali z nich procent i premię od złożonej sumy, a potem je wszystkie razem zszywaczami zszywali. Potem taki plik z tych książeczek powstawał. Składało się je do uzyskania kaucji mieszkania spółdzielczego. I jak dziecko miało już osiemnaście lat, to z tego pełnego wkładu mieszkaniowego - nie pamiętam, ile to wtedy było - dziecko zaczynało być członkiem spółdzielni mieszkaniowej i oczekiwało na mieszkanie spółdzielcze.

Oprócz książeczek mieszkaniowych były jeszcze książeczki systematycznego oszczędzania. Ja tego nie miałam, zawsze wolałam gotówkę i w domu ją trzymałam. Jak dostawałam trzynastkę czy premię jakąś, to wszystko odkładałam do mojego schowka między szafą a ścianą w kuchni. A kiedy więcej gotówki się nazbierało, to wpłacałam na książeczkę PKO. O akcjach nikt wtedy nie słyszał. Ani o giełdach czy funduszach. Fundusze znam, ale do żadnego nie należę. Pozostałam wierna ZUS-owi, bo to mi się opłacało.

Wiem, że teraz modne są karty kredytowe, plastikowe pieniądze na nie mówią. Kiedyś ich nie było. Bankomatów nie było, nawet kart telefonicznych. Wszystkie automaty telefoniczne były na żetony. Jak zaczęłam siedzieć, to dzwoniłam na żetony, potem karty z paskami wprowadzili, a dopiero potem te, no, chipowe.

Kiedyś to do pracy kierowano. Teraz każdy sam musi sobie ją znaleźć. A najpierw napisać „siwi". Wiem, co to jest, kiedyś też było takie coś, życiorys się nazywało. Umiem to napisać, ze sprawami urzędowymi nigdy problemów nie miałam. Podanie i życiorys w pół godziny napiszę, nie tylko własny, ale i cudzy. Nie wiem tylko, czy do dzisiejszych

czasów będzie pasował, bo filologia języka się zmieniła. Teraz taki bardziej europejski, naukowy chwilami powinien być. Dawniej od serca starczał. Do mnie czasem tutaj kobitki samoistnie przychodzą, żeby im coś napisać, i ja problemów z tym nie mam żadnych, ale to żadnych. I dziwią się, że ja wiem co i jak, skoro w takich warunkach od tylu lat przebywam. A ja się szybko uczę, tutaj ruch jest - ktoś przychodzi, ktoś wychodzi, więc korzystam z cudzych doświadczeń, żeby sama w zacofaniu nie zostać.

I piszę chętnym pisma do urzędów. Przychodzą do mnie i pytają: czy coś im się należy, kiedy nabywają praw do czegoś, od czego mogą się odwołać i jaki artykuł zastosować, żeby swoją prośbę poprzeć. Znam już na pamięć potrzebne artykuły - czy to jest kodeks wykonawczy czy postępowania karnego, a jak zapomnę, zawsze można w bibliotece sprawdzić. Nie mam z tego ani złotówki. Tylko tyle, że komuś coś dobrego sprawię. Tak jak fachowiec, kiedy mu się coś zleci, on szybciej i lepiej wykona pracę. One mówią, że jestem mądra, ale to nie jest mądrość. Tylko słucham ludzi. A że siedzę bezczynnie, to przynajmniej coś komu napiszę.

W moim mieszkaniu urządziła się średnia córka Joanna, z mężem i dziećmi, ale to nie problem - ja sobie załatwię mieszkanie. Wniosek już złożyłam do urzędu gminy. Nie chcę mieszkać z dziećmi, mają swoje życie, są młodzi, nie potrzebują starej matki. Może jakby mnie przyjęli do czasu, zanim to mieszkanie dostanę, tak tylko w gościnę, to bym u nich została chętnie. Bo już złożyłam to pismo, czekam na rozpatrzenie. Kawalerka mi wystarczy.

Może być inna dzielnica niż do tej pory mieszkałam, najlepiej tam, gdzie mnie nie znają. Po co ludziom na języki wchodzić? Chciałam wrócić do swojego panieńskiego nazwiska, bo moje nazwisko - Wacław - to po mężu pijaku. Dzieci mają swoje nazwiska, to ja też mogę mieć własne… Nie, ja się nie boję, ale pomyślałam sobie, że tak byłoby wygodniej.

Kiedy wyjdę, zabiorę ze sobą zawartość mojego boksu z magazynu i kuwety spod celi[1]. Dam radę ją unieść. Mnie wiele nie trzeba. Przez lata siedzenia z tego, z czym przyszłam, niewiele zostało. Prócz ciuchów z takich osobistych rzeczy to nie mam właściwie nic. Kilka zdjęć dzieci, swoje nożyczki, swoje długopisy, swój blok do pisania i album zdjęciowy. Kosmetyki, do ciała, oczywiście, bo makijażu nie używam, proszek do sprzątania, czyszczenia. Książek nie mam, bo tyle jest w bibliotece, że i tak ich do końca życia nie przeczytam. Różaniec, książeczka do nabożeństwa… To jest moje, to mogę tutaj mieć i to ze sobą zabiorę. I tylko to jest mi potrzebne. To wszystko mieści się w jednym większym plastikowym pudełku i małym kartonie po butach, gdzie trzymam teraz higienę. Nie mam więcej żadnych przedmiotów. Maszyna do szycia, na której pracuję, też jest zakładowa. To nie jest dużo, ale nie może być dużo. Cela, w której teraz mieszkam, jest przeznaczona na osiem osób, a nas dwanaście, bo przepełnienie w więzieniach jest. Automatycznie musimy mieć mniej miejsca na nasze rzeczy.

Mogę też zostawić to wszystko i nic nie brać. Mogę wyrzucić albo dziewczynom zostawić, bo to wszystko są porządne rzeczy, a zdjęcia czy różaniec zabrać i wyjść tylko z torebką.

W tej chwili nikt mnie nie odwiedza.

Trzy córki mam, już dorosłe są, swoje dzieci mają. Wtedy to jeszcze dzieciaki były: szesnaście, niecałe piętnaście i osiem i pół. Siostry i teście mi je wychowali. Teraz Justyna ma trzydzieści dwa lata, Joanna dwadzieścia dziewięć, a Agata dwadzieścia trzy.

Wszystkie trzy są już szczęśliwymi mężatkami. To, że teraz do mnie nie przyjeżdżają… Nie mogę od nich tego wymagać, bo ja ich nie wychowałam, one same się wychowały. Same wychowują dzieci, nie mają z mojej strony żadnej pomocy. Rodziny stworzyły beze mnie, wykształciły, za mąż powychodziły, mieszkania sobie pozałatwiały, wyszły na prostą, nie stoczyły się, nie popadły w alkoholizm, a przecież mogło się tak stać. Jestem dumna z nich, że wybrały taką prostą drogę i ułożyły sobie życie. Mnie wystarczy, że one żyją i mają się dobrze.

Nie mogę im nic narzucić, bo to przecież ja je zostawiłam. Z mojej winy siedzę, z mojej winy zostały same. Sąd tyle im powiedział, co się stało. I sąsiedzi, i znajomi. To nie to, że one się na mnie obraziły, one raczej, jakby to powiedzieć, zawiodły się na mnie, jako matce. Byłyśmy w końcu bardzo związane emocjonalnie, bo ja je przecież sama wychowywałam. Mąż był alkoholikiem i się z nim rozeszłam, alimentów nie płacił. Żyliśmy najpierw w separacji, a potem dostał nakaz eksmisji z naszego mieszkania i już byłam z córkami sama. Jak zostałam przez policję wzięta z domu, to one - tak między Bogiem a prawdą - nie wiedziały dlaczego. Tylko je ucałowałam i powiedziałam, że za dwie godziny wrócę. Niestety, te dwie godziny trwają do dzisiaj, już szesnaście lat. Jak źle to wyszło! To był szok - dla sióstr, dla córek, dla matki, dla wszystkich. Nikt nie wierzył. O co oni mnie oskarżają? Dlaczego?

Mama chodziła do kościoła i wytykali ją palcami. A przecież w Gliwicach to katolickie społeczeństwo. Pytali, jak córkę wychowała, do sklepu nie mogła wejść. Płakała, ale nie chciała mnie zostawić samej. Dzieci w szkole miały to samo.

Wtedy wszystkie gazety kryminalne - te Detektywy, nie - Detektywy (do dziś ich nie czytam i nie lubię) opisywały moją sprawę. Nic z tego nie było prawdą, tylko ten jeden artykuł się zgadzał, za który siedzę. Wszystko te pismaki kolorowali sobie, żeby im pasowało.

Artykuły tworzyli fantastyczne, bawili się tym - w końcu za tę wyobraźnię ktoś im płaci… A potem uciszyło się wszystko w społeczeństwie i córki mnie prawie co tydzień odwiedzały, po wyroku i jeszcze kilka lat później. Wnuczka do mnie przywozili. Ale jak do przedszkola poszedł, to powiedzieli mi, że już go przywozić nie będą. Bali się, że dzieciom w przedszkolu zacznie opowiadać, że babcia w więzieniu siedzi. Nie miałam nic przeciwko. Sama im powiedziałam: Macie rację, tak będzie lepiej, dla niego to żaden zaszczyt jeździć do babci do więzienia. Potem jeszcze kilka razy same przyjechały… Teraz już kilka lat wnuków nie widziałam. Zdjęcia mi przez jakiś czas przysyłały, te w albumie są już nieaktualne.

Nie widziałam ani córek, ani wnuków. Nie piszą do mnie, nie wysyłają nawet paczek.

Nie mam z nimi kontaktu, nie chcą… Ja to rozumiem. Może one muszą chwilowo o mnie zapomnieć, ale wszystko z czasem samo się ułoży. Ja w to wierzę. Dlatego inaczej do tego podchodzę. Myślę często, jak to będzie, kiedy wyjdę. Wierzę, że będzie dobrze. Znów będziemy rodziną. One mi wybaczą, pozwolą się do siebie zbliżyć. Ja dałam im czas.

Powiedziałam, że kiedyś wyjdę i być może je odwiedzę. Ale nie mogę żądać, by one przez te wszystkie lata mnie odwiedzały. I pamiętały.

Zanim wyjdę na wolność, chciałam pójść tak na próbę, przynajmniej na jedną czy dwie przepustki. Żeby nie zachłysnąć się tą wolnością, żeby chociaż poczuć, jak się teraz po ulicach chodzi. Tyle lat siedziałam w zakładzie zamkniętym i nagle by mnie wypuścili. Oni by mnie pokaleczyli, bo po tylu latach człowiek nic nie wie o tym zewnętrznym świecie.

Marzyłam o tym, że wyjdę tutaj, na teren Lublińca, z mundurowymi albo z kimkolwiek. Na pół godziny, na godzinę, nie więcej…

Chodziło o to, żeby poszli ze mną parę razy, pokazali jak ta rzeczywistość teraz wygląda.

Chciałabym na przykład zapoznać się z bankomatami. Nie wiem, jak obsługiwać kartę kredytową, jak bilet na dworcu kolejowym kupić. Żeby choć trochę się z tym światem na zewnątrz oswoić. Chcę pojechać i zobaczyć, jak moje miasto się zmieniło. Dzieci odwiedzić, to, tamto, przywitać się z sąsiadami, z rodziną. My jesteśmy tak samo ludźmi, tak samo kobietami, matkami. Tak samo tęsknimy. My te dzieci mamy, rodziny mamy, ale nie możemy ich widzieć.

Tak sędziemu penitencjarnemu powiedziałam, jak starałam się o przepustkę. Przez kilka miesięcy nie mogłam się tego doprosić. Napisałam do sądu, czekałam, mijał miesiąc za miesiącem, wnet było pół roku. Już nie miałam siły, brak mi słów było. Chodzić, to samo powtarzać… Nagrałabym sobie jakąś kasetę i puszczała im wszystkim od początku. Ani prośby, ani groźby, ani krzyki, ani pisma, wszystko na nic. Nie wiedziałam, jakimi słowami do nich przemawiać, żeby ich przekonać. Bali się, że ja ucieknę?

Że nie wraca jedna, druga, trzecia z przepustek, to nie wracają one, ale nie ja! Ja nie mam powodu, żeby nie wracać - mówiłam. - Nie można podchodzić do każdej z tych osób jednakowo, każdy z nas jest inny. Jeśli chciałabym to zrobić, miałam tyle okazji już dawno temu, a nie teraz, kiedy mi się wyrok kończy!

Do rodziny wrócić - do dzieci, wnuków, mieszkania sobie poszukać. Chciałabym wejść w przyszłości w takie życie rodzinne, w normalność wejść. A ucieczka łączy się z czym? Musiałabym się ukrywać, z pięćdziesiąt lat co najmniej. Tyle to ja już żyć nie będę…

Ile ja tej wolności zasmakuję, jeśli ucieknę? To mi się w ogóle nie opłaca - przekonywałam.

Ja wiem, że oni mogli się obawiać, ale ja po tych szesnastu latach jestem już chyba inną osobą niż ta Irena, którą zamykali.

Pani dyrektor zna mnie od 1993 roku. Poznałyśmy się, jak ja tutaj ze śledczaka z Katowic przyjechałam, po wyroku. To ona była moim wychowawcą, później była penitencjarną kierowniczką, a potem podczas nieobecności poprzedniej dyrektor, zastępowała ją. No i teraz już sama jest dyrektorką. Pamiętam, jak ostatnio na komisji mówi do mnie: Irena, lata lecą, trzeba będzie ciebie wypuścić.

I pozwoliła mi wyjść[2]. Byłam już na czterech przepustkach. Poszłam w cywilu, jak biały człowiek z kierowniczką penitencjarną i wychowawcą. Pierwsza cztery godziny trwała, pozostałe przepustki po trzy godziny, bo to mi wystarczy, żeby swoje sprawy załatwić, zakupy zrobić. Sama byłam ciekawa, jak to będzie. Chodziliśmy po ulicach, bankomat obsługiwałam, patrzyłam z odległości w dyskoncie, jak kasa fiskalna pracuje, wyciągnęłam na poczcie bloczek z maszyny i czekałam na swoją kolej - kiedyś tego nie było, w kolejce się stało.

Teraz wszystko jest - czy to przemysłówka, czy spożywcze. Taki wielki wybór, że tylko firmami poukładane na półkach. Są bardzo tanie sklepy, są i bardzo drogie. A na bazarach to dziś jest ze trzy razy drożej niż w markecie. U jubilera byłam, kupiłam sobie łańcuszek z zodiakalnym Baranem na pamiątkę. Na ciasteczko do kawiarni weszliśmy, kebab jadłam, bardzo był dobry, ostry, ja takie lubię. Dostałam gotówkę z funduszu postpenitencjarnego. Za pierwszym razem sto pięćdziesiąt złotych, potem po sto. Portmonetkę swoją mam,

policzyłam, na co mi te pieniądze wystarczą. Kilka razy wszystko przeliczałam, żeby się nie pomylić, nawet kierowniczka mnie chwaliła, tak dobrze sobie radziłam.

Kupowałam sobie to, co było mi potrzebne: bieliznę, skarpetki, kawę. Sama sobie wybierałam, czułam się, jakby nie było tych wszystkich lat spędzonych tutaj. Koleżankom chleb gorący z masełkiem przyniosłam, kolację uroczystą zrobiłam, lody, bo tutaj przecież takich rzeczy nie mamy.

Nowoczesność teraz jest wszędzie, czysto, ludzie ładnie poubierani, kolorowo. Podoba mi się ten nowy świat, już się go nie obawiam. Nie ma czego! Tylko zakaz palenia papierosów wszędzie, to mnie przeraziło, bo ja do kawy to lubię papierosa zapalić.

Ja żałuję, tak najbardziej, że tutaj jestem. Całe moje życie więzienie przekreśliło.

Irena Wacław (ur. 10.04.1953)
ofiary: dwie starsze panie
motyw: rabunkowy
narzędzia zbrodni: koszula nocna i poduszka
przyznanie się do winy: tak
wyrok: 25 lat
koniec kary: 28 marca 2017

Irena Wacław, lat trzydzieści osiem, matka trzech córek, pracowała w gliwickim sklepie mięsnym jako ekspedientka. Nigdy nie była karana, nie była leczona psychiatrycznie, poza paleniem papierosów nie miała nałogów. Z wykształcenia fryzjerka. Mąż był alkoholikiem, żyli w separacji, nie płacił alimentów. Irena miała pozytywną opinię w miejscu zamieszkania. Była lubiana przez sąsiadów. Po jej aresztowaniu przez długi czas sądzili oni, że zaszła pomyłka i kiedy policja znajdzie prawdziwego sprawcę zbrodni, Irena wyjdzie na wolność. Sąd jednak nie miał wątpliwości przy wydawaniu wyroku. Kobieta została uznana winną śmierci dwóch kobiet, jest w więzieniu do dziś. Z orzeczenia wyroku: Oba przestępstwa dokładnie zaplanowała i mordowała bez skrupułów. Ze względu na motyw i ciężar dokonanych zbrodni jeszcze ani razu nie była na przepustce. Komisja penitencjarna nie wyraziła też zgody na jej przedterminowe zwolnienie warunkowe. Do końca wyroku zostało jej jeszcze dziewięć lat.

Edward Ł., właściciel prywatnego sklepu mięsnego, zatrudniał Irenę przez dwa lata.

Była znajomą jego żony. Irena bardzo wiele wiedziała o życiu swojego pracodawcy, a Edward wiedział, że Irena samotnie wychowuje trzy córki i ledwie wiąże koniec z końcem, pomagał jej, często podwoził ją do domu. Była dobrym pracownikiem, przychodziła na czas, nie kradła towaru, nie oszukiwała klientów. Utrzymywała czystość w sklepie.

Któregoś dnia po zamknięciu sklepu Edward odwoził Irenę do domu. Po drodze odwiedził swoją ciotkę, osiemdziesięciodwuletnią Stanisławę Ł. Irena przysłuchiwała się ich rozmowie. Dowiedziała się wtedy, że ciotka trzyma w domu sporo gotówki.

Dwa tygodnie później (5 września 1991 roku) nie pojawiła się w pracy. Kilka godzin później policja zawiadomiła Edwarda, że jego ciotka została zamordowana, a sprawca, który ją okradł, zbiegł. Edward początkowo był pierwszym podejrzanym, ponieważ dziedziczył po ciotce cały majątek. Nie został jednak zatrzymany, po przesłuchaniu wypuszczono go do domu. Nasze stosunki były bardzo poprawne, traktowałem ją jak własną matkę. Gdybym potrzebował pieniędzy, na pew no by mi pożyczyła - tłumaczył. -

Wszyscy wiedzieli, że ciotka ma pieniądze i trzyma je w domu. Rentę zawsze chowała do tapczanu.

Tego dnia Irena, zamiast do pracy, pojechała na osiedle Stanisławy Ł. Zauważył ją sąsiad. Dziwnie się zachowywała. Kręciła się na klatce schodowej, to wchodziła, to wychodziła, czytała ogłoszenia, sprawdzała coś w skrzynkach - powiedział potem policji.

Opisał, jak wyglądała: niska, przy kości, krótko ostrzyżona, włosy ciemny blond, jasne oczy.

Jednak te dane nie wystarczyły, by sporządzić jej portret pamięciowy. Kiedy sąsiad zapytał, po co przyszła, odburknęła mu, że nie jego sprawa, i wybiegła z bloku. Oddaliła się, udając, że odchodzi. Czujny sąsiad nadal ją jednak obserwował. Zanim zdążył zrobić sobie herbatę, przez okno w kuchni spostrzegł, że ta sama postać znów weszła do budynku. Chciałem ją jeszcze raz zagaić, nawet wybiegłem z domu, ale zniknęła. Po prostu rozpłynęła się w powietrzu. W tym momencie Irena, pod pretekstem, że żona Edwarda przysyła ją po pieniądze, weszła już do mieszkania starszej pani. Stanisława była sama, bo jej adoptowana córka wyszła do sklepu po zakupy. Irena wiedziała, że ma niewiele czasu. Zażądała pieniędzy, a kiedy staruszka nie chciała ich oddać, chwyciła czarny portfel, który starsza pani miała ukryty pod poduszką na wersalce. Stanisława rzuciła się na Irenę, żeby odebrać swoją własność. Szamotały się chwilę, nagle rozległ się dzwonek do drzwi. To wróciła adoptowana córka Stanisławy. Nie mogła wejść do mieszkania, bo nie wzięła kluczy, a drzwi były zamknięte od wewnątrz. Irena popchnęła starszą panią na najbliższą wersalkę i zaczęła ją dusić. Jedną rękę zacisnęła jej na szyi, drugą zakryła twarz. Stanisława osunęła się na podłogę, a Irena chwyciła ręcznik, zawiązała i zacisnęła go na szyi kobiety. Stanisława Ł. przestała oddychać.

Irena Wacław wyjęła gotówkę z portfela - było tam trzy miliony (starych) złotych i pięć dolarów amerykańskich i uciekła przez okno. Zaniepokojona córka Stanisławy zawiadomiła policję. Potem sąsiadka pożyczyła jej drabinę i przez okno w małym pokoju weszły do mieszkania starszej pani. Kobieta leżała na podłodze, twarzą do podłogi, była przykryta poduszką. Szyję miała okręconą ręcznikiem. Oględziny, a potem sekcja zwłok wykazały, że przyczyną śmierci było uduszenie. Policja nie znalazła sprawcy zabójstwa. Irena nawet nie była brana pod uwagę jako podejrzana, nie przesłuchano jej.

Pięć miesięcy później postanowiła zaatakować ponownie. Na swoją drugą ofiarę wybrała znajomą emerytkę - siedemdziesięcioośmioletnią Karolinę T., matkę koleżanki, z którą utrzymywała bliski kontakt towarzyski. Podczas jakiejś rozmowy dowiedziała się, że staruszka ma sporo pieniędzy i złota, ale nie znała jej dokładnego adresu. Wiedziała jedynie, że Karolina T. mieszka z synem Mieczysławem, który w ciągu dnia pracuje. Nie dopytywała się, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Jedynie raz, kiedy była z koleżanką w Orzeszu, ta pokazała jej z daleka familoki, czyli domy zbudowane dla rodzin górników, w których mieszkała jej matka.

Irena zaplanowała wszystko ze szczegółami. Tym razem szła, żeby zabić.

Szóstego lutego 1992 roku około dziewiątej rano pojechała do Orzesza i starannie obeszła okoliczne bloki. Jeden z nich wydał jej się podobny do tego, który wskazywała koleżanka. Weszła więc do klatki schodowej i zapytała jednego z sąsiadów o „Mietka", który mieszka ze starszą matką. Od pierwszej zapytanej osoby dostała dokładny adres (i została dokładnie zapamiętana).

Irena chciała być sprytna. Wiedziała, że będzie obserwowana, więc udała, że odchodzi

na przystanek autobusowy, skręciła w bok. Odczekała godzinę i około południa ruszyła pod wskazane drzwi. Otworzyła jej starsza pani.

O co chodzi? - spytała zaniepokojona (używała łańcuszka, nie otwierała obcym).

Irena zorientowała się, że syna staruszki na pewno nie ma w domu. Jestem znajomą Mietka - odpowiedziała i grzecznie spytała, czy mogłaby na niego poczekać. Starsza pani przestała być nieufna. Rozpromieniła się i nie tylko wpuściła Irenę, ale też poczęstowała ją kawą, kotletem mielonym i kawałkiem chleba. Irena zjadła wszystko, w tym czasie rozmawiała ze staruszką, wypytywała o zdrowie i sprawy, które Karolinę T. mogły zajmować. Trwało to około godziny. Kiedy wybiła trzynasta obie wypatrywały w oknie „Mietka", który według słów Ireny miał tego dnia wrócić wcześniej z pracy. Zamiast niego, w głębi podwórka, zauważyły jego żonę Kornelię. Kiedy staruszka chciała do niej zamachać i zawołać ją, Irena odwróciła jej uwagę. Kornelia zniknęła między budynkami.

Aby czas się nie dłużył, Karolina oprowadziła Irenę po mieszkaniu, opowiedziała historię swojego życia, a w końcu zaprowadziła do swojego pokoju, żeby jej pokazać stare fotografie.

Ale Irena zaczęła się niecierpliwić, już jej się znudziło odgrywanie roli. Teraz czekała tylko na dobry moment, by zaatakować staruszkę. Kiedy tylko obie usiadły na wersalce, przewróciła staruszkę na plecy, zacisnęła ręce na jej szyi i zaczęła ją dusić. Ale Irena nie była w stanie udusić kobiety gołymi rękami - Karolina próbowała się wyswobodzić, walczyła o życie. Wtedy Irena zawiązała na jej szyi koszulę nocną i mocno zacisnęła. Staruszka nie wydobyła z siebie praktycznie żadnego krzyku, jedynie charczała. Po chwili nie dawała już żadnych oznak życia.

Wtedy przewróciłam ją na piersi, żeby nie oglądać jej twarzy, i ściągnęłam z jej palca obrączkę, bo podejrzewałam, że może być ze złota. Wyjęła z torebki rękawiczki i zaczęła przeszukiwać mieszkanie. Ale eksperci zabezpieczą jej odciski palców na albumie z fotografiami, który musiała oglądać, kiedy staruszka jeszcze żyła.

Kiedy tylko znalazłam schowane w poszewce dwa i pół miliona złotych, po prostu wyszłam z domu, poszłam na przystanek autobusowy i wróciłam do Gliwic.

Mieczysław dopiero około szesnastej, gdy wrócił z pracy, zawiadomił policję o zabójstwie. Stwierdzono, że staruszka zmarła w wyniku uduszenia. Ofiara była duszona, przytrzymywana kolanem, usta i nos miała zakryte dłońmi. Trwało to więcej niż minutę. W tym czasie Irena gotowała obiad dla córek. Pieniądze ukryła w schowku pomiędzy szafą a ścianą.

Tym razem Irena Wacław znalazła się w kręgu podejrzanych. Przeszukano jej mieszkanie i znaleziono ukrytą złotą obrączkę Karoliny T. oraz skórzane rękawiczki, które założyła, żeby nie zostawiać odcisków palców na miejscu zbrodni. Zabezpieczono także ręczny miotacz gazu, pistolet startowy marki Slavia produkcji czeskiej, oraz sześćdziesiąt jeden sztuk naboi startowych. Irena Wacław nie miała wymaganego zezwolenia na broń. Jako dowody w mieszkaniu Karoliny T. zabezpieczono niedopałki papierosów - ich analiza wykazała pozostałości śliny Ireny.

Kobieta jednak nie przyznała się do zbrodni. Byłam w mieszkaniu Karoliny T., jednak to nie ja ją zabiłam - twierdziła. Dopiero, kiedy prokurator przedstawił jej dowody: niedopałki, świadków, którzy ją widzieli, złamała się. Przyznała się do zabójstwa Karoliny T., a także do zabójstwa Stanisławy Ł. Nie potrafiła wyjaśnić swojego postępowania. Dodała, że za pierwszym razem poszła pożyczyć pieniądze, ale kiedy starsza pani nie

zgodziła się, wpadła w złość. Dopiero po zabójstwie wpadła na pomysł przeszukania mieszkania. Obie staruszki po zabójstwie odwracałam na brzuch, żeby nie patrzeć na ich twarz - dodała.

Natychmiast trafiła do aresztu.

Została poddana obserwacji psychiatrycznej. Biegli dopatrzyli się u niej zaburzeń cech osobowości, w tym niedojrzałości emocjonalnej oraz zaburzenia uczuć złożonych.

Sąd w orzeczeniu wyroku uznał Irenę Wacław za przestępczynię o dużym nasileniu złej woli, bezwzględną i okrutną. Motywem działania w obu przypadkach była jedynie chęć zabrania pieniędzy i innych wartościowych przedmiotowych, jak na przykład złotej obrączki, którą ściągnęła z palca jednej z ofiar po zabiciu jej.

Jej sposób działania był wyrafinowany, z góry wszystko zaplanowała i określiła cele: zabór mienia niemającym możliwości obrony ufnym staruszkom. Jakikolwiek opór z ich strony z góry był skazany na fiasko, zważywszy choćby dysproporcję wiekową pomiędzy przestępczynią a jej ofiarami.

Kobiety, które Irena Wacław wybrała na swoje ofiary, okazały jej serdeczność, gościnność i sympatię; Karolina T. poczęstowała ją nie tylko kawą, ale i posiłkiem. Irena odwdzięczyła się jej najwyższą formą agresji i zezwierzęcenia, pozbawiając ją życia. W obu przypadkach skutki w sposób rażący kolidują z celem polegającym na kradzieży stosunkowo niewielkich kwot.

O stopniu zwyrodnienia Ireny Wacław świadczy także fakt, że po dokonaniu pierwszego zabójstwa - z powodu niewykrycia sprawcy - morderczyni poczuła się bezkarna, wobec czego dopuściła się kolejnego zabójstwa, postępując analogicznie jak w pierwszym przypadku.

Siedemnastego listopada 1993 roku po wydaniu wyroku Irena napisała do sądu list, prosząc o ponowny proces.

Ja wiem, kto to zrobił, ale nie mówiłam, bo się bałam. Nie mogę tak żyć, bez moich dzieci. Gdybym wtedy miała gotówkę, wzięłabym dobrego adwokata, prywatnie, ale tak… jak go teraz opłacę? Ja wzięłam to na siebie, sama nie wiem, ze strachu. Nie potrafię sobie poradzić z życiem tutaj. Nie mogę i nie nadaję się do życia z ludźmi takimi, jak są tutaj.

Pochodzę z bardzo bogobojnej katolickiej rodziny i wierzę, że Pan Bóg będzie nas sądził na Sądzie Ostatecznym. Nie winię nikogo, tylko samą siebie, ponieważ cudzą winę w całości wzięłam na siebie. Był ze mną mężczyzna, którego ukrywałam, bo oświadczył, że zemści się na mnie i dzieciach, i rodzinie.

Odwołała się od wyroku, prosząc o złagodzenie kary, jednak wyrok został utrzymany w mocy. Popełnione przestępstwa nie były przypadkowe. Irena cztery razy zwracała się o ułaskawienie, ale wszystkie jej prośby katowicki sąd zaopiniował negatywnie.

EPILOG 2012

Irena Wacław po 19 latach i 6 miesiącach (z 25-letniego wyroku) otrzymała przedterminowe warunkowe zwolnienie i wyszła na wolność. Przed opuszczeniem więzienia w towarzystwie pracowników zakładu karnego robiła „wycieczki” po nowym świecie. Uczyła się obsługi bankomatów, zwiedzała supermarkety, poznawała tajniki komputera i surfowania po internecie. Była wszystkiego ciekawa - kiedy ją aresztowano, świat wyglądał zupełnie inaczej. Po wyjściu na wolność Irena zamieszkała w ośrodku AGAPE dla bezdomnych kobiet, gdyż nikt z rodziny nie utrzymywał z nią kontaktu od ponad

10 lat. Dostała nakaz regularnego zgłaszania się na pobliski komisariat policji, a także meldowania u kierownictwa ośrodka zapewniającego jej dach nad głową w zamian za dobre zachowanie. Jednak kilka dni po zakwaterowaniu, Irena opuściła ośrodek i ruszyła do swojego rodzinnego miasta - Gliwic, gdzie starała się nawiązać kontakt z dziećmi. W tym czasie prokurator wniósł o cofnięcie warunkowego zwolnienia i wystosował za Ireną list gończy. Kobieta była bezskutecznie poszukiwana przez ponad dwa lata. Z informacji docierających do organów ścigania wynikało, że wyjeżdżała w tym czasie za granicę, podróżowała po kraju. Kiedy wreszcie została zatrzymana w mieszkaniu szanowanego w mieście mężczyzny, okazało się, że spotkała „miłość swojego życia”. Mężczyzna poręczył za Irenę i zapewnił, że w tym czasie nie popełniła żadnych przestępstw. Od początku wiedział o czynach, których się dopuściła, i mimo to obiecał, że po jej wyjściu na wolność, zwiąże się z nią na stałe. Obecnie regularnie odwiedza Irenę w lublinieckim więzieniu, do którego wróciła. Kurator dokładnie zbadał sytuację rodzinną i finansową mężczyzny. To zaradny, solidny człowiek, który nadal dorywczo pracuje i cieszy się dobrą opinią sąsiadów oraz rodziny. Wierzy, że Irena się zmieniła. Zapewnił na piśmie, że gdy kobieta dokończy odsiadywanie wyroku, zamieszka u niego na stałe i prawdopodobnie zostanie jego żoną.

***

[1] Z celi - slang więzienny. Każdy więzień trzyma swoje rzeczy osobiste w plastikowym pudełku, może mieć jedynie tyle ile się zmieści w tym pojemniku.

[2] To nieprawdopodobny wyjątek, gest dobrej woli ze strony administracji więziennej, ponieważ zwyczajowo tylko sędzia penitencjarny może podjąć taką decyzję.

Krystyna

Wolność

Nie miałam już nadziei. To była moja szósta wokanda. Każdy gadał: Krysia, ty wyjdziesz dzisiaj, wolna dziś będziesz. A ja nie wierzyłam. Jeszcze półtora roku będziemy razem - mówiłam.

Weszłam na świetlicę - tam byli: sędzia penitencjarny, prokurator i pani dyrektor zakładu - i słyszę, że do domu idę. Rozpłakałam się ze szczęścia. Nawet nie miałam odwagi sobie tego wyobrazić. Siedem lat i cztery miesiące przesiedziałam.

Mój konkubent był grabarzem, płacili mu we flaszkach, zapraszali na stypy, więc po powrocie z pracy codziennie był pijany. A jak był już pijany, to chciał, żebym ja z nim dalej piła. Nie co dzień się zgadzałam, wtedy mnie nacinał. Na nogach, rękach, nawet na twarzy i dekolcie mam ślady. Cała jestem w kilkucentymetrowych bliznach od noża. Sto, może sto pięćdziesiąt ich będzie. Raz oko chciał mi wylać. Nie udało mu się, ale już na to oko nie widzę. Jak mój syn z pierwszego małżeństwa z nami mieszkał, to nożami w dziecko rzucał.

Musiałam oddać synka do babci, bo by go zabił, a tego bym chyba nie przeżyła. Myślałam wiele razy, żeby od niego odejść, ale nie miałam gdzie, to było jego mieszkanie.

To się stało w kwietniu. Jak to było, nie pamiętam. Po wszystkim on leżał bezwładnie, a ja zobaczyłam, że sweter mam w rękach. Zawołałam policję i nawet myślałam, że to nie ja, a ktoś inny zabił. Ale powiedzieli mi, że został uduszony tym swetrem i od razu mnie zatrzymali. Pierwszy raz byłam karana. Pierwszy raz więzienie widziałam. To był dla mnie bardzo duży szok. Jak mnie zamykali, miałam włosy ciemny blond. Trzy dni od zamknięcia obudziłam się, spojrzałam w lustro, a włosy były całkiem białe. W jedną noc osiwiałam.

Dostałam osiem lat i dziewięć miesięcy. Prokurator żądał piętnastu, ale mnie adwokat wybronił. W więzieniu lekko nie było. Każdy dzień marzyłam tylko o tym, że wyjdę. To pierwsza rzecz, jakiej się tam pragnie. Czasem jedyna, na więcej wiary i sił nie starcza. Więc jak się dowiedziałam, że wychodzę, o mało nie zemdlałam. Łzy mi pociekły po twarzy - ze szczęścia, bo to chyba była największa radość w moim życiu. Potem strach przyszedł. Gdzie będę mieszkać? Z czego żyć? Co ze mną będzie? I jak tam jest? Jaka ta wolność będzie?

Syn przyjechał po mnie pod bramę. Jak mnie zamykali, dzieckiem był jeszcze, z dziesięć lat miał. Kiedy podjechał autem i zobaczyłam przystojnego dorosłego mężczyznę, nie mogłam uwierzyć, że to mój chłopiec. Jak on tak dorósł beze mnie? - myślałam.

Pojechaliśmy do jego babci, która syna mi wychowała, kiedy mnie zamkli. Będę jej za to do śmierci wdzięczna, bo nikogo oprócz niej nie miałam. Moja mama zmarła na raka, nie doczekała końca mojej odsiadki. Wstydziłam się, jak wyglądam - nie miałam przecież nic odświętnego i założyłam to, co miałam, co mi z magazynu wydali przy wyjściu. W laczkach poszłam, chociaż zima była. Butów krytych nie miałam, bo i po co, jak przez siedem lat i cztery miesiące na zewnątrz nie wychodziłam. Ale to było nieważne. Jechaliśmy do domu!

Kiedy już na tapczanie usiadłam, z dala od więzienia, rozbeczałam się jak dziecko. Po prostu uwierzyć nie mogłam, że jestem wolna. Pierwsze, co zrobiłam, jak wyszłam, to kurczaka z rożna kupiłam. Zjadłam go całego, w życiu tego smaku nie zapomnę. I zażyczyłam sobie, żeby mama szałot[1] zrobiła. Dwie wielkie miski od razu wtrąbiłam,

choć w więzieniu latami prawie nic przełknąć nie mogłam. Potem poszłam do sklepu. Kozaczki i kurtkę sobie wybrałam, a laczki, co je w więzieniu nosiłam, wyrzuciłam do śmieci. Po prostu nie mogłam patrzeć na nie. Potem pojechaliśmy z synem do wesołego miasteczka. On jeździł, a ja patrzyłam. Patrzyłam na diabelski młyn i zastanawiałam się, czy to nie kolebnie się i syna mi nie ukrzywdzi. Zaraz potem do zoo poszliśmy, przy misiach chyba z godzinę stałam.

Myślałam, czy one w tej klatce są szczęśliwe?

U babci tydzień mieszkałam. Potem przyjechałam do ośrodka. Pani dyrektor z Lublińca dwa lata mi ten pokoik w Caritasie załatwiała, kolejka straszna była. Jak tutaj przyjechałam, jak zobaczyłam swój własny pokój, gdzie nie było nikogo oprócz mnie, gdzie mogłam wszystko ustawić, jak chciałam, to znów strach mnie obleciał. Taka zagubiona byłam, że nawet na obiad czy kolację nie schodziłam. Pierwszy tydzień w pokoju przesiedziałam, delektowałam się ciszą. Prawie nie jadłam, nie odzywałam się do nikogo i - jak w więzieniu - tylko w telewizor patrzyłam. Nie wychodziłam w ogóle. Bałam się świata.

Bałam się, że nie będę umiała się zachować. A najbardziej bałam się ludzi. Tego, że on miał kolegów, którzy wiele razy mi grozili. Dostałam fioła, że mnie znajdą i zabiją. Mój pokoik ma zaledwie dwadzieścia metrów, mniej nawet. Uważam, że ładnie jest urządzony, funkcjonalny, czysty. Zadowolona ogólnie jestem. Z tym, że te wszystkie rzeczy nie należą do mnie.

Wszystko jest tutejsze - i szafa, i łóżko, i stół, nawet firany i pościel. Ja mam tylko tyle, co się po wyjściu z więzienia w walizce zmieściło - ubrania, kilka zdjęć. No i szczura Murzynka w pożyczonej klatce i te dwie pufy, które od pielęgniarza jednego dostałam, bo inaczej by je wyrzucił, a przecież jeszcze dobre są. Żyję z renty, około czterystu złotych miesięcznie. Do pracy pójść nie mogę, bo mieszkanie w tym schronisku stracę. A zresztą, kto zatrudni pięćdziesięciotrzyletnią kobietę niedowidzącą na jedno oko, bez zawodu, z wyrokiem za zabójstwo? Oprócz dziewczyn tutaj praktycznie znajomych nie mam. Tylko w telewizor patrzę i książki czytam. Romanse, żeby przenieść się na chwilę w inny świat. Jak w filmie pokazują więzienie, zaraz przełączam, drgawek dostaję, nie mogę na to patrzeć. Nie chcę żadnego faceta. Jak się było bitą i kopaną za darmo przez pięć lat, to się człowiek boi związku. Jestem sama. Jak mi się nudzi, do syna jadę.

Jak się okazało, ludzie mi nie doskwierają. Prawdę mówiąc, to sąsiedzi, którzy wiedzieli, co zrobiłam, albo już nie żyją, albo przenieśli się w inne miejsce. Została tylko babcia i syn, a oni przecież akceptowali mnie przez te wszystkie lata siedzenia. Nie miałam nieprzyjemności żadnych. I tak minął już rok.

Są takie momenty, że zapominam, iż siedziałam. Krótkie, ale się zdarzają. Cenię wolność, choć z niej nie korzystam. Może już nie potrafię? Ale nikt nie wie, jak dobrze jest móc pójść do sklepu, kiedy się chce, kupić to, na co ma się akurat ochotę, na przykład owoce albo lody, albo móc pojechać do syna w każdej chwili, a nie czekać, czy i kiedy przyjedzie na widzenie. Nawet jeśli stąd nie wychodzę, bo nie mam gdzie, to wiem, że mogę to zrobić.

I teraz, kiedy już pierwsza radość wywietrzała, został mi tylko smutek i strach. Jeszcze z więzienia napisałam do urzędu miejskiego w Rudzie Śląskiej wniosek o przyznanie lokalu.

Opisałam całą sytuację i błyskawicznie dostałam odpowiedź. Nie mają mieszkań w

ogóle, a w mojej sytuacji tym bardziej trudno o przydział. Poinformowali mnie, że jestem na liście oczekujących numerem czterysta czterdzieści trzy. Nie wiem, co będzie. Jestem za to pewna, że jakby mi kurator wyrok odwiesił i kazał wrócić znów siedzieć, kupiłabym pół litra wódki, weszła na najwyższy wieżowiec i skoczyła. Nie zastanawiałabym się nawet chwili.

Krystyna Białczyk
(ur. 19.07.1954)
ofiara: konkubent
motyw: poczucie krzywdy i urazy
narzędzie zbrodni: sweter
przyznanie się do winy: tak
wyrok: 8 lat
koniec kary: jest na wolności

Krystyna pochodzi z rodziny robotniczej, ma troje rodzeństwa. Uczyła się kiepsko, w podstawówce powtarzała siódmą klasę. Jej sprawność intelektualna kształtuje się na poziomie upośledzenia i ograniczenia. Ma ubogi zasób słów, z trudem radzi sobie z podstawowymi zasadami gramatyki i ortografii. Ale w wypowiedziach była zborna i konkretna.

Przez wiele lat jako młoda dziewczyna opiekowała się niepełno sprawną matką, jednocześnie pracowała fizycznie. Z powodu uszkodzenia kręgosłupa, jako niespełna trzydziestoletnia kobieta, przeszła na rentę.

Ma dwoje dzieci - każde z innym mężczyzną. Jej pierwszy mąż zginął w bójce, kolejny konkubent zmarł na zawał serca, trzeci - Henryk - zginął z jej rąk.

Krystyna trzykrotnie trafiała do szpitala psychiatrycznego. Po raz pierwszy i drugi z powodu stanu depresyjnego, potem - urojeń bez objawów psychozy, a za trzecim razem po dokonaniu zbrodni - z rozpoznaniem reakcji sytuacyjnej i charakteropatii. Za każdym razem diagnozowano u niej stan depresyjny i chorobę alkoholową. W trakcie pobytów na oddziale była uczynna i miła dla personelu, agresywna zaś wobec pensjonariuszy. Wielokrotnie twierdziła, że stokroć wolałaby być w więzieniu niż w psychiatryku, bo tam jest przyjemne towarzystwo. Po wyjściu nigdy się nie leczyła.

Krystyna ma zdolność różnicowania norm społeczno-moralnych: wie, co jest dobre, a co złe. Jest niezwykle podatna na napięcia, bywa drażliwa i wybuchowa. Wielokrotnie próbowała targnąć się na własne życie, łatwo się załamuje i poddaje niepowodzeniom. Miewa nieuzasadnione napady złości. W sytuacjach stresowych nie umie zapanować nad emocjami i niektórymi zachowaniami - alkohol jeszcze nasila te objawy. Biegli psychiatrzy sugerowali, że może to być spowodowane jej ciężką sytuacją życiową - biedą, brakiem mieszkania i licznymi niepowodzeniami w życiu osobistym, czyli śmiercią lub odejściem kolejnych partnerów, utratą kontaktu z dziećmi. Jej uczuciowość wyższa i krytycyzm są obniżone.

Całe ciało ma zeszpecone małymi bliznami od noża (zadanymi przez Henryka i innych jej mężczyzn). Nie widzi na jedno oko, ma braki w uzębieniu oraz mocno skrzywiony kręgosłup. Podczas badania centralnego ośrodka nerwowego ustalono, że jest on uszkodzony, prawdopodobnie w wyniku wielokrotnie zadawanych ciosów w głowę.

Krystyna skarżyła się często, że ma „słabą głowę" - wielu rzeczy nie pamięta, nie kojarzy faktów, ma plamy w mózgu.

Dwudziestego drugiego kwietnia 1999 roku udusiła swojego konkubenta Henryka Ś. Zawiązała mu na szyi swoją bluzkę i zacisnęła. Biegli uznali, że w momencie popełniania czynu miała ograniczoną zdolność kierowania swoim postępowaniem. Liczyła wtedy czterdzieści pięć lat.

Od razu przyznała się do zbrodni. Złożyła wtedy wyczerpujące wyjaśnienia.

Dwudziestego grudnia 1999 roku została skazana na osiem lat więzienia.

Z Henrykiem żyłam pięć lat. Mieszkaliśmy w jego lokalu, żyliśmy z mojej renty. Gdy nie pił, był dla mnie dobry. Lubiłam go. Prałam mu, sprzątałam, gotowałam. Starałam się, żeby był ze mnie zadowolony, ale on ciągle miał pretensje. I ja też byłam bardzo nerwowa. W tych nerwach już nieraz chciałam go zabić. W dzień zabójstwa poszliśmy na pocztę odebrać pieniądze. Zrobiliśmy drobne zakupy i wróciliśmy do domu. Przed wyjazdem po rentę Henryk wypił dwa piwa, kiedy ja byłam na poczcie, poszedł do sklepu i wypił jeszcze kolejne cztery. Ja wyszłam z poczty, kupiłam dwie nalewki „Szwejk" i poszliśmy do domu. Zrobiłam dwie kawy, on siedział na fotelu, otworzył pierwszą butelkę. Nagle - już nie pamiętam, o co poszło - zaczął się awanturować. Kopnął psa, a kiedy zwróciłam mu uwagę, wstał i z otwartej dłoni uderzył mnie w twarz.

Potem usiadł z powrotem na fotelu, otworzył drugą nalewkę, zjadł kupioną wcześniej kurę z rożna, mnie kazał zrobić drugą kawę. Poprosiłam, żeby już nie pił, bo sama czułam się już pijana, ale on za miast mnie posłuchać, miał do mnie pretensje. Zawsze był wobec mnie czepliwy. Chyba chciał mnie uderzyć, bo wstał, ale upadł pomiędzy fotelem a pralką. Wtedy zamiast mu pomóc - jak zwykle - złapałam leżącą na pralce bluzkę, zarzuciłam mu na szyję, po czym z tyłu zawiązałam węzeł i zacisnęłam z całej siły. Henryk próbował odwiązać bluzkę, ale nie miał siły tego zrobić.

Usiadłam na fotelu i patrzyłam przez chwilę na niego, aż przestał się poruszać.

Myślałam, że coś z sercem, bo ostatnio się uskarżał. Podeszłam, zaczęłam nim potrząsać, ale on ani się poruszył. Pobiegłam na policję i poprosiłam, żeby szybko przyjechali.

Nie potrafię dziś powiedzieć, dlaczego to zrobiłam. Jedyne usprawiedliwienie jest takie, że byłam zdenerwowana i pod wpływem alkoholu.

Policja przesłuchała sąsiadów Henryka i Krystyny - nikt niczego nie słyszał, ani nie widział.

Krystyna już wcześniej wiele razy atakowała Henryka nożem. Zawsze jednak uchodził z życiem z awantury. Jego siostra zeznała, że Krystyna i Henryk bili się bardzo często. Kiedy Heniek nie pił, był spokojny i grzeczny, diabeł wstępował w niego po wódce. Miał się leczyć odwykowo, jednak nigdy nie zgłaszał się na terapię. Kiedy brat był pijany, starałam się nie wchodzić mu w drogę, bałam się, żeby mnie nie pobił.

Siostra nie chciała się zająć pogrzebem Henryka. Tłumaczyła, że nie ma pieniędzy i zaproponowała, aby zrobiła to opieka społeczna albo gmina.

Krystyna po aresztowaniu przeszła załamanie nerwowe. Trafiła po raz kolejny na leczenie psychiatryczne. Większość swojej kary odbyła na oddziale terapeutycznym, pod okiem psychologów.

Jak ja bym tego nie zrobiła, on by to zrobił mnie. Nawet dobrze, że tak się stało, bo mogłam być za niego pochowana. Myślę, że w życiu dobra droga nie jest mi pisana. Nie

chcę już wiązać się z żadnym mężczyzną.

Gdy wyjdę, to pójdę na cmentarz, a potem po psa do schroniska - mówiła przed pierwszą komisją penitencjarną, kiedy starała się o przedterminowe zwolnienie warunkowe.

Nie została jednak zwolniona.

Sześć lat od zabójstwa - 22 grudnia 2005 roku - napisała do sądu wniosek o ułaskawienie. Pisała jeszcze trzy razy. Za każdym razem jej prośba była odrzucana, mimo poparcia administracji więzienia. Dyrektor Zakładu Karnego w Lublińcu wydała jej pozytywną opinię. Krystyna Białczyk ma indywidualny program terapeutyczny. Chodzi na spotkania z psychologiem, była na terapii alkoholowej oraz dla ofiar przemocy domowej. Jest systematyczna, wobec przełożonych odnosi się z szacunkiem, nie wywołuje konfliktów, żyje w zgodzie z innymi. Funkcjonuje poprawnie. Tylko raz była karana, za to wiele razy nagradzana. Była już na trzech przepustkach, wracała terminowo i bez zastrzeżeń. Skazana nie wymaga dalszego kształcenia. Stara się spłacać alimenty na dzieci i zadłużenia komornicze, które narosły przez lata. Utrzymuje kontakt z synem oraz jego babcią, która się nim opiekuje.

Podczas następnej komisji Białczyk wyznała, że żałuje swojego czynu: Nie miałam prawa zabierać mu życia. Została wypuszczona na wolność.

EPILOG 2012

Krystyna Białczyk przez długi czas mieszkała w ośrodku Caritasu w Rudzie Śląskiej.

Próbowała znaleźć jakąkolwiek pracę, ale nie chciano zatrudnić jej nawet do zamiatania ulic.

Wreszcie otrzymała od miasta lokal socjalny, wykonuje prace interwencyjne na zlecenie urzędu pracy i innych instytucji.

***

[1] Sałatka ziemniaczana - gwara śląska.

WYWIADY

Portret psychologiczny morderczyni

Rozmowa z nadkomisarzem Bogdanem Lachem, psychologiem policyjnym i jedynym w Polsce profilerem - osobą zawodowo zajmującą się konstruowaniem portretów psychologicznych nieznanych sprawców.

- Czy wykonując portret psychologiczny nieznanego sprawcy, może Pan określić, że zbrodni dokonała kobieta?

- Są pewne symptomy, które wskazują, że zabójstwo zostało dokonane z pobudek emocjonalnych, a wśród kobiet zbrodnie najczęściej mają taki właśnie charakter. I to jedna z przesłanek, którą zwykle weryfikuję, żeby ustalić, czy przestępstwa mogła dokonać kobieta.

Nie można oczywiście powiedzieć, że wykonałbym w stu procentach profil kobiety, jednak podczas badania śladów pozostawionych na miejscu zbrodni przez sprawcę, na podstawie dokumentacji fotograficznej, filmowej oraz analizy akt sprawy, mogę postawić hipotezę, że sprawcą może być kobieta. Pierwszą rzucającą się w oczy wskazówką jest rozległość obrażeń.

Zwykle ran jest dużo: kilka, nawet kilkanaście, ponieważ kobiety zadają ciosy, jak to się potocznie mówi, na oślep. Ofiara ma na ciele wiele ran, rozlegle rozmieszczonych, najczęściej są to obrażenia klatki piersiowej, twarzy, kończyn dolnych i górnych. Ciosy są zadane w sposób nieplanowany, raczej chaotyczny. Taka lokalizacja obrażeń wskazuje, że przestępstwo było powodowane emocjami. Druga sprawa to narzędzie zbrodni. Zwykle jest to przypadkowy przedmiot, który znalazł się w zasięgu ręki sprawcy. Inna kwestia to przemieszczanie zwłok. Kobiety często przenoszą, a nawet ukrywają ciała swoich ofiar. To wynika z procesu ich wychowywania. Od dzieciństwa wmawia się im, że pewne formy agresji przystoją mężczyźnie, ale kobiecie już nie. W poczuciu społecznym kobiecie nie przystoi otwarta, fizyczna agresja. To dlatego starają się ukryć zwłoki i niezwykle często się im to udaje. Zwykle ich ofiary są potem przez długi czas osobami zaginionymi, a wiadomo, że dopóki nie ma ciała, nie ma zbrodni.

- Czy możemy domniemywać, że mamy do czynienia z zabójczynią, jeśli na miejscu zbrodni są zatarte ślady?

- Kobiety często zacierają ślady, usuwają dowody, przenoszą i ukrywają zwłoki -

zwykle w miejscach przyległych do obszaru, w którym na co dzień funkcjonują. Jednak samo usunięcie dowodów nie wystarczy, by stwierdzić, że zabiła kobieta.

- Ale często przykrywają zwłoki, jakby chciały uszanować ciało człowieka po jego śmierci. Dbają o zachowanie misterium śmierci ofiary.

- Bardzo często. To również wynika z tego, że kobiety zabijają z pobudek emocjonalnych. Rzadko atakują osoby całkowicie im obce. Większość zabójców i ofiar jest komplementarna - są jakieś związki między nimi. I wystarczy jedynie znaleźć ten łącznik.

Zazwyczaj ich ofiarami są osoby im znajome, spokrewnione, bliskie - czyli albo obecnie coś zabójczynię wiąże z ofiarą, albo kiedyś ją wiązało, albo ma nadzieję, że kiedyś będzie wiązało. I właśnie dlatego, że znają ofiarę lub są z nią związane emocjonalnie czy seksualnie, po fakcie przykrywają ciało, częstokroć twarz, zabitej osoby. Każdy zabójca konfrontuje się z obrazem pozostawionym po dokonaniu zbrodni, który

pozostaje w jego wyobraźni. Dla kobiet jest to trudne do zniesienia. Chcą więc ukryć swój sposób postępowania, zwłaszcza gdy dojdzie do przestępstwa, którego nie planowały. Pojawia się refleksja: O Boże, co ja narobiłam! Muszę coś z tym zrobić. To nie może tak wyglądać! Dlatego zacierają ślady zbrodni.

- A poczucie winy?

- U większości jest bardzo głębokie. Z tego względu dochodzi do tak zwanych zabójstw rozszerzonych - kobieta, która dokona przestępstwa, nie widzi siebie w dalszym życiu, bo przewiduje następstwa tego czynu, zwłaszcza dla siebie samej w społeczności lokalnej. I zdarza się, że nie tylko zabija męża czy seksualnego partnera, ale też przenosi agresję na osoby najbliższe, na przykład zabija dzieci, a potem próbuje samą siebie unicestwić. Obserwuje się też często, że kobiety po popełnieniu przestępstwa targają się na swoje życie, bardzo krótko po czynie.

- A jeśli kobieta planuje zbrodnię?

- Są to sytuacje niezmiernie rzadkie i zwykle wynikają z zaburzeń osobowości o charakterze psychopatycznym, histerycznym. Możemy też mieć do czynienia z treściami urojeniowymi.

- Co to znaczy?

- Może się zdarzyć na przykład, że partner, który przez dłuższy czas oddziałuje na kobietę w sposób negatywny, zaczyna przypominać jej potwora, diabła, smoka lub jakąś inną wizję, która uosabia zło, która chce ją zniszczyć. W pewnym momencie w jej głowie rodzi się pomysł, by tę osobę w jakiś sposób odizolować, pozbawić ją wpływu na swoje życie, i zabija.

- Nie tylko kobiety mają takie motywacje.

- Ustalmy jedną rzecz - zbrodni stricte kobiecej nie ma. Niemniej badania wykonywane na całym świecie ujawniły daleko idące różnice, jeśli chodzi o agresję kobiet i mężczyzn. Kobiety mają inne sposoby działania, inne są ich uwarunkowania sytuacyjne, motywacyjne i troszkę w innych warunkach funkcjonują. Ze statystyk wynika, że kobiety dokonują o wiele mniej tego typu czynów niż mężczyźni. Zaledwie kilka procent wszystkich sprawców to kobiety, w rozbojach jest ich trochę więcej. Kobiety częściej dokonują drobnych przestępstw: kradzieży, oszustw finansowych i to jest głównie dla nich charakterystyczne. W przypadku płci pięknej zwykle to czynniki sytuacyjne generują taki rodzaj makabrycznego rozwiązania i pobudzają do tego typu działań.

- Kobieta musi być w określony sposób ukształtowana, by mieć - nazwijmy to - skłonności do popełnienia zbrodni.

- Tutaj należy zwrócić uwagę, że kobiety wychowują się zwykle w zgoła innych (lepszych) warunkach rodzinnych niż mężczyźni. I nawet, jeśli wychowywały się w patologicznych rodzinach, dziewczynki nie doświadczają tyle negatywnych emocji co chłopcy. One rzadko doświadczają agresji fizycznej, są za to ofiarami ogromnej agresji psychicznej, na przykład były poniżane, ośmieszane i upokarzane w dzieciństwie. Ale nawet, gdy ojciec jest agresywny lub w ogóle go nie ma, mają o wiele mniej skrzywiony obraz partnera życiowego.

- Jakie więc są kobiety zabójczynie?

- Według statystyk polska zabójczyni ma średnio trzydzieści cztery lata - oczywiście są w tej grupie młodsze i starsze. Nie musi śledzić ofiary, ponieważ zna jej życie, nie torturuje ofiary, nie znęca się nad zwłokami, nie profanuje ich (chyba, że posiada cechy znamienne

na przykład dla psychopatii). Najczęściej ma pewnego rodzaju zaburzenia psychiczne albo jej zachowanie kształtowane jest przez okoliczności, które nie rozwijają się zgodnie z jej oczekiwaniami. Ważna sprawa - u kobiety zabójstwo niezmiernie rzadko związane jest z fantazjami seksualnymi, natomiast u mężczyzn jest to motyw wiodący. Oczywiście są sytuacje, że kobieta fantazjuje na temat zbrodni, zanim ją popełni. Zdarza się to często, gdy jest silnie związana z ofiarą, a ta na przykład nie zaspokaja jej wszystkich potrzeb.

Przypomina mi się pewne zdarzenie, gdzie dwie kobiety tak długo gwałciły mężczyznę, aż spowodowały jego śmierć. Odbywały z nim tak częste stosunki seksualne, że doprowadziły go do kompletnego wyczerpania. Wtedy włożyły w prącie wkład do długopisu, co bezpośrednio spowodowało jego zgon. Jak więc widać, kobiety również są zdolne do zadania śmierci w bardzo wyrafinowany sposób.

- Na szczęście jest ich niewiele…

- Kobiety zabójczynie popełniły zaledwie dwa procent wszystkich przestępstw, nie licząc tych, do których dochodzi w wyniku nieporozumień rodzinnych. Ktoś mógłby spytać, dlaczego tak mało? Bierze się to z całej etiologii wychowania. Mężczyzna od najmłodszych lat ma społeczne przyzwolenie na pewne formy agresji, inne niż przysługujące kobiecie.

Chłopiec może, a nawet niekiedy powinien uderzyć, popchnąć, zrobić komuś krzywdę, natomiast dziewczynka, nawet gdyby takie formy agresji podjęła, natychmiast byłyby one napiętnowane przez rodziców i otoczenie. Zresztą kobiety zamiast agresji fizycznej słyną z agresji pośredniej: to plotkowanie, odbieranie dobrego imienia oraz agresji werbalnej - obrzucanie kogoś inwektywami. I to jest rodzaj agresji, który przystoi kobiecie i który jest powszechnie akceptowany.

- Narzędzie zbrodni też wybierają inne niż mężczyźni?

- Kobiety zabijają tym, co w krytycznym momencie znajduje się najbliżej ich rąk.

Rzucają tym, uderzają, kłują. Niezwykle rzadko stosują broń palną. Wynika to stąd, że dokonują przestępstwa pod wpływem bardzo silnych emocji, jednak wcale nie musi to być afekt. Motywem zbrodni w przypadku pań rzadko jest zemsta, częściej urazy, poczucie krzywdy, lęk i niepokój oraz grupa motywów, które wynikają z okoliczności.

- Odniosłam wrażenie, że zabójczynie są bardziej męskie niż kobiece. I nie chodzi o wygląd, raczej o psychikę, sposób rozwiązywania konfliktów, podejmowane decyzje, zainteresowania…

- Istnieje pewna prawidłowość, choć nie jest to reguła. Bo trzeba oddzielić zabójczynie z powodu przemocy domowej, których działanie zależy od jakiegoś impulsu sprawiającego, że przysłowiowa czara goryczy się przelewa, od tych, które funkcjonują w schemacie męskim. Ten typ nazywamy androgenicznym. W osobowości takiej kobiety równoważą się cechy męskie i żeńskie, co nie wyklucza w żaden sposób kobiecości, tyle że często jest ona spychana na plan dalszy. Takie kobiety mają tendencję do dominacji. W społecznym rozumieniu postępują w sposób męski - są zdecydowane, nie znoszą sprzeciwu, kalkulują ryzyko i podejmują decyzje, kierując się rozumem w wyrachowany sposób.

Zachowują się tak, ponieważ zauważyły, że to się bardziej opłaca niż pokazywanie cech kobiecych. Od dziecka obserwowały różne sytuacje społeczne i stwierdziły, że warto mieć cechy męskie, bo za to jest jakaś gratyfikacja.

- Dlatego przyjmują sposób działania bezwzględnego mężczyzny, a nie słabej kobietki?

- Owszem. I w normalnym życiu takie cechy, jak przedsiębiorczość, zaradność,

przebojowość, są często ich atutem, a nie wadą. Bardzo wiele w dzisiejszych czasach jest takich kobiet i nie muszą być od razu zabójczyniami. Natomiast, kiedy następuje ten wspomniany niekorzystny splot okoliczności, zabijają, ale też zwykle pod wpływem wzburzenia.

- Bywa, że bardzo długo decydują się na ten krok.

- To wynika z tego, że przez jakiś czas mają tzw. mieszane uczucia. Zdają sobie doskonale sprawę z konsekwencji takiego czynu, więc zwlekają, cierpią w milczeniu.

Czekają, aż coś w życiu zmieni się na lepsze albo okazja do popełnienia zbrodni będzie bardziej sprzyjająca. Tymczasem to napięcie, poczucie krzywdy narasta. Bywa i tak, że pragnienie zemsty jest bardzo silne. Czują, że zbrodnia może im dać rodzaj psychicznego zadośćuczynienia lub oczyszczenia. Myślą o niej w sposób chłodny, planują, jak pozbyć się znienawidzonej osoby, stanowiącej przeszkodę na ich drodze. To sprawia, że z czasem oswajają się z myślą o zbrodni i w końcu podejmują decyzję. Bo, choć kobiety zabijają z pobudek emocjonalnych, ich zbrodnie nie są nieracjonalne.

- To dlatego, jeśli już podejmą decyzję, niezwykle dobrze się do zbrodni przygotowują? Mają alibi, plan B, nawet kilka planów. Rozważają, co zrobią, jeśli wszystko się wyda…

- Jeśli kobieta planuje zbrodnię, jest ona niezwykle precyzyjnie przygotowana i przeprowadzona niemal bezbłędnie. Kobiety myją przedmioty, zacierają ślady, pozorują inny motyw. Dzieje się tak, bo kobieta jest nastawiona na konkretne działanie, na wykonanie planu. W przypadku zbrodni - na usunięcie przeszkody i uzyskanie określonej gratyfikacji. A te gratyfikacje wynikają z jej wewnętrznych przeżyć - na przykład zabija żonę swojego kochanka, ponieważ chce być jego żoną. Kobieta rzadko zabija dla pieniędzy, chyba że wcześniej oceni ofiarę, czy i na ile ta jest słabsza od niej. Czasem zdarza się, że kobieta idzie ukraść, ale na miejscu pod wpływem chwili zmienia decyzję i zabija. Jest jeszcze wynik działania w grupie, w której kobieta pełni funkcję wiodącą. To wygodne, bo działaniu grupy zabójców sprzyjają określone czynniki, takie jak anonimowość, rozproszenie odpowiedzialności, przenoszenie odpowiedzialności, umniejszanie rangi swojego działania.

- A co z kobietami, które zaplanowały zbrodnię, ale do jej wykonania wykorzystały mężczyzn lub wynajęły zabójców?

- Wysługiwanie się innymi także ma źródło w sposobie wychowania dziewczynek.

Kobiety dużo częściej niż mężczyźni stosują typ agresji przemieszczonej, to znaczy nie występują jako bezpośrednie podmioty wykonujące zbrodnię, lecz szukają narzędzi do jej wykonania oraz osób, które mogą to zrobić za nie. I tutaj mamy do czynienia ze skrzętnym wybieraniem. Jest cały proces mający wtłoczyć daną osobę w wyznaczoną rolę. Opracowują dla zabójcy tzw. legendę do działania. Skrzętnie to przygotowują, wchodzą dokładnie w psychikę osoby, którą przygotowują do naznaczenia, czyli do dokonania zbrodni zamiast nich. Stosują różnego rodzaju fortele, na przykład zaprzyjaźniają się z tą osobą. Zdarza się też, że proponują tej osobie bardzo wysokie gratyfikacje, korzystne dla niej i korespondujące z jej potrzebami. Niekoniecznie pieniężne, bo spotykana jest także manipulacja seksem.

Oferują dokładnie to, czego naznaczona osoba oczekuje. I jeśli chodzi o psychomanipulację, kobiety stosują ją dużo częściej niż mężczyźni.

- Nie wszystkie jednak wysługują się innymi. Są takie, które obmyślają zbrodnię, a

potem osobiście jej dokonują.

- Tutaj mamy do czynienia albo z osobami zaburzonymi, albo znajdującymi się w wielkiej desperacji. Kobieta traktuje wówczas ofiarę jak rywalkę - uważa, że jest przeszkodą do osiągnięcia jej własnych celów i zamierzeń - i rywalizuje z nią podczas zabójstwa.

Najczęściej jednak kobiety nie chcą mieć bezpośredniej styczności z ofiarą i często wybierają jako sposób zabicia na przykład trucie. A to są przypadki niezwykle trudne do wykrycia; wymagają wielu badań. W początkowej fazie śledztwa budzą bardzo wiele wątpliwości, choćby z tego powodu, że trucie odbywa się w długim czasie i mamy do czynienia nie z natychmiastowym zgonem, ale zmianami chorobowymi, które nie budzą podejrzeń. Kobiety wybierają też często duszenie poduszką, gdzie okoliczności śmierci również są niejasne i dopiero sekcja zwłok pozwala stwierdzić, że śmierć nie była przypadkowa. Wybór takich sposobów wynika z lęku przed bezpośrednią konfrontacją z ofiarą. Zabójczynie nie dążą do konfrontacji z ofiarą, lecz do skutku - liczy się efekt.

Kobiecość a zbrodnia

Rozmowa z seksuologiem, prof. Zbigniewem Lwem Starowiczem - Czy można mówić o zbrodni kobiecej i męskiej?

- Bez przesady, choć oczywiście możemy dostrzec różnice pomiędzy przestępcami mężczyznami a przestępcami kobietami. Przede wszystkim rzuca się w oczy ilość zbrodni popełnianych przez mężczyzn, to oni w tej statystyce zdecydowanie dominują. W jakościowych badaniach także występują różnice - kobiety popełniają inne przestępstwa niż mężczyźni, bo przecież na ogół kobieta nie wpada do kiosku z rozpylaczem, nie tłucze konduktora czy listonosza, żeby mu zabrać te kilka groszy.

- Jakie są najczęstsze motywy zbrodni kobiet? Jaką rolę w kobiecej zbrodni odgrywa seks?

- Jest osobny rodzaj zbrodni, którego motywem jest zazdrość. Są zabójstwa dokonywane przez kobiety odrzucone przez kochanka, zdradzane, wielokrotnie gwałcone.

Niektóre reagują niezwykle impulsywnie, na ślepo, natychmiast. Dowiedziała się, że jest zdradzana, że on ma dziecko z inną kobietą i działa natychmiast. W tym przypadku zabójstwo często nie jest celem, zdarza się przypadkiem, pod wpływem emocji, bo za mocno uderzyła na przykład talerzem albo nożem. Inne kobiety potrafią bardzo długo czekać i cierpieć. A wtedy mamy do czynienia albo z przysłowiową kroplą, która przelewa czarę goryczy, albo ze świadomym działaniem, planowaniem, jak pozbyć się sprawcy swojego nieszczęścia. Trudno im podjąć decyzję, mają skrupuły, ale kiedy je przełamią, już się nie cofną, idą na całość.

Tu należy zaznaczyć, że kobiety są niezwykle wyrachowane, mają wszystko zaplanowane i to w kilku wariantach. Są też bardziej praktyczne niż mężczyźni, biorą pod uwagę znacznie więcej szczegółów. Smakują zbrodnię, zanim jeszcze ją popełnią.

Charakteryzuje je też zimna krew, którą w momencie działania są w stanie zachować. Gdy motywem jest zemsta, zbrodnia jest często zaplanowana odważniej, morderczyni chce, by ofiara się męczyła, żeby to było dla niej niespodzianką, chce zobaczyć strach w jej oczach, żeby wiedziała, że to już koniec. To jest taka wysmakowana zemsta.

- A damskie narzędzia zbrodni?

- Typ impulsywny chwyta to, co akurat ma pod ręką. Widzi coś i łapie, bo natychmiast musi rozładować złość. Może to być nóż kuchenny, tłuczek do mięsa, cegła, stołek, nawet

sweter, który leży na kanapie. Natomiast te, które działają z rozmysłem, wybierają taką broń, która je ochroni przed podejrzeniem. Na przykład, jeśli ma męża myśliwego, to stara się, by zbrodnia wyglądała na wypadek przy pracy, przy czyszczeniu broni… Inna sytuacja: partner bierze jakieś leki, na przykład krążeniowe, nadciśnieniowe, przygotowuje więc sprytne przedawkowanie - wykonuje śmiercionośną mieszankę i mu podaje. Ale te wszystkie zachowania dotyczyły ofiar, którymi są mężczyźni. Jeśli kobieta usuwa inną kobietę, na przykład żonę swojego kochanka, to stara się tak zaplanować zbrodnię, by ta osoba nie tylko umarła, ale i cierpiała. Mamy do czynienia z dużą dozą wrogości. Morderczynie bardzo często dokonują zabójstwa kobiety przez duszenie, na przykład poduszką. To daje poczucie całkowitej władzy, bo to ode mnie zależy, czy ja puszczę tego powietrza, czy nie, i jak długo będzie się ta osoba męczyć. To ja decyduję o twoim życiu, mogę cię w każdej chwili uwolnić, jeśli będę chciała…

Rzadko się zdarza, by kobieta używała broni palnej, ale to wynika jedynie z trudnej dostępności. Jeśli będziemy mieli - jak w Stanach Zjednoczonych - sklepy z bronią, takich kobiecych zbrodni będzie więcej. Jest przecież mnóstwo małej, typowo kobiecej broni, a kobiety - gdyby to było dozwolone - ćwiczyłyby i strzelały coraz lepiej, więc zbrodni też byłoby więcej.

- A co z kobietami, które same nie zabijają, a wykorzystują w tym celu innych?

- W ten sposób przede wszystkim chcą uniknąć odpowiedzialności. Czyli taka zbrodnia doskonała. Ona wszystko obmyśla, ale ktoś inny powinien wykonać czarną robotę.

Ma poczucie, że nie będzie w to wszystko wciągnięta, bo ktoś inny załatwi całą sprawę, taki delegat. A ponieważ trzeba go jakoś do zbrodni nakłonić, mamy tutaj do czynienia z ogromną manipulacją, która kobietom wychodzi zdecydowanie lepiej niż mężczyznom. Taka manipulacja daje dodatkowy smaczek, bo wybór osoby, którą się manipuluje, nie jest przypadkowy, a to daje teatrum pełne emocji. Na przykład wybiera byłego kochanka ofiary, czyli delegat ma dodatkową motywację, a przy okazji ma satysfakcję, że to właśnie on został wybrany.

- Jak wiele kobiet wykorzystuje do tego celu na przykład mężczyzn?

- Rzadko stykam się z tym w swojej pracy biegłego. Ale przecież nie znamy rozmiarów takich przestępstw. Wiemy o zbrodni tylko wtedy, kiedy wspólnicy ją wysypią lub kiedy są ewidentne ślady działania osób trzecich, albo jest coś podejrzanego. Tu nasuwa się taka refleksja - jeśli jest jakieś niewykryte morderstwo, należy się zastanowić, czy w pobliżu ofiary nie było jakiejś kobiety…

- Są sprawy, gdy mężczyźni prześcigali się w okrucieństwie, aby zaimponować kobiecie.

- Tak działa konfiguracja: dwóch lub więcej mężczyzn plus kobieta. Oni rywalizują ze sobą, bo chcą jej zaimponować. Uważają, że ten kto zadaje ciosy, jest skuteczniejszy - bardziej męski. Ona nie musi nic robić, niczego mówić, ona po prostu tam jest. By podkręcić atmosferę, wystarczy jedno spojrzenie mówiące: Co z ciebie za mężczyzna, nie potrafisz rozwiązać tego problemu? Najczęstsze strategie manipulowania mężczyznami to działanie na litość i na męską ambicję.

- Czy mężczyźni także manipulują innymi?

- O wiele rzadziej. Mężczyźni działają zazwyczaj na zasadzie prymitywnej agresji, takiej złości, która jest wpisana w ich płeć. A takie wysmakowanie, jak Hannibala z filmu Milczenie owiec, zdarza się niezwykle rzadko.

- Czyli zbrodnia ma płeć…

- Nie różnicujmy tak tych płci. Jest taki stereotyp, że kobiety są takie uczuciowe, subtelne, wrażliwe i generalnie to wszystko w ogóle do nich nie pasuje. Tymczasem my sobie to upraszczamy. W Stanach Zjednoczonych o sześćset pięćdziesiąt procent wzrósł poziom przestępczości wśród kobiet - o czym to świadczy? Nasz świat się zmienia i zmienia się podział ról w społeczeństwie. I może faktycznie kobiece kobiety do takich twardych zbrodni są mniej skłonne, bo mają w sobie mało agresji, a jeśli mają, to zwykle słowną. Ale tych kobiecych kobiet jest coraz mniej, natomiast jest coraz więcej kobiet męskich, które świetnie wpisują się w portret zabójczyń.

- Czyli to nie było złudzenie. Kiedy rozmawiałam z moimi bohaterkami, a nawet patrząc na ich fotografie, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że mają w sobie coś męskiego…

- No bo mają! To się właśnie zmieniło. W XIX wieku, na początku XX w więzieniach było bardzo mało kobiet, poza tym ich zbrodnie to zwykle była samoobrona, zupełnie bez motywu, akt rozpaczy. Dziś coraz więcej jest męskich kobiet, które w kwestii agresji niczym nie różnią się od mężczyzn.

- Z czego to wynika? Testosteron? Wychowanie?

- Testosteron tylko u części kobiet ma znaczenie, zwykle wpływ ma wychowanie. W przeszłości kobiety były wychowywane w bardzo określonej konwencji (lalki, wózki), a jakiekolwiek zachowanie męskie było krytykowane. Wciąż słyszały: Tak trzymaj główkę, w taki sposób się uśmiechaj, krzyżuj skromnie nóżki. To był taki trening społeczny - bardzo efektywny, bo trwał przecież od wieku przedszkolnego aż do zamążpójścia. Nic dziwnego, że tylko nieliczne się z niego wyłamywały. Dziś kobiety już nie są nieustannie trenowane, by były kobiece. Córka może jeździć na nartach, kopać piłkę, trenować boks, studiować fizykę, zostać kierownikiem, a potem dyrektorem. Nikogo to nie dziwi. Więc czy nie może dokonać zbrodni?

- Co najmniej pięć moich bohaterek było wychowywanych jak chłopcy. Tatuś chciał mieć synka, urodziła się dziewczynka, więc wychowywał ją po męsku. Czy to przypadek, że znalazły się w więzieniu?

- Nie, to nie jest przypadek. Zabójczynie, o których mówimy, mają męskie cechy i zachowują się jak mężczyźni. Preferują męskie sposoby rozwiązywania konfliktów. Kiedy wykonuje się skalę kobiecości i męskości, bardzo często okazuje się, że badana osoba posiada obie grupy cech i w zależności od sytuacji przeważają jedne lub drugie.

- Czy spotkał pan w swojej karierze kobietę typowo męską?

- Tak. Była jakby mężczyzną w kobiecej skórze. Zabiła drugą kobietę. To były osobiste porachunki - tamta podrywała jej partnera. Udusiła ją. Męskie rozumowanie, męskie zachowanie, aż dziwne, że miała budowę kobiecą. Cała jej kobiecość sprowadzała się tylko do anatomii.

- Coraz więcej mamy męskich kobiet. To zjawisko globalne. Czy to znaczy, że zabójczyń tego typu będzie coraz więcej?

- Zmieniają się role społeczne i w związku z tym można zaryzykować stwierdzenie, że różnice dotyczące przestępczości mężczyzn i kobiet przestaną być znaczące.

- Był czas, że jednocześnie toczyło się kilka postępowań, w których główną oskarżoną była kobieta. Były to głośne sprawy, nazwiska tych kobiet stały się słynne, a twarze rozpoznawalne: Szymańska, Osińska, Rozumecka, Kamińska i inne. Media rozpisywały się

o wzroście przestępczości wśród kobiet, czy tak rzeczywiście było, czy tylko dziennikarze wykreowali kobiety - bestie?

- Bez przesady, aż tak wielkiego wzrostu nie było - wystarczy spojrzeć na statystyki, tak wiele ich nie siedzi za kratkami. Myślę, że media trochę kreują ten obraz. Zbrodnia kobieca jest niezwykle interesująca medialnie, ponieważ zaprzecza stereotypowi kobiecości, przyciąga uwagę. Nikogo nie interesuje setny mężczyzna, który zabił czy zgwałcił.

- Moje bohaterki wszystko różni: sposób życia, wykształcenie, pochodzenie, pozycja społeczna.

- Nie znajdzie pani podobieństw między nimi, tak jak nie ma wspólnego mianownika dla pedofilów czy ekshibicjonistów. Nie jest możliwe stworzenie uniwersalnego rysopisu charakterystycznego dla zabójczyń.

- A czy spotkał się pan z kobietą seryjną morderczynią?

- Raz, ale nie w Polsce. W Czechach. Ale to nie była typowa seryjna morderczyni, która dokonuje mordu z lubieżności, ona mordowała z wielkiej nienawiści do mężczyzn. I mordowała mężczyzn określonego typu. Generalnie niewiele jest kobiet, które zabijają dla samej przyjemności zabijania. Jeśli kobiety mają na koncie kilka ofiar, motyw jest zwykle rabunkowy albo zemsta.

- Mam bohaterki, które zbrodni dokonały kilkakrotnie. Czy po wyjściu z więzienia - jedna z nich lada dzień znajdzie się na wolności - zabije po raz kolejny?

- Nie ma wskaźników, które wykluczą możliwość popełnienia zbrodni. Można jedynie stworzyć prognozę kryminologiczną, która wykaże, że czynnik ryzyka, czyli ewentualność popełnienia po raz kolejny zbrodni, jest wysoki, przeciętny czy też niski. Nikt nie da jednak gwarancji, że dana osoba nie zabije ponownie. Tak jak nikt nie da gwarancji, że dany człowiek jest niezdolny do popełnienia zbrodni i nigdy jej nie popełni.

- Jak to jest możliwe, że w aktach czytam o odrażającej zbrodni, a w więzieniu spotykam miłą, ciepłą kobietę, która jest dla swoich dzieci kochającą matką.

- Hitler też był czuły dla Ewy Braun. Kochał swoje psy, był bardzo lubiany przez swoje sekretarki…

- Czy każda kobieta może zabić?

- Wyobraźmy sobie, że w Polsce jest likwidowany kodeks karny i nie ma żadnej odpowiedzialności za czyny. Wtedy na pewno wzrosłaby skala przestępstw tego typu. Wiele osób grozi, ja cię zabiję, ja się zabiję… Co je powstrzymuje? Wiara i lęk przed odpowiedzialnością, nie chce się siedzieć w więzieniu. Gdyby nie było tego typu hamulców, sądzę, że znacznie wzrósłby wskaźnik zabójstw.

- Czyli hipotetycznie jest to możliwe?

- Tak, każdy z nas może być zabójcą.

- Czy kobiety częściej zaprzeczają winie niż mężczyźni?

- Tak samo. To typowe dla wszystkich przestępców. Kto się przyznaje? Ten, kto ma poczucie winy, kto po prostu chce być ukarany, albo osoba, która liczy na korzyści płynące z przyznania się do winy, na przykład na nadzwyczajne złagodzenie kary.

- Tylko jedna z moich bohaterek przyznała się do poczucia winy…

- Proszę pani, sumienie można urobić. Nasza psychika ma doskonałe mechanizmy przystosowawcze, żeby chronić siebie. Gdyby człowiek nie zagłuszał swojego sumienia, to mógłby zwariować. Ucieczka od odpowiedzialności jest rodzajem samoobrony. Często też od dziecka wychowuje się kobietę w przekonaniu, że jest ofiarą. Wtedy cokolwiek by nie

zrobiła, za wszelką cenę będzie przekonywała, że to nie jej wina. Czuje się wewnętrznie niewinna, tłumaczy sobie: zabiłam go, bo… A często nawet ma poczucie krzywdy. To typowe dla kobiet - obwinianie innych, a nie siebie. Przykład: Facet zatrzymuje się na stacji benzynowej, za nim podjeżdża kobieta, wjeżdża w niego, łamie mu zderzak, wysiada z auta i krzyczy: Dlaczego pan tutaj stanął! Jeśli kobieta reaguje w taki sposób w tak drobnej sprawie, to w poważniejszej tym bardziej będzie szukała winnych, nie biorąc siebie pod uwagę.

Ujarzmić drapieżnika

Rozmowa z Lidią Olejnik, dyrektorem Zakładu Karnego dla kobiet w Lublińcu - Ile morderczyń miała Pani w swoim zakładzie?

- Trudno mi to określić. W tej chwili w zakładzie przebywa około siedemdziesięciu kobiet skazanych za popełnienie zbrodni lub podejrzanych o taki czyn. Jeśli przemnożyć ich liczbę przez ponad dwadzieścia lat mojej pracy - kilkaset się uzbiera.

- Większość z tych zabójczyń to ofiary przemocy domowej.

- Około pięćdziesięciu procent doświadczało w przeszłości przemocy i na przemoc zareagowało przemocą. Większość z nich jest skazana za zabójstwo męża albo konkubenta, lecz nie można traktować ich tak samo jak tych, które z premedytacją przygotowały morderstwo. Nie są to klasyczne morderczynie, które ze szczegółami planują zbrodnię i z zimną krwią jej dokonują.

Kobiety, które zabiły swoich oprawców, prowadziły często normalny dom, wychowywały dzieci, nie miały styczności ze światem przestępczym, nie są zdemoralizowane. One są po prostu doświadczone przez los. To skutek długotrwałej traumy.

Zabiły, ponieważ chciały bronić swoje dzieci albo nie wytrzymały napięcia i z ofiary stały się katem, często po wielu latach upokorzeń. Zdarza się, że przychodzą do zakładu w mocno dojrzałym wieku. Mamy na przykład kobietę, która jest grubo po siedemdziesiątce. Żyła z mężem, który przez ostatnie trzydzieści lat maltretował ją fizycznie i dręczył psychicznie.

- Jak w warunkach izolacji zachowują się kobiety, które zabiły z zimną krwią?

- Nie jest ich tak wiele. Niezwykle rzadko zdarza się, by kobieta dokonała zaplanowanego zabójstwa. Zdecydowana większość morderczyń to ofiary przemocy, które zachowują się zwyczajnie i nie są agresywne. Natomiast w stosunku do morderczyń, które zaplanowały zbrodnię, należy przyjąć zasadę ograniczonego zaufania. Nigdy nie wiadomo, na co taką kobietę stać. Są to często osoby z zaburzeniami osobowości, o psychopatycznych zachowaniach, zwykle prezentują postawę roszczeniową. A jeżeli zostały skazane na długoletni pobyt w więzieniu, na przykład na dwadzieścia pięć lat lub dożywocie, to na niewielu rzeczach im zależy. One nie mają nic do stracenia. Bo cóż jeszcze można im zrobić, wyższej kary nie ma.

Kobiety, na których ciążą surowe wyroki, bardzo długo prezentują wrogą, walczącą postawę. Ucieczka zabójczyni jeszcze mi się w karierze nie zdarzyła, jednak to po wyroku właśnie pojawiają się w ich głowach myśli, jak wydostać się z więzienia. Dzieje się tak, bo w momencie, gdy słyszy wyrok dwadzieścia pięć lat lub dożywocie, wie, że wszystko w swoim życiu straciła. I w gruncie rzeczy tak jest. One nie będą już wychowywać swoich dzieci (jeśli w ogóle je mają), nie będą obserwować ich rozwoju, ominą je najważniejsze momenty ich życia. Ogólnie mówiąc, wyrok pozbawia je wszystkich ról społecznych.

Dodatkowo tej tragedii, jaką jest zamknięcie w zakładzie, towarzyszy jeszcze potworny lęk przed tym, że zostaną same. Doskonale wiedzą, że w czasie tak długiego pobytu w więzieniu utracą swoją rodzinę, mieszkanie. I jeśli nawet kiedyś wyjdą, to nie będą miały dokąd wracać. Zdają sobie z tego sprawę i bardzo cierpią. Jeżeli jest to młoda kobieta, dodatkowo ubolewa, że nie będzie mogła sprawdzić się w roli matki, żony. Pozbawienie jej tego rodzi dodatkową agresję, nowe żale, nienawiść do organów ścigania, poczucie niesprawiedliwości, a czasem złość na wszystkich ludzi. Cały zewnętrzny świat nagle staje się synonimem wroga.

- Często są agresywne?

- Tak, dość często dochodzi do awantur i agresji. Czasem zupełnie bez powodu, ale kobiety z natury gadatliwe, plotkarskie wszczynają wiele niepotrzebnych konfliktów: o fryzurę, o kolegę, o kubek z kawą - kłócą się o byle co. Poza tym nie umieją pozytywnie rozwiązywać swoich problemów. Dochodzi do bójek, czasami na tyle poważnych, że dostają dodatkowe wyroki za znęcanie się nad współosadzoną. Wiadomo, że do więzienia trafiają różni ludzie, a jeżeli pojawi się jakaś słabsza osoba, natychmiast jest tłamszona. Bolesna prawda jest taka, że człowiek, który trafia do więzienia, nie od razu się zmienia. Trzeba długoletniej pracy nad zmianą postaw, stosunku do ludzi. I jest to niezwykle trudne. One agresję przynoszą z zewnątrz i jeśli tylko trafi się sposobność, żeby zachować się napastliwie lub wulgarnie w stosunku do drugiego człowieka, tak się zachowają. Słownictwo rynsztokowe na co dzień starają się pohamować, ale w momencie wzburzenia, gdy sprawa nie przebiega po ich myśli, natychmiast stają się agresywne. To jest dla nich naturalne.

- Kiedy one uświadamiają sobie, że wszystko straciły?

- Na początku, przed zapadnięciem wyroku w pierwszej instancji, mają nadzieję, że jeszcze coś się uda, że wyrok będzie niski, może nawet wyjdą na wolność. Gdy zapada wyrok, pojawia się myśl o samobójstwie. Kobieta bardzo często się wtedy załamuje i jest dla nas bardzo ważne „przechwycenie" jej w takiej fazie. Pracuje nad nią psycholog, pedagog, bo obawiamy się, że ona to rzeczywiście zrobi. Często te myśli są bardzo egoistyczne. Ona nie myśli wtedy o nikim innym, tylko o sobie. Ale kiedy uświadamiamy jej, że na wolności jest jej rodzina, dzieci, jakiś przyjaciel, zaczyna myśleć, że może jednak warto żyć, warto czekać, może los się odmieni. Po kilku miesiącach zwykle następuje przełom na plus. Zaczynają tolerować swoją sytuację - bunt mija. Aklimatyzuje się do warunków więziennych. Po kilku latach ma już własne środowisko, wszystko jest zorganizowane: kontakty ze służbą więzienną, ze skazanymi, podejmuje pracę. Wtedy pojawia się myśl, z której zwierzyła mi się jedna ze skazanych: Skoro nie brałam udziału w wychowaniu swoich dzieci, to może będę wychowywała swoje wnuki? Niestety, zwykle nie taka jest kolej rzeczy, bo skazana na długoletni pobyt w więzieniu z czasem traci rodzinę i jej marzenia o byciu realną babcią nie mogą się spełnić. Wtedy przychodzi następny kryzys.

Oczywiście nie jest tak, że one wszystko tracą jednego dnia. Początkowo rodzina przyjeżdża regularnie, dzieci piszą, ale mijają lata, a więzi się rozluźniają, kontakty słabną, a przyjazdy są coraz rzadsze, w końcu zanikają całkowicie. Zdarza się i tak, że rodzina skazanej od początku wyroku wyrzeka się jej i kobieta zostaje zupełnie sama. Nie tylko napiętnowana mianem morderczyni, ale zupełnie sama. I wtedy jedyną rodziną, jedynymi osobami, na których pomoc może liczyć, jest administracja więzienna. To my stajemy się

jej powiernikami. Należy w miarę możliwości pomóc jej w budowaniu z więzienia namiastki domu.

- Każda z nich wykorzystała wszystkie możliwe instancje, instytucje, aby opuścić więzienie. Niektóre nawet po dziesięciu latach wciąż starają się o uniewinnienie…

- To prawda, że walczą do końca. Wykorzystują wszystkie możliwości, jakie daje im prawo: kolejno apelacje, kasacje, później prośby do fundacji, rzecznika praw obywatelskich, prezydenta, ministerstwa sprawiedliwości i dalej. Raczej wyroki pozostają bez zmian, bo ich wina jest oczywista, a ta walka absurdalna, jednak jest to dla nich niezwykle ważne, bo walka daje kobiecie nadzieję. A nadzieja to jest spokój.

- Jak to wpływa na skazaną, kiedy rodzina się odwraca?

- Kiepsko sobie z tym radzą. Zerwanie kontaktu z rodziną powoduje czasem głębokie stany depresyjne. To dlatego, na przykład, nagle przypominają sobie o dzieciach, które na wolności zaniedbywały. Nagle okazuje się, że najbliższa rodzina - matka, ojciec, siostra - to niezwykle ważne osoby, wręcz symbole dobroci. Czy naprawdę tak jest, nie wiemy, choć z mojego doświadczenia wynika, że zwykle są to jedynie ich marzenia o dobrej rodzinie. Poza tym w świecie za kratami ważny jest ten, kto ma nie tylko pomoc materialną, ale odwiedzających. Dlatego są bardzo wyczulone na to, że ktoś źle wyraził się o ich rodzicach, na przykład o matce, nawet takiej, która alkoholizowała się, biła córkę, porzuciła ją, czy oddała do domu dziecka. Co znamienne - najczęściej nie przyznają się, że kontakt z rodziną jest zerwany. Tworzą świat alternatywny do własnej rodziny; świat złudzeń i iluzji, w które święcie wierzą. Do tego stopnia, że proszą o dodatkowe widzenia, tłumacząc, że przyjedzie rodzina, ale nikt nie przyjeżdża. Wysyłają listy, na które nie otrzymują odpowiedzi. Pokazują zdjęcia, nie przyjmując do wiadomości, że tej rodziny już nie mają.

- Z czego one się utrzymują, skoro nie mają rodziny, która by im pomagała?

- Każdy więzień ma utrzymanie podstawowe, ale na papierosy i kawę, które są tutaj na wagę złota, muszą same zarobić. Staramy się je zatrudniać, bo z naszego punktu widzenia dobrze jest, jeśli są niezależne. Zależność materialna od kogoś z celi może spowodować, że będą wykorzystywane do negatywnych celów, bo jak wspominałam, one niewiele mają do stracenia.

- Jak często rodziny odwracają się od tych kobiet?

- Powiem tak: dla matki dziecko zawsze będzie dzieckiem, niezależnie od tego, co zrobi. Nawet jeśli popełni najokrutniejsze przestępstwo, ta miłość nie wygasa. Matki zazwyczaj się nie odwracają. Jeżeli nie jest to matka patologiczna, kontakt jest utrzymany niemal do końca. Natomiast matki, które są alkoholiczkami, z patologicznego środowiska, zazwyczaj odwracają się, zapominają, nie dbają o córki. Poza tym musimy pamiętać, że człowiek trafia do więzienia, kiedy jest dojrzały, samodzielny i często rodziców po prostu nie ma albo są oni starzy, zniedołężniali. Czasem bieda sprawia, że starzy, schorowani rodzice nie mają za co do córki przyjechać. Jednak i tak te rodzicielskie kontakty są najtrwalsze, a jeśli dochodzi do zrywania ich, to dopiero po dłuższym czasie. Najsłabszy kontakt jest z mężem, narzeczonym, konkubentem. Taki związek pęka bardzo szybko, czasem rozpada się już w momencie aresztowania. Mężczyźni nie czekają na te kobiety. Choć zdarzają się wyjątki.

- A związki, które tutaj nawiązują?

- Nawiązują je po prostu nagminnie. Teraz mamy tu pięciu mężczyzn i każdy próbuje

nawiązać kontakt z którąś z naszych podopiecznych. Czasem się to udaje. Mieliśmy jedną parę, która nawet na wolności dobrze funkcjonuje, pani urodziła dziecko, są razem… Mamy też inną - jej mąż jest już na zewnątrz i jak do tej pory wszystko układa się dobrze.

Niestety, zwykle nie jest tak różowo. Trzeba znać specyfikę tych znajomości. Zwykle jest to korespondencyjna znajomość - ona dostała od koleżanki adres jakiegoś mężczyzny i piszą do siebie dla zabicia czasu. Jeśli trwa to długo, decydują się zawrzeć związek małżeński. Pierwszy raz widzą się dopiero wtedy, kiedy zawozimy ją na ślub albo partner przyjeżdża do nas. Właśnie takie związki są w więzieniu zawierane.

- Przecież te małżeństwa na wolności nie mają szansy przetrwać. Konfrontacja z rzeczywistością, rozliczne problemy… Oni się w ogóle nie znają!

- Ależ w tym nie ma żadnej logiki! One myślą tak: Trafia się partner, czemu nie wyjść za mąż? Zawsze można się rozwieść. Dla nich rodzina nie jest wartością. Co innego ta rodzina, która została na zewnątrz - mama jest świętością (nawet alkoholiczka), tata, siostra - oni mają ogromne znaczenie. Ale mąż? Za chwilę się rozwiedzie, zrobi to w dodatku zaocznie, bo obecność skazanej nie jest konieczna. One bardzo łatwo nawiązują kontakty. I tak żyją, raz z tym, raz z innym. Jest coś dziwnego w tych kobietach, one - nawet jeśli zabiły swoich partnerów, doświadczały przemocy - po prostu nie potrafią być same, nie potrafią funkcjonować bez mężczyzn. Dla nich mężczyzna to oparcie. Wciąż kogoś szukają. Szybko i lekko nawiązują kolejne znajomości. Oczywiście staramy się nad tym jakoś zapanować.

Prowadzimy zajęcia na temat doboru partnera, planowania dzieci, ale w ich życiu wiele dzieje się przypadkiem. Tylko przypadek sprawia, że coś wygląda tak, a nie inaczej. Będzie, jak będzie. Bez głębszych przemyśleń, bez długofalowego planowania.

- Czy wśród tych, które „przeszły przez pani ręce”, które pani poznała, była historia, która panią poruszyła?

- Pamiętam kilka takich kobiet. Jedna z nich - opuściła już zakład - była skazana na osiem lat za zabójstwo męża. Miała dwóch synów, jeden był w wojsku, drugi w domu.

Zastanawiały mnie listy, które pisali do niej synowie. Ten, który był w wojsku, tak pisał, jakby korzył się przed nią, bardzo jej żałował. Miałam wrażenie, że ona odbywa karę, bo wzięła winę za jedno z dzieci. To nie byłby jedyny przypadek. Bo zdarza się, zwłaszcza synom, że stają w obronie matki przeciwko ojcu. Ostatnio trafiła do nas kobieta, której syn pomagał w zabójstwie. Wzięła całą winę na siebie, żeby go chronić. Ale w czasie rozprawy okazało się, że jej pomagał. Cierpiała podwójnie: za to, że dziecko trafiło do więzienia, i za to, że ona sama jest w więzieniu. Jednak to był wspólny udział, natomiast w tej pierwszej sprawie miałam wrażenie, że matka wzięła winę na siebie, żeby chronić dziecko. Na pytanie, czy tak było naprawdę, nigdy mi nie odpowiedziała. Zresztą tak do końca nie chciałam wiedzieć, bo co z tą wiedzą miałabym zrobić? Poruszyła mnie jednak ta kobieta, bo była wyjątkowo inna - bardzo skromna, dostosowana, wszystko jej odpowiadało, nigdy o nic nie prosiła i nie miała pretensji. Wyraźnie różniła się od pozostałych osadzonych. I bardzo cierpiała. Miała to cierpienie wypisane na twarzy, w oczach. Jakby przyjęła na siebie krzyż, i wiedziała, że musi go udźwignąć. Była też taka kobieta, która trafiła w końcu do szpitala psychiatrycznego, bo w momencie, kiedy dotarło do niej, że zabiła swojego męża, postradała zmysły. U tych kobiet po pewnym czasie emocje słabną, wtedy nagle zaczynają one oceniać wszystko na chłodno i rodzi się pytanie: Dlaczego to zrobiłam? Poczucie winy bywa tak głębokie, że niektóre z nich nie umieją

sobie z tym poradzić. Ciągle pamiętam słowa, które napisała jedna z nich: Skazana na śmierć społeczną szukam światła w swoim długim i ciemnym tunelu. To jakby kierunkuje mój stosunek do więźniarek z długim wyrokiem.

Myślę, że tak do końca nie są złe. Każda ma w sobie coś dobrego, tylko trzeba to zauważyć i w dalszej pracy na tych dobrych stronach bazować. Wierzę, że w momencie otrzymania wyroku i gdy trafia do więzienia, coś się dzieje w człowieku. Ponoć człowieka zmienia śmierć i miłość - najsilniejsze emocje. I może tak jest.

- A czy była taka historia, która nie mieści się w głowie, która szczególnie panią wstrząsnęła?

- Staram się do każdej osadzonej podchodzić mediacyjnie i rozmawiać bez względu na to, co czuję. Jednak przyznam, że zdarzyło mi się raz, gdy nie umiałam, a nawet nie chciałam rozmawiać ze skazaną, co zresztą jej powiedziałam. To była swego czasu głośna sprawa.

Kobieta pracowała za granicą i wracając do Polski, na stacji benzynowej, podczas jednego z postojów, urodziła dziecko w ubikacji, po czym schowała je do reklamówki i wrzuciła do kosza na śmieci. Było minus dziesięć stopni na dworze, czyli świadomie skazała to maleństwo na śmierć. Mogła je przecież zostawić w tej ubikacji, mogła je podrzucić pod kościół, szpital, ale nie, nie zrobiła tego. Na szczęście jakiś człowiek usłyszał ciche kwilenie w kontenerze i noworodek został uratowany. Najgorsze w tej sprawie było jednak nie to, że ona chciała śmierci tego dziecka, ale że nie miała wcale poczucia winy. Mówiła, że to przecież nic takiego… Jeszcze próbowała mnie przekonać, że jest ofiarą przemocy. Dla mnie straszne było także to, że mimo popełnionego czynu jej kontakty z mężem i innymi własnymi dziećmi ułożyły się bardzo dobrze. Przyjeżdżali do niej, odwiedzali. Cóż, coś, co wstrząsa nami, co wydaje nam się niesłychane i rodzi wstręt do drugiego człowieka, dla innych bywa normalne, naturalne. Ale ja ten wstręt czułam jedyny raz w życiu. A przecież różne historie tu słyszałam, obserwowałam najróżniejsze zachowania i miałam do czynienia z kobietami, które zabijały bardzo okrutnie. Nic jednak tak mnie nie poraziło, jak chłód tej kobiety, która wzruszała ramionami: To było tylko dziecko. Miałam też taką historię, kiedy kobieta zabiła swojego partnera i jeszcze przez tydzień trzymała go na krześle, rozmawiała z nim i szykowała im obojgu obiad. Niektóre przypadki zabójstw, dokonywanych przez kobiety, są po prostu niewytłumaczalne.

- Właśnie, jakie są ich motywacje? Dlaczego kobiety zabijają?

- Bardzo często z chęci zysku. Zabójstwo jest połączone z rabunkiem lub z odszkodowaniem, jakie mogą dostać po śmierci partnera. Po prostu: jak się go pozbędę, będę miała więcej… Druga motywacja wynika z zaburzonej, agresywnej, chorej osobowości, to motywacja emocjonalna - zabijają, bo w ten sposób likwidują przeszkodę do osiągnięcia celu.

Mordują kochanka, męża czy żonę kochanka - ofiara zawsze budzi w nich silne negatywne emocje. Są też kobiety, które zabijają z zazdrości lub z powodu zdrady. Kobietom, które zostały zdradzone, towarzyszą niesłychane emocje, one mają taki chaos w głowie, że nie są w stanie o niczym innym myśleć, tylko o tym, że jeśli nie do mnie, to do nikogo nie będzie należał. To patologiczna zazdrość połączona z agresją. Bardzo niebezpieczna, bo one nad tym nie panują. Wzburzenie jest tak silne, że trwa w nich jeszcze przez długi czas. Zanim ta złość ustąpi i pojawi się poczucie winy, może minąć nawet wiele lat. Efekt jest taki, że one przez długi czas są po prostu zadowolone z siebie. Dumne

nawet, że to zrobiły. Gdy w grę wchodzi zazdrość, kobiety są straszne. Dla tych, które zabiły z zazdrości i miłości, liczy się zemsta.

Mściwe kobiety nie cofną się przed niczym. Zupełnie inną motywację mają kobiety, które doświadczały przemocy, ale to oddzielna sprawa.

- W jaki sposób najczęściej dokonują zbrodni?

- Te, które doświadczają długotrwałej traumy w domu, zabijają zwykle nożem.

Klasyczne zbrodnie kuchenne. Czasami też duszą poduszką albo rajstopami. Zabijają, gdy ofiara śpi, bo wtedy czują się bezpieczne - nic mi nie zrobi. Zbrodnie z innych powodów są niekiedy tak wyrafinowane, że skóra na plecach cierpnie. Pamiętam taką dziewczynę, satanistkę, która trafiła tu w wieku dwudziestu lat. Zleciła zabójstwo kolegi, bo niegrzecznie wobec niej się zachował. Wobec tego koledzy z jej grupy, uważający się za wyznawców szatana, ucięli mu głowę i przynieśli ją dziewczynie w prezencie na urodziny.

Zdarza się dość często, że kobiety wysługują się innymi. A gdy kobieta zleca zabójstwo, tak dobrze wszystko przygotuje i jest tak konsekwentna, że nie ma mowy, aby ktoś odwiódł ją od tego pomysłu. Często zresztą nie tylko obmyśla plan, ale też obserwuje zbrodnię, kontroluje, czy zlecenie jest dobrze wykonywane. I jeśli pierwsza próba nie powiodła się, wymusza na wykonawcach, by ją powtórzyli, nawet kilka razy. Do skutku. Jak już płaci, żąda, by wszystko było wykonane według jej doskonałego planu. To typowe dla kobiet, że dopracowują plan z najdrobniejszymi szczegółami. Jeżeli kobieta jest przywódcą grupy przestępczej, tak zwanym mózgiem, to mamy gwarancję, że zadanie zostanie wykonane dobrze. I dotyczy to nie tylko zabójstw, ale i innych przestępstw też. A kiedy sprawa się wyda, zwykle twierdzą, że nie zabiły. Przecież nie dotykały narzędzia zbrodni, nie zadawały ciosów. One są niewinne, żadna z nich! I w swoim odczuciu nie kłamią, bo przecież nie zabijały własnymi rękami, na ich rękach nie ma krwi. I to jest najgorsze.

Do więzienia trafiają różni ludzie, ale według mnie człowiek zdrowy na umyśle i psychice nie zabija. To zachowanie nie do przyjęcia. Oczywiście zdarzają się zabójstwa w obronie własnej, ale jeśli kobieta planuje zbrodnię, dlatego że chce pozostać w związku z innym mężczyzną lub liczy na korzyści majątkowe, to nie jest normalne.

- Czy zdarzało się, że kobiety manipulowały osobami, które wynajęły do wykonania zabójstwa?

- Zwykle płacą. Czasem są to naprawdę symboliczne kwoty: dwieście, nawet sto pięćdziesiąt złotych, bo na zleceniobiorców wybierają tak drobnych opryszków, że wystarczą grosze, żeby podjęli się zadania. Ale, owszem, zdarza się też, że manipulują zwłaszcza mężczyznami, którzy są w nich zakochani, zainteresowani seksualnie. Mamy tutaj taką kobietę, która skarżyła się swojemu chłopcu, że matka ją źle traktuje, więc on zabił jej matkę.

- Zdarzają się też zabójczynie z tak zwanych dobrych rodzin?

- I te zabijają w białych rękawiczkach, bardziej elegancko. Zwykle sądy skazują je na dłuższy pobyt w wiezieniu, bo jednak od człowieka na wyższym poziomie intelektualnym i emocjonalnym oczekuje się innego sposobu rozwiązywania spraw.

- Jak takiej kobiecie wpada do głowy myśl, żeby zabić? Skąd biorą się te morderczynie w białych rękawiczkach…

- Często powtarzam, że ludzie agresywni wobec zwierząt i dzieci, są chorzy z braku miłości. To przecież, jak powiedział Jan Paweł II, miłość nawraca serca ludzi. Spotykamy

się z różnymi teoriami, że na przykład dziecko trzeba hartować do trudnego życia. To nieprawda!

Dziecko należy bawić, rozpieszczać, dawać dużo miłości, bo odporność psychiczna nie powstaje wskutek złych doświadczeń, tylko wskutek miłości. Im więcej miłości, tym człowiek jest mocniejszy. A kobiety, o których mówimy, były pod tym względem zaniedbywane. Choć pochodzą niby z dobrych domów, nie miały wystarczająco dużo okazywanej miłości.

- Media kreują wizerunek zabójczyni jako bestii w ludzkiej skórze, gorszej niż zabójca mężczyzna. Co pani o tym sądzi?

- Celem mediów powinno być takie pokazywanie spraw, by pełniły role prewencji ogólnej. Ale w praktyce bywa inaczej. Zainteresowanie dziennikarzy budzą zazwyczaj sprawy nietypowe. Priorytetem jest sensacja. I zdarza się, że w ten sposób robią oni wiele złego. Na przykład przeprowadzają wywiad z kobietą, która popełniła okrutne przestępstwo, opowiadają o jej sprawie, ale nie podają motywu, jedynie sposób. A czasem te czterdzieści cztery ciosy nożem coś wyrażają. Często robi się z człowieka wielkiego przestępcę, ale nikt nie zagłębia się w to, że zbrodnia została popełniona pod wpływem silnego wzburzenia i właśnie dlatego oferowany wyrok jest niższy. Ponadto dziennikarze powinni pamiętać, że podczas pięciominutowej rozmowy nie da się poznać całego życia człowieka. Zresztą człowiek nie zawsze potrafi powiedzieć to, co naprawdę chce powiedzieć. I taki występ w telewizji czy tekst w prasie może kobiecie zaszkodzić. Może sprawić, że jej dzieci znów będą prześladowane w szkole, że rówieśnicy znów zaczną w nie rzucać kamieniami. Dlatego zawsze pilnuję, by ustalono, czy kobieta chce pokazać twarz, czy woli pozostać anonimowa.

Proszę, by pamiętano o tym, że część jej życia - rodzina, dzieci - została z tamtej strony więziennych murów i nie można ich piętnować. Zdarza się też, że zabójczynie nie chcą pokazywać swojej twarzy, bo w domu mówi się, że wyjechały. Dzieci w szkole o tym nie mówią, czasem nawet same nie wiedzą, nauczyciele nie znają prawdy, nawet najbliższy sąsiad nie wie, że ta miła pani siedzi w więzieniu. Więc pokazanie jej twarzy zburzy całą tę misterną układankę. Ale to nie dla niej będzie krzywda, bo w jej przypadku nic się nie zmieni, może za to wiele zmienić w życiu jej dzieci i rodziny - to oni zostaną skrzywdzeni. A piętno dziecka mordercy jest nie do zatarcia. Dlatego informujemy kobiety, że mogą prosić o zmianę głosu lub o zamazanie wizerunku. Wtedy chętniej godzą się na rozmowę, czasem wręcz chcą porozmawiać z kimś, kto je wysłucha.

Opowiedzenie swojej historii sprawia, że wszystko mniej boli. Ma działanie terapeutyczne, bo jeśli człowiek mówi spokojnie o swoich przeżyciach, to znaczy, że próbuje sobie wybaczyć.

Tak więc mam i dobre doświadczenia z mediami. Dużo dobrego robią zwłaszcza dla kobiet, które doświadczyły przemocy. Powstają piękne programy, z przesłaniem, o tych zbrodniach kuchennych, ale i o porzuconych dzieciach: o tym, że zamiast porzucać, można napisać kartkę i zrzec się praw do dziecka. Nie odbierać mu prawa do dobrego życia.

- Dlaczego kobiety zabójczynie interesują nas bardziej?

- Kobieta w więzieniu to wybryk natury. Ludziom się wydaje, że kobieta powinna siedzieć w domu, bawić dzieci. Zresztą ja sama, jeszcze na studiach, nie wiedziałam, że kobiety popełniają tak okrutne przestępstwa. Przyszłam do pracy i dowiedziałam się, że zabijają one swoje dzieci, swoich mężów, partnerów, że zabijają obcych, że napadają ludzi

na ulicy. To, co zobaczyłam, przeszło moje wyobrażenia. O tym się nigdzie nie przeczyta, nigdzie się tego nie zobaczy. Kultura wyznacza nam pewne role i zachowania w pewnych sytuacjach, ale to stereotyp, że brutalność to domena mężczyzn. Okazuje się, że kobiety - nie wszystkie na szczęście - też mają w sobie pokłady agresji. I przekraczają granice dla innych nieprzekraczalne. Dlatego, jeśli mężczyzna wychodzi z więzienia, społeczeństwo mówi, że po prostu chłop poszedł do więzienia i go wypuścili. Natomiast kobieta od razu jest naznaczona piętnem, choćby zdemoralizowanej matki. To zawsze będzie ta, która siedziała w więzieniu.

Jej powrót do rzeczywistości jest dużo trudniejszy i rzadko kończy się happy endem - zwykle nikt na nią nie czeka, nikt nie cieszy się z jej powrotu. Co więcej, sąsiedzi woleliby jej tam nie widzieć, a osoba pokrzywdzona może żądać informacji o wyjściu skazanej na przepustkę, bo ma prawo nie chcieć jej spotkać. Ja - choć w to wierzę - nie mogę zagwarantować, że one się tutaj naprawdę zmieniają. Sama nie wiem, czy chciałabym mieć taką sąsiadkę. Każdy z nas chce czuć się bezpiecznie, nie ma w tym nic dziwnego.

Z drugiej strony my, służba więzienna, robimy wszystko, żeby skazane jak najlepiej przygotować do tej wolności, by będąc na niej, funkcjonowały na tyle dobrze, na ile jest to możliwe. Jednocześnie musimy pracować nad ich poczuciem winy, żeby każdy członek naszego społeczeństwa czuł się bezpiecznie. Dlatego często przypominam im, dlaczego tu trafiły. Każdy człowiek ma prawo popełnić w życiu błąd, zrobić źle. Ma też prawo się podnieść, naprawić swój błąd. Ale powinien mieć poczucie winy.

- Popełniając zbrodnię, tak naprawdę one zabijają swoje dotychczasowe życie, do którego nie mają już nigdy powrotu.

- Społeczeństwo rzadko daje im taką szansę, więc często do nas wracają. Dlatego tak bardzo dbamy o to, żeby były resocjalizowane poza więzieniem, w lokalnym środowisku.

Stąd udział w programach, gdzie mogą pracować jako wolontariuszki. To, po pierwsze, zmniejsza koszt utrzymania więźniarek, po drugie, pomaga oczyszczać się z poczucia wstydu i bycia bezwartościowym człowiekiem. Bo przecież pracują na rzecz tych, którzy są niepełnosprawni, chorzy, mają więc szansę w jakiś tam sposób odkupić swoje winy. Potem, już na wolności, mają prawo oczekiwać od społeczeństwa wsparcia, bo będąc w więzieniu, świadczyły dobro innemu człowiekowi i pokazały, że są godne zaufania - potrafią być normalnymi kobietami, normalnymi ludźmi. Ale nie każda ma taką szansę.

Dla mnie to trudne wybrać spośród nich takie, które nie nadużyją zaufania. Przecież za każdym razem biorę odpowiedzialność za ich zachowanie, a one nie dają żadnych gwarancji.

To ogromny ciężar, staram się jednak tym kobietom pomagać, choć nie wszystkim mogę. Na pewno nie kieruję do pracy na zewnątrz kogoś, kto jest mocno zaburzony, ma wysoki poziom agresji i nie daje gwarancji, że będzie pracować, a naprawdę zamierza na przykład uciec.

Nigdy nie podejmuję tej decyzji sama - rozmawiam z moimi pracownikami, kierownikiem działu penitencjarnego, wychowawcami.

- Kilku moich bohaterek pani by nie wypuściła?

- Rzeczywiście, nie. Z niektórymi znamy się od piętnastu lat. Niektóre sama przyjmowałam. Wiele z nich funkcjonuje prawidłowo, wydaje się, że wiele zrozumiały, naprawiły, ale nie, chyba nie…

- Czy ich resocjalizacja jest w ogóle możliwa?

- Mózgu wciąż jeszcze człowiekowi nie wymienimy. Możemy natomiast wpływać na zmianę świata wartości, na zmianę stosunku do pewnych rzeczy. Jednak nie obiecam pani, że morderca na sto procent się zresocjalizuje. Mogę powiedzieć tylko, że lata spędzone w więzieniu, przebywanie w sytuacji upokorzenia - bo więzienie jest upokorzeniem dla kobiety - sprawią, że ona wiele przemyśli, a my pomożemy jej zmienić świat wartości. Dzięki temu poziom agresji maleje, pewne emocje zostaną uśpione. Poza tym nawet wielki herszt bandy zabójców zestarzeje się, osłabnie i po wyjściu nie jest w stanie agresywnie działać. Może właśnie dlatego rzadko się zdarza, żeby kobieta, która popełniła morderstwo, wracała potem do więzienia za to samo. A to dlatego, że spędziła w nim najlepsze lata i po wyjściu - jeśli ma dokąd wracać i jeśli ma poczucie winy - będzie dobrze funkcjonowała, bo drugi raz nie znajdzie się w takiej sytuacji, a przynajmniej będzie jej unikać.

- Jak zmienia kobietę wieloletnie więzienie?

- Nie ma większego upokorzenia dla kobiety niż przebywanie w wieloosobowej celi, w której musi jeść, spać, załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne i to wszystko w określonym czasie. Na dzwonek wstać, na dzwonek wyjść na spacer, na dzwonek jeść obiad. Nie ma większego dramatu dla kobiety niż ograniczone kontakty z rodziną i dziećmi. Poza tym nie może zaspokajać swoich potrzeb seksualnych ani wielu innych. Nie może czuć się w pełni kobietą; pełnić ról biologicznie dla niej przeznaczonych - matki, żony. To jest prawdziwy dramat. Poza tym więzienie to zupełnie inny świat, bardzo trudny. Pobyt w więzieniu jest taką stałą sytuacją ekstremalną. To zmienia kobietę, powoduje, że czuje się mniej wartościowa, mniej przydatna społecznie. Są też kobiety zaburzone, których aktywność czasami sprowadza się do funkcjonowania biologicznego: jedzą, śpią, wydalają. Następuje zupełny spadek aktywności. Takie kobiety szybciej się starzeją, łatwiej zapadają na różne choroby.

- Jak więźniarki radzą sobie z seksem, a właściwie jego brakiem?

- To jest nie tylko problem kobiet osadzonych w więzieniach. To problem ludzi samotnych. Można zadać pytanie: „A jak sobie radzą z seksem zakonnice czy księża?”. W pewnym momencie, gdy potrzeby seksualne nie są zaspokajane, zostają uśpione. Oczywiście nie u wszystkich kobiet. Niektóre utrzymują kontakty seksualne, bo przecież mogą wychodzić na przepustki, mogą mieć widzenia. Ale zdarza się też, że nawiązują kontakty homoseksualne. Jedne rzeczywiście są homoseksualistkami, inne nawiązują tego typu kontakty dopiero tutaj - traktują to jako substytut, taki czasowy homoseksualizm. I wtedy mamy kłopot, bo kiedy tworzą się pary, jedna o drugą jest zazdrosna, kłócą się, biją, a gdy są zakochane, za wszelką cenę dążą do kontaktów nielegalnych. Czasami łączy je głównie więź emocjonalna: dużo ze sobą rozmawiają, gdzieś tam się przytulą. I to nawet jest do zaakceptowania. Ale są też takie, które po prostu przeszkadzają innym, choćby przez odbywanie stosunków seksualnych w celi - a nie każdy ma ochotę to oglądać i tego słuchać.

Czasami najpierw się kochają, a potem biją, rzucają w siebie kubkami, trzeba je przenosić.

Potem znów twierdzą, że się kochają i chcą być razem. Ale my musimy przede wszystkim dbać o bezpieczeństwo - ich samych i innych osadzonych, dlatego nie wzruszamy się ich romantyczną miłością.

- Jakie są przepisy dotyczące tych długoterminowych skazanych?

- Te z karą dożywotniego lub długoletniego więzienia odbywają ją w zakładach zamkniętych, to oznacza, że mają mniejszą swobodę i mniej uprawnień od pozostałych osadzonych, nie mogą przebywać w zakładach półotwartych. Wciąż musimy pamiętać, że to jest człowiek, który myśli o ucieczce.

- Ale jest jedna bohaterka, która wychodzi i to regularnie…

- Zanim któraś wyjdzie na przepustkę, układamy diagnozę społeczno - penitencjarną, która pozwala nam ocenić, do jakiego środowiska ją wypuszczamy. Jeżeli jest mąż, dzieci, rodzina ma dobrą opinię społeczną, a kobieta funkcjonuje tu prawidłowo, to po odbyciu części kary może otrzymać przepustkę. Żeby jednak starać się o wyjście na zwolnienie warunkowe, trzeba odbyć połowę kary.

- Jak wiele jest kobiet, którym udaje się utrzymać w sekrecie pobyt w więzieniu?

- Chyba tylko ona jedna. Jednak większość o tym marzy. Łudzą się, święcie wierzą w to, że nikt nie wie o tym, że one są w więzieniu. Mają te swoje wyobrażenia, tworzą swój wirtualny świat i to chyba dobrze dla nich, bo powoduje, że podtrzymują się na duchu, mają siłę, by przetrwać. Nadzieja to niezwykle ważne słowo w więzieniu. My nie możemy im tej nadziei odbierać. Jeśli odmówiono jej prośbie o warunkowe zwolenienie, mówimy: Będzie kolejny termin, tym razem nie, ale może później. Gdyby usłyszała kategoryczne nie, nie miałaby motywacji, by się dobrze zachowywać, dobrze funkcjonować. Gdyby nie miały nadziei, pewnie doszłoby do załamań, samouszkodzeń, a nawet samobójstw czy agresji wobec współosadzonych.

- Jak służba więzienna, psychologowie, funkcjonariusze radzą sobie z tym, że wiedzą, z kim pracują, wiedzą, co każda z nich zrobiła i jak?

- To niezwykle ważne zagadnienie. My wszyscy funkcjonujemy tutaj w stałym stresie.

Ciągle przebywamy w miejscu pełnym wstydu, zła i negatywnych emocji. Cały czas musimy być czujni, przygotowani na nieprzewidziane okoliczności, wciąż w pogotowiu, z podzielną uwagą. I gdyby człowiek wciąż myślał, że pracuje z groźną przestępczynią, która zabiła w okrutny sposób, jest wyjątkowo niebezpieczna, zła, można by się psychicznie wykończyć. Nie wolno tak myśleć. Trzeba przyjąć postawę, „pracuję z grupą wychowawczą". To jest moja grupa, mam coś z nimi zrobić, przy zachowaniu pewnych środków ostrożności. Natomiast nie można stale pamiętać, że to przestępca, więzień, bo tak się nie da funkcjonować. My musimy wiedzieć, co każda z nich zrobiła, bo musimy każdą z nich odpowiednio zdiagnozować, ale to nie może nam przeszkadzać, nie może na nas robić wrażenia. Trzeba mieć głębokie przekonanie, że to służba na rzecz drugiego człowieka, bo inaczej będzie bardzo trudno.

- Czy pani kiedykolwiek żałowała, że trafiła do tego zawodu?

- Zawsze chciałam zajmować się ludźmi trudnymi, bo czułam, że mam siły, by móc ich nawrócić na tę dobrą drogę. Nie chcę, by brzmiało to pompatycznie, że to moje powołanie czy coś takiego, ale gdy podczas praktyk dowiedziałam się, za jak okrutne czyny kobiety siedzą w więzieniu, postanowiłam, że będę zajmować się właśnie zdemoralizowanymi dziewczętami - pomagać im, wspierać. I ta praca daje mi ogromną satysfakcję. Mam wiele osobistych osiągnięć, mam poczucie swoistej misji, bo przecież pomagam ludziom, w których wielu innych przestało wierzyć, spisało ich na straty.

- Czy często zdarzają się sytuacje, które dodają pani sił, nadziei, że warto się nimi zajmować, resocjalizować…

- Myślę, że dopóki w nie wierzę, moje przychodzenie do pracy ma sens. To, że one

pracują jako wolontariuszki i opiekują się niepełnosprawnymi dziećmi, grają w teatrze i wyjeżdżają ze mną za granicę, chyba coś znaczy.

Ale z drugiej strony, one nigdy mnie nie zawiodły, chyba dlatego że ja właściwie niczego od nich nie oczekuję. I mówię to młodzieży, którą przyjmuję do pracy. Wielu z tych kobiet nie wychowali mama, tata, kościół, szkoła ani wszyscy ci ludzie, których spotkały przez całe swoje życie, więc jak nagle my mamy z nich zrobić aniołki? To jest po prostu niemożliwe! Przecież do nas trafiają osoby demoralizowane od bardzo wielu lat, z długim stażem w określonym środowisku, z ukształtowanym światopoglądem, ze świata bez wartości i zasad moralnych. Czego więc możemy oczekiwać? Wierszem nie zaczną mówić. Wróbel nie będzie śpiewał jak kanarek, nie ma co na to liczyć. Trzeba zapomnieć o ambitnych planach całkowitej resocjalizacji. Sukcesem jest to, że ja się z nimi jakoś dogaduję! Nigdy nie miałam w związku z tym nieprzyjemnych sytuacji. Chyba one czują, że ja nie mam zamiaru zrobić im krzywdy, nie udaję niczego przed nimi, choć się mnie boją, czują respekt.

- Co jest w takim razie sukcesem resocjalizacyjnym pani zdaniem?

- Może to, że kobieta, która na co dzień używała słów rodem z rynsztoka, dziś wita mnie zwykłym dzień dobry, albo to, że udaje nam się wyprowadzić którąś z uzależnienia od alkoholu lub narkotyków. Sukcesem niewątpliwie jest to, że zabójczynie - ofiary przemocy czują się pewniejsze i bardziej wartościowe, bo odzyskały godność. W przypadku morderczyń, które zaplanowały zbrodnię, sukcesem resocjalizacyjnym jest to, że funkcjonują poprawnie; angażują się w różne prace, nawiązują pozytywne relacje z innymi. Na przykład jedna skazana na dożywocie przed świętami przychodzi z własnoręcznie wykonaną karteczką z życzeniami - dobrze nas traktuje, a przecież mogłoby być zupełnie inaczej. Udaje nam się z tych agresywnych kobiet, które popełniły zbrodnie ze szczególnym okrucieństwem, nierokujących nadziei na poprawę, „stworzyć” osoby w miarę łagodne, dostosowujące się do normalnych zasad, to jest naszym największym sukcesem.

OPINIE CZYTELNIKÓW

Książka Polskie morderczynie ma piętnaście autorek. Czternaście z nich to bohaterki poszczególnych rozdziałów, które opowiadają historie swojego życia sprzed i po zbrodni, którą popełniły. Opowiadają swobodnie, własnymi słowami, z wyczuwalnym brakiem presji i napięcia ze strony Katarzyny Bondy - autorki numer 15. Czy książka napisana przez dziennikarkę może posiadać psychologiczną głębię i wartość? Kobiety-sprawcy do dziś budzą więcej negatywnych emocji niż mężczyźni-sprawcy. Nie tylko wśród ogólnej populacji, lecz także pośród psychologów, policjantów i sędziów. Literatura naukowa XX wieku ukazuje obraz „potwora" (Lombroso i Ferrero, 1897), kierującego się popędem seksualnym (Sparrow, 1970), będącego jak śmiercionośny kwiat albo zwierzę, które chowa swoją truciznę i atakuje w najbardziej niespodziewanym momencie (deRham, 1969) i - ponieważ, w przeciwieństwie do mężczyzn, kobieta potrafi „udawać" - jest w stanie oszukać i zwieść w każdym innym aspekcie życia (Pollack, 1950). Dzisiaj świat naukowy prezentuje zupełnie odmienne podejście. Psychologia śledcza (IP) - młoda dyscyplina naukowa stworzona przez profesora Davida Cantera z Międzynarodowego Centrum Badań nad Psychologią Śledczą (IRCIP) przy Uniwersytecie w Huddersfield - rozpatruje psychologiczne teorie, zasady i empiryczne odkrycia, odnosząc je do pełnego spectrum zastosowań w zarządzaniu, śledztwie oraz dochodzeniu kryminalnym. Badania prowadzone w IRCIP oscylują obecnie wokół „życiowych narracji" (life narratives), które są w miarę nową metodą badawczą stosowaną w psychologii, nie tylko śledczej czy sądowej. Owe narracje w tym przypadku są tworzone przez samych przestępców, opowiadających swoje historie własnymi słowami. Książka Katarzyny Bondy oferuje właśnie takie bogactwo materiału: historie opowiedziane przez bohaterki, które intrygująco komponują się z materiałami policyjno-sądowymi. Książka ta zasługuje na uwagę zarówno badaczy i studentów, jak i miłośników dobrej książki i zagadek kryminalnych. Dla mnie książka Katarzyny Bondy Polskie morderczynie była początkiem ekscytującej podróży i fascynacji.

Mgr Agnieszka E. Wainaina-Woźna, MBPsS

Doktorantka International Research Centre for Investigative Psychology University of Huddersfield, United Kingdom

Polskie morderczynie Katarzyny Bondy to niezwykła książka. To rzadka w polskiej literaturze dokumentalnej udana artystycznie i bogata treściowo próba ujęcia „fenomenu" ciemnej, zbrodniczej strony człowieka, w którym - jak udowadnia autorka słowami i myślami swoich bohaterek - zawsze istnieje także jaśniejsza, lepsza strona człowieczeństwa. Dobór kobiet, żyjących w cieniu 148 paragrafu kodeksu karnego, nie jest przypadkowy, lecz głęboko przemyślany przez Bondę. Moim zdaniem, tylko w historiach morderczyń przedstawionych z perspektywy akt postępowania karnego oraz ich własnymi oczami i emocjami, z pomocą literackiego kunsztu pisarki, urzeczywistnić się mogło znane powiedzenie B. Pascala, że od piekła lub nieba odgradza nas tylko życie, rzecz najkruchsza na świecie.

Jako posiadający w swoich doświadczeniach zawodowych eksperta kryminalistyki niejednokrotną bytność na miejscach najokrutniejszych zbrodni oraz policyjny wykładowca kryminalistyki, cenię książkę Katarzyny Bondy za jej walor poznawczy oraz głębokie

spojrzenie dziennikarki, pisarki i kobiety jednocześnie, przekraczające suche brzmienie paragrafów prawnych, marketingowy obraz tabloidów i sensacyjną wymowę kryminalnych legend.

Leszek Koźmiński,

wykładowca w Szkole Policji w Pile, ekspert Polskiego Towarzystwa Kryminalistycznego

Polskie morderczynie to rzetelny obraz ukazujący oblicza kobiet, które skazane zostały za popełnienie zbrodni przeciw drugiemu człowiekowi. Oblicza, które mimo wspólnego mianownika, jakim jest dokonane przestępstwo, są tak od siebie różne. Pokorne, potulne, pogodzone z losem kobiety żałujące swojego czynu, kontra wyrachowane, zimne i niewyrażające skruchy. Pani Katarzyna Bonda pozwala nam poznać w przypadku każdej z czternastu bohaterek dwie wersje. Pierwszą, swoistą spowiedź każdej z nich, i drugą, ukazującą suche fakty dotyczące przypisywanej im zbrodni. Pozwala nam to na obiektywną ocenę każdej z przedstawionych kobiet. Nie dajmy się jednak zwieść pozorom. Możemy się mocno rozczarować.

Każdy morderca jest ofiarą człowieka, którego zabił. Ciało dokonuje zbrodni, lecz dusza mordercy staje się jej ofiarą. Przeczytałam to kiedyś w pewnej mądrej książce. Czy to zdanie znajduje odniesienie do bohaterek Polskich morderczyń? Polecam przeczytać i sprawdzić.

Maria Manterys

Lektura Polskich morderczyń Katarzyny Bondy wbija w fotel.

Zdumienie pierwsze - oglądasz zdjęcia bohaterek. Są takie jak ty, ja, sąsiadka, koleżanka sprzed lat, starsza pani, którą czasem spotykasz w autobusie. W większości ładne, uśmiechają się do obiektywu. Wpatrujesz się w ich oczy i starasz się znaleźć w nich odpowiedź na pytania: Dlaczego? Jak to możliwe, że zabiły? Podświadomie szukasz dla nich usprawiedliwienia. Na pewno w samoobronie, na pewno były gnębione i w końcu coś w nich pękło…

Zdumienie drugie - Katarzyna Bonda nie daje prostych odpowiedzi. Prowadzi cię od historii do historii. Bez emocji, bez epatowania zbrodnią, ale i bez znieczulenia. I kiedy wydaje ci się, że już wiesz, co się wydarzyło, jaki splot okoliczności, indywidualnych cech, pragnień, lęków doprowadził bohaterkę do drastycznego końca, autorka podsuwa ci akta sprawy, a te znowu każą ci spojrzeć inaczej na główne postaci dramatu. Zabrzmiało teatralnie? Nie powinno. Świat polskich morderczyń to nie teatralne deski. To realne tu i teraz.

Anna Fibak,

wiceprezeska zarządu Polskiego Stowarzyszenia Kobiet Biznesu

Książkę przeczytałem już rok temu i byłem z zakupu bardzo zadowolony. Najbardziej zapadła mi w pamięć sprawa kobiety, która wraz z synem zabiła swojego męża (ojczyma; Portugalczyka; sprawa miała miejsce w miejscowości Lubawa). Spowodowane jest to tym, iż od miejsca zdarzenia dzieli mnie jakieś 900 metrów i znałem tę sprawę z opowiadań mieszkańców oraz gazet. Pani książka pozwoliła mi uściślić wiedzę, co do samego zajścia oraz finału postępowania. Jedynym mankamentem lektury, która przeznaczona jest raczej

dla przeciętnego czytelnika, niekoniecznie obeznanego w materii prawa karnego i jego procedury, były dość krótkie zdania. Jako prawnik jestem przyzwyczajony do długich wywodów, dlatego musiałem przyzwyczaić się do tego typu konstrukcji. Jest to jednak tylko moje subiektywne odczucie. Mam nadzieję, że kolejna Pani książka będzie również częściowo nawiązywała do spraw okołoprawnych, co na pewno „zmusi" mnie (w pozytywnym tego słowa znaczeniu) do jej zakupu. Jeszcze raz gratuluję za wspaniały do przyswajania materiał. Na pewno już wie Pani o tym, iż studenci prawa na seminariach z prawa karnego lub kryminalistyki często cytują Pani książkę.

Łukasz, prawnik

Inspirowałem się Polskimi morderczyniami, reżyserując film Punkt wyjścia. Miałem je ze sobą, na planie. Zawsze. Pamiętam, że już od chwili, w której usłyszałem tytuł książki, chciałem się spotkać z autorką i usłyszeć historie z pierwszej ręki. Szybko odnalazłem Kasię.

Dobrze znam postaci Polskich morderczyń. Dzięki nim znalazłem Anetę, bohaterkę mojego filmu Koniec zimy, do którego scenariusz napisałem z Kasią. Dzięki nim poznałem ich koleżanki z cel, i ich problemy, odwiedziłem więzienia, uwierzyłem im „na kredyt". Są winne, ale nikt z nas nie wie, jak by się zachował w sytuacjach, w których się znalazły. Za ich winę odpowiedzialność ponoszą najokrutniejsi: ci, którzy nie mają czasu. Kasia dotarła do prawdy. Polskie morderczynie to niezwykły zapis czasu, charakteru osób i sytuacji niestety zwyczajnych, które trudno sobie wyobrazić. Ale to właśnie real „z krwi i kości". Zbrodnia kobiet wydaje się bardziej szlachetna. Nadopiekuńcza matka, znęcanie męża, brak miłości, okrutnie prawdziwa rzeczywistość, w której człowiek przestaje być ważny. Chyba, że obroni swoją ostatnią cząstkę. Choćby nożem. Bonda potrafi rozumieć. Dociera do czegoś, co może trudno zrozumieć od razu. Po drugim czytaniu miałem poczucie, że zadała najważniejsze pytania.

Michał Szcześniak, reżyser (Punkt wyjścia, Łódka)

Książki Katarzyny Bondy nie muszę nawet polecać moim studentom - sięgają po nią sami… Obszerne wywiady z kobietami, które popełniły zbrodnię zabójstwa, „nafaszerowane"

sporą dawką emocji, czyta się bardzo dobrze. Materiał faktograficzny jest wyczerpujący, bo oprócz wywiadów mamy tu także porządne wypisy z akt sądowych i penitencjarnych.

Książka ta pokazuje, jak bardzo różna jest zbrodnia kobieca. Stereotypem jest bowiem postać morderczyni jako kobiety zabijającej tyrana domowego, po długich latach znoszenia upokorzeń, pobić, zgwałceń, ratującej przed okrutnym losem siebie i dzieci. Takie przykłady znajdziemy także w tej książce, ale przeczytamy również o morderczyniach zabijających z zimną krwią dla korzyści majątkowej czy przywódczyniach grupy wydających wyroki śmierci. Nie wiem, czy celem Bondy było napisanie książki naukowej, szczerze mówiąc, nie sądzę, ale książka ta bez problemu spełnia te kryteria.

Kamil Miszewski, wykładowca Akademii Pedagogiki Specjalnej

Problematyka przestępczości kobiet w literaturze polskiej (w przeciwieństwie do światowej) należy do stosunkowo słabo opracowanych. Jeśli chodzi o zbrodnie dokonane

przez kobiety, to w polskiej monografii, która byłaby poświęcona zagadnieniu przestępczości, tej grupy społecznej nie ma. Książka K. Bondy jest pracą pionierską. Nie tylko jednak decyduje o tym ten fakt, lecz przede wszystkim jej zawartość. Lektura ta jest bardzo cenna ze względu dobre zilustrowanie w rozdziałach od tzw. kuchni zbrodni dokonanych przez płeć piękną. Przez co lektura książki staje się na pewno jeszcze ciekawsza i bogatsza. Monografia ta powinna w zasadzie zainteresować wszystkich prawników, a już na pewno sędziów i prokuratorów, choć moim zdaniem również adwokatów, którzy w tym niezwykłym interesującym opracowaniu znajdą niejeden argument w obronie klientek - sprawczyń zabójstw. Komentarz odautorski rzuca nowe światło na funkcjonowanie ofiar-kobiet, co ostatecznie czyni je sprawczyniami zabójstw. Dlatego też warto zajrzeć do owej książki i zagłębić się w bogate studium poświęcone niezbadanej dotąd tematyce.

Marta Kucińska, pedagog resocjalizacyjny

DZIĘKUJEMY

Bohaterkom książki za odwagę opowiedzenia swoich historii oraz - w przypadku niektórych - ujawnienia twarzy i nazwisk;

Lidii Olejnik, dyrektor Zakładu Karnego w Lublińcu; Helenie Reczek, dyrektor Zakładu Karnego w Grudziądzu; Lidii Moroz, zastępcy dyrektora Aresztu Śledczego w Białymstoku; płk Irenie Dybalskiej i Marcie Sikoń-Łatce z Centralnego Zarządu Służby Więziennej oraz licznym pracownikom powyższych instytucji - psychologom, kierownikom penitencjarnym, wychowawcom, pracownikom ochrony, którzy służyli pomocą i poświęcali swój cenny czas - za zaufanie, opiekę i nieocenioną pomoc w zebraniu materiału do tej książki. Bez Państwa wsparcia i zaangażowania ta pozycja nigdy by nie powstała!

Prezesom i Przewodniczącym Wydziałów Karnych Sądów Okręgowych w Katowicach, Sieradzu, Łodzi, Elblągu, Włocławku, Siedlcach, Wrocławiu, Świdnicy i Warszawie, którzy udzielili mi pozwolenia na przejrzenie akt spraw, by materiał zebrany do książki był rzetelny i wiarygodny;

Mirosławie Kopoczek, niezwykłej redaktorce, stuprocentowej profesjonalistce i cudownej osobie, która potraktowała pracę nad tą książką jak wyzwanie i wykonała to absolutnie bezinteresownie. Wiele jej uwag było wprost nieocenionych. Gdyby nie jej wysiłek, ukończenie tej książki byłoby niemożliwe;

Zofii Krasuskiej, która nieodpłatnie przygotowała niektóre bohaterki do sesji zdjęciowej;

Jackowi Bieńkuńskiemu, specjaliście od wariografu, który pomógł w konstrukcji pytań i rozdziału „Prawda - fałsz" (www.wariograf.pl);

Przyjaciołom - za pomoc techniczną i wsparcie emocjonalne, gdy traciliśmy nadzieję.

Katarzyna Bonda

Edward Kawecki